

# Price Nancy

## Sypiając z wrogiem

*Sara Burney osiedliła się w obcym małym miasteczku. Zmieniła nazwisko i wygląd. Odmieniła życie. A wszystko po to, by uciec od najbardziej niebezpiecznego człowieka, jakiego kiedykolwiek spotkała - własnego męża. Wszystko rozpoczęła od nowa. Znalazła nową miłość, szczęście. Pozostał tylko strach. Człowiek, który kiedyś był jej mężem, jest opętany pragnieniem zemsty. Kochał ją tak bardzo, że woli ją zabić, niż pozwolić odejść...*

1

Zanim Martin Burney utracił żonę, jeszcze w przeddzień patrzył, jak od niego odchodzi, jak wiatr znad Atlantyku unosi końce jej długich włosów. Zamknęły się za nią drzwi salonu piękności, odbijając słoneczny blask.

Oczy Martina Burneya były brązowe i zimne jak fusy z kawy.

Gdy odjeżdżał, wiatr znad oceanu szeleścił papierowym szyldem na witrynie zakładu: PANOWIE MILE WIDZIANI. Sara powiedziała do recepcjonistki: „Sara Burney” i rozejrzała się po nowym gabinecie — nie było go tu jeszcze zeszłego lata.

INAIZDIW ELIM EIWONAP głosił szyld salonu, odczytany z wnętrza na wspak, zielona podłoga zakładu usiana była ścinkami włosów.

Fryzjerka o imieniu Carmen wypisanym na identyfikatorze poprowadziła Sarę do umywalek.

— Przydałaby się płukanka — rzekła Carmen, okrywając ramiona Sary plastikową narzutką.

Sara usadowiła się wygodnie w fotelu i zaczerpnęła głębokiego oddechu.

Mogła tu spędzić półtorej godziny.

Woda spływała jej za uszami i dalej do rury, sycząc jak fale na piasku.

Zamknęła oczy.

— Ożywia kolor — powiedziała Carmen. Wmasowała szampon i dobrze przyjrzała się kobiecie,

która miała ciemne kręgi pod oczami; dzinsy i koszula

z długimi rękawami nie nadawały się na letni dzień. Na wierzchu jednej ręki widniał szkarłatny siniec.

Kobieta w średnim "wieku, siedząca w fotelu obok, zaśmiała się i rzekła do fryzjerki, myjącej jej głowę:

— Czytała pani o tej kobiecie w jednym z tych miasteczek na Południu, gdzie wszyscy nawzajem się podglądają dwadzieścia pięć godzin na dobę?

Fryzjerka chrząknęła. Carmen masowała głowę Sary.

— Pani tu na wakacje, popływać i tak dalej?

— Boję się wody — wyznała Sara. Mimo szyldu szeleszczącego na wietrze, w salonie piękności nie było mężczyzn. Sarę otaczały kobiety i woń perfum. — Wynajmujemy domek na Sand Hook do soboty.

— Zbudowali tam ładną nową przystań — ciągnęła Carmen. — Macie łódkę?

— Nie. Pływać łódką też się boję.

— Poważnie? — Carmen przestała masować. — Przyjechała pani nad morze i boi się pani wody?

— Nic na to nie poradzę — odparła Sara.

— Ma pani dzieci?

— Nie.

— Trzeba uważać, żeby nie przestraszyć dzieci — zauważyła Carmen. Sara ponownie zamknęła oczy. — To niedobrze, tak się bać.

Fryzjerka zaczęła splukiwać włosy Sary. Woda tryskała gwałtownie i Sara nic nie odpowiedziała.

— Przynajmniej może się pani ładnie opalić — rzekła Carmen.

Sara miała łzy w kącikach oczu.

— Próbowала pani wchodzić codziennie do wody chociaż na trochę?

Sara odparła, że owszem, próbowała.

Carmen wycisnęła wodę z włosów Sary i owinęła jej głowę ręcznikiem.

Wycierając, przyciskała ją do siebie i Sara, oddychając ciepłą, opiekuńczą ciemnością ręcznika, starała się nie rozplakać,

— Teraz proszę się tu przesiąść.

Sara usiadła i spojrzała na siebie w lustrze: bezkształtne usta i włosy jak mokre blond wodorosty. Nadała swym ustom zwykły kształt i zamrugała parę razy.

Kobieta w średnim wieku zdjęła już z głowy ręcznik i usadowiła się w fotelu obok Sary.

— W gazecie pisali, że ta kobieta zamieszkała w małym miasteczku na Południu. — Przybliżyła twarz do lustra, — Wyglądam jak utopiony szczur. — Przyjrzała się dokładniej. — Jak utopiony szczur. — Rząd kobiet w salonie piękności wpatrywał się w swe odbicia z powagą na twarzach, jakby poświęcanie czasu i pieniędzy na zewnętrzną stronę czaszek było czymś koniecznym i naturalnym, a nawet zwyczajnym. — Ta kobieta z gazety jest sekretarką, rozwódką i ma dwoje dzieci. Pilnuje swoich interesów, wiecie? Została członkinią tego kościoła, bo chciała, żeby dzieci miały kolegów. No i rzecz jasna miała miłego przyjaciela.

— Ojca dla dzieci — podsunęła fryzjerka.

— No pewnie. A jak go inaczej zdobyć? — rzekła kobieta.

Carmen nakręcała na wałki długie włosy Sary.

— Pierwszy raz w Manhasset?

— Przyjeżdżamy tu już trzeci rok — odparła Sara.

— A skąd pani jest?

— Z Montrose, spod Bostonu.

Wałki zaczęły tworzyć obramowanie z różowych kiełbasek wokół twarzy Sary: pustych oczu i zaciśniętych ust.

— Brooke, mogę pożyczyć kilka różowych wałków? — zawołała Carmen i po nie poszła.

— I zobaczyli jego samochód na jej podjeździe — czy to nie grzech? Jego samochód na jej podjeździe? — spytała kobieta w średnim wieku.

Sara wyjrzała na ulicę, gdzie, bez celu, swobodnie, spacerowali ludzie, oglądali witryny, plotkowali na rogu.

— I wyobraźcie sobie, przyłapali tego jej przyjaciela, który przyznał się do tego, jak to oni nazwali, „cudzołóstwa”, tak że ona musiałaby stanąć przed całą kongregacją

i wyznać, co zrobiła, pokajać się i prosić ich o przebaczenie i diabli wiedzą co tam jeszcze. I, wiecie, wysłała list z rezygnacją z członkostwa tego kościoła, tak by nie musieli czuć się odpowiedzialni za to, jakimi sposobami stara się znaleźć dzieciakom ojca.

Carmen kończyła nawijanie włosów Sary na różowe kielbaski.

— Ja nie za często kąpię się w oceanie — za zimno — oznajmiła. — Brooke, o ta tutaj, latem pływa co dzień. Boże kochany.

— Guzik, starszyzna kościelna powiedziała tej sekretarce, że muszą ją wykopać. No i zebrali całą kongregację, mniej więcej pół miasta, i powiedzieli wszystkim, co narobiła i że nikt nie powinien się do niej odzywać ani nic. I ona się wściekła. Poszła do adwokata i oskarżyła kościół i dwóch z rady starszych, że naruszyli jej sferę prywatności.

— Coś podobnego — powiedziała fryzjerka. Carmen nakryła siatką lokówki Sary.

— I wyobraźcie sobie — sekre tarka dostanie ten kościół na własność! Cmentarz, parking i całą resztę.

Carmen poprowadziła Sarę pod suszarkę i dała jej magazyn kobiecy.

— Tu jest przełącznik. Proszę przekręcić, jeśli zrobi się za gorąco.

Ciepłe, szumiące powietrze otoczyło Sarę. Ilustrowany magazyn otworzył się na ogłoszeniu — reklama przedstawiała kobietę o niebieskich powiekach i odętych wargach.

Strumień powietrza w suszarce, minuta po minucie, owijał Sarę miękką zasłoną. Zamknęła oczy i chwilę drzemała w tej przytulnej pieczarze dźwięku. Lecz czas szybko upływał. Włosy wysychały, nie mogła tego powstrzymać. Drgnęła gwałtownie i jej wzrok padł na parę kochanków, całujących się namiętnie na ilustracji w kobiecym piśmie. Akapit pod rysunkiem zaczynał się od słów: „Jego usta spadły na jej wargi i zatopiły się w nich. Był on równie zdecydowany przełamać jej opór, jak ona, by go utrzymać, Popchnął ją do tyłu, całą siłą dając jej odczuć przemożną potrzebę twardego męskiego ciała.”

Sara patrzyła, jak kobiety ziewają pod suszarkami. W piśmie był quiz na temat życia miłosnego, a także porady — jak zadowolić męża \ rozwiązywać problemy dzieci w szkole. Sara zamknęła magazyn i wpatrywała się we fryzjerki, chodzące między unoszącymi się w powietrzu kosmykami włosów. Patrzyła na buty, jeden przy drugim, tak ciche przy chodzeniu, i spokojną pracowitość rąk.

Włosy Sary wysychały, Carmen przychodziła co jakiś czas, żeby ich dotknąć i w końcu wyłączyła suszarkę, Szum odpłynął. Sara widziała, jak Martin podjeżdża i zatrzymuje się tuż za INAIZDIW ELIM EIWONAP. Fryzjerka zaprowadziła Sarę na fotel przed ścianą luster. Obok siedziała mała dziewczynka. Mokre włosy dziecka przylepiły się do czaszki, minę miała ponurą.

— Będziesz wyglądała prześlicznie — gruchała do niej fryzjerka.

Dziewczynka się nie odzywała.

— Pani jest nauczycielką? — Carmen zapytała po chwili Sarę. Wszystkie lokówki były już wyjęte. Wielką szczotką szesała włosy Sary do tyłu. — Pytam, bo pani tak ładnie mówi, i powiedziałam Brooke: „Ona jest nauczycielką”,

— Pracuję w bibliotece — rzekła Sara, nie patrząc na czekającego w samochodzie Martina. — Nie na całym etacie.

— Tak myślałam. — Carmen przyczesła Sarze włosy wokół twarzy. — Zdawało mi się, że pani ma coś wspólnego z nauczaniem — edukacją — no wie pani. Znam się na ludziach.

Sara widziała w lustrze blondynkę, której włosy już wyschły. Zamknęła oczy, wdychając zapach alkoholu i perhydrolu.

— Jak się mężusiowi podobała ta nowa płukanka, której użyłyśmy ostatnim razem? — spytała fryzjerka starszą panią.

W obszernym pomieszczeniu lśniły sprzęty, biel i chrom, zimne jak w szpitalu. Kobietom odsuwano skórki przy paznokciach, włosy utleniało, farbowano albo zakrećano przy użyciu chemikaliów.

— No i jak? — Carmen wyciągnęła lusterko i Sara obracała głowę, usiłując zobaczyć tył i boki.

— Świetnie — powiedziała. — Właśnie tak, jak lubi mój mąż.  
Potarła czoło brzegiem nadgarstka, z zamkniętymi oczyma, potem zwróciła lusterko. Martin otwierał drzwi salonu.

— To on? — spytała Carmen. — Przystojniak. Oboje macie blond włosy, no i w ogóle tworzycie ładną parę. — Zdjęła' zieloną narzutkę z ramion Sary.

Sara podeszła do Martina i do kasy. Zapłaciła, dała napiwek Carmen i rzuciła spojrzenie na kobiety w fotelach i pod suszarkami. Mała dziewczynka nadal wpatrywała się prosto przed siebie, ciasno nawinięte lokówki wykrzywiały linię jej brwi. Potem Martin otworzył drzwi. Sarę owionął wietrzyk znad oceanu, rozwiewając ostatnie tchnienie perfum. Przeszła przez ulicę z Martinem. Tworzyli ładną parę.

2

Wiatr dął od wody. Martin milczał. Sara usiadła na swoim miejscu w samochodzie, wciskając się między torby z warzywami. Wyjeżdżając z miasta, przypatrywała się rodzinom z dziećmi... dwóm kobietom plotkującym na rogu... dziecku na trzykołowym rowerku. Na ostatnim skrzyżowaniu stał samochód policyjny. Potem Manhasset zniknęło. Był już tylko profil Martina na tle błękitnej mgiełki nad zatoką.

Sara zamknęła oczy w ciszy samochodu. Warzywa niemal całkowicie zakrywały torby z winem. Nacią marchwi i selera poruszał lekki wiaterek. Minęli Blue Lobster i ostro wykręcili na piaszczystej drodze. Wiatr unosił jasne pasma nad łysiejącą głową Martina. Przejechali wzdłuż płytkiej zatoki za Manhasset. Sara rzuciła okiem na męża. Usta miał małe i zaciśnięte w kącikach.

Trawa i krzewy zakryły wodę, a potem Martin skręcił na podjazd, gdzie dwa domki letniskowe stały samotnie między sosnowym lasem i zatoką.

Martin zapomniał klucza do frontowych drzwi, musieli zejść ze stromego nasypu obok domu i wspiać się po schodach plażowych, gdzie niegdyś chichocząc, kochali się metodycznie na każdym stopniu. Dwie torby Sary były ciężkie. Gdy Martin poszedł do łazienki, Sara wyjęła wino z torby. Jedna butelka porto była niemal opróżniona.



Poustawiała puszki z jedzeniem na półkach kredensu, etykietkami do przodu, a jedną puszkę umieściła wysoko, tak jak Martin lubił. Nie znosił przechowywania nie oczyszczonych warzyw. Zaczęła odrywać zewnętrzne liście sałaty i ujrzała, że Martin wyszedłszy z łazienki, sprawdził, czy to właśnie robi.

Umieblowanie małego domku letniskowego było jedną wielką pomyłką: krzesła miały wypuczenia na oparciach, lampy przewracały się, a nogi stołu znajdowały się akurat tam, gdzie chciało się umieścić własne. W czasie miodowego miesiąca kochali się na każdym meblu, który był wystarczająco duży.

Sara nasłuchiwała, płucząc seler. Martin siedział na tapczanie w saloniku, słyszała, jak szeleścił gazetą.

— M-m-m-m — mrucał, zachodząc Sarę od tyłu, gdy skrobała marchew. Wsunął ręce pod jej czyste włosy i pocałował ją w kark, a gdy zadrzała, zaśmiał się i pocałował jeszcze raz. Odwróciła się, by pocałować go tak, jak lubił. Jego oddech przesycony był portwajnem. Potem uderzył ją, niemal jeszcze zanim przestali się całować, rzucił o stół, a gazeta z obierzynami z marchwi spadła na podłogę.

— Muszę czekać, bo ty siedzisz sobie na uniwerku, kolacja nie gotowa!

— ryknął. — Do cholery! W czwartek przyszedłeś do domu prawie godzinę później!

Sara dotknęła gorącego, piekącego policzka i patrzyła na dłonie Martina, które teraz zwinęły się w pięści — uderzył ją w żołądek i Sara z bólu zwinęła się wpół, z trudem chwytając oddech, lecz chwycił ją za włosy i przyciągnął jej twarz do swojej.

— Poczekaj tylko — wyszeptał jej do ucha. Z trudem ruszał językiem.

Pozwolił jej się odsunąć. Sara uklękła, by sprzątnąć marchew, jej łzy kapały na stare linoleum. Krzyknął: — Przestań się mazać! — I kopnął ją z tyłu w nogi, gdzie miała już siniaki.

Podniosła się z podłogi, stając koło stołu jak najdalej od Martina.

Nalał sobie jeszcze wina, a potem przyszedł popatrzeć, jak kończy obierać warzywa i kroi je na kawałki.

Sara nie patrzyła na niego. Bolał ją żołądek, ledwo mogła oddychać. Fale załamywały się pod domem w miarę, jak wpełzał przypyływ, napęlniając kuchnię hukiem i sykiem. Martin obserwował Sarę.

Miała spuszczone oczy, skrobiąc po kolei marchewki, a następnie krojąc je ostrym nożem na cienkie plasterki.

Opróżnił szklaneczkę wina i podszedł do Sary tak nagle, że uchylając się przed nim upuściła nóż, gdy wyciągała rękę. Martin trzyma! mocno.

Mogła poruszać się bardzo wolno, aby postawić marchewki na kuchence i zabrać się do hamburgerów.

Milczała, przesuwała się cicho. Nie nosiła stanika, ponieważ nie lubił staników. Pod dzinsami miała jego ulubione majteczki bikini; ściągnął jedno i drugie, wydała z siebie dźwięk, który miał być chichotem, i dalej kroila kartofle na cienkie plasterki. Znowu ją pocałował. Z majtkami i dzinsami wokół kolan pokuśtykała do kuchenki, by przewrócić hamburgery.

Gdy poszedł do pokoju, by nalać sobie jeszcze wina, Sara podciągnęła spodnie i dokończyła kroić kartofle. Na dworze było już prawie ciemno, zatoka zmieniła się z lawendowej w ziemistoszarą.

— Chodź — rzekł Martin, usiłując rozpiąć guziki jej koszuli.

— Kolacja prawie gotowa — odparła, ale uśmiechnęła się i otoczyła ramionami jego szyję.

— A ja? — powiedział Martin. — Ja też jestem gotowy, a jeżeli ostygnę? Znowu rozpiął zamek jej dzinsów. Szybko odpięła pozostałe guziki koszuli. Gdy wydobywał się z kałesonów i przykręcał palnik pod kartoflami i marchwią, ułożyła swoje ubranie przy drzwiach w schludny stosik, krzywiąc się z bólu, kiedy się schylała.

Łóżko skrzypiało na trzy znajome nuty: c, as, f. Sara też wydawała normalne dźwięki, robiąc to, co Martin lubił najbardziej, nie zapominając o niczym. W kuchni paliło się

światło. Jej ubrania leżały przy drzwiach. Martin grzebał się, jego oddech, przesycony słodkim alkoholem, zionął jej w twarz. Gdy skończył, leżała patrząc w lustro, tracące srebrzystą powłokę.

Obudziła się, przygnieciona ciężarem ramienia i nogi Martina. Cuchnęło winem. Martin zaczął chrapać.

Powoli wysunęła się spod niego, sprężyny łóżka niemal nie drgnęły, gdy wstawała. Jej ubrania czekały, ułożone w schludny stosik. Drzwi łazienki nie skrzypiały, gdy się je otwierało powoli. Kiedy poprzednio ją skopał, przez tydzień nie mogła biegać, teraz znów miała posiniaczone nogi; nie będzie mogła biegać po plaży o brzasku, w ciszy i samotności. Potarła żołądek w miejscu, gdzie ją uderzył, potem jeszcze i jeszcze raz.

Lustro w łazience zdawało się pozostałością z ich miodowego miesiąca; pokazywało czerwone ślady na jej piersiach i chudej szyi — mogłaby być inną Sarą, świeżo zaślubioną Sarą, uśmiechającą się po miłosnym akcie, pragnącą, by ślady pozostały. Lecz siniaki na jej łydkach robiły się czerwono-fioletowe. Bolał ją żołądek. Na nadgarstku, który jej kiedyś złamał, były niebieskie plamy.

Ubrawszy się ponownie, Sara zamknęła kuchenne drzwi. Marchew i kartofle były gotowe. Ustawiła dwa talerze, nie zapominając o natce, sosie do sałaty ani śmietance do kawy dla niego.

Potem zadzwonił telefon, Sara skoczyła, by go odebrać, niemal jeszcze zanim zaczął dzwieć. Uklękła przy tapczanie, wyciągając zeszywniałe nogi.

— Halo — wyszeptała i przytłumiła głos zakurzonymi poduszkami z tapczana. Z sypialni dochodziło równomierne chrapanie.

— Sara? Tu Joan Pagent. Dostałam twój numer od Marie. Nie przeszkadzam w obiedzie? Spotkałyśmy się dziś wszystkie na lunchu. Tylko ciebie nie było. Powiedziałam, że zadzwonię i dowiem się, czy będziesz mogła przyjść do Cristinę w przyszły poniedziałek.

Oczy Sary były mocno zaciśnięte.

— Przyszły poniedziałek bardzo mi odpowiada — wyszeptała. — Martin śpi. Dlatego szepczę.

— Dobrze się bawisz? Wiesz, że Karen dostała pracę w Stowarzyszeniu Humberta?

— Nie miałam pojęcia — rzekła Sara. Chrapanie Martina nadal brzmiało równym rytmem.

— Nic ci nie jest? — Głos Joan się zmienił. — Zdaje się, że Martin wściekł się na ciebie w piątek na majówce.

— Był zdenerwowany — powiedziała Sara, przypominając sobie nagle poinsecję — w wigilię Bożego Narodzenia Martin wyrwał jej kwiat z ręki i rozdeptał w zaspie śnieżnej, ponieważ zbyt drogo kosztował.

— Zdenerwowany! — powtórzyła Joan. Sara usłyszała i ujrzała Martina w śniegu, zdeptanego i czerwonego jak jej wyrzucona poinsecja. — Byłaś taka błada.

— Wróciłam do domu później, niż obiecałam, i tyle — rzekła Sara. — Chyba było mi wstyd — narobiliśmy tyle zamieszania. Strasznie mi przykro.

Było jej tak przykro, że płakała pod gorącymi, przesyconymi stęchłym odorem poduszkami.

— To się w głowie nie mieści — stwierdziła Joan.

— Wiem — wyszeptała Sara ze swej jamy. — Dziękuję za telefon. Pa. Joan mówiła dalej, lecz Sara powoli zamykała się na dźwięk jej głosu, aż urwał go trzask słuchawki.

Siedziała przez chwilę na tapczanie, trąc grzbietem nadgarstka miejsce między oczyma, jakby dostatecznie mocne pocieranie mogło przywieść jej na myśl coś pożytecznego bądź pocieszającego. Potem podniosła się bokiem, na sztywnych nogach. Można wynająć żaglówkę, Martin już dawniej wynajmował łódź. Zaczepnęła głębokiego oddechu, potarła żołądek i żebra i myślała o żaglówce. Domek letniskowy zadrgał wokół niej. Martin chrapał i wzdychał w ciemnej sypialni.

To był dobry obiad: soczyste hamburgery z jeszcze chrupką cebulką. Kartofle z prawdziwym masłem, tak że Martin mógł zanurzać każdy kęs w złotej kałuży. Marchew była słodka i nie nazbyt miękka. Gdy się obudzi, obiad będzie gotowy. Jeśli prześpi całą noc, raniem znajdzie swój talerz na kuchennym stole.

Gardło Sary ścisnęło się, jakby szłochała, lecz nie płakała, nie wydawała żadnego dźwięku. Postarała się, by ciasto z wiśniami miało jak najsmaczniejszy lukier, posypała je też migdałami. Swój obiad i kawałek ciasta wyrzuciła do śmieci i cicho, bardzo cicho, przygotowała się do spania.

Światło małej kuchennej lampki ukazywało śpiącego Martina z otwartymi ustami, rękami wyciągniętymi za głowę. Sara długo mu się przypatrywała. Potem zgasła światło i wsunęła się do ciemnej pościeli koło niego, przygryzając wargę, gdy prostowała nogi.

Jej ubrania spoczywały na tym samym schludnym stosiku przy drzwiach. O milę stąd, w Grenville, działała całodobowa, samoobsługowa pralnia, wzdłuż drogi rosły karłowate drzewa, w których można by się schować. W domu były pieniądze schowane w plastikowej butelce po lekarstwach, wsunięte w żywopłot z tyłu domu, niedaleko znajdował się też dworzec autobusowy z tdaletą, w której stało krzesło, dworzec był otwarty całą noc.

Miała tu zostać do przyszłej soboty. Fale huczały. Domek letniskowy sterczał na wzgórzu, ponad sosnowym laskiem, ich łóżko wznosiło się wysoko nad przybrzeżnymi falami.

Gdy była w Montrose, zostawała do późna w bibliotece, by studiować dramat, miała to w tegorocznym programie. Teraz, wiersz po wierszu, przypominała sobie sztuki. Przypomniała sobie kwestię Złośnicy, przewodzącej małpom w piekle. Umiała na pamięć całe sceny — Linda przy grobie swego komiwojażera, wolna i czysta. W dole na plaży fale załamywały się jedna za drugą, ich rytm brzmiał jak trzaskanie drzwi, zamykanych i otwieranych podmuchem wiatru. Sara usnęła.

Fale nadal ciskały pianę na twardey brzeg, gdy Sara się obudziła. Słońce rzucało na łóżko jasne paski. Martin kłął w kuchni, zabręczczała pokrywka od kubła na śmieci, dźwięczała porcelana.

Martin zamknął drzwi łazienki, które zaskrzypiały. Sara podniosła się, kuśtykając na obolałych nogach po spodnie i koszulę z długimi rękawami. Posłała łóżko, nastawiła jajka, nakryła stół. Na patelni skwierczał bekon, gdy Martin wszedł do kuchni. Z ręcznikiem owiniętym wokół szyi kroczył boso po pokiereszowanym linoleum. Nie patrzył na brudne naczynia z poprzedniego wieczoru, lecz stały one na stole między nim i Sarą.

— Śniadanie gotowe? — spytał.

— Tak — odrzekła Sara.

Dokończyła smażyć bekon i położyła go, tak jak lubił, na talerzu obok gotowanych jajek. Jej własne śniadanie stało naprzeciw niego, kolo brudnych naczyń. Poszła do łazienki. Potem zaczęła schodzić po długiej kondygnacji schodów na plażę, w ciepło słońca, krok po kroku, na sztywnych nogach.

Zatrzymała się, wstrzymując oddech, i wzrok jej znieruchomiał — obok stała żaglówka. Przywiązana do przystani, kołysała się lekko nad swym falującym cieniem.

Sara, oblana słonecznym blaskiem, poczuła chłód. Płytko

i błękitna zatoka Manhasset rozpościerała się przed nią — już tu kiedyś pływała — wiedziała, gdzie zatokę zasilają dopływy i знаła jej wąskie ujście na wschód. W dali miasteczko Bankton rzucało świetlne cętki. Kilkoma bojami oznakowano miejsce, gdzie prądy przyływu zaczynały się robić silne i niebezpieczne na piaszczystym cyplu, na którym stała, wpatrując się w żaglówkę, poranek i morze.

Nie odrywając wzroku od żaglówki, Sara ostrożnie kroczyła między trawami na plaży, aż przeszła przez niski murek na sąsiedni kawałek piasku. Na przystani znajdował się mężczyzna, odwrócony plecami do Sary, jego króciutkie szorty lśniły w słońcu jaskrawym złotem.

— Jak się pani ma? — zapytał, podnosząc się z przysiadu i wycierając ręce o spodnie.

— Dzień dobry — rzekła Sara. — Wynajmuje pan domek od Driscollów? Jestem Sara Burney.

— John Fleishman. Tylko na dwa tygodnie.

Był młody, chudy i wysoko unosił głowę, spoglądając na nią z góry błyszczącymi oczyma o długich rzęsach.

— Jest pan żeglarzem — powiedziała Sara.

— Moja dziewczyna jest w Bankton. Pływam do niej codziennie.

— Czy to nie za duża łódź jak na jednego człowieka?

— Właściwie nie. Zazwyczaj płynie z jednym członkiem załogi prócz kapitana, ale jeśli poluzuje się trochę kliwer, spokojnie można sobie dać radę z grotem i rumplem. Pani jest miejscowa?

— Mieszkałam w Manhasset przez parę lat, gdy byłam nastolatką.

Przyjeżdżamy tu każdego lata, odkąd się pobraliśmy — odparła.

— Z Bostonu?

— Z Montrose.

— Ja z Waltham. — John się roześmiał. — Muszę tam dziś pojechać — wracam w nocy. Może pani rzucić okiem na domek?

— Jasne — rzekła Sara i też się uśmiechnęła.

Oczy Johna spoczywały na niej, gdy zbliżała się sztywno do niskiego plażowego murku i przechodziła przezeń,

obserwując nadciągający przypływ. Znała dokładnie ruchy prądów w tej płytkiej zatoce, wiedziała, jak wiały wiatry, gdzie była strona zawietrzna cypla. Wiaterek od morza przesiewał piasek u jej stóp,\*wionąc przez trawy na plaży.

Martin skończył jeść. Stał przy drzwiach, patrząc, jak rozmawia z Johnem Fleishmanem. Jej śniadanie stygło naprzeciw niego.

— Może popływamy? — zaproponował z uśmiechem. Sara usiadła i zaczęła jeść zimne śniadanie.

— Mamy nowego sąsiada? Pójdę i nawiążę sąsiedzkie stosunki — rzekł. Sara spostrzegła, że schodząc w dół wciągnął brzuch, jak zawsze uderzał obcasami w schody i podchodząc do Fleishmana przygładził włosy.

Widziała, jak Martin i John ściskają sobie ręce. Hen daleko za pasem boi jakaś żaglówka ślizgała się przez zatokę w kierunku Bankton.

Zmyła naczynia. Martin kupił jabłka na szarlotkę. Zaczęła wyrabiać ciasto na wierzch.

Gdy była w połowie, usłyszała'podniesiony głos Martina, żegnającego się z Johnem. Wszedł na górę, trzasnął drzwiami i podszedł do kuchenki.

Przyrządziła świeżą kawę.

Położyła umączone ręce na nagich ramionach, spojrzała na łódkę w zatoce.

— Jakże można wypływać przy takich falach! — zdziwiła się.

Usta Martina wykrzywiły się, wyglądał jak swój ojciec.

— Do diabła! Boimy się wody!

Sara rozwałkowała ciasto, wysmarowała formę i zaczęła obierać jabłka. Martin usiadł i przypatrywał się Sarze. Jej nóż przesuwiał się pod skórka jabłka.

Martin wpatrywał się w nią. Ona wpatrywała się w jabłka.

Klink klink klink uderzał metal o metal na pobliskiej przystani. Krzesło Martina ostro zaskrzypiało o podłogę, gdy podniósł się i wyszedł z kuchni.

Miał zamiar jeszcze raz pogadać z Johnem. Równymi ruchami obierała jabłka, aż z nimi skończyła.



Potem John zawołał: „Do zobaczenia!” Trzasnęły drzwi samochodu i spod kół prysnął żużel. Ich jedyny sąsiad odjechał na cały dzień. Miała właśnie rozwałkować ciasto na wierzch, gdy wrócił Martin. Włosy mu się potargały, widać było łysiejące miejsca. Przyglądał rękami kosmyki, usiadł, obserwował Sarę.

Sara rozwałkowała ciasto w kształt koła. Milczenie między nimi stawało się coraz cieńsze, jak placek.

— Ma ładną łódkę — rzekł Martin. — Szkoda, że u nas takiej nie ma.

Sara nie odrywała wzroku od ciasta.

— Nie za cienko — ostrzegł Martin, patrząc na nie. — Dziś będą steki?

Sara przytaknęła.

— Ładna łódka — powtórzył Martin.

Sara zgrabnie przykryła jabłka. Przycisnęła ciasto do brzegów formy i słuchała ciszy.

— Powinniśmy choć trochę pożeglować — zdecydował Martin. — Co roku tak robimy, no nie?

Sara podniosła blachę i jeden po drugim odcięła zwisające kawałki, blacha równo spoczywała jej na dłoni.

— Przełamiesz ten strach — powiedział Martin. Kawałki ciasta spadły na stół. Sara mocno trzymała formę.

— Jak myślisz? — zapytał Martin, uśmiechając się. Jej ręce lekko się trzęsły. — Po prostu mała przejażdżka dziś wieczorem z tym facetem obok. Przez zatokę do Bankton, i tyle. Potrzebuje pomocy. Tam i z powrotem.

— Wolałabym nie — rzekła Sara.

— Ten twój braciszek Joe strasznie trzaskał dziobem, jak to ty byłaś taka sama jak chłopaki — mówił, że potrafiłaś wszystko. Guzik prawda! I pozwolił, żebyś się bała wody? Co roku!

— Mieszkaliśmy tu tylko przez dwa lata!

— Dziś wieczór — oznajmił Martin. — Kiedy zrobi się tak ciemno, że światła miasta będą ładnie wyglądały. Mała przejażdżka przez zatokę. Tym razem będziesz miała używanie.

— Wiesz, co czuję — rzuciła Sara, unosząc podbródek i patrząc nań gniewnie.

Martin opanował pasję, wbijając obcasy w stary dywanik w saloniku, zatrzasnął frontowe drzwi. Po chwili usłyszała, jak trzaska drzwiami samochodu. Pójdzie popływać, a potem do jakiegoś baru i nie wróci aż na obiad, słyszała, jak odjeżdża drogą wzdłuż plaży.

Wychyliła się, by popatrzeć na fale, bijące pod ich oknami i zaczęła drżeć. W oddali, niemal niewidoczna, zwisała nad przybrzeżnymi falami piaszczysta rafa. Ta skała utrzymała niegdyś pod jej ręką żar słońca... przypomniała sobie ten żar, znów kryła się w ciemności ze swym bratem Joe — miała wtedy dwanaście lat, a on szesnaście i rzucił jej wyzwanie: pierwszy przepłynę przez zatokę do Bankton!

Nagie ramiona Joe'ego lśniły w świetle księżyca, które jego rudym lokom nadało barwę czerni. Niedawno miał zapalenie płuc i nie powinien przedsiębrać takich pływackich wyczynów, ale któż mógłby go powstrzymać? Gdyby odmówiła, popłynąłby bez niej.

Sara przycisnęła umięzione ręce do oczu, potem popatrzyła na małe pokoiki, których umeblowanie było jedną wielką pomyłką.

— Łódź — rzekła głośno.

Powróciła do kuchennego stołu. Cukier drobny jak piasek sypał się z kubka na gładkie ciasto. Gdy ciasto było już w piecu, Sara wyszła i długo wpatrywała się w błękitną wyrwę w zatoce Manhasset, gdzie zaczynał się ocean.

Potem odwróciła się by rzucie okiem na domki letniskowe, ich i Fleishmana. Stały z dala od innych i były najtańszymi domkami do wynajęcia w Sand Hook. Piecyk nie zamykał się i klapę trzeba było podpierać kijem, na patelniach w szafkach kuchennych pozostały przypalone rfiisztki jedzenia poprzednich lokatorów.

Sara przymknęła oczy w ciepłym słońcu i słuchała ciszy między przyplływami fal.

Lecz z okien rozpościerał się rozległy widok na ocean. Dach nie przeciekał. Mogli sobie pozwolić na ten domek.

W Montrose ich mały domek na przylądku Cod był najtańszy na całej ulicy, lecz miał nową lodówkę, piecyk i biurko w bibliotece. Gdy ciasto się upiekło, Sara długo patrzyła na domki i ocean. Siedziała na niskim murku lub sztywno spacerowała po plaży. Żadna łódka nie żeglowała w pobliżu. Nikt nie przechadzał się po spienionych przybrzeżnych falach. Nie było Martina i John Fleishman wyjechał. Łódka stukała, stukała, stukała o przystań w południowym słońcu. Sara długo stała przy murku, trąc czoło grzbietem dłoni, i wpatrywała się w dal, poza wyrwę w zatoce, daleko w odległą mgiełkę oceanu. Potem szukała kamieni, grzebiąc w szorstkiej trawie, aż znalazła ich pełną garść. Mrużąc oczy przed słońcem, wycelowwała w dwa światła brzegowe na słupach i ciskała kamieniami tak, jak uczył ją Joe, rozciągając usta w coś na kształt uśmiechu z powodu brzęku i migotania rozbitego szkła.

Martin wrócił do domu tuż przed zmrokiem. Sara nie pytała, gdzie był. Oczy miała czerwone i pełne łez od obieranych cebul, a Martin był na tyle pijany, że było mu przykro.

— Uderzyłem cię — wyjęczał jej do ucha. — Ale wiesz, że cię kocham, prawda? Nie wróciłaś do domu z uniwerku na czas, a ja tak się wściekam, kiedy nie myślisz.

Za plecami trzymał wielki bukiet róż i gdy go jej dawał, całując ją, poczuła delikatny zapach i przymknęła oczy udając, jak to czasami czyniła, że to ich ślub.

— Popatrz tylko — rzekł Martin, uśmiechając się — coś, żebyś nosiła tylko dla mnie!

Gdy Sara otwierała pudełko, Martin trzymał ją w ramionach i całował w kark.

— Seksowne! — oznajmił, gdy wyjęła czarną, jedwabną kombinację majtek z biustonoszem.

Łza od cebuli spłynęła po policzku Sary.

— Nie płacz — poprosił. — Dalej, włóż to.

Rozpiął zamek jej dzinsów, zdjęła koszulę i ściągnęła tenisówki. Wsunęła nogi w majtki kompletu i podciągnęła górę; pasował na nią i był tak uszyty, że koronkowa góra ukazywała jej sutki, a dół włosy łonowe.

— No, no! — pochwalił Martin. — Blondynka w czerni! Przejdź się i zademonstruj.

Sara stała w drzwiach kuchni i powoli się obracając pokazywała koronki, czarny jedwab, czerwonoblękitne siniaki na rękach i łydkach, żółtozielone na ramionach i piersiach.

— Wspaniale! — oświadczył Martin i poszedł po szklaneczkę na wino.

Sara wciągnęła dżinsy i koszulę na kombinację. W domku nie było wazonu, musiała włożyć róże do słoika po marynatach.

Czekając na obiad, Martin odpoczywał i pił wino w saloniku. Dał jej prezent. Czerwone wyposażenie kuchni otrzymała, gdy złamał jej palec u nogi. Zapach czerwonych róż unosił się nad ich obiadem, grało radio, by wypełnić ciszę, gdy Martin jadł stek, kartofle z sosem cebulowym, sałatę i placek z jabłkami. Sara nie jadła prawie nic. Słyszeli, jak do sąsiedniego domku podjeżdża John Fleishman.

— Jeszcze wina? — spytała Sara.

— Jak wrócimy. — Skończył kawę. — Chodź. Już jest ciemno.

Powiedział, żebyśmy przyszli, jak się zrobi ciemno.

— Pozmywam. Nie znosisz, jak wracasz, a naczynia są nie pozmywane.

— Później. Popłyniemy tylko do Bankton i popatrzymy na światła miasta w wodzie — pamiętasz, jak było ślicznie w zeszłym roku? A potem wrócimy i będziesz mogła zmywać, co będziesz chciała. — Podszedł bliżej i przytknął twarz do jej karku. — Jeśli akurat na zmywanie będziesz miała chęć po powrocie.

— To chociaż je popłuczę. Martin zaśmiał się.

— Chodź. Lepiej włóż zakiet. I tenisówki.

— Zastanawiam się... nie moglibyśmy popłynąć kiedy indziej? John będzie tu jeszcze z łódką cały tydzień.

Głos Sary był drżący jak u małej dziewczynki. Zatrzymała się przy drzwiach sypialni.

— Całe życie będziesz się bała wody? — zapytał podniesionym głosem, który następnie zrobił się przymilny. — Koniecznie musisz zobaczyć księżyc w pełni nad morzem!

Jak wejdiesz do tej wielkiej łodzi po ciemku, nawet nie zorientujesz się, że jesteś na wodzie! O to chodziło. Wrócimy, zanim się zdążyysz przestraszyć. No chodź. Stała patrząc na niego.

— Do cholery, nie idziesz pływać! — ryknął. Cofnęła się, gdy ujrzała, że się zbliża. Zasłoniła twarz rękami, lecz uderzył ją w pierś z boku, a gdy skuliła się przy framudze, usiłując jak najdalej się od niego odsunąć, tak ją walnął w głowę, że trzasnęła o drewno. — Powiedział, żeby przyjść, jak się zrobi ciemno. Za pięć minut chcę cię widzieć w łodzi.

Chwycił kurtkę, trzasnął drzwiami, przekreślił wyłącznik światła na zewnątrz i zaklął.

Sara przyłożyła obie ręce do piersi, z trudem chwytając oddech; usiłując powstrzymać łkanie poszła po kurtkę i tenisówki. Głowa jej trochę krwawiła. Dwukrotnie musiała iść do toalety. Lampa przy przystani Johna również nie świeciła. Słyszała, jak Martin wrócił, by pogrzebać w składziku w poszukiwaniu latarki.

Sara zamknęła za sobą drzwi i zaczęła schodzić, stąpając sztywno i wyczuwając przez tenisówki ostre krawędzie stopni.

Świecił okrągły księżyc, fale uderzające w dole miały srebrne obrzeżenia. Potem księżyc się sphował. Dwie latarki podskakiwały na przystani Johna.

— Sara? — zawołał Martin. Głos miał uprzejmy, więc zorientowała się, że John musiał z nim być. — Obie latarnie wysiadły, pewnie jakieś cholerne szczeniaki znowu rzucały kamieniami. — Tylko jego sylwetka rysowała się na tle srebrzystej wody, ale widziała białą kurtkę Johna.

Martin zbliżał się ku niej z latarką. — Chodź — rzekł, ukryty za kręgiem światła, głos miał niemal łagodny. — Spodoba ci się. — Wziął ją za rękę i prawie przeciągnął przez kamienny murek. — Gwarantuję, że tak ci się to spodoba, że będziesz chciała żeglować co wieczór. — W miarę jak zbliżali się do Johna, jego głos stawał się głośniejszy i bardziej jowialny.

— Skończy się na tym, że będę musiał kupić ci żaglówkę.

Sara wyszarpnęła rękę, lecz Martin ponownie ją schwycił

i pociągnął za sobą wzdłuż przystani. Potem przywarła do niego, gdy niemal wepchnął ją na rozkołysany kadłub łódki.

— Proszę tu usiąść — zaproponował John i odwrócił się, by sprawdzić, czy główny szot dobrze siedzi w bloku, lecz Sara nie usiadła. Stała mocno obejmując wantę, głowę miała pełną trzasków i pukania zbliżającego się do wiatru grotu.

— Chcesz zlecieć? — ryknął Martin. Odwróciwszy się, pchnął ją w dół i tam się skuliła. — Trochę się boi wody — musiał powiedzieć Johnowi Martin.

— Popłyniemy powoli — rzekł John. Jego głos nie był tak donośny jak Martina. — To spora łódź. Ma tak dużą pokładnicę, że może tylko unosić się na wodzie. Nie trzeba nawet się przestawiać, gdy halsujemy. Przy takim wiatru nie będzie porządnego przechyłu.

Jego biała kurtka, oświetlona latarką, rzucała refleksy na poważną twarz, rozburzone na wietrze ciemne włosy.

— Absolutnie nie musi pani płynąć. Moja siostra boi się wody, więc wiem...

— Już w porządku — uciął Martin. — Nic jej nie jest. Jak wsiądzie na łódkę, wraca do siebie.

— Wiatr idzie w kierunku lądu, więc będziemy mieli żagle nastawione dość ostro, póki nie minimy cypla. Pewnie tylko raz będziemy musieli halsować z odpływem — powiedział John. — Księżyc wzeszedł w całej pełni — ładnie.

Lecz księżyc wsunął się pod gęste chmury. Sara uchwyciła się krawędzi łódki. Latarki rzucały w ciemność parę słomek światła, przystań przemieła, zniknęła. Łąd pod nimi się zapadł. Z przodu taplały się boje. Z zawietrznej strony kokpitu wydało się Sarze, że Martin i John są bezgłowi, gdyż bom, przy lekkiej bryzie nastawiony ostro do wiatru, ukazywał ich dopiero od piersi w dół. Dłoń Johna spoczywała na rumplu; Martin dzierżył główny szot tuż za klinem. Łódź posłusznie przechylała się za każdym podmuchem wiatru i Sara słyszała gulgotanie całego wodnego tuż za olecami.

Bolała ją pierś. Guz na głowie był lepki od krwi.

Gdy znowu ukazał się księżyc w pełni, gwiazdy obsypały niebo i Sara patrzyła na domki letniskowe i Sand Hook. Zaczynał się odpływ. Wody były spokojne, cypel odcinał się prądów, które zanosłyby zwłoki w morze i nigdy nie zwróciły, nawet jako kupki ciała gnijącego w wodorostach na jakiejś plaży. Woda byłaby zimna, jak pistolet przyłożony do skroni: „Zabiję cię, jeśli mnie jeszcze raz opuścisz”.

— Czy to nie śliczne? Spójrz na światła Bankton! — krzyknął Martin do Sary.

Nie odpowiedziała. Na chwilę księżyc wślizgnął się za chmury. Woda, niebo i powietrze pociemniały, jakby żeglowała jedynie w noc i sen.

Księżyc znowu wyrwał się na wolność.

— Nic ci nie jest? — krzyknął John, zerkając na Sarę. Nie odpowiedziała. Szept kilwaterny podkreślał jej milczenie. — Możemy wrócić, jeśli coś jest nie tak.

— Nic mi nie jest — odparła Sara lekko łkającym głosem.

Ocean uniósł się tylko pół metra od cienkiego kadłuba łodzi, potem opadł i znowu się uniósł, jak coraz głębsze oddechy.

John spojrzał na skuloną Sarę, czepiającą się boku łodzi. Czuł się nieswojo i zluzował łódź jeden czy dwa rumby bliżej wiatru. Nie rozlegał się żaden dźwięk prócz plaskania fali i stłumionych tonów muzyki, dochodzących z tanecznego pawilonu z drugiej strony wody. „Muzyka oderwie nas od ziemi”... księżyc w pełni płynął bez przeszkód i policzki Sary lśniły od łez. W przeddzień wyjazdu nad morze czytała Ciemność jest dość jasna. Wpatrywała się w spiętrzone fale.

Czy są ciągle w jednym miejscu, bezustannie wznosząc się i opadając na tym samym skrawku zatoki? Sara poruszyła zdrętwiałymi, sztywnymi nogami. Dlaczego utonąłeś, Joe Gray? Jej brat Joe zmuszał ją, by krzyczała: „Zabić!”, biegnąc do wypchanego worka z juty, przyczepionego do huśtawki między drzewami. Musiała dźgnąć go w sam środek ulubionym nożem rzeźnickim matki, który był przywiązany do pogrzebacza. Matka nie знаła połowy ich



zabaw. Wyrośli w świecie nieznajomych. Zawsze było kolejne miasto, kolejna szkoła, kolejny stary dom, w czasie gdy ich ojciec sprzedawał kolejny nawóz sztuczny, rewelacyjną deskę do prasowania, czarodziejski krem wygładzający zmarszczki.

Dlaczego utonąłeś, Joe Gray? Gdy czytała o Tomku Sawyerze i Hucku Finnie, myślała o tym, jak nocą we Fredsburgu czołgała się za Joe po dachu werandy. Wspięli się na klon, rosnący nad oknem ich saloniku, i przyglądali matce, schylonej nad szyciem. Szorstka kora podrapała ręce Sary, gdy spelzała na dół odkrywać noc z Joe.

Sara otarła łzy z policzków i obserwowała księżyc. Powiedziała, że całe życie bała się wody. Martin wiedział o tym. Wiedzieli o tym jej przyjaciele. Wiedziała o tym nawet fryzjerka.

Nagle księżyc schował się za gęstą chmurę.

Zaczynał się odpływ.

Sara chwyciła się krawędzi żaglówki, zeszywniałe nogi przyciskała do drewna. Bolał ją guz na karku, a także posiniaczona pierś.

Obaj mężczyźni spoglądali w górę, gdzie przed chwilą świecił księżyc w pełni. Sara siedziała w czarnym mroku. Jedna latarka wysyłała maleńkie promyki w czerń za łódką, druga kołysała się pod swetrem Martina.

Teraz minęli boje. Ku wschodowi znajdowało się ujście zatoki Manhasset i czerń otwartego morza.

Gdy John Fleishman zerknął za bom, Sara, skulona po zawietrznej, była tylko ciemnym kształtem na tle przybrzeżnych świateł.

— Chciałbym, żeby ten księżyc wyszedł rzeki do Martina.

Wiatr targał z tyłu długie włosy Sary. Obejrzała się. Oto Sand Hook, nieruchomy na tle wznoszących się fal. Światła innych domków letniskowych paliły się, lecz dwa stojące obok siebie budyneczki były ciemne. Tworzyły czarną dziurę w jasnym łuku piaszczystej ławy: uśmiech z dwoma wybitymi zębami.

— Pewnie, że jest ciemno, ale spójrz na te światła! —

zawołał Martin do Sary, nie patrząc na nią. — Nie cieszysz się, że popłynęłaś?

Pierwszy wielki bałwan huknął o bok łódki. Sara widziała już kiedyś, jak wałę, wiedziała, że się pojawia — odpływ biegł naprzeciw fali z wiatrem po płytkiej zatoce. Żaglówka przechyliła się szaleńczo w bezksiężycowej ciemności. John mocno pchnął rumpel na prawą burzę. Martin zerwał szot głównego żagla z kołka i puścił.

Bom zamasyście jak kosa przesunął się po zawietrznej kokpitu — przejechał przez wodę, która lała się na listwę uszczelniającą luk i pustą ławeczkę.

Cholera! — powtarzał Martin. Było po północy. Ubranie miał mokre, ręce mu krwawiły. — Taka ładna noc, pełnia i w ogóle. I on, i John ochrypli od krzyku.

— Jak tylko minęliśmy boje, schował się księżyc — powiedział John. Nogi mu się trzęsły, odsunął krzesło od policyjnego biurka i usiadł. Policjant i protokolant również wyglądali na zmęczonych.

— Musi pan wszystko zapisać — rzekł policjant do urzędnika. — Zatoka jest płytka, więc fale wznoszą się wysoko i odpływ jest bardzo silny. Niech pan to zanotuje.

— Pływali może przez godzinę — oświadczył strażnik z patrolu wybrzeża. — Możemy wypłynąć, ale jakie mamy szanse? — Wpatrywał się w dwóch typowych urzędasów z Bostonu.

— Płynęliśmy tylko do Bankton — dodał Martin. — Cholera!

— Zapisz, że mieli światła na pokładzie. — Policjant przypatrywał się bazgraninie protokolanta.

— Trochę obawiała się wody. — Martin przeczesywał rękami włosy, jakby w ten sposób mógł znaleźć Sarę.

— Akurat na nią spojrzałem. Wyglądała dobrze — mówił John. — Może troszkę podenerwowana.

Nie patrzył na Martina, pamiętał długie, jasne, lśniące włosy Sary, jej chudą postać i wymęczoną twarz.

— Nie znalazł pan przedtem państwa BURNeyów? — spytał Johna policjant.

— Księżyc się schował i zrobiło się strasznie ciemno i wtedy przyszła ta pierwsza wielka fala — wtrącił Martin.

— Nie — powiedział John. — Poznałem ich dziś rano.

— Idź do domu, Roy — rzucił policjant strażnikowi z patrolu przybrzeżnego. — Nie ma sensu, żebyś szukał ciał w oceanie. —

Uświadomił sobie, że Martin wpatruje się w niego. — Bardzo mi przykro — rzekł. — Robimy, co możemy w takich przypadkach, a potem po prostu czekamy, bo a nuż ta osoba się znajdzie i będzie można ją zidentyfikować.

— Trochę się bała wody — wyjaśnił Martin, znowu płacząc. — Nie chciała pływać. Za nic w świecie. Mój szef urządził przyjęcie na plaży i wszyscy moi koledzy z pracy widzieli, nie chciała nawet palca zanurzyć w oceanie. Szef się wściekł. Ale w łodzi bardzo dobrze się spisywała.

— Tylko trochę popłakiwała, i tyle — dodał John. Usiłował nie patrzeć na płaczącego Martina. — Trochę nam zajęło skręcenie, ale krzyczeliśmy i krążyliśmy tam i z powrotem...

— Chyba wstała. Żaden z nas jej nie widział — szlochał Martin.

— Nic nie słyszałem. Po prostu zniknęła — powiedział John. — Siedziała tam i oglądała ładny widok...

Martin oddychał głęboko, usiłując powstrzymać płacz. Protokolant skończył pisaninę, policjant przybrał wyraz twarzy urzędnika państwowego. Trzeba pozwolić się ludziom wygadać.

— Martin skoczył za nią, a ja usiłowałem wciągnąć go z powrotem.

Potem krzyczeliśmy i pływaliśmy dookoła w ciemności, znaleźliśmy boję i zorientowaliśmy się w naszym położeniu, i jeszcze trochę szukaliśmy.

Policjant oznajmił, że rano przyprowadzą łódź z powrotem do przystani Johna. Odwiózł obu mężczyzn do domu po podpisaniu przez nich oświadczenia, że Sara

Gray Burney stała w żagłówce przed wypłynięciem z przystani, że najprawdopodobniej nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa, że nikt nie znajdował się w pobliżu Sary Gray Burney, gdy skoczyła, wypadła, czy też została uderzona bomem w zatoce Manhasset. Policjant poszedł z Martinem i Johnem rzucić okiem na ich domki, przystań i plażę. Nigdzie nie było odcisków stóp na piasku ani mokrych śladów, nic też nie zginęło z domu Martina.

— Niech pan sprawdzi najbliższy dworzec autobusowy i kolejowy — polecił urzędnikowi zmęczony sierżant. — Na wypadek, gdyby pani Burney chciała napędzić trochę strachu panu Burneyowi, rozumie pan? Może zapragnęła futra albo małej wycieczki do Nowego Jorku, albo dowiedziała się, że on z kimś kręci na boku, i chciała mu trochę popędzić kota.

Ale na obu dworcach nie widziano żadnej blondynki. Urzędnik ziewnął. — Dasz sobie radę? — spytał John. Pił piwo w kuchni Martina, przy stole zastawionym brudnymi naczyniami i czerwonymi różami. — Sam jeden? — Chyba tak — rzekł Martin, patrząc na talerz Sary. Ledwo skubnęła pysznego steku i kartofli. — Spróbuję zasnąć.

Ale nie mógł usnąć. Odzież Sary przesycona była zapachem jej perfum, gdy na żądanie policji sprawdzał, czy coś nie zniknęło. Zapalił światło w kuchni i od czasu do czasu spoglądał na jej talerz z jedzeniem i wazon z kwiatami. Całe godziny przesiedział na łóżku, trzymając jej ubrania. Po jakimś czasie słyszał tylko wznoszące się i opadające fale. Tkwiąc na szczycie schodów prowadzących na plażę, z twarzą zalaną łzami, przypomniał sobie, jak Sara z krzykiem upadła na nie plecami i spadała, uderzając o stopnie, aż z rozkrzyżowanymi rękami wylądowała na piasku, a on stał na szczycie. Walii ją z całej siły, a teraz nie pamiętał, co zrobiła. Gdy zakrył twarz rękami, przez palce pociekły mu gorące łzy. Lekarz powiedział: „Ma pękniętą śledzionę — możemy

to jakoś załatać — i złamany prawy nadgarstek. Musiała spaść z wysoka." A dlaczego przed tygodniem wyciągnął ją z pikniku, zbił i skopał? Bo później wróciła z zajęć na uniwerku.

Gdy nie mógł więcej płakać, spojrzał w górę i zobaczył błękitne niebo — był ranek. Schody na plażę wiodły do tego samego piasku i wody.

Następowały te same przyływy i odpływy.

Wszystko było takie samo, z wyjątkiem jego życia. Rodzice byli tacy sami, gdy zatrzymali się na parę dni w pobliskim motelu. Ojciec używał takich wyrażeń, jak: „Weź się w garść” i „Głowa do góry”. Matka otoczyła go ramionami, dała mu się wypłakać i mówiła, że Sara była idealną żoną i synową... lepszej nie mogłaby sobie wymarzyć... taka miła i ładna, i taka dobra gospodyni.

— Straszna tragedia dla ciebie, kochanie... i dla nas wszystkich — powiedziała i nie zważała na jego płacz.

Poklepywała go po plecach i przysłała wczesnym rankiem do domku plażowego, by dać mu śniadanie do łóżka.

Martin nie miał żadnego dobrego zdjęcia Sary, tak że gazety musiały posłużyć się ich zdjęciem ślubnym, na którym oboje uśmiechali się pod nagłówkiem MAŻ NIE ZDOŁAŁ URATOWAĆ TONAŁEJ ŻONY.

Następnego ranka wypłynął patrol, ale nie spodziewali się znaleźć ciała i nie znaleźli. Zniknęło na zawsze.

Martin niemal codziennie jeździł do Manhasset, musiał tam załatwiać różne drobne sprawy, podpisywać dokumenty. Talerz ze stekiem i kartoflami Sary był jeszcze w lodówce. Róże przywiedły i wyglądały jak purpurowe plamy na kuchennym stole. Wydawało mu się, że ludzie gapią się na niego- na ulicy.

— Wygląda okropnie, chociaż to taki wielki chłop — rzekła Brooke, obserwując Martina Burneya przez okno salonu piękności pod napisem INAIZDIW ELIM EIWO-NAP. — Dobrze zbudowany. Silny i w ogóle.

— Powinien siedzieć — oznajmiła Carmen. Skończyły pracę na dzisiaj, toteż usiadła, oparłszy boscie nogi na fotelu pod suszarką. — Tu na tym fotelu mówiła mi, jak bardzo

boi się wody. Nie miała jeszcze trzydziestki i była taka strasznie chuda — pamiętasz?

— Może się zabiła — powiedziała Brooke. — Może on oszaleje z rozpaczy. Biedny chłop.

— Kiedy właśnie tu siedziała i mówiła, jak strasznie się boi. Powinni go wsadzić do pudła.

— Ma taką pooraną twarz, jak ci kowboje z reklam papierosów. Ale nie znajdą ciała — nigdy im się to nie uda w czasie odpływu. Przynajmniej powiedziałaś policji, co ci mówiła.

— No jasne — zapewniła Carmen. — Może moje zdjęcie będzie w gazetach.

Oparła artykuł o siedzenie fotela, Martin i Sara Burneyowie uśmiechali się do niej ze zdjęcia, gdy wcierała maść w kostki. Na zdjęciu Sara nie była chuda.

— Ten facet, Fleishman, był z nimi w żaglówce i wszystko widział, więc mąż nie mógł jej zabić.

Brooke westchnęła i popatrzyła na niewinny, błękitny jak oczy dziecka ocean, prześwitujący między domami po drugiej stronie ulicy. Widziała, jak Martin Burney odchodzi, potem zaciągnęła storę w salonie piękności. Martin skręcił za róg w gorącym słońcu.

— Da pan dolara — zaskomlał ktoś.

Martin odwrócił się. Brudna młoda kobieta wyciągnęła rękę. W torbie przewieszanej przez plecy nosiła dziecko.

— Na co? — spytał.

— Żeby wychować młode pokolenie, a jak się panu wydaje? Kupił pan kiedy paczkę pieluszek? — Niechlujna młoda kobieta wrzeszczała teraz, a jej dziecko zaczęło wydawać dźwięki przypominające popiskiwanie kurczaka; Martin przypuszczał, że płakało. — Jezu! Jeszcze się pyta, na co mi ten cholerny dolar!

Martinowi wydało się, że czuje smród, dochodzący od dziecka.

— Proszę — rzekł, dał jej dolara i wsiadł do rozgrzanego samochodu.

Codziennie musiał kursować między domkiem letniskowym, Manhasset i Bankton. Powiedziano mu, że nie

należy spodziewać się znalezienia ciała, ale oczywiście zawsze istnieje jakaś szansa, więc co rano przyjeżdżał dowiadywać się; mieszkał w domku letniskowym i pił wino. Wreszcie wakacje dobiegły końca. Musiał spakować rzeczy Sary.

Ostatniego ranka walizki stały przy frontowych drzwiach: walizka Sary, jego walizka. Martin otworzył lodówkę i spojrzał na jej ostatni posiłek: wyschnięty stek i kartofle. Wyrzucił go do śmieci.

Pojechał do Bostonu i wrócił do pracy w firmie komputerowej Rambaugh.

— Martin Burney. Biedny facet. Nie może w to uwierzyć — powiedział Chuck Jenner w czasie przerwy na kawę w Rambaugh. Podał filiżankę Ałowi Surino, który był nowy. — Strasznie go wzięło. Miła para, nie mieli prawdziwych zmartwień, dzieci, które chorują albo wymagają kształcenia w college'u. — Chuck widział Martina przez drzwi sali sprzedażnej. — Jej matka jest w domu opieki w Nebrasce. To jej cała rodzina. Będą musieli jej powiedzieć.

— On myśli, że ona żyje? — spytał Al Surino.

Jak zwykle wypili za dużo kawy na zapleczu i Chuck flirtował z zatrudnionymi na godziny sekretarkami, szczególnie z tą z wielkimi cyckami.

— Jest roztrzęsiony. Ciągłe opowiada szczegóły. Była blondynką, strasznie chuda. Nie słyszałem, żeby puściła go kantem. Może nawet była trochę nieśmiała. Zawsze przynosiła świetne zarcie na przyjęcia składkowe. Dorabiała sobie w bibliotece w Montrose. Biedny chłop.

— McManus jak nic ma na niego oko — rzucił Al.

— Kiedyś miał możliwość zostania kierownikiem — stwierdził Chuck.

— Do diabła, stawiam na ciebie.

— Może obaj mamy teraz szansę. A nuż wyślą nas do Nowego Jorku. Albo na Florydę?

Chuck spojrzał na Martina, siedzącego w salonie wystawowym.

— Ani chybi.

Martin siedział i patrzył wilkiem na firmę Rambaugh: przekładanie papierów, praca nauczycielska, mężczyźni



w marynarkach i krawatach stoją wkoło i tokują, tokują, tokują. Ubrania Sary wisiały w szafie. Nie bardzo miała w co się ubrać — on trzymał łapę na forsie. Teraz wszystkie zaoszczędzone pieniądze leżały na ich koncie bankowym — a ona odeszła. Jej ubrania miały zapach jej włosów, zawsze chciał, żeby chodziła do fryzjera — nie znosił kobiet w lokówkach. Czarna jedwabna kombinacja... Sara utonęła gdzieś i gnije w czarnym jedwabiu i koronkach, ostatnim ładnym prezencie od niego. Salony sprzedaży Rambaugh, całe połacie szkła, wyglądały na autostradę. Maszyny, które Martin miał sprzedawać, stały na pokrytej wykładziną podłodze. Cały dzień mówił o klawiszach, pamięci o dostępie swobodnym, menu i bajtach, jakby naprawdę wiedział, jak zbudowane są komputery. Maszyny powielały, drukowały, magazynowały i broszuowały papier, on robił to również. Może przy tej robocie dostał zanokcicy. Może ma atrament na palcu. Potężne maszyny stały w równo zakreślonych przegródkach słonecznego światła, które wpadało przez lustrzane szkło.

Roztrzaskać to. Wszystko roztrzaskać. Roztrzaskać Chucka i Ala, rozmawiających o nim na zapleczu. Czy im się wydaje, że on nie wie? Poszedł na zaplecze do kartoteki, gdy Chuck mówił:

— Żona chce pojechać na wakacje na dwa tygodnie do Vegas. W końcu czyje to są wakacje? — powiedziałem jej. Jedziemy jak zawsze do Maine łowić ryby. Koniec, kropka.

— Słusznie — zgodził się Al.

— Nie tak jak ten Dressler — rzekł Chuck. — Kupił swojej żonie nowy dom, bo powiedziała, że jak nie, to go zostawi. — Zobaczył wchodzącego Martina. — Jak się masz, Martin, chłopie.

Martin odparł: „Cześć” i wrócił do sali sprzedażnej. Plotki, obłuda, wieczne przepychanki i tak cały dzień — tydzień — lata — do końca życia. Co dzień wracał do domu, a tam czekała Sara, taka miła, spokojna, bezpieczna i leniwa, po prostu prowadząca gospodarstwo.

Dalej sprzedawał maszyny, które powielały, drukowały,

liczyły i sortowały papier. Gdy dzień wreszcie się skończył, musiał przejechać kilometry zatłoczonej autostrady, by trafić do pustego domu. Nie wiedział, jak Sara go sprząta — on po prostu od czasu do czasu ścierał kurze ściereczką do wycierania naczyń. Pokoje były małe i pachniały stechlizną.

Gdy był głodny, zjadał hamburgera. Przeważnie pił ulubione wina: porto, sherry. Wyjął strzelby z futerału, przeczyścił i odłożył z powrotem, zaczął płakać, gdy wziął do ręki pistolet. Na rękojeści miał orły z rozpostartymi szponami. Często przykładał go do jej głowy, grożąc, że ją zabije i tego mężczyznę także, jeśli ona jeszcze raz go opuści. I zabiłby. Do diabła. Nigdy go nie zdradziła, przynajmniej nic o tym nie wiedział — nie było innego mężczyzny. Nie chciała, żeby ją więcej bił, więc czasami uciekała, ale ją znajdował.

Do diabła, babska robota, przekładanie papierków, zawsze to samo. Będzie to robił do końca życia, od dziewiątej do piątej, i dwa tygodnie wakacji. Jego staruszek jako dyrektor szkoły miał przynajmniej całe lato wolne i musiał podejmować decyzje, choćby dotyczyły tylko tego, czy pokrywać koszty przejazdu autobusem członkom klubu dyskusyjnego albo co robić, żeby dzieciaki nie paliły trawki w sraczu.

Cały dzień manewrować, żeby się dobrze ustawić — oto czym się zajmuje — strata czasu i pieniędzy, nikogo nic nie obchodzi, cały ten interes jest jak prezent opakowany ze straszliwymi bajerami, gdy tymczasem wewnątrz wypływa od spodu.

Sara nie orientowała się, co się kryje za tą efektowną fasadą. Zawsze powtarzała, że tak świetnie mu idzie, tak szybko awansuje, podbudowywała go — miło z jej strony.

Walnął głową o ścianę. Rzuci ją na łóżko, przeleci ją, stłucze — nie ośmieli się go zostawić. Jeśli się z nim rozwiedzie, pójdzie za nią wszędzie. Była jego żoną. Nie można im tak po prostu pozwolić odejść, mówiąc pa pa. Lecz wtedy sobie przypomniał — utonęła.

Przeszukał szuflady jej serwantki i biurka. Odeszła bez

dźwięku, bez jednego słowa, w dół do zatoki i już jej nie ma, tak jak wówczas, gdy go zostawiła i pojechała autobusem aż do Nebraski, kuśtykając, ponieważ złamał jej palec u nogi.

Jakiś odźwierny przyniósł z biblioteki osobiste rzeczy Sary i powiedział, że jej przybory biurowe odeślą po uporządkowaniu. Na dnie pudła z notatkami, zestawem do makijażu, płaszczem deszczowym i latarką, Martin znalazł dwie małe czarne książeczki zamknięte na kluczyk. Na okładkach miały napis „Dziennik”. Chodził z pokoju do pokoju zastanawiając się, czy nie powinien ich odesłać do jej matki, do Nebraski. Ale była niewidoma i nie mogła nawet usiąść, uwięziona w domu opieki. Drzwi od łazienki miały długie pęknięcia. Sara zamknęła się kiedyś na klucz, gdy ją bił, więc rozwalił je pięściami, tak że musieli potem załatać je szpachlówką. Cholera. O co się tak pokłócili?

Bo chciała dorabiać w bibliotece.

Spojrzał na trzymane w ręce dwie małe książeczki, potem wyszarpnął zamki. Zgadza się, to dzienniki, zapisane starannym pismem Sary — dziesięć lat ułożonych w dni, pięć lat w każdej książeczce, pięć dni na każdej stronie. Nie sposób wyobrazić sobie mężczyzny, wpasowującego lata swego życia w schludne, małe, poliniowane przestrzenie. Popatrzył na drzwi łazienki. Kobiety były inne niż mężczyźni. Malowały sobie twarze. Lubily, żeby nimi rządzić. Kręciły tyłkami i cyckami i nie patrzyły ci w oczy. Tajemnice.

6

Na chwilę oczy Sary rozszerzyły się. Potem zamknęła je, zaczerpnęła głębokiego oddechu i czekała. Gdy pierwszy bałwan uderzył w łódź Johna Fleishmana, czarny, zimny Atlantyk pochłonął ją, tylko na chwilę formując bliznę w dolinie fali.

Zanurkowała głęboko, ze sztywnymi nogami. Kiedyś z zamkniętymi oczyma, krok po kroku, brodziła w basenie YWCA. Dziś mając oczy otwarte, zanurzyła się w zatoce Manhasset.

Przejmująco zimna, słona woda zamknęła się nad jej głową i Sara nagle zapadła się w przeszłość, zatoneła w niej, miała dwanaście lat i pływała ze swym bratem Joe. Rodzice byli w domu, w łóżku. Księżyc lśnił na mokrej twarzy Joe'ego. Krzyknął, że nie może płynąć dalej, nie może złapać tchu — ujrzała jego wykrzywioną twarz.

Jej ciało działało samo z siebie — zrzuciło tenisówki, kurtkę i cisnęło Sarę w dół, porażoną zimnem.

Teraz jej głowa rozbrzmiewała krzykiem Joe'ego. Oszalała twarz brata w świetle księżyca odcisnęła się w niej na zawsze brzmieniem jego krzyku, gdy szedł na dno. Gdy ona szła na dno.

Rozpaczliwie usiłowała go znaleźć, nurkując głęboko. Potem przylgnęło do niej wspomnienie ukochanych rąk Joe'ego.

Zrezygnuj! Zaczynało jej brakować powietrza, jej płuca też krzyczały. Zrezygnuj! Łatwo będzie iść na dno. Spleciona z Joe, zanurzała się coraz głębiej.

I wtedy jej ciało zaczęło walczyć — kopało, gryzło ściskające ją za gardło ręce brata, biło pięściami jego twarz.

Jej plecy wygięły się w łuk. Wyływała na powierzchnię.

Sara biła, kopała i gryzła, by uwolnić się od Joe'ego, jej płuca wyły z pragnienia zaczerpnięcia powietrza. Wydobyła się ze wspomnień o bracie, znowu jej ciało instynktownie ją uratowało.

Dotknięcie zimnego ciała Joe, dźwięk jego krzyku zapadły się w ciemną wodę.

Teraz wiatr dał w twarz Sary i nie miała już dwunastu lat. Wokół niej rozpościerała się zatoka Manhasset — nieogarnione, pochmurne nocne niebo i uniesiona tafla wody, po której sunęła jak ryba, z rozwianymi włosami. Chwytała powietrze w płuca i szlochała. Biły w nią fale. Trwał odpływ i prąd pociągał ją za sobą, lecz wichur toczył fale z powrotem do zatoki.

Przejmująco zimna woda unosiła ją, opuszczała w zagłębienie fali, znowu unosiła. Martin krzyczał: „Sara!” gdzieś hen przy migającym świetle.

„Sara!”

Sara odpływała od krzyku Martina.

Wymierzyła dobrze — podpłynęła do śliskiej boi i pochwyciła ją, ciężko dysząc, uśmiechając się przez warstwę słonej wody. Złapała oddech i przewróciła się na plecy, płynąc pod szerokim, wypogadzającym się niebem i szukając słabego błysku latarki ze zbliżającej się łodzi.

— Sara! — krzyknął Martin.

Obserwowała małą żaglówkę pod niebem, przesłoniętą przejrzystymi chmurkami, wysoko zawieszonym księżycem i gwiazdnymi polami na firmamencie.

— Sara!

Otworzyła raz usta, jakby miała odpowiedzieć, lecz cóż mogła wyrzec prócz pożegnania?

Martin skoczył z pokładu. Zanim Sara ponownie zanurkowała, zobaczyła, że John holuje go z boku żaglówki. Łódź zbliżała się coraz bardziej.

„Sara!” Słyszała Martina,

lecz złapała oddech, mogła zanurkować daleko od jego głosu, zniknąć z oczu, jej długie włosy wirowały chwilę w żółtej poświacie księżyca. Gdy wypłynęła, było jej niemal ciepło w wodzie, która bujała ją jak kołyska. Dopłynęła do następnej boi, czując słoną wodę w ustach. Teraz znajdowała się po zawietrznej Sand Hook. Pojawiła się przed nią następna boja i Sara przywarła do niej, dysząc, wsłuchując się, unosząc w spokojniejszych falach.

Łódź oddaliła się już znacznie, Martin i John żeglowali ku ujściu zatoki. Kogoś, kto wypadł za burtę, tam by morze zagnało i tonałoby w falach odpływu.

Lecz ona unosiła się, oświetlona pełną tarczą księżyca,  
— Sara! — Daleki krzyk Martina zanikł w szumie wody.

Miała czas odpocząć i wyciągnąć się w tym ogromie wody i nieba. Po jakimś czasie Sara powoli podpłynęła do boi, najbliższej domku letniskowego, kierując się ku wyrwie na brzegu, czarnej plamie, którą utworzyły dwie stłuczone latarnie.

Jej stopy w ciemności dotknęły dna. Parła naprzód. „Sara!”

Rozbrzmiewało echem w jej głowie. Mokre džinsy i koszula ciągnęły w dół jej chude ciało, ciążyły na płytkich falach.

Ty skurwysynu!, chciała krzyknąć przez ramię na oblaną księżycowym światłem zatokę. Oświetlone domki stały zbyt daleko, by głos Sary doleciał do nich nad rozhukanymi wodami, lecz trzymała buzię na kłódkę. Mokre ubranie przyłgnęło do niej, brodziła przez fale, które wsysały ją i popychały. W górze dwa domki letniskowe tworzyły ciemne zarysy, puste i ciche.

Sara zdarła z siebie mokrą koszulę, ściągnęła džinsy. Bić mnie, kiedy mówię prawdę, wyszeptała gwałtownie blondynka o lśniących mokrych włosach w czarnym jedwabiu i koronce, przedzierająca się przez pianę. Woda syczała u jej stóp. Zerwała z siebie koronkową kombinację.

Skończyłam! Jestem wolna! Idź za mną — proszę bardzo! Utop się!

Kombinacja zwinęła się w parę mokrych pętli i zagroziła jej drogę, Sara klapnęła z całej

siły na goły tyłek i chciała krzyżeć: Musiałam cię błagać

O forse na żarcie dla ciebie, ty draniu!

Prąd porwał jej ubranie do morza, lecz chwyciła je

1 z bryzgiem rzuciła pod stopy, lśniąć nagością w świetle księżyca.

Błagać, kłamać i kraść przez ciebie!

Dwa domki przypatrywały się, jak mała, chuda, naga figurka bnie w przód i do tyłu, podrygując, waląc w powietrze trzymanym w obu rękach ubranie. Już nigdy nie rozmawialiśmy! Nigdy wspólnie nie czytaliśmy książek, nie słuchaliśmy muzyki ani nie chodziliśmy do teatru. Tylko mi się przypatrywałeś, nienawidziłeś mnie, gdy wzięłam pracę za parę dolarów!

Chudziutka, gładka od wody, mała figurka rozbijała fale stopami, jej piersi podrygiwały. Musiałam ci podbierać pieniądze z portfela! Mam duszę! Kłamać, że oddałam twoje ubranie do pralni! Mała naga figurka skakała w górę i w dół. Kłamać — oszukiwać — kraść — bo inaczej mnie biłeś! Upuściła mokre ubranie i nabrawszy pełne garście piasku, zaczęła rzucać go w morze. Nie znam cię! Nigdy nie znałam! Ty deprawatorze!

Sara opadła na kolana w spienionej wodzie. Zbij mnie! krzychała w myślach, z wykrzywioną twarzą. Nadepnij mi na palec i złam go!

Z-z-złam mi nadgarstek... Złożyła głowę na kościstych kolanach i płakała. Długie, mokre włosy płynęły z falami, wracały z falą!

Potem podniosła się na nogi, patrząc na swe chude ramiona i nogi, pokryte gęsią skórą i siniakami. Kilka pasm włosów nieco już podeschło, zwisając w splotach z jej nagiego ramienia.

Przy murku leżał kawał drewna, wyrzuconego przez fale na brzeg.

Kochałam cię, wyszeptała, trzymając mokre ubranie w jednej ręce, drewno w drugiej. Światelko tak odległe, że niemal niewidoczne,

podskakiwało u ujścia zatoki. Biegnąc po piasku, sękatym kijem pośpiesznie zacierała ślady swych stóp. Wokół niej rozbrzmiewały

wspomnienia ich szczęśliwych okrzyków, zwiewnych jak światło księżyca, i przypomniała sobie, jak leżała tu w falach, roześmiana, naga i mokra pod mokrą nagością Martina.

Wyszła już trochę, przeszła po murku, najdalej jak mogła, łkając cicho, potem owinęła koszulę wokół jednej stopy, a džinsy wokół drugiej, by przedostać się przez ostre trawy. Nie widać było żadnych śladów —jedynie smugi na piasku. Po schodach rozciągających się nad Sarą biegano w górę i w dół tysiące razy, w powiewach morskiego wiatru i promieni słonecznych, albo kochano się na nich w ciemności. Kiedy pośpiesznie wbiegała po nich na zeszywniałych nogach, przypomniła sobie wbijające się w jej stopy ostre krawędzie i upadek jak na zwolnionym filmie.

Sara otworzyła drzwi do kuchni. Oczy miała przyzwyczajone do ciemności. Ujrzała pusty talerz Martina, kawałek steku, który ledwie tknęła i poczuła zapach bukietu czerwonych róż na stole.

Raz nacisnęła materac, by usłyszeć trójnutowy trzask z ich miodowego miesiąca, suchy jak stara wężowa skórka.

W najdalszym rogu pod tapczanem znajdowała się plastikowa torebka, wypełniona wszystkimi niezbędnymi rzeczami. Sara zawinęła mokre ubranie w plastik — musi je ze sobą zabrać. Prędko, prędko, przebrała się w nowe ubranie, wyjęte z torby: majtki, stanik, koszula z długimi rękawami, spodnie, sandały.

Sekretne pieniądze miała zaszyte w podszewce deszczowego płaszcza — miesiące oszukiwania i podkradania. Płaszcz nie mogła zabrać.

Zauważyłby jego brak. Tego popołudnia wypruła pieniądze i włożyła je do portfela, do plastikowej torby.

W torbie był też ser, Sara ukryła go pod marchewkami w szufladzie lodówki. A także chleb, mleko w proszku, kawa i masło orzechowe, które przywiozła z Montrose. Znajdował się tam także stary nóż i filiżanka. Stojąc w ciemności, pośród szumu fal, drżącymi rękami zaplatała długie włosy. Silnik samochodu może zgasnąć wśród sosen. Ktoś zastuka do drzwi.

Jej ręka migąła w lustrze ciemnej łazienki. Zdjęła pierścionki, zawiązała je w plastik i wsunęła do torby. Gdy upinała warkocze ciasno wokół głowy, żaden pierścionek nie drapnął jej palców.



Światło księżyca wlewało się teraz przez okna sypialni. W plastikowej torbie znalazła zestaw do makijażu i w tym oświetleniu zdołała położyć na rzęsy mnóstwo czarnego tuszu i jasnoczerwoną pomadkę na usta.

W torbie była też krótka, czarna, ułożona w fale peruka oraz para przyciemnionych okularów. Sara naciągnęła perukę na warkocze, włożyła okulary i spojrzała na nieznajomą w oknie.

Ktoś nowy przebiegł koło krzesel z wypuczeniami na oparciach i przewracających się lamp. Kobieta w okularach sprawdziła cały dom, pokój po pokoju. Z okna sypialni wyjrzała na zatokę Manhasset. W dole uderzały i pieniały się zimne fale.

Nadszedł czas, by cicho zamknąć frontowe drzwi, choć nie było nikogo, kto mógłby coś usłyszeć. Ale może zatrzymać się jakiś samochód, ktoś wybierze się na spacer drogą...

Sara uciekała od domków letniskowych, biegnąc sztywno w sandałach na niskim obcasie. Ani na drodze, ani na chodniku nie było odcisków stóp. Joe Gray. Joe Gray. Okrągły księżyc wsunął się za chmury. Sara ani razu się nie obejrzała.

Kobieta w okularach w czarnej oprawce maszerowała teraz szybko, na drodze pasmami kładły się cienie sosen i światło. Pod peruką ciężkie, mokre warkocze były słone od wód oceanu, tak jak i jej ciało, W zaroślach śpiewał wiatr. Ostrzegana światłami samochodów wchodziła między przydrożne sosny, lecz tym razem nie oślepiały jej łzy, czuła zapach igliwia, nowego ubrania i perfum z peruki. Piasek i kamyki grzechotały pod jej stopami ostro, przenikliwie. Łuna na niebie to Grenville.

Po jakimś czasie zaczęła szybciej oddalać się od fal bijących o brzeg, który właśnie zniknął jej z oczu. Daleko na wodzie lśniło kilka świateł. Nad jej głową, na tle gwiazd, biegly linie telefoniczne. Zaczęła biec mimo bólu nóg i zwolniła dopiero, gdy minęła pierwsze samochody na podjazdach i saloniki, błękitne od telewizyjnego ekranu.

Na małym dworcu autobusowym czekało tylko kilka osób. Patrzyli, jak chuda brunetka kupuje bilet, potem ziewali, pili kawę, szeleścili gazetami, gapili się na żółte ściany.

Nagle Sara poczuła głód — poszła do poczekalni dla kobiet zrobić sobie kawy. Przygotowała kanapkę z serem i zjadła ją, siedząc na krześle koło umywalni.

Gdy wróciła do poczekalni, ktoś zostawił gazetę na pustym fotelu, czytała ją z pochyloną twarzą, strona po stronie, trzymając torbę między stopami.

— Autobus do Bostonu — ogłoszono.

Zachowuj się normalnie, mówiła sobie Sara i zmusiła się do trzykrotnego przeczytania akapitu w magazynie, nim podała kierowcy bilet i weszła na stopnie autobusu. Odwróciła się od okna, grzebiąc w plastikowej torbie. Starsza pani usiadła obok niej i autobus ruszył spod krawężnika. Minęli przedmieście Grenville i znaleźli się na mrocznej autostradzie.

Zatoka Manhasset migotała między drzewami w pełnym, księżycowym blasku. Po zatoce prześlizgiwała się kobieta, -której twarz odbijała się w szybie autobusu. Wpatrywała się w Sarę przez okulary w czarnej oprawce, jej włosy tworzyły krótką, czarną, falistą czapę. Sara patrzyła na twarz okularnicy, która teraz była jej twarzą.

— Ładna pogoda — odezwał się cichy, chropawy głos. Sara odwróciła się do siedzącej obok staruszki, która tak wparła się w oparcie fotela, że wyglądała jak litera C.

— Bardzo ładna — odrzekła Sara.

— Odwiedziłam syna w Hadley — oznajmiła starsza pani.

Sara spojrzała na powykrzywiane palce kobiety, którymi bez przerwy przebierała, bezustannie wygładzając papierową torbę.

Nie żyję.

— Hadley, w Massachusetts — rzekła starsza pani. Odbicie młodej kobiety w lustrze zaczęło się uśmiechać.

Żyła: krew pulsowała w jej ciele, oddech wydobywał się miarowo, była sucha i odczuwała przyjemne ciepło. Podwinęła palce u nóg.

— To miło — powiedziała Sara. Miła dzieliła ją teraz od oceanu. Dodała:

— Moja matka jest sama jedna w domu opieki. — Gardło jej się ścisnęło, gdy wypowiadała te słowa.

Inni pasażerowie rozmawiali w ciepłym, ciemnym autobusie. Od czasu do czasu Sara widziała przeświecający między drzewami ocean: gładkie srebro hen w oddali.

— Domy opieki — rzekła staruszka. — Tak ją upchnąć.

— Mama była strasznie stara, gdy się urodziłam, i tak często się przeprowadzaliśmy, że nie miała żadnych przyja-

ciól, którzy mogliby ją odwiedzać. Mieszkali w mieście od niedawna, kiedy tata umarł, a mamę sparaliżowało.

Mala staruszka obok niej, w chustce owiązanej wokół pomarszczonej jak jabłuszko twarzy, wyglądała jak czyjaś babcia.

Oczy Sary napełniły się łzami. Jej głos brzmiał głucho i monotonie:

— Oprócz mnie nie ma żadnych krewnych, a ja nie mogę jej odwiedzać.

Nie mam forsy. Ale pojedę tam. — Sara polizała złamany niegdyś nadgarstek, miał smak soli. — Odwiedzało ją dwóch przyjaciół, ale obaj się przeprowadzili, a mama jest niewidoma i nie może usiąść.

Siedząca obok zgięta mala babcia patrzyła prosto przed siebie.

Obie umościły się w ciemnym podwójnym fotelu pod siatkami na bagaże.

Sarę bolało gardło od wszystkiego, czego nie śmiała nikomu powiedzieć.

Rzekła:

— Przyjechałam odwiedzić... moją siostrę, która jest taka nieszczęśliwa w małżeństwie. Mąż zaczął ją bić w czasie miodowego miesiąca, a ona mu oddawała. Mówi, że nikt jej nigdy tak nie traktował, tylko dlatego że nie chciała dokądś z nim iść albo zapomniała dokręcić zakrętkę na paście do zębów. — Autobus ryczał i grzechotał. — Z początku przysięgał, że nie chciał jej poranić, przeproszał i obiecywał, że więcej tego nie zrobi. Kazał jej przeczytać książkę Kobieta usatysfakcjonowana. Mówiła ona, że kobieta może być szczęśliwa tylko wtedy, gdy we wszystkim słucha się męża. — Sara łkała tak cicho, że nikt jej nie słyszał, i przypuszczała, że starsza pani musi być wstrząśnięta jej wyznaniem, ale jakoś nie mogła przestać mówić. — Moja siostra uciekła do schroniska dla maltretowanych kobiet, ale nie chciała stracić pracy. Powiedziała, że jeśli tak po prostu wróci do męża, policja i sąd nic specjalnego nie zrobią — mają zbyt dużo spraw — i wróciła do niego. — Sara ponownie polizała nadgarstek, wpatrując się w starą, pomarszczoną twarz koło siebie. — A moja siostra kochała go! Myślała, że lubią te same rzeczy — muzykę, książki i wspólne rozmowy. Mówiła, że starała się zmienić wszystkie

swoje przyzwyczajenia — zawsze jadła gotowane jajka na śniadanie i składała koce na trzy części... — Sara słyszała swój głos, opowiadający jej własną historię, jakby umarła. — Siostra zaczęła kłamać, oszukiwać i kraść mu pieniądze z portfela, żeby tylko jej nie bił. Całe życie mówiła, że nigdy tego nie zrobi. Mówiła, iż tak się wścieka, że czasami się zastanawia, czy umyślnie nie zapomina zrobić tego, co on chce. A on powiedział, że jeśli chce, może się z nim rozwieść, ale zawsze ją znajdzie, dokądkolwiek pójdzie, cokolwiek zrobi. Jest jego na zawsze.

Wysuszona na jabłuszko twarz spoglądała prosto przed siebie.

Teraz już mile dzieliły Sarę od oceanu. Jej głos opowiadał o kobiecie, która nie była Sarą Burney. Sara słuchała, jak gdyby znajdowała się na zewnątrz, zaglądając do środka tylko od czasu do czasu, gdy drgnęła od szlochu.

— Policja nie mogła przebywać z Sarą w domu, a ona nie mogła na zawsze mieszkać w schronisku dla maltretowanych kobiet. Miała pracę, którą kochała. Mówiła mi, że czasami myślała, że to ona nie ma racji... powinna być dobrą żoną, zostać w domu i mieć dziecko. Dziecko! A więc ich dwoje w domu i co on by...

Urwała, po jej twarzy spływały łzy. Starsza pani była prawdopodobnie zbyt wstrząśnięta, by się odezwać.

Potem wysuszona twarz obróciła się ku niej, pomarszczone usta oświetlił na czerwono neon mijanego miasta.

— Wstrętne małe chłopaczki — powiedziały. — Większość. Biją żony, rozkazują im, każą im prac swoje kalesony, a ci faceci nigdy się nie podcierają — siusiają wszędzie, tylko nie do ubikacji. Mój mąż umarł i znajomi mówili, czy nie wezmę drugiego i jak ja sobie dam radę bez mężczyzny.

I powiedziałam: „Kto by dwa razy wpychał sobie fasolę do nosa?” Więc mieszkam sama, mam czystą ubikację i piore swoją bieliznę. Pani myśli, że to nieszczerólna frajda, ale mnie to pasowało. I dalej pasuje.

Sara wyciągnęła ramiona i nogi i poczuła pod rękami szorstkie siedzenie autobusu. W nagłym, cichym śmiechu obnażyła zęby na słonym przegubie.

— Tak — rzekła.

Autobus przyspieszył. W żółtym świetle księżyca rozciągała się przed nim sucha i czysta autostrada. Chciała powiedzieć starszej pani: Będę mieszkać w mieście, którego nie widziałam od czasu, gdy koleżanka z college'u zaprosiła mnie tu do siebie do domu.

Konar drzewa drapnął dach, gdy autobus pochylił się na objeździe. Po trzech latach małżeństwa, chciała powiedzieć Sara, nie mogę podać numeru ubezpieczenia. Nie mam prawa jazdy ani referencji. Przez całe lata nie zdobędę dobrej pracy, gdyż będę musiała się ukrywać.

Autobus grzechotał w powolnym rytmie. Sara zamknęła oczy.

— Mam tego psa w sąsiednim domu — zaczęła po jakimś czasie starsza pani do ucha Sary. — To cholerstwo wyło cały dzień, a ten stary dureń w sąsiednim domu nic nie słyszał. Chodził grać w bingo, ' '

— Mmm — powiedziała Sara.

Ocean zniknął już i był teraz warstwą soli na skórze Sary. Mijały miasta. Pasażerowie wsiadali i wysiadali.

— Cześć! — wykrzyknęła jedna młoda dziewczyna do drugiej, zwisając z oparcia fotela przed Sarą. — Jedziesz do szkoły letniej?

Jej przyjaciółka jęknęła.

— Dwa miesiące. Matematyka. Koszmar.

. Między fotelami przechodziły dwie kobiety.

— Nie wiem, co on ma zamiar zrobić — powiedziała jedna. —

Przypuszczam, że sprzeda dom i odda na skład te meble z różanego drzewa.

Sara przymknęła oczy i pomyślała, że mogłaby sprzątać po domach albo zajmować się dziećmi — do tego nie potrzeba numeru ubezpieczenia.

— No i załatwiłam tego starego durnia — zagruchała jej w ucho współtowarzyszka podróży.

— Naprawdę? — spytała Sara.

— Oni myślą, że starsze kobiety na niczym się nie znają. Myślą, że taka starucha jak ja nie potrafiłaby się obchodzić z magnetofonem syna.

— Nie? — powiedziała Sara.

— Nie — odrzekła starsza pani.

Wjeżdżali do Bostonu. Dziś w nocy Sara nie będzie spała w domu; zgrzytnęła zębami. Spędzi noc na dworcu autobusowym.

— Nie. Stary dureń — rzekła babcia.

Po jakimś czasie autobus oświetliły witryny sklepowe.

Tylko moja matka będzie wiedziała, że żyję, pomyślała Sara. Gdybym mogła zrobić magisterium z bibliotekoznawstwa... Przypomniała sobie swoje biurko w bibliotece w Montrose. Pod suszką znajdowały się spisy książek, które przeczytała, całe setki, niektóre ich słowa utkwily jej w głowie na zawsze. Zobaczyła na biurku swe nazwisko i fiołki afrykańskie. Neon zabarwiał pasażerów na czerwono, zielono, niebiesko. Po jakimś czasie starsza pani rzekła:

— Nie, myślał, że nie.

— Mrara — bąknęła Sara, myśląc o nagłówku: **KOBIETA UTONEŁA W ZATOCE.**

— Jasne, że nie! Aż zaczął się budzić codziennie o czwartej rano.

Sara przypomniała sobie, że gdy nie używała kluczyków od samochodu, musiała je trzymać na talerzyku na biurku Martina. Wyśmiewał się z jej książek... książki zawsze go nudziły, mówił. Telewizor jazgotał bez przerwy, syjąc konserwowanymi śmiechami i żartami. Martin wykręcił jej rękę, gdyż zbyt drogo zapłaciła za poszewkę na poduszkę.

Przypomniała sobie, że tak długo przyciskał jej kiedyś do skroni pistolet kalibru 25, aż potem odcisnęło się jej kółko na skórze, słyszała trzask kurka przy skroni.

— Obudziłam go szczekaniem, skomleniem i wyciem jego własnego kundla. O czwartej rano. Prosto w okno jego sypialni. Włączyłam magnetofon i spałam po drugiej stronie domu, nie słyszałam nic a nic. Pasażerowie kręcili się teraz w fotelach, szukając paczek, wkładając palta. Sara rzekła:

— Co zrobił stary dureń?

— Wymawiał mi, że rujnę mu zdrowie. Powiedziałam, że nic podobnego. To po prostu jego własny pies, kupił go sobie i uwiązał na podwórzu, no nie? Więc na pewno chce go posłuchać.

— Dobrze pani zrobiła — stwierdziła Sara.

— Jemu to dobrze zrobiło — odparła staruszka. — Sprowadziło go do naszego poziomu, zwykłych śmiertelników. Sprzedał psa i kupił kota. — Autobus podjechał do krawężnika i pasażerowie zaczęli tłoczyć się wzdłuż przejścia. — Głupi kot zabija ptaszki z mojego karmnika — powiedziała starsza pani, powoli wstając i wychodząc do przejścia, uchwyciwszy się oparcia fotela przed sobą. — Ale wykiwam tego starego durnia. — Pomarszczona jak jabłuszko twarz uśmiechnęła się do Sary. — Jeszcze raz.

— Dobrze pani robi — rzekła Sara. — Do widzenia.

— Durnie — zakończyła staruszka, posuwając się wzdłuż przejścia. — Na co oni komu potrzebni?

Posiniaczone nogi Sary zeszywniały; krok po kroku zeszła ze stopni i udała się do informacji zapytać o autobusy do Iowa.

Mężczyzna za kontuarem powiedział, że rankiem może wyjechać z Bostonu, wieczorem przesiąść się w "Nowym Jorku na autobus do Chicago i następnego dnia pod wieczór przybędzie do Waterloo w Iowa. Sara słyszała go, lecz miała, tak wyschnięte usta, że nie mogła odpowiedzieć. Nagle rzekła do siebie: Już chyba nigdy nie zobaczę Cristinę. Cristinę Wiedin miała troje dzieci, którym codziennie rano prała piżamy. Co piątek polerowała meble. Rozpaczała z powodu swojej wagi. Sara знаła też Karen Fairchild, która mówiła z południowym akcentem i dawała jej małe prezenciki: różę w szklaneczce od wina, którą Sara znajdowała na progu swego mieszkania, albo kubek ze śmiesznym rysunkiem.

Za Sarą ustawiła się kolejka.

— Życzy pani bilet? — spytał mężczyzna.

Serce biło Sarze tak mocno, że aż jej dudniło w uszach. Wszyscy jej przyjaciele byli o parę mil stąd. Nigdy ich już nie zobaczy. Nigdy nie skończy czytać Ulissesa z Joan



Pagent ani nie pobawi się z dziećmi Marie O'Brien, tak pięknymi jak postaci z bajek. Nigdy nie ujrzy Pam w bibliotece.

— Życzy pani? — powtórzy! mężczyzna.

Sara popatrzyła na pieniądze, które trzymała w dłoni. Była jeszcze w Bostonie. Ciągłe trwał ten sam wieczór. Dzień się nie skończył.

Potrząsając głową wycofała się sprzed kontuaru, znalazła krzesło i usiadła, stawiając u stóp plastikową torbę, trzęsły się jej lodowate ręce.

Co się z nią dzieje? Widziała, jak Martin wykrzykiwał jej imię, po twarzy ciekły mu łzy.

Ciągłe trwa ten sam wieczór. Minęło zaledwie parę godzin.

Podskoczyła i wybiegła z dworca na jasno oświetlone, prawie nie znane ulice. Wieczór otaczał ją jak bańka, którą mogła zdmuchnąć — tak mało dzieliło ją od zatoki, domku letniskowego, Martina.

Mijała blok za blokiem, plastikowa torba dyndała u jej ręki, a obok, po plaży, w czasie miodowego miesiąca, z błyszczącymi oczyma biegł Martin, jego miły głos rozbrzmiewał jej w uszach. Tańczyli w małym domku na Cape Cod tego wieczoru, gdy go kupili, ich stopy stukały w pustych pokojach. Czowała zapach jego włosów, skóry i wzrosły wokół niej ściany jej domu — był tak blisko, parę przystanków autobusowych i metra.

Sara minęła na rogu budkę telefoniczną. Zatrzymała się, wróciła.

Na rogu samochody zmieniały biegi. Ciężarówka beknęła spalinami. Sara wślizgnęła się do budki, zamknęła za sobą drzwi i stała w żółtym świetle, przypatrując się zawieszanej na widelkach słuchawce.

Dopiero od paru godzin myślał, że Sara nie żyje. Nakrycia z obiadu prawdopodobnie dalej stały na stole. Znała numer telefonu do domku letniskowego. Jestem w Bostonie, mogłaby powiedzieć. Żyję.

Czarna słuchawka telefoniczna wisiała przed nią, lecz Sara była na żagłówce, z krzyczącym w ciemności Martinem. Była z nim na policji, lecz o tym nie wiedział.

Przeczesywał palcami włosy, płakał, wyjaśniał, podpisywał papiery. Martin wszedł po schodkach do domku letniskowego, poszła za nim do ciemnej kuchni. Zobaczy róże i jej talerz z jedzeniem. Ta kuchnia jest niedaleko. Była tam z nim, gdy się rozglądał. Gdyby zadzwoniła, telefon zadźwięczałby przez zapachy steku z cebulą, róż i placka z jabłkami z ugotowanego przez nią obiadu.

Czarna słuchawka telefoniczna czekała. Ranne pantofle Sary były jeszcze pod serwantką. Widziała, jak Martin je znalazł, jak patrzył na jej ubrania w szafie, łzy spływały mu po twarzy...

Zanim się zorientowała, czarna słuchawka znalazła się w jej ręce.

Nakręciła numer domku. Martin był na drugim końcu czarnego sznura. Z czarnej dziury popłyną jego słowa: Gdzie jesteś?

Słuchawka w ręce Sary mogła słuchać i mówić, i tylko czekała, żeby krzyknąć, wrzasnąć na nią.

Drżąc, Sara cisnęła ją z powrotem na ścianę. Gdy oparła się o budkę, zabolął ją guz na głowie.

Wpatrywała się w telefon, który mógł przenieść krzyki i wrzaski Martina. Potem wycofała się z budki i światło zgasło.

Zajrzała przez szybę. Za szkłem wisiał czarny i milczący telefon, zamykając na zawsze Martina z nocą i zatoką Manhasset jak statek w butelce. Odwróciła się. Odeszła.

Mijała pasażerów sklepów, zamkniętych już, z jednym czy dwoma czuwającymi światełkami. Robiło się późno. Sztywne nogi wnosiły ją na krawężniki i z nich znosiły, jakby miała jakiś cel. Następną budkę telefoniczną minęła bez jednego spojrzenia.

Dokąd szła? Czekając na rogu na zielone światło, zapomniała o nim i patrzyła na rosnące w pobliżu drzewo, Drzewko było małe, nieliczne liście poruszał wietrzyk nocy letniej. Ponad najwyższą gałęzią drzewa żeglował między budynkami okrągły księżyc. Bruk chodnika pozostawiał drzewu jedynie maleńki krążek ziemi, powietrza i wody, a i ta przestrzeń była niemal całkowicie zavalona pustymi

pudelkami po papierosach, gazetami, plastikowymi kubeczkami, opakowaniami od gumy do żucia.

Sara zamruła zmęczonymi oczyma i rozejrzała się wokół, jakby przebudziwszy się stwierdziła, że jest na samotnym rogu ulicy, w pobliżu zamkniętych sklepów.

Potarła oczy. Głowa jej pękała, czuła guz we włosach i strupek na nim. Przy oddychaniu dokuczała pierś, a łydki miała tak obolałe, że nie mogła ich dotknąć.

Zegar widoczny na tle nieba pokazywał, że jest już po północy. Następny dzień.

Sara wróciła na dworzec autobusowy. Kilka samotnych osób zagłębiło się w fotelach, gdzieś z ożywieniem gadało radio. Usadowiła się w rogu, włożyła pierścionki do portfela, a plastikową torbę umieściła między stopami. Rozpięła spodnie na tyle, by wyciągnąć długą połę koszuli i wsadzić portfel pod pasek pod ramieniem,

Teraz poczuła senność. Oparła się wygodnie i stwierdziła, że oczy się jej zamykają. Jej ciało było tak zmęczone, że aż bolało, ręce drżały.

Zasnęła w fotelu z otwartymi ustami, jej długie rzęsy trzepotały od czasu do czasu. Chwilami posiniaczona ręka macała portfel albo drgała.

Przez całą noc tykał zegar na ścianie dworca.

Gdy zaczęło świtać, zamieciono podłogi. Czasem drzwi się otwierały i zamykały za gazeciarem albo pasażerem wczesnego autobusu.

O siódmej weszła kobieta w średnim wieku i usiadła obok Sary. Sara wzdrygnęła się i przebudziła, a rozejrzawszy się, nie znalazła sypialni w domu na Cape Cod ani w domku letniskowym. Mrugała oczami i wpatrywała się w dworzec, widząc, że to nie sen. Jego zwyczajne światła i kolory były tak rzeczywiste, że spojrzała na zegar, poszukała plastikowej torby między nogami, portfela pod pachą i znalazła się w nowym dniu, w który nie mogłaby uwierzyć bez zapachu kawy, szelestu czyjejś gazety, samochodów połyskujących w świetle ulicy.

Siedząca obok Sary kobieta w średnim wieku otworzyła

potężną torbę i zaczęła w niej grzebać. Westchnęła i mocno pochwyciła leżące na jej kolanach papierowe torby.

— Nogi mi odpadają — odezwała się do Sary. — Wczoraj cały dzień biegałam po mieście.

Sara czuła suchość w ustach. Chciała się napić kawy.

— Jutro mam urodziny męża. Wyprawiamy je u mojej siostry. Ależ Jimmy będzie miał niespodziankę, gdy się tam znajdzie — myśli, że jedziemy tylko odwiedzić siostrę, która złamała nogę. To się jej przytrafiło, gdy sprzedawała kukurydzę — rzekła kobieta.

Sara wyprostowała się w fotelu, mrugając oczyma.

— Na meczu juniorów, wie pani, chodziła między ławkami.

Sara wyjrzała przez okna dworca. Kobieta nie odezwała się więcej. Sara zamknęła oczy, drzemiała i wpadła do czarnej wody. Usiłowała uratować Martina, ale ciągnął ją w dół, a ona gryzła go po rękach, kopała, uderzała po twarzy, chcąc wyrwać się z jego uścisku...

— W drugiej rundzie — dodała kobieta.

Sara otworzyła oczy. Kobieta mocniej uchwyciła dwie papierowe torby i uśmiechnęła się do Sary.

— Tak — odparła Sara.

Kobieta otworzyła jedną z toreb i sięgnęła na dno.

— Złamanie w dwóch miejscach — powiedziała, ale zorientowała się, że mówi do pustego krzesła. Sara wstała, by kupić sobie bilet do Waterloo w Iowa.

W pokoju wypoczynkowym dla kobiet nie było nikogo. Sara spuszczała wodę, aż stała się gorąca, i zrobiła sobie filiżankę kawy, a potem mleka. Sączyła ją, oparłszy się o ścianę.

Był ranek następnego dnia.

Zesztywniała, bolały ją nogi, głowa i pierś. Lecz skuliła się i uśmiechnęła, opierając się o ścianę, rozkoszując smakiem jedzenia, które sama sobie przyrządziła, gdy minęła noc.

Deszcz, zacinając na ciemnych drogach Iowa, zredukował światła reflektorów autobusu do wąskich, srebrnych linii i załewał przednią szybę. Sara siedziała prawie na przodzie, naprzeciwko dwojga dzieci. Stary farmer oparł się o fotel siwowłosego kierowcy, a dwaj mężczyźni w tyle jeszcze nie zasnęli. Reszta pasażerów wyglądała jak bezładnie stłoczone we śnie ciemne kopczyki, górujące nad pustą puszką po oranżadzie, toczącą się w przód i w tył, w tył i w przód po podłodze. Sara zamknęła oczy, bolała ją głowa. Cisnęła peruka, przytwierdzona do warkoczy spinkami do włosów, nosiła ją już ponad dwie doby. Dotknęła elastycznego spodu peruki i ziewnęła. Dwie noce przespane na dworcach. Dwa dni przedrzemane w fotelu autobusu. Kołysała się i podrywała w tym powolnym, zwyczajnym świecie, gdzie trzeba kupować bilety, czekać na autobusy, a koła muszą się kręcić, kręcić, kręcić. — Absolutnie nic nie słyszał — powiedział stary farmer. Tablica rozdzielcza rzuciła żółty blask na jego kościsty nos.

— Musi mieć zdrowy sen — rzekł kierowca.

W przód i w tył, tył—przód, w tył i w przód — wycieraczki autobusu nigdy nie poruszyły się jednocześnie. Sara patrzyła, jak, luźno umocowane, suną każda sobie,

lecz czyściły szybę, zataczając wielkie łuki. Farmer gapił się na nie, jakby widział w życiu wiele przypadkowych, nie dopasowanych rzeczy, które jednak działały.

— A i droga prosta jak strzelił, trochę na wschód od Solonu.

Sara siedziała sama w ocienionym fotelu przy oknie, podrygując,, wdychając zapach wilgotnych ubrań. Dwoje dzieci naprzeciwko niej było promiennie oświetlonych — zapaliły sobie lampki do czytania. Słyszała rozmowy przez szum silnika, miękki szelest sunących opon, klekot gum wycieraczek.

Przyglądała się kątowi padania deszczu na szybę — prawdziwego deszczu w prawdziwym świecie, gdzie ludzie mają prawdziwe nazwiska. Sama wyglądała całkiem prawdziwie. Zacisnęła zęby, przyglądała się dzieciom i czuła głód. Chleba i sera starczy jej tylko na kolację. Musi oszczędzać pieniądze. Nikt na świecie jej nie pomoże, nie nakarmi, nie przenocuje, ponieważ Sara nie żyje.

Strugi deszczu spływały z wycieraczek. Ich szalony taniec bawił staruszka i kierowcę, obaj się uśmiechali.

— Poważnie? — spytał kierowca.

Farmer rozparł się z uśmiechem, Sara ujrzała, jak ten uśmieszek nieoczekiwanie przeszył mu twarz, zdawało się, że i jego samego to dziwi.

— Zjechał z prostej drogi rychtyk na podwórko Claya i przejechał dookoła raz i drugi tuż pod oknami sypialni o drugiej w nocy, a Clay powiada, że nawet nie słyszał, jak samochód rozwalil mu ogrodzenie koło paśnika. Zniszczył pięć metrów płotu. Mówię Clayowi, tak jak tyś powiedział, z czego do diabła tak głuchniesz w nocy?

Przejechała półciężarówka. Siwowłosy kierowca uniósł lewą dłoń parę centymetrów nad kierownicę. Przez całą drogę Sara obserwowała, jak pozdrawia w ten sposób każdą ciężarówkę czy autobus, unosząc rękę na parę sekund, zanim dwa ciężkie ładunki miną się o pół metra czy metr gwałtownie wirującego powietrza.

Na skórze Sary wciąż jeszcze była sól z oceanu, lepiły się od niej włosy. Mogła przesiedzieć w parku Waterloo albo

na dworcu, potem wsiądzie do autobusu do Cedar Falls i poszuka gdzieś taniego pokoju. Może zapytać na uniwersytecie. Szkoła letnia prawdopodobnie już się skończyła, lecz biura mogą być czynne. Patrzyła, jak kierowca unosi rękę, po czym ją opuszcza. Nie można odkręcić tego, co się zrobiło, tak jak się cofa taśmę filmową. Nigdy nie będą mogli wyskoczyć z oceanu stopami naprzód, pożeglować tyłem do przystani i wejść z powrotem na górę po schodach plażowych, stopień po stopniu, do miejsca, skąd wyruszyli. Nie mogą przywrócić sobie nazwiska ani życia. Mogą się tylko wykluczyć, raniąc ludzi swą śmiercią. Deszcz w Iowa spływał po szybie. Sara obserwowała siedzące naprzeciwko dzieci. Włosy starszego chłopca miały w świetle kolor prażonej kukurydzy, biały, z żółtawym odcieniem i jasnymi refleksami, jak odbicie światła w kryształach.

— Mówiłeś coś? — zapytał siedzącego obok młodszego chłopca. Nie uzyskawszy odpowiedzi, odchylił się i zsunął niżej, aż jego oczy zrównały się z oczami malca. — Mówiłeś coś? — mruknął z udawaną wściekłością.

W małej, beznamiętnej twarzy usta wreszcie otworzyły się i powiedziały: — No. — Dziecko mocno zacisnęło pięści. — Mam osiem białych myszek. Jedna nazywa się Minierwa.

— Gdzie?

— W domu. Ale tu mam jedną, schowaną w kieszeni. Autobus wziął zakręt. Sara myślała o ewentualnych drobnych potknięciach: mokry odcisk stopy na podłodze... wieczorem mógł pływać ktoś, kto widział blondynkę, wychodzącą na brzeg koło dwu ciemnych domków. Patrzyła, jak wyprzedzający ich samochód zostawia na mokrej autostradzie błyskawicznie zanikające smugi. Stary farmer mówił z-kamienną twarzą:

— Potem zwałił Clayowi dwie jabłonki i rozpieprzył mu motykę rotacyjną i kultywator, co je tam trzymał. Potem żłób. Wywalił z mego stertę siana. Niech mnie, jeśli ten stary dureń się wtedy nie zatrzymał. Potem znowu ruszył

i wjechał na starą szopę, co to ją Clay jeszcze miał. A potem dodał gazu i jak nie posunie ścieżką dla krów prosto w świeżo zaorane pole. Ciągnął tak więcej niż kilometr, aż nareszcie utknął.

— Schlał się — powiedział kierowca.

— Ma się rozumieć — przytaknął farmer.

W przód i w tył, w tył — w przód, w przód — w tył i w tył, i w przód.

Autostrada sunęła pod Sarą, miała pręgę na plecach. W wysadzonym diamentami blasku deszczu i reflektorów dłoń kierowcy unosiła się, opadała. Bujne, ciemne łany zboża piły deszcz po obu stronach drogi. Za każdym razem, gdy Sara wychodziła na przystanek, by nieco się przejść i rozprostować nogi, czuła czarną ziemię,

Starszy chłopiec pogładził białe jak światło księżycyca mysie futerko.

Myszka siedziała w jego kapeluszu, czyszcząc pyszczek i uszka obnażonymi różowymi pazurkami jak rękami.

- Dlaczego byłeś w szpitalu? — spytało młodsze dziecko.

— Miałem wypadek — odparł starszy chłopiec. — Ja i mój młodszy brat. Wypadł z samochodu. Był jeszcze w przedszkolu. — Posadził myszkę na skulonej dłoni i podniósł ją do oczu. Jej cieniutkie jak pajęczyna wąsiki bez przerwy się poruszały. — Strasznie malutka — rzekł.

— Co się stało z twoim bratem?

— Umarł.

Sara przyglądała się mokrej autostradzie. Ostatniego popołudnia w Montrose lało bez przerwy, a ona cały czas wałęsała się po małym domku w Cape Cod, szalejąc na myśl o ryzyku, które będzie musiała podjąć; jeśli Martin weźmie łódź, a ona da nura i jeśli zdoła niepostrzeżenie dobrnąć do brzegu, dotrze do Bostonu, a jeśli...

Jeżeli. Przypomniała sobie, jak stała w ich sypialni koło nocnej szafki, na której afrykańskie fiołki jarzyły się bukietami promiennej różowości, bieli, błękitu, fioletu. Gdyby rzeczywiście przeprowadziła te wszystkie prawie niemożliwe rzeczy, które sobie zaplanowała, być może już nigdy nie ujrzy tego domu. Fiołki zwiędną. Martin na



pewno ich nie zauważy i nie podleje. Zmarnieją na kupkę brązowego śmiecia.

Pod promiennymi fiołkami w zielonych rozetach ścieliły się liście. Każda roślina była doskonała, Sara miesiącami układała liście w kręgi wokół kwiatnych pagórków.

Deszcz spływał po oknie sypialni.

Nie wiedziała, co robi, co może zrobić,

Potem sięgnęła i odłamała jeden liść z idealnego kręgu.

Nie zdziwiłaby się, gdyby roślina krzyknęła, kiedy zrywała liść. Słyszała tylko deszcz bijący o szyby i cichy szum świateł.

Rozerwała krąg wokół następnej rośliny, a potem jeszcze jednej.

Odcinała żyłką łodyżkę każdego listka, zawijała go w wilgotną watę i plastik, a później wszystkie razem łącznie z żyłką schowała do pudełeczka. Napęliła dwie torby ziemią i wermikulitem i razem z liśćmi schowała pod ubrania na dno walizki, kryjąc mały, tajemny ogródek.

Gdziekolwiek znajdzie dom, z każdego liścia wyrosną nowe rośliny.

Gdy tej samej nocy weszła do łóżka z Martinem, ostatnią rzeczą, jaką widziała, były półki z fiołkami. Połamane rozety mówiły jej, że odejdzie, jeśli zdoła, że chce spróbować, że to nie marzenie.

Teraz owe liście leżą w plastikowej torbie na jej kolanach.

Wiatr walił deszczem, zacinającym o szyby autobusu. Przez pięć mil na przodzie pojazdu panowała cisza. Staruszek zaglądał kierowcy przez ramię, kierowca patrzył na szosę. Wreszcie zapytał:

— Kiedy Clay zauważył, że coś się dzieje?

— O piątej rano. — Twarz farmera znowu wykrzywiła się uśmiechem.

— Clay obudził się i zobaczył dziurę w płocie i siano porzucane na podwórzu. Jak godzinę potem doił krowy, szczeniak przyszedł i spytał, czy Clay wyciągnie go z tego pola.

Dwaj mężczyźni siedzący za Sarą roześmiali się głośno. Farmer zerknął przez ramię, jakby dopiero teraz zorientował się, że tam są. W oczach błyszczały mu światełka tablicy rozdzielczej.

— Nno — powiedział, rozpierając się na siedzeniu i zakładając ręce. — Oznajmił, że się zgubił.

Tym razem mężczyźni ryczeli ze śmiechu. Staruszek rzucił im szybkie spojrzenie i zagłębił się w fotelu. Mały chłopczyk powiedział:

— Klatki można dostać w sklepie z rupieciami. Potrzebuje takiej małej, z kołem, żeby mogła biegać, a śpi w tekturowej rolce od papieru toaletowego. Nie kładź gazet do klatki. Drze je, potem się brudzi i tak się myje, że od tego choruje.

— Na pewno masz więcej myszy? Na pewno możesz mi ją dać? — spytał starszy chłopiec.

Jego towarzysz z powagą skinął głową.

— Masz agrafkę. Zapnij ją sobie w kieszeni. — Popatrzył na siedzącego obok chłopca.

— Twojego brata włożyli do ziemi?

— Tak.

Myszka usiłowała wygrzebać się z kieszonki koszuli chłopca.

— W deszczu? — Oczy chłopczyka były szeroko otwarte. Za każdym razem, gdy myszka wdrapywała się do góry kieszonki, starszy chłopiec spychał ją na dół. Jego towarzysz przestał się gapić i zaczął wyciągać wielką agrafkę z kieszeni dzinsów.

— Nie — rzekł po chwili starszy chłopiec. — Był ładny, słoneczny dzień. Zapaliły się światła w autobusie. Latarnie mrugały w mokrych szybach.

— Waterloo — zaintonował kierowca. Farmer nadal opierał się o jego siedzenie.

— Gdy szeryf przyszedł do obejścia Claya następnego ranka koło ósmej, wie pan, o co oskarżył szczeniaka?

— Nie. O co? — rzekł kierowca, skręcając autobusem za róg, podjeżdżając do krawężnika.

Otworzył drzwi, po czym odwrócił się do staruszka. — Nieostrożna jazda, utrata kontroli nad pojazdem. — Wybuchnął takim śmiechem, że nawet kierowca uśmiechnął się szeroko.

— Do tego czasu cały alkohol z niego wyparował. Staruszek zastawił sobą przejście, zatrzymując się, jakby miał wygłosić pointę.

— Miesiąc minął, zanim Clay doprowadził gospodarstwo do porządku. Ale szczeniak upierał się, że nie pamięta absolutnie nic z tego, co się działo tamtej nocy. Żeby nie ten burdel na podwórku i rozpieprzony samochód, nikt by nie wiedział, że w ogóle coś się stało.

Wysiadł z autobusu śmiejąc się, szczerząc zęby, prostując ramiona i wysuwając do przodu podbródek.

Deszcz już prawie ustał. W lśniących chodnikach odbijał się neon baru i kawiarni. Sara wysiadła z autobusu i poszła za kierowcą na dworzec.

Niósł stos pudeł, toteż wszedł przez drzwi tyłem, mówiąc: „Cześć Gorge” do ziewającego mężczyzny za biurkiem.

— jechał z tobą P.R.? — spytał George.

Był tłuściochem i przysunął kałdun jak najbliżej szyby, by wyrzeć przez okno.

— Ano. Ile mu zostało, wiesz?

— Ostatnio słyszałem, że ze dwa, trzy miesiące.

— Ma jakąś rodzinę?

— Sam jak palec — rzekł tłuścioch- — Opowiedział ci tę historię o pijanym kierowcy na farmie Claya?

— Nie opuścił ani kawałeczka — powiedział siwowłosy kierowca. — Powinien przedstawiać na scenie.

Minął P.R., poklepał go po plecach, wszedł po stopniach autobusu i zamknął drzwi.

Sara wyglądała przez okno dworca. Stary farmer patrzył, jak autobus odjeżdża, a twarze w środku przemykają nad jedynym człowiekiem pozostawionym na ulicy. Autobus rzucił z okien na chodnik smugi ciepłego żółtego światła, lecz jego smukła, zrywna sylwetka, pomalowana po bokach, skierowała pysk ku dalekim przestrzeniom, rozszerzywszy klatkę piersiową głębokim wdechem i wciągnąwszy brzuch.

Staruszek pozostał na swoim miejscu, śledząc wzrokiem autobus, jak długo się dało. Daleko za rogiem pojazd skręcił, jego ostatnie okno z tyłu mrugnęło i znikło. Sara usłyszała odległy dźwięk zmienianych biegów. Staruszek pozostał teraz samotny na długiej, błyszczącej ulicy, która milcząco wystawiała swe światła.

Następnego popołudnia Ben Woodward patrzył, jak brunetka z dużą plastikową torbą idzie po Seerley Boulevard pod drzewami dzikiej jabłoni, krocząc nieco sztywno w cieniu, potem w słońcu, potem pod osłoną klonowych liści ulicą Bena. Miała ładne piersi, ale poza tym same kości. Słońce rzucało błyski na jej krótkie włosy.

Odwróciła wzrok, gdy ujrzała Bena. Pchał po swym gazonie kosiarkę, był to hałaśliwy potwór.

Brunetka spojrzała na numer sąsiedniego domu i weszła po schodach, by zadzwonić do poobijanych drzwi pani Nepper.

Ben dalej kosił, nie zauważył, że dwukrotnie przejechał ten sam kawałek.

W krzewach, pokrytych bujnym białym kwieciem, leżał zwinięty, pożółkły egzemplarz miejscowej gazety. Ben wyciągnął go i zaczął czytać wiadomości z Iowa sprzed dwóch miesięcy.

Pani Nepper podeszła do obitych siatką drzwi werandy i rzekła do brunetki:

— Proszę, proszę wejść.

Gdy Ben skończył kosić trawnik przed domem, wszedł do środka i spojrzał na brudne ubranie, wciśnięte na krzesło w saloniku. Na popiersiu Szekspira zostawił pustą puszkę po piwie. Po chwili zauważył, że krąży od okna do okna po swojej stronie domu, obserwując sąsiadów. Pani Nepper trzymała rupiecie na górze, a dół odnajmowała.

Wreszcie pani Nepper pojawiła się na frontowych schodach, mówiąc przez siatkę na werandzie:

— A więc umowa stoi. Niech pani zatrzyma telefon na moje nazwisko, nie będzie pani musiała płacić za zmianę. Czynsz pobieram co miesiąc. Śmieci zabierają z tamtej alejki. Na College Street jest autobus do centrum handlowego.

Pani Nepper powtarzała się jak kukułka w zegarze, nad jej starą, jakby w brązowym drewnie wystruganą twarzą powiewała kępka białych włosów. Ben słyszał, jak mówiła: „śmieci z alejki” i „na College Street”, odchodząc do swego domu trzy bloki stąd.

Ben nie mógł się uspokoić. Gdy po chwili wszedł do kuchni, usłyszał, jak skrzypią drzwi tylnej werandy. Brunetka szła w kierunku alejki. Mógł obmyć twarz z potu i wyjść, by się przedstawić.

Przyglądał się, jak dziewczyna wraca zarośniętą ścieżką. Wyglądała na zagłodzoną, lecz oczy miała bardzo błękitne. Górna warga była pełniejsza niż dolna. Ponownie usłyszał skrzypienie drzwi werandy za domem.

Ben przejrzał się w lustrze w kuchni. Mógłby powiedzieć: „Wie pani co — a może wybralibyśmy się na przedstawienie w Old Creamery Theatre? W przyszłym tygodniu? A przedtem poszlibyśmy na obiad?”

Przeczesał palcami kędziory nad oczami. Musi sprawdzić kostiumy do Kandyda i naszkicować pewne zmiany w scenografii. Usiadł przy biurku i słuchał, jak prycha klimatyzacja.

Weranda z tyłu domu pani Nepper schodziła do ogródka, zarośniętego liliowcami, floksami, mieczykami i piwoniami. Drzwi otaczały drzewka bzu. Gdy Sara wyszła, skryta w tej zieleni, zauważyła wąską ścieżkę między gęstwiną bzu. Rósł on przy płocie z sekwojowego drewna, otaczającym sąsiedni dom, stary tak jak jej. Na tej tajemnej ścieżce bawiły się dzieci, przy zakurzonej trakcie leżały naczynka z żołądzi. W sąsiednim starym domostwie rolę garażu pełniła stodoła, jej zaś w ogóle był go pozbawiony. Zespół miejskich podwórek harmonijnie łączył się z przydomowymi trawnikami i ogródkami. Tylko jej ogródek był zarośnięty.

Narożny dom wychodził na Seerley Boulevard, a jego drzwi z tyłu na jej podwórko. Nad drzwiami widniał łuk, jak jedna, wymalowana na białym brew. Aksamitna trawa przed drzwiami otaczała klomb chryzantem.

Sara wróciła do kuchni, czując zawrót głowy, uśmiechając się głupawo do starych szafek kuchennych, lodówki, piecyka. Całe mieszkanie! Nie mogłaby sobie na nie pozwolić, lecz pani Napper powiedziała:

— Obniżę pani czynsz, skoro chce pani to odmalować. Pomaluje ściany kuchni na pomarańczowo, a wszystkie elementy drewniane na kremowo, tak samo stół i krzesła. Na podwórku rośnie tyle paproci. Mogłaby pomalować parę doniczek, które widziała na podwórku, i zawiesić je w długim oknie kuchennym.

Piecyk, zlew i lodówka były oblepione wapnem i tłuszczem. Pod zlewem znalazła proszek do szorowania, druciak i trzy butelki w połowie wypełnione szamponem, a także górę szmat i parę bawełnianych rękawiczek, które na nią pasowały. Od razu może zabrać się do pracy.

Wydało się jej, że w sypialni niegdyś znajdowała się jadalnia. W jednym końcu wydzielono małą łazienkę. Łazienkę pomaluje na kremowo, sypialnię na żółto, a salonik na złoto. Ileż to rodzin zastanawiało się, co zrobić z takim dużym, bezużytecznym holem? Urządzi w nim gabinet. Dębowe schody skręcały na półpiętrze i kończyły się na górze przed zamkniętymi drzwiami.

Sara ujrzała panią Nepper podchodzącą ścieżką do sąsiedniego domu.

— Jak się pani miewa? — powiedział męski głos, gdy nacisnęła dzwonek. Męska ręka otworzyła przed panią Nepper obite siatką drzwi.

— Może pani wejdzie?

— W żadnym razie. Strasznie się śpieszę — rzekła pani Nepper. —

Poszłam i wyleciało mi z głowy, gdy wynajmowałam swoje mieszkanie tu obok. Mam dla pana zaproszenie. — Wymachiwała kopertą. — Tak się śpieszę. Na ślub siostrzenicy. — Jej ostry głos dochodził do otwartego okna Sary.

Sara odeszła, nie chcąc podsłuchiwać. Zdjęła ze ściany

kawałek taśmy samoprzylepnej, studenci college'u bez przerwy wieszają wszędzie plakaty, powiedziała pani Nepper. Gdy Sara odlepiła trzeszczący, pożółkły papier, pozostawił po sobie brązowy prostokąt. Każdy pokój był obdrapany, brudny i z odpadającym tynkiem, lecz miała czas, a czynsz był tak niski, że zapłaciła za miesiąc z góry. Wszystkie pokoje należały do niej. Och! rzekła raz do swych czterech pokoiów z łazienką, uśmiechnęła się i szeroko rozwarła ramiona.

Będzie miała żółtą sypialnię. Pościel na podwójnym mosiężnym łóżku była zniszczona, lecz czysta, podobnie jak i ręczniki w łazience. Należała do niej każda szuflada w pustej serwantce, a także szafa pełna wieszaków. Zdjęła wreszcie perukę, rozplotła pozlepiane, słone włosy i z rozkoszą podrapała się w głowę, uśmiechając się nawet wtedy, gdy natrafiła na strupek w miejscu, gdzie jej głowa uderzyła w drzwi letniego domku. Wanna stała na nóżkach i miała dziwaczny prysznic: metalowe kółko u sufitu i odgradzającą go zasłonę. Wszystko było brudne, ale działało. Woda w toalecie lała się z solidnym gulgotem. Z kurków spływała ciepła i zimna woda. Można prać, kąpać się i myć szamponem.

Słyszała, jak pani Nepper mówi:

— Na pewno pan ją pamięta. Z zajęć ze „Stosunków międzyludzkich”, które pan prowadził zeszłej jesieni? Karen Birtch?

Męski głos powiedział:

— Tak, ale chyba nie...

— Musi pan przyjść. Niedawno tu przyjechali i nie mają wielu znajomych

— za mało, żeby wypełnić kościół \*— a nie mamy dużej rodziny. Będą moje koleżanki z kółka brydżowego i Laura Pray, ta nowa panienka.

Widział ją pan? Właśnie wynajęła ode mnie mieszkanie w sąsiednim domu. I chciałabym, żeby. pan też przyszedł.

— No cóż — zawahał się mężczyzna.

— Niedawno przyjechali do miasta i nie mają wielu znajomych, a nasza rodzina...

— Dobrze — ustąpił. — Chętnie przyjdę.

— Zawsze mówiłam, że śluby zbliżają ludzi, nie uważa pan? O wpół do jedenastej rano, żeby uniknąć upału.

Pani Nepper dwukrotnie powiedziała „do widzenia” i idąc ulicą powtarzała „zbliżają ludzi” oraz „wpół do jedenastej”.

Najpierw wymyć łazienkę. Szmata wziętą z kuchni związała włosy z tyłu i włożyła do wanny zasłonę od prysznic, żeby się wymoczyła. Szorując na klęczkach podłogę, Sara przypomniała sobie pozalewane uryną krawędzie sedesu i małe żółte kałuże na bokach.

Ciągle na klęczkach, Sara roześmiała się. „Mój pierwszy mąż umarł, a przyjaciele pytali, czy nie chcę ponownie wyjść za mąż, a ja powiedziałam: A kto by sobie dwa razy wpychał fasolę do nosa?”

W końcu Sara wyszła z łazienki. Nogi tak ją bolały, że musiała pochwycić gałkę u drzwi, by się podnieść. Stalowy zmywak odczyścił poźółkły воск z czarnego kremu owych kwadratów linoleum. Zasłona od prysznic była czysta i schła, podobnie jak umywalka, sedes i wanna — odtąd nie będzie już czyścić cudzych brudów, tylko własne.

Sara krążyła po cichych pokojach. Pędzle... wałek... gips... papier ścierny... gdyby znalazła pracę i miała trochę pieniędzy. Farby kupi pani Nepper. Wyrzała przez okno na huśtawkę na werandzie, zawieszoną na łańcuchach. Wokół werandy przed domem rosły paprocie, forsycje, konwalie. Na górze nikt nie mieszkał. Przed domem miała piękny miejski park.

Tanie siatkowe firanki w jej oknach lekko drżały, poruszane popołudniowym wietrzykiem. Ben ponownie spojrzął w lustro, po czym zaczął krążyć od okna do okna. Wziął prysznic, wypił piwo i stwierdził, że znowu miota się między oknami.

Sara chodziła w tył i w przód, w tył i w przód, potem stanęła i zaczęła tańczyć na dywanie w saloniku, śmiejąc się do siebie. Chwyciła plastikową torbę i wyrzuciła jej zawartość na łóżko. W niedzielę wieczorem dała nura do zatoki. Dziś, we środę, rozpakowuje się w Cedar Falls w Iowa, kładąc ołówek do brwi i szminkę do jednej szuflady, perukę do drugiej, liście fiołków i wszystko, co potrzeba, by je



zasadzić, do kuchni, mokre ubranie do łazienki. Nalawszy szamponu do umywalki, sprąła słoną wodę z Manhasset Bay z koszuli, spodni i czarnej jedwabnej kombinacji.

— Nie! — krzyknęło dziecko pod oknem jej sypialni. Sara nie mogła nic dojrzeć przez gęste poszycie liści bzu, ale słyszała tarposzenie i krzyki.

— Jestem matką! — powiedział ktoś ze zniecierpliwieniem.

W wysokich, tchnących upałem drzewach grały cykady. Może Laura Pray robi sobie obiad, pomyślał Ben i włożył swój do kuchenki mikrofalowej. Może potem wyniesie śmieci.

Ben jadł w kuchni, skąd mógł nasłuchiwać posuwistego skrzypienia drzwi werandy od tyłu. Usłyszał je koło siódmej, splukał z rąk wodę ze zmywania naczyń i sprawdził w kuchennym lusterku, jak prezentują się jego włosy. Witam sąsiadkę, mógłby powiedzieć. Nazywam się Ben Woodward. Uczę na uniwersytecie.

Patrzył, jak chodzi po dżungli podwórka z tyłu domu, gdzie znajdował się śmietnik. Nie była mocno opalona, a zimą jej skóra będzie tak jasna, że prawie nabierze odcienia błękitu. Zbyt długi nos i małe usta nie dodawały jej urody, ale razem wzięwszy, była piękna, a w każdym razie mogłaby być, gdyby nie jej niezwykła chudość i zmęczenie. Bardzo mi miło, mogłaby odpowiedzieć. Chętnie pójde z panem na obiad i na przedstawienie.

Drzwi zamknęły się za nią.

Ben spojrzał spode łba w lustro nad zlewem, skończył zmywać naczynia, zrobił parę ćwiczeń i poszedł do gabinetu pracować nad Kandydem.

Był sam we własnym domu. Nie było to takie złe. Było dobre.

Wystarczało mu. Praca na uniwersytecie, kawałek ziemi na własność, pieniądze w banku i żadna kobieta nie zrzędzi; „Nie. Nie teraz. Jeszcze nie.”

Ben patrzył, jak chyba w oknie jej saloniku wydymają się siatkowe firanki.

Sara zsunęła sandały i położyła się na łóżku, wyciągając ręce i nogi ku czterem rogom.

Gapiała się w górę, jak może się gapić ciało, gnijące na

plaży. Oczy jej wezbrały łzami. Matka pewnie pomyśli, że już nie ma dzieci... nikt nie odwiedzi jej o czwartej w sobotnie popołudnie. Nad Sarą unosiły się jej kłamstwa, potężne i okrutne jak fale w zatoce. Ludzie płakali, ponieważ umarła. Nosili po niej żałobę, byli samotni i jej szukali. — Jesteś podły! — wrzasnął ktoś pod oknem sypialni Sary. — Idę do domu!

Sara spojrzała na sufit. Były na nim plamy. Tak samo jak na jej rękach, nogach i piersiach. Zacisnęła zęby. Gdy znikną te sińce, nowe już się nie pojawią i będzie mogła nosić szorty i koszule z krótkimi rękawami. Trzy noce nie przespane w łóżku. Ciągle jeszcze pokrywała ją sól, iepily się od niej włosy, lecz teraz sama będzie mogła je umyć — koniec z fryzjerami.

— Kto mi pomoże? — powiedziała na głos. Położyła ubranie na łóżku i wpełzła do czystego namiociku w wannie wokół prysznic. — Najlepiej jak mogłam — dorzuciła i rozpieniła sobie szampon na całym ciele, tak że resztki Atlantyku spływały do kanalizacji w białym wirze. Cała drżąca weszła do basenu w klubie sportowym. Kobiety pocieszały ją, zachęcały, by postąpiła jeden krok, potem następny. Z początku robiło się jej niedobrze, co dzień Joe z krzykiem zapadał się pod powierzchnię basenu. Zmuszała się trzy razy w tygodniu, czując mdłości i trzęsąc się ze strachu, lecz wchodziła coraz to głębiej, Pewnego dnia jej strach się rozwiął, błękitna woda trzymała ją w ramionach, a ona raz po raz przepływała całą długość basenu jak szalona maszyna. Wszyscy wydawali radosne okrzyki i klaskali.

Zaplótnszy mokre włosy, Sara spojrzała na przybory do czyszczenia pod umywalką. Zostało jej już bardzo mało pieniędzy, kupi tylko najbardziej pożywne i najtańsze jedzenie, płatki owsiane i fasolę. Gdy była mała, jej rodzina odżywiała się tym tygodniami. W lodówce stała butelka keczupu, a w kredensie pudełko soli. Nie musi nikogo prosić o pieniądze. Nikt jej nie będzie zaglądał do torby z zakupami, gdy wróci do domu.

Wypakowała liście fiołków afrykańskich, były jeszcze

świeże i zielone, lecz już długo nie wytrzymają. Teraz zrobiło się jej aż niedobrze z głodu. Rozłożyła na stole banknoty dolarowe i drobne.

Centrum handlowe College Square znajdowało się tylko

0 półtora kilometra wzdłuż University Avenue. Sara naciągnęła perukę na mokre warkocze i wzburzyła ją. Była brunetką. Nazywała się Laura Pray. Brzmiało to na tyle podobnie do Sary Gray, że w razie czego zareaguje bez zastanowienia.

Laura Pray wzięła wszystkie pieniądze, jakie miała,

1 poszła chodnikiem, w którego każdym pęknięciu rosła trawa.

Zatrzymała się, by spojrzeć na cały dom, który miała tylko dla siebie, wyobrażając sobie, że mieszka w jednym pokoju i gotuje na elektrycznej płytce.

Jej dom był kwadratowy, na froncie miał dużą werandę obitą siatką przeciw owadom, stał wysoko na nasypie, ocieniony wysokimi drzewami i częściowo wśród nich skryty. Z jednej jego strony stał budynek z cegły. Z drugiej, w narożnym skrawku ziemi, cisnął się czerwony domeczek, którego frontowe drzwi wychodziły na Seerley Boulevard, a tylne na jej dom. Odgradzał hałas uliczny z Seerley, ale wytwarzał własny zgiełk — gdy przechodziła, z okna na piętrze dobiegał ryk dzikiej nowoczesnej muzyki.

Ben patrzył, jak szła. Laura Pray. Krótkie ciemne włosy. Lubił blondynki.

Ujrzał lśniące włosy Debory, zanim wyłączył pamięć.

Długie, przylegające, srebrzyste włosy. Ben patrzył, jak Laura odchodzi.

Nigdy się już tak nie zbliży ani nie poczuje tego ciosu w żołądek, gdy kobieta odwraca się, mówiąc: „Nie ty. Ktoś inny.”

Laura Pray. Patrzył, jak znika za rogiem Seerley Boulevard. Jej pośladki ledwo się zaznaczały pod spodniami. Trzeba by jej dawać dobre, tuczące posiłki. Westchnął i spojrzął na szkic starej kobiety z Kandyda, która miała tylko jeden pośladek. Ktoś odciął jej drugi, gdy była młoda i brakowało jedzenia. Nikt nigdy nie przepuszczał tego szczegółu u Woltera, zatem jej kostium winien mieć z tyłu wypukłość z jednej strony. Miał własny dom, dobrą pracę.

Firanki brunetki falowały w wieczornym wietrzyku.

Następnego dnia Sara ujrzała mężczyznę, koszącego trawnik na sąsiednim podwórku z tyłu starego, ceglanego domu, o dachu krytym gontem. „Ben Woodward”, powiedziała jej pani Nepper. „Profesor na uniwersytecie.” Był rudy, tak jak Joe, włosy na nagiej piersi miał rudozłote, na długich nogach nosił obcisłe dżinsy. Sara stała za firanką. Miała na sobie tylko staniczek 1 majteczki bikini, gdyż zamierzała umyć sufit w kuchni, a musiała oszczędzać ubrania — poza tym było tak gorąco. Ben Woodward był wysoki i wyglądał jak drwal, a nie profesor. Kępny, ciężko stapał po podwórku wielkimi stopami. Staj teraz pod drzewem z opuszczonymi rękami i kręcił głową w tę i nazad, jakby miał sztywny kark. Sara obserwowała go, myśląc o wielkich pięściach, o przymuszaniu... Spojrzała też na jego jabłonkę. Ben Woodward kopał leżące na ziemi jabłka, zdawało się jej, że słyszy, jak przeklina. Przypuszczała, że chce kosić trawę, a jabłka mu przeszkadzają. Ślinka napłynęła Sarze do ust. Mus jabłkowy. Pieczone jabłka. Zacisnęła zęby i skupiła uwagę na sąsiednim domu. Nie był tak stary jak jej, ale dość wiekowy. Miał dwuspadowy

dach, a czerwone gonty i front z cegły były obwiedzione na biało, tak że wyglądał jak dziecinny rysunek stodoły. Może, myślała wygłodniała Sara, bardziej przypominał czerwona-wobrazowe ciasto czekoladowe, z którego między piętrami wypływał biały lukier...

Nie widziała tam żadnej kręcącej się kobiety.

Sara włóczyła się od okna do okna. Może Ben Woodward zajmował cały dom, górę i dół. Czy mieszkał sam? Będzie się starała trzymać jak najbardziej na uboczu. Opierając się

o parapet od frontu, przez siatkowe firanki patrzyła na Seerley Park.

— Spioreę cię w domu! — wrzeszczała mała dziewczynka, biegnąc po gazonie Sary.

— Tchórz! — krzyknęło inne dziecko.

Za nim toczył się malec, mokre pieluszki obciążały mu spodenki.

Sara westchnęła i zaczęła się zastanawiać, czy u Bena Woodwarda jest klimatyzacja. Ona nie miała nawet wentylatora. Pot ściekał jej po twarzy.

Poszła odmyć tłuszcz z kuchennego sufitu, aż rozboleł ją nadgarstek.

Zeszła z drabiny pożyczonej od pani Nepper i krążyła po pokoju. W domach wokół parku gotowano teraz dobre obiady. Zobaczyła różową soczystość steku... tłustego, pieczonego ziemniaka ze śmietaną, ściekającą do smakowitego, parującego środka... lody czekoladowe, na których gęsty, gorący karmel twardnieje i świeci, ściekając po lodowych kulkach...

Nie ma forsy. Nie ma żarcia prócz owsianki i fasoli. Chwyliła nóż kuchenny i lewą ręką zaczęła odskrobywać tłuszcz z piecyka, przypominając sobie, jak wielkie ręce Martina zmieniają się w pięści i dotykają ją tylko kości, nie pieszczące palce... jego szklaneczki do wina, lepkie od sherry, którą nalewał nie patrząc. Sąsiad będzie miał mnóstwo do jedzenia, gdy skończy koszenie trawnika...

Nie miała własnego domu, prawa jazdy, numeru ubezpieczenia... Łzy popłynęły jej w kąciaki ust. Wytarła lepki brązowy tłuszcz z piecyka starą gazetą. Ruszt nie będzie

się obracał, jeśli nie przymocuje go do ramy kawałkiem drutu.

W parku wołały do siebie dzieci.

Słyszała, jak Ben Woodward zapuszcza silnik w starej stodole. Może wyjeżdża zjeść dobry obiad z przyjaciółmi albo kochanką. Popatrzą na menu...

Sara odskrobała tłuszcz, potem wyszorowała piecyk proszkiem.

Wyglądał prawie jak nowy. Kichając od unoszącego się z proszku pyłu, podniosła się i poszła odpocząć do saloniku. Siatkowe firanki i cień drzew sprawiły, że wyglądał, jakby był pod wodą, chłodny, ze zmiennymi refleksami światła. Stół był stary, lecz postawi na nim stokrotki w wazonie z grubego szkła.

Ponownie zaczęła odskrobywać sufit w kuchni. Chodząc w górę i w dół po drabinie, słyszała, jak Ben Woodward wjeżdża do swej stodoly, i pomyślała, że może powinna wyglądać nieco gorzej, by żaden mężczyzna nie zabił się z jej powodu. Niosła ze sobą śmierć, jak blondynka z jakiegoś starego filmu, która wyjęła zawleczkę z granatu ręcznego, włożyła go sobie za rozpiętą bluzkę i podążyła w kierunku nieprzyjaciela. Sara wzdychała i skrobała, aż rozboleła ją nadgarstek, lecz sufit był wyczyszczony. Potem wzięła prysznic i usiadła na huśtawce, zawieszanej na werandzie przed domem; łańcuchy cicho skrzypiały. Usiłowała nie myśleć o steku, pasztecikach ani kurczakach i patrzyła, jak parę domów dalej, po Seerley Boulevard, jadą samochody w kierunku uniwersytetu. Mogła podejść do centrum handlowego, poczty, biblioteki, wykładów uniwersyteckich, koncertów i przedstawień teatralnych.

Nie potrzebowała urzędu pocztowego.

Była odcięta. Jej matka leżała samotnie, myśląc, że nie ma już dzieci, nikt nie odwiedzi jej w sobotnie popołudnie. Sara zauważyła, że gapi się na gałązki i nasiona klonu, które zaplątały się przed siatką werandy.

Westchnęła i wpatrzyła się w piękny, zielony Seerley Park. Nikt jej nie podglądał, by przyłapać na robieniu czegoś nie tak. Dziś w nocy nikt jej nie wykopie z własnego

łóżka, bo jest wściekły i pijany. Wyciągnęła zeszywniałe nogi, bujając się na werandzie, wychodzącej na trawę i drzewa. Poszła obejrzeć rząd bżów, tworzących tunel liści w kształcie serca wzdłuż płotu Bena Woodwarda. W wiecznie zielonym drzewie wznoszącym się obok werandy mieszkały dwie wiewiórki. W nocy pohukiwała sowa.

Ze starego czerwonego domu naprzeciw Seerley dochodził dziki rytm muzyki. Sara zamknęła drzwi od kuchni, by odgrodzić się od hałasu. Czekał na nią obiad, przyrządziła fasolę z keczupem. Znalazła parę ogarków świec, tak że jadła przy świetle mrugających płomyków i bez żadnych dźwięków prócz równego rytmu huśtawek w parku, sporadycznego wybuchu dziecięcych krzyków czy szumu opon przejeżdżającego samochodu.

Sara zostawiła talerz z obiadu w zlewie, naciągnęła perukę, pogasiła światła i absolutnie nikomu nie musiała się opowiadać, dokąd idzie ani kiedy wróci. Nadchodziła noc, wilgotna i słodka pod drzewami.

Zeszywniałe nogi już tak jej nie bolały, ale minie jeszcze jakiś czas, zanim będzie mogła biegać, a nie miała żadnych sportowych bucików. Sara sadziła wielkimi krokami, jakby musiała dotrzymać tempa Joe'emu. Helen Tyler i Edna Grant, stojące pod latarnią na Seerley Boulevard, patrzyły, jak Sara szybko maszeruje pod drzewami parku.

— Nazywa się Laura Pray — rzekła Edna. — Grace Nepper mówi, że zapłaciła z góry. Dostała nazwisko Grace z uniwersytetu. Bardzo miła i spokojna.

Helen obserwowowała swego spaniela, który obwąchiwał pudła Edny.

— Wygląda, jakby była na jakiejś wariackiej diecie — same kości. Ma pracę?

— Na mój gust to nie. Pytała, czy Grace zna kogoś, u kogo mogłaby gotować, sprzątać, czy coś w tym stylu. Albo zajmować się dziećmi. Jakaś taka nieśmiała i nerwowa, powiada Grace. Może nieszczęśliwa w małżeństwie.

— Mogłaby pracować u Hazel George Channing? Leży po tym strasznym wypadku. Nawet nie może sama jeść i nie mówi. Trudno kogoś znaleźć na parę godzin.

— Ktoś by się tam przydał — stwierdziła Helen, szarpiąc smycz Browniego, by zaprzestał tego obrzydliwego obwąchiwania.

— Powiem Grace, a może już o tym pomyślała.

— Podobno Muriel Braun jest umierająca.

— Jack Shaeffer ma cukrzycę. A ile pączków wsuwał każdego ranka w Eagle Grill.

— Mary ciągle zjada półtora kilo masła na tydzień, a nogi ma jak wory cementu.

Pudel Edny owinał smycz wokół jej nóg, musiała pacnąć go parę razy torebką, by się wyplątać.

— Ta Laura Pray mówi, że chciałaby odmalować wszystkie pokoje, po prostu chce to zrobić. Sufity też. Grace da jej pieniądze na farbę, gdy dostanie miesięczny czynsz.

— Ma szczęście do lokatorów — powiedziała Helen. Oba psy do woli obwąchiwały teraz słup ulicznej latarni. — Chyba już pójdę.

Ogromne koniki polne brzdękały przenikliwie na ciemniejących drzewach jak zespół banjo. Dzieci pędziły na rowerach po Seerley z basenu Raya Edwardsa. Sara znalazła dom pani Nepper i zadzwoniła do drzwi, gospodyni wyszła w krótkim szlafroku, z ręcznikiem owiniętym wokół głowy i powiedziała, że właśnie umyła włosy.

— Nie chcę przeszkadzać — rzekła Sara. — Chciałam tylko zapytać, czy nie słyszała pani o jakiejś pracy dla mnie.

— Tak, tak, słyszałam. Właśnie umyłam włosy, proszę wejść — zapraszała pani Nepper, promieniejąc i otwierając przed Sarą obite siatką drzwi werandy. Mały salonik był czysty, lecz zastawiony porcelanowymi zwierzątkami. Stał tam wazon z zakurzonym suchym bukietem i oprawione, i zakonserwowane uśmiechy dzieci z wielkimi oczyma oraz dziewcząt w krynolinach. — Akurat praca dla pani. Tak, tak, słyszałam. Ruchem ręki wskazała jej krzesło, udekorowane girlandą wykrochmalonych serwetek i zaproponowała Sarze lody i ciastka.

— Chętnie, dziękuję — powiedziała Sara.



Pani Nepper poszła włożyć coś przyzwoitszego na głowę i przynieść coś do zjedzenia.

Upiekła ciasteczka z płatków owsianych, ale nałożyła Sarze trzy porcje lodów.

— Nie przygotowałam dzisiaj deseru — rzekła Sara i była to prawda.

— Akurat praca dla pani — oświadczyła pani Nepper. Miała teraz na głowie chustkę w kwiaty i powiewała kawałkiem papieru. — Chodzi o Hazel George Channing. Całe życie była profesorem na anglistyce i właśnie przeszła na emeryturę, kiedy zdarzył się jej ten koszmarny wypadek na zachód od Minony. Hazel George Channing. Nigdy nie wyszła za męża, ale mieszka z nią studentka, Ellen Garner. Miła, nie bardzo ładna dziewczyna — Ellen Garner. Hazel właśnie przeszła na emeryturę, była profesorem na anglistyce. Potrzebuje kogoś, kto mógłby przyjść w południe, trochę sprzątać, zrobić przepierkę, przygotować lunch, obiad i nakarmić ją. Od dwunastej do szóstej, i naprawdę dobrze płaci.

— Właśnie takiej pracy szukałam! — wykrzyknęła Sara, a pani Nepper pierwszy raz ujrzała, jak się uśmiechnęła. — Kiedy mogę zacząć?

— Od poniedziałku za tydzień o czwartej. Akurat będzie pielęgniarka i wszystko pani wytłumaczy. Posprzątać, zrobić przepierkę, zrobić obiad, praca od dwunastej do szóstej — trudno znaleźć kogoś chętnego do takiego zajęcia. Straszny wypadek samochodowy. Wtedy pozna pani Ellen i ona przedstawi warunki finansowe. Oto adres, Obiecałam, że zadzwonię do Ellen, jeśli nie będzie to pani odpowiadało.

Lody i ciastka zostały zjedzone.

— Taka jestem wdzięczna — rzekła Sara. — Nie wiem, jak mam dziękować...

— Niech pani nawet nie próbuje — zarzekła się pani Nepper. — Pani powiedziała, że skąd pochodzi? Ma pani męża? Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć Ellen.

Sara miała jeszcze w ustach słodki smak lodów i ciastek, i naturalnie pani Nepper miała prawo pytać, niemniej Sarze zrobiło się niedobrze.

— Pochodzę z Nebraski i nie jestem mężatką. Chcę wrócić do college'u i zrobić magisterium, kiedy tylko będę mogła.

— To wspaniale i mam nadzieję, że ta praca spodoba się pani — rzekła pani Nepper, ujmując obie ręce Sary i potrząsając nimi.

— Dziękuję za wszystko, co pani dla mnie zrobiła i za te pyszne słodkości — powiedziała Sara.

Podeszła do drzwi, mając w ustach smak lodów i łągarstw, a na głowie sztuczne włosy. Oczy pani Nepper były błękitne i szczere.

— .Koszmarne wypadek samochodowy — powtórzyła. — Oto adres. Znalazła już pani chyba plan miasta w książce telefonicznej.

Stała uśmiechnięta w oświetlonych drzwiach, patrząc, jak Sara odchodzi. Sara widziała mapkę miasta: sieć ulic opatrzonych nazwami biegła na północ i południe, ulice numerowane na wschód i zachód, róg siatki wpychał się w krętą rzekę Cedar przy rogu First i Main Street. Odchodziła od dźwięku swego kłamliwego głosu — szła po Clay Street do Eleventh, szukając domu doktor Channing.

Przez kilkadziesiąt metrów szła ze ściśniętym gardłem, lecz równe uderzenia jej butów o asfalt mówiły, że gdzieś musi mieć porządny dom. W powietrzu unosił się zapach pól — ziemi jeszcze cieplej od słońca. Minęła kilka nowych domów, zbudowanych na wzór wiejskich chałup, lecz w jednym na podwórzu przed domem stała ogrodowa huśtawka. Nad frontowymi drzwiami drugiego powiewała flaga. Stały one w jednym rzędzie ze starymi drewnianymi domami, które rozprzestrzeniały białe werandy w przód i z boku jak wysiadujące kury. Czasami w starych domostwach koło wiktoriańskiego wykuszowego okna stał kolektor słoneczny albo rząd motocykli pod drewnianymi ozdób-kami frontowej werandy.

Dom Hazel George Channing stał na wysokim zboczu nad ulicą; starszy nawet od domu Sary, był równie brzydki, co interesujący. Jego wielka weranda biegła wzdłuż ciem-

nozielonej fasady, tworząc luk nad frontowymi drzwiami jak odwrócony uśmiech, dwie dziury koło łuku to oczy. Drugie piętro miało jeszcze jeden luk nad wykuszem i małe boczne okienka ze spiczastymi daszkami.

Sara przeszła pod jego oświetlonymi oknami. Dzieci z sąsiedztwa łapały robaczki świętojańskie do słoików, mały chłopczyk mocno zakręcił pokrywkę i zagapił się na przechodzącą Sarę, robaczki przeświecały mu przez palce.

Sara znów poszła w stronę domu i ociekała potem, gdy zamknęła za sobą drzwi. Zdjęła wilgotne ubranie i wpełzła pod mały krąg zasłony prysznic. Chłodna woda pociekła po jej twarzy do gorących ust, po plecach. Namydliła włosy i rzekła cicho do siebie: „Pomarańczowa kuchnia. Żółty salonik. Żółta sypialnia.” Gdy się osuszyła, owionął ją chłód wiatru z otwartych okien. Zgasiła światło i wycierała włosy w ciemni saloniku.

Jej matka zawsze przebywała w ciemności. Teraz nikt nie dzwoni w soboty do Chloe Gray — nie może. Gdyby ktoś zadzwonił do jej matki, Martin podejrzewałby... Sara przygryzła wargę. Jej matka leżała z niewidzącymi oczyma obróconymi ku sufitowi, wiedząc, że oboje jej dzieci już nie żyją.

Sara tarła czoło między oczyma, ocierała łzy. Zdobędzie pieniądze i pojedzie do Fredsburga. Tylko matka będzie wiedziała, że Sara żywa wynurzyła się z oceanu — żyła, tak samo rzeczywista jak inni.

Lecz Martin wie, że pojechałaby do Fredsburga.

Aż do zmroku na parkowych huśtawkach i zjeżdżalniach bawiły się dzieci, ich głosy były tak promienne jak kolor tenisówek i powiewające włosy. W nocy przychodziły parki.

Oczy Sary przyzwyczały się już do ciemności. Jej salonik rzucał teraz słaby blask. Po jakimś czasie podniosła się. Z sąsiedniego domu, gdzie mieszkał profesor, dochodził promień światła. Jakiś mebel zasłaniał tam część oświetlonego okna, a cień skrywał resztę.

Sara przyklękła przy tapczanie, jego szorstkie pokrycie

drapało ją w piersi, gdy położyła się na oparciu. Podparłszy głowę rękami mogła oglądać obraz przedstawiający corridę i cień, przesuwany się po ścianie. Byk ociekał krwią, w jego ciało gęsto powbijano piki. Matador balansował na muskularnych nogach.

Na ścianie pojawił się cień, przypominał nagiego mężczyznę, wyciągającego ręce nad głową. Lecz nie był nagi, gdyż widziała jak ściągnął koszulę, szorty i zaczął tańczyć.

Sara cofnęła się, obejmując rękami piersi i więcej nie spojrzała, gdyż byłoby to podglądanie, a nie musiała tego robić. Wpełzła do łóżka, przypominając sobie rude włosy, długie nogi — Ben Woodward. Nigdy nie widziała w sąsiednim domu kobiety.

Potem szybko wstała z łóżka, wciągnęła na siebie koszulę i spodnie, wsunęła sandały. Ben Woodward tańczył w swoim salonie. Wiedziała, gdzie był.

Gdy na palcach zeszła po skrzypiących schodkach werandy za domem, noc piszczała, bzyczała i brzęczała od owadów. Zarośnięte podwórko za domem zatrzymywało się przy skoszonym trawniku Bena Woodwarda; w jednej chwili jak strzała przemknęła przez gazon pod jabłonkę.

Uklękawszy w trawie, czym prędzej ładowała jabłka do plastikowej torby, po czym chwyciła ją w ręce i pobiegła.

Jabłka! Wpakowała je do zlewu. Niektóre były zgniłe, w większości nadjedzone przez robaki, miały też ślady ptasich dziobów, ale to dobre pożywienie. Może zjeść jabłko na śniadanie i mus jabłkowy na obiad.

Sara powiesiła ubrania, po czym oparła się w ciemności o drzwi szafy.

Ukradła jabłka. Kradzież. Oszustwa. Kłamstwa.

Ktoś zaczął piskliwie chichotać w parku, skąd słupki podświetlonych huštawek rzucały cienie na jej dom — długie pajęczne nogi. W sieci łańcuchów jedna huštawka majtała się w przód i w tył. Jakiś mężczyzna zaczął ją bujać coraz wyżej. Ktoś w długiej spódnicy z piskiem leciał w ciemnym powietrzu.

Sara stała przy telefonie, słuchając dochodzących z parku

chichotów. Przycupnięty w domu telefon czekał, dzień po dniu, by zmartwychwstała, powiedziała matce, że nie utonęła, odezwała się: „Martin? Tu Sara...”

Ciepłe letnie powietrze owiewało skórę Sary, stojącej w ciemności przy drzwiach werandy. Czuła, jak nocny wietrzyk unosi jej nieco włosy na karku, i zadrżała, i poszła znowu uklęknąć na tapczanie.

Nie widziała ani matadora, ani byka. Ze ściany zniknął cień. Wąska szczelina, wiodąca do sąsiedniego domu była ciemna, jak zwierzęca norka, i cicha.

Następnego ranka coś przeraźliwie wyło pod oknami sypialni Sary. Kot. Upewniła się o tym po chwili.

Zjadła śniadanie —jabłko i trochę owsianki na wodzie. Na lunch będzie miała keczup z gorącą wodą i solą. Tylko mus jabłkowy na deser.

Brakowało jej jedzenia, nawet jabłek, skończyły się, a więcej nie ukradła. Pracę zaczynała za tydzień.

Kot wył. Sara przyglądała się brudnym ścianom kuchni. Je również trzeba wymyć przed pomalowaniem, farba nie będzie trzymać się tłustej powierzchni. Westchnęła.

Kardynał na drzewie za domem pokrzykiwał krótkimi, cmoktającymi nutkami. Gdzie się podział ten wyjący kot? Wciągnęła perukę i wyszła.

Utkwił w rozwidleniu klonu między jej domem i sąsiednim i robił tyle zgiełku, szeroko rozdziawiając pyszczek w trójkątnej mordce.

— Przydałaby się drabina — odezwał się z tyłu męski głos. — Kupiliśmy drabinę na spółkę z panią Nepper. Może pani użyć mojej połowy.

Odwróciwszy się, Sara ujrzała Bena Woodwarda. Uśmiechał się, pocierał złotorude włosy na piersi i sprawiał wrażenie śpiącego.

— Dzień dobry — rzekła Sara.

Już zaczynał się robić upał. Cień jej domu, chłodno-błękitny, padał na ulicę i park. Kotek miauczał.

— Moje nazwisko Ben Woodward — powiedział mężczyzna. Gdy się zbliżył, Sara stwierdziła, że ładnie pachniał. — Wykładałam dramaty na wydziale sztuki teatralnej i komunikacji międzyludzkiej Uniwersytetu Iowa. Witam nową sąsiadkę.

— Dziękuję. Nazywam się Laura Pray — odparła i korytarzem zapachu Bena podążyła na jego podwórko.

Stała tam rozsuwana drabina, którą pędy winorośli przytwierdziły do ziemi. Szarpali za nią wspólnie, aż zdołali oderwać.

— To nie jest najlepszy ze światów — stwierdził Ben, opierając drabinę o klon. — Gdyby Bóg ustanowił, że kociaki mają chodzić po drzewach, umieściłby im głowy z drugiej strony.

Kotek był mały, biały, tu i ówdzie upstrzony brązowymi plamkami.

— Wygląda jak posiniaczony banan — powiedziała Sara. Choć było tak gorąco, miała na sobie spodnie i koszulę z długimi rękawami. Ben nosił szorty i był cały owłosiony, włosy skręcały mu się w drobne loczki, jak Joe<sup>1</sup>emu. Trzymał kotka w dużej dłoni, lecz nie mógł go odczepić i piskliwe pomiaukiwania stały się równie monotonne jak skrzypiące drzwi.

— Zapuścił korzenie — rzekł Ben. — Myśli, że to wierzba.

Sara wspięła się na drabinę za Benem i usiłowała rozluźnić tuzin pazurków. Lecz ledwo zdołała uwolnić jeden, natychmiast zapadały się trzy następne, powodowane siłą ciężkości. Nie chciała ich wyrwać z małych łapek. Kotek wył. Sara, usiłując być pomocna, przykleiła się do gorących pleców Bena, odnalazły ich już poranne komary, bzykając wokół.

— W porządku! — orzekł Ben, gdy Sara wyciągnęła tylne łapy i trzymała je, on zaś uwolnił przednie. Oddał Sarze małą, nieszczęśliwą kulkę i odstawił drabinę, gdy ona głaskała kotka i mruczała do niego. — Wie pani co — zanieśmy kotka do mnie, a jutro zgłoszę, że go znaleźliśmy. Porozmawiamy z dziećmiakami w parku. Prawdopodobnie należy do kogoś z sąsiedztwa.

— Nie wiem, czy powinien pan brać go sobie na głowę... — zaczęła Sara, ale Ben prowadził ją już do sąsiedniego domu, a kotek wczepił się w wilgotną koszulę na piersiach Sary.

Zanim Ben otworzył drzwi, Sara wyciągnęła dwie łapy, nie niszcząc koszuli. Ben porwał kilka brudnych filizanek i stos ubrań z wyściełanego krzesła i zaproponował:

— Może pani spocznie?

Sara usiadła za popiersiem Szekspira, wdzięczna za działającą u Bena klimatyzację i uwolniła pozostałe dwie kocie łapy. Rozejrzała się wokół. Podniszczony tapczan, krzesła i popiersie Szekspira usiłowały wypełnić salonik, równie wiekowy jak jej. Pachniało interesująco, tak jak i u niej — mieszanina kurzu i starego drewna. Lecz unosił się tam też zapach bekonu, który sprawił, że ślinka napłynęła jej do ust. Przez małe okienko ujrzała fragment swego domu — dziwny widok obitej siatką werandy, skrzynki pocztowej, okrytego kwiatami krzewu. Westchnęła, poczuwszy bekon, kręciło jej się w głowie z głodu.

Ben przeszedł przez jadalnię, w której stał ciemny dębowy stół i krzesła. Uśmiechnął się..

— Wymyśliła pani dobre imię dla tego kota — Banan. — Na jego czystych białych szortach brudna drabina zostawiła dwie ciemne smugi.

— Napije się pani kawy?

— Chętnie — odparła Sara i położyła kotka na wyliniłym dywanie, któremu zostało jeszcze kilka frędzli.

Kotek zrobił parę niepewnych kroków w kierunku powracającego Bena. Może przyniesie coś do zjedzenia do kawy.

— Kociaki są jak dzieci — oświadczył Ben, patrząc jak Banan obwąchuje jego sandał i wręczając Sarze kubek ze złotym obrzeżeniem. Usiadł i nie wyglądało, że jeszcze coś przyniesie, siedział zgarbiony, kręcąc głową.

— Zdaje się, że rozwijają się od mózgu w dół — najpóźniej łapy, a tylne łapy na samiułku końcu.

Kawa była gorąca, dobra i, wypita na pusty żołądek, poszła jej prosto do głowy. Kawy nie piła już od wielu dni.

— Tu jest taki cudowny chłód — rzekła.



Szekspir przyglądał się im oczyma w kształcie migdałów.

— Pani jest bibliotekarką? — spytał Ben.

Kawa spłynęła jej nie tam, gdzie trzeba, Sara zakaszła więc, zyskując czas do namysłu.

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Widziałem, jak w zeszłą sobotę wychodziła pani z miejskiej biblioteki.

— Lubię czytać — odparła Sara i zadrżała. Koszula przylgnęła jej do pleców, czuła zapach bekonu i, zdaje się, jajek. Pośpiesznie opróżniła filiżankę. — Dziękuję za kawę — powiedziała i wstała. — Mam nadzieję, że znajdzie pan właściciela Banana. — Widziała teraz róg jego kuchni — stare szafki, jak u niej, kuchenka mikrofalowa. — Od paru dni zmywam sufity i ściany. Chyba zabiorę się do pracy.

— A gdybyśmy tak zjedli razem obiad dziś wieczorem? — rzeki Ben, podrywając się. Banan skoczył na jego obnażone stopy, lecz omsknął się. — Może o szóstej? Siódmej? Pójdziemy do jakiejś sympatycznej knajpki, gdzie jest chłodno.

— Dziękuję — odmówiła Sara. — Wolę być sama.

— Potem pokażę pani cały teatr Strayer-Wood — zachęcał Ben. — Przejdziemy pomostem aż do poczekalni artystów.

Sara oplotła wokół siebie zimne ręce i potrząsnęła głową, uśmiechając się i pragnąc uciec od jego bliskości, jego muskularnych, owłosionych nóg.

— Dobrze jest od czasu do czasu spędzić samotnie dzień — powiedział Ben. — Ale kiedy zacznie pani chodzić po zakupy, będzie pani mogła porozmawiać z kasjerem.

Sara skierowała się do drzwi, odwracając się od jego uśmiechu, jego głębokiego głosu, mówiącego słowa zwyczajne, oczekiwane.

— A może pani jest bibliotekarką z Marsa? FBI? Nie chce pani, by ją widziano z rudowłosym facetem?

Sara otworzyła drzwi na ulicę w cieniu poranka. Odwróciła się i spojrzała na Bena, pocierając czoło skrajem nadgarstka, jakby usiłowała wygniść właściwą odpowiedź spomiędzy brwi.

— A może, jeśli nie ma pani nic przeciw mrożonym obiadom z kuchenki mikrofalowej, przyszedłaby pani do mnie na obiad tak, jak pani stoi? Sara wahała się, spoglądając na salonik Bena, w którym nie było nic groźniejszego nad poobijaną dębową boazerię, pełną górek i dołków ławeczkę w oknie wykuszowym i pozbawione połysku perkalowe poduszki.

— Zauważyła pani, że od pani drzwi do mojego domu prowadzi wzdłuż płotu alejka bżów? — Włosy Bena skreśliły się od upału i zwisały mu nad oczami. — Tajemny szlak.

Nic nie odpowiedziała, lecz Benowi zdawało się, że jej usta wygięły się nieco do góry.

— Przyznaję, że nie będzie to wykwinny obiad — rzekł Ben. — Tylko łasagne z sałatą. Ale mam świeże bułeczki i ciasto.

Zobaczył, że przełyka ślinę i mocno zaciska wargi.

— Tak — powiedziała.

— Tak, przyjdzie pani?

— Tak. — Rzuciła mu ostatnie spojrzenie, jej oczy przebiegały po jego błyszczących rudych lokach, po twarzy. — Przyjdę dróżką od tyłu.

Między bzami. — Teraz niemal uśmiechnęła się po raz pierwszy i zniknęła, zamykając za sobą drzwi.

Pierwsza kobieta w jego domu. Lecz tylko na jeden obiad, w dodatku z kuchenki mikrofalowej. Jego dawne mieszkanie pełne było duchów Debory: Debora gotująca w kuchni, Debora pozwalająca mu się pocałować — ale są tylko przyjaciółmi, rzekła. Chce być uczciwa, powiedziała. Nie chce wychodzić za mąż, pragnie zrobić dyplom. Woli, by jej nie widziano z kimś z grona wykładowców, nawet jeśli to tylko zwykły asystent. Nie chce z nim spać ani za niego wyjść...

Ben walnął pięścią we framugę drzwi, lecz po chwili uśmiechnął się do siebie. Pomyślał, że mógłby trochę potańczyć. Za pierwszym skokiem omal nie nadepnął na Banana, lecz zrobił unik w bok i poszedł otworzyć puszkę tuńczyka, całą puszkę tuńczyka, mając kotka u stóp.

Patrzy! na jedzącego Banana myśląc, że Laura coś

ukrywa. Nosi perukę, a na perukach to on już się zna. Przez chwilę myślał, że się boi — czego? Jej pełne, małe wargi były niemal tak wyraziste jak oczy, a skóra nosiła nieznaczne ślady opalenizny, tu i tam przebijały przez nią niebieskie żyłki. Jak wyglądają jej prawdziwe włosy — może jasnobrązowe? Blond? Była mocno utuszowana, lecz dojrzał jasną nasadę jej rzęs. Jest taka szczuplutka.

Może jest coś w jej przeszłości... może ściga ją mafia. Nieważne. Nie będzie się angażował. Wyglądała na zgłodniałą. T zmęczoną.

Przyjdzie. Odańczył grecki taniec wokół stołu w jadalni. Ten właśnie cień ujrzała Sara, gdy weszła do domu, ukłękła na tapczanie i patrzyła przez szparę między na pół zaciągniętą zasłoną i szafką biblioteczną.

Była głodna. Kończyła się jej już fasola, jabłka i płatki owsiane, a miała przed sobą jeszcze cały tydzień i ani centa przy duszy. Zgodziła się na obiad z nim, gdyż poczuła zapach bekonu, który jadł na śniadanie, i wyobraziła sobie, jak wydyma się jasny tłuszcz, z białego przechodząc w złoto-brązowy, pofałdowany na brzegach, brązowe smugi gotowe chrupać w jej ustach... Oczy Sary wypełniły się łzami. Gdy zamrugła, skoczył cień na ścianie.

Co dzień Martin pracował w punkcie sprzedaży i obsługi komputerów Rambaugh. Co noc siadywał w swym domku na przylądku Cod.

Pozostawił ubrania Sary w szafkach i szufladach. Czytał jej dzienniki, rozpoczynające się, zanim go spotkała — gdy otrzymała stypendium z Uniwersytetu w Bostonie i przybyła z Nebraski. Spotykała się z kimś o nazwisku Chris Petersen, absolwentem Uniwersytetu Bostońskiego oraz z jakimś Russem.

„Chcę pisać o sprawach, nad którymi się zastanawiam, i o tym, co chciałabym zmienić w sobie” pisała Sara. Martin przeszedł miesiące, dzień po dniu i nie przeskoczył do lat, gdy się poznali.

Sara tyle czytała! Przepisywała długie fragmenty książek, o których nigdy nie słyszał, dyskutowała z autorami, robiła spisy postaci, „spraw”, „tematów” i „okresów literackich”.

Wspominała swego brata Joe'ego. „Zastanawiam się, czy żadne z nas nie chciało założyć rodziny dlatego, że tata i mama byli tacy nieszczęśliwi. Joe winił Mamę. Joe się zaplątał — chciał, żebym była silna, a obwinił mamę, właśnie za to. Była silna. Musiała nas wychować, wykształcić i karać przez te wszystkie lata. Ledwo znaliśmy ojca. Rzadko go widywaliśmy.”

Co roku studiowała jakiś nowy przedmiot. Raz była to

geografia. Potem znów literatura czarnoskórych pisarzy. A przecież chyba miała dość nauki w szkole.

Joe utonął, gdy miał szesnaście lat. Sara nigdy nie mówiła, jak to się stało. Opisała, jak jej rodzina powróciła do Fredsburga w Nebrasce i pozostała tam po przejściu taty na emeryturę i jak przyjechała na Uniwersytet w Bostonie, by uzyskać niezależność oraz porządne wykształcenie w zakresie bibliotekoznawstwa.

Nocami Martin błądził po domu, wbijając obcas w wykładzinę dywanową, którą kupili tanio i która już zaczynała się wycierać. Pił porto lub sherry z butelki i patrzył ze swoich okien na oświetlone domy — na mężów, żony i dzieci. Wpatrywał się w siebie w lustrze w przedpokoju. Pchnął kiedyś Sarę na to lustro, a gdy wstawi! nowe szkło, nie miało już kantu ani wyrżniętych kwiatów. Sara żałowała starego szkła lustrzanego, ponieważ grała z bratem wśród lustrzanych refleksów, które lustro rzucało, gdy odbijało się w nim słońce. Pisała w swym dzienniku, że tęskni za Joe. Myślał, że napisze, jak Joe utonął, ale nigdy tego nie zrobiła.

Czasami patrzył na te wszystkie zwiędłe fiołki na stolikach pod lampy. Nie miał pojęcia, co z nimi zrobić, co dzień bardziej kurczyły się, brązowiwały i zwijały. Sara pisała, że chce mieć męża, dzieci i zastanawiała się, czy zdoła je wychować tak, żeby jej nie nienawidziły. Podjęła dorywczą pracę, by opłacić naukę na Uniwersytecie Bostorskim. „Chcę być uczciwa, silna i miła.” Śliczna blondynka z taką twarzą i ciałem — kto by pomyślał, że będzie się martwić kłamstwami i oszukaństwami? Napisała dwie prace na ten sam temat na różne seminaria i martwiła się tym — nie jest uczciwe wykonanie tylko połowy roboty, stwierdziła.

Czasami musiała nakręcić, by wyrwać się z randki z Chrisem, Russem albo z nowym znajomym, Fredem Trillinem. Pisała, jak trudno przychodzi jej kłamstwo.

Martin opuścił większość jej uwag o książkach — całe stronice cytatów z jakiegoś Cleavera, Malcolma X, Prousta i Bubera. Dotarł do dnia, gdy poszła do kościoła i spotkała Martina Burneya. Czuła, że z tym mężczyzną może

rozmawiać. Ma wrażenie, że jest uprzejmy i myślący: zadzwonił do niej, gdy miał się spóźnić i zdaje się, polubił jej rodziców. Miał stałą pracę, był ambitny, a serce Sary biło szybciej, gdy pomagał jej włożyć płaszcz albo dotykał jej ręki. „Pociąg fizyczny jest ważny” pisała. „Cementuje małżeństwo.”

Marzyła, żeby go poślubić. Będzie gotować to, co lubi, i w ogóle dogadzać mu — czyste ubrania i czysty dom. Postara się być dobrą żoną, sprawi, że będzie szczęśliwy, i za nic w świecie go nic zrani. Na ostatniej stronie dziennika napisała „Sara Burney” i „Sara Gray Burney”, aby zobaczyć, jak wyglądają te nazwiska.

Martin włączył telewizor i jakiś czas gapił się na nocne programy. W reklamach śliczne kobiety mówiły o mydle, czyszczeniu drzwi kuchennych i woskowaniu stołów. Tego tylko właśnie pragnął — żony czekającej w domu, gdy on wróci z pracy, tak jak czekała jego matka. I jak czynią to te wszystkie kobiety w telewizji.

„Zastanawiam się, dlaczego mężczyźni i kobiety winni tak się różnić wyglądem i sposobem postępowania”, pisała Sara w swym dzienniku.

„Co w tym dobrego?”

Wszystkie tę jej oryginalne myśli.

Może gdzieś dryfuje, gnijąc w czarnej, jedwabnej kombinacji, która odsłaniała wszystkie sińce...

Martin chwycił w obie ręce zeschnięte brązowe rośliny, trzasnął doniczką o sedes i splukiwał martwe resztki, póki woda nie przestała lecieć, a potem usiadł na sedesie i płakał. Nie mieli nawet dziecka, tak że nie pozostała mu żadna żywa część tej istoty. Zawsze pragnęła dziecka. Całą noc czytał. Kochała go. To było widać. Siedział i szlochał, dotarłszy do cudownych dni przed ślubem, a potem do miodowego miesiąca w letnim domku na plaży. W niektóre dni pisała: „Radość”. Tylko „Radość”.

Sara wzięła prysznic, umyła i wysuszyła włosy, i stała przed upstrzonym plamkami lustrem w sypialni. Randka z mężczyzną, po tylu latach. Gdy z Martinem stukali się szklaneczkami w jakiejś restauracji, jeszcze nawet przed zaręczynami, powiedział:

— Gdybyś była moją żoną i zostawiła mnie, zabiłbym ciebie i tego mężczyznę też.

— Martin jest taki romantyczny — oznajmiła swej współlokatorce, jedzącej prażoną kukurydzę na śniadanie.

Obeszła dom dookoła. Ściany sypialni miały pęknięcia, lecz były teraz czyste. Mniej więcej przed sześcioma dniami przyjechała do Cedar Falls, a wyszorowała już ponad połowę ścian i boazerii, szczęśliwa, że pracuje, szczęśliwa w samotni swych pokojów. Gdy będzie miała trochę pieniędzy, kupi gips, szpachlę i pędzle, a pani Nepper zapłaci za farby. Sara odcięła brzytwą łodyżki liści fiołka, a następnie wsadziła je do ziemi zmieszanej z wermikulitem. Uśmiechnęła się, widząc, jak maszerują po parapecie na podobieństwo zielonych, owłosionych uszu, nastawionych w jedną stronę.

Sara zatęskniła nagle za miękkim, południowym głosem Karen Fairchild. Karen była narodowym sędzią fiołków afrykańskich i uczyła Sarę, jak odcinać kawałek korzenia z fiołka, który miał „szyjkę” i był wiotki.

— Wsadź go na dno doniczki i otocz gołą szyjkę nową ziemią. Niektóre rośliny, kochanie, mają po sto lat — mówiła. — Są to po prostu kwitnące wierzchołki czegoś, co do tej pory mogło wyrosnąć na wysokość domu. Sara przypomniała sobie, jak w letnim domku chowała głowę pod zakurzone poduszki z tapczana, słuchając przez telefon głosu Joan. Dziś... mniej więcej o tej porze... Cristinę, Karen, Joan i Marie spotykają się w domu Cristinę. Sara patrzyła na liście fiołków na parapecie. Myśla, że nie żyję. Płaczą razem i rozmawiają o tym, jak utonełam przed ośmioma dniami.

Łzy napłynęły jej do oczu. Fiołkowe liście jakby wraz z nią przysłuchiwały się echem wydarzeń tych ośmiu dni. Daleko odeszła od swego życia i musi zapaść nowe korzenie.

Sara z trudem przełknęła, zamrugła oczyma, by strząsnąć z nich łzy, i usiłowała myśleć o czymś przyjemnym:

O jedzeniu. Nic dziś nie jadła z wyjątkiem owsianki na wodzie i jabłka. Lecz gdy sobie przypomniała, że idzie do Bena Woodwarda, poczuła się zawstydzona.

Z westchnieniem włożyła spodnie, czystą koszulę z długimi rękawami i sandały. Prawdziwy obiad. Ślinka napłynęła jej do ust na myśl o przyrumienionym mięsie, znad którego unosi się para... o chrupiących warzywach... maśle, roztopiającym się na grzance... nauczyła się wychodzić na tyle wcześnie lub późno, by uniknąć zapachów kawy i potraw, unoszących się z otwartych okien kuchni.

Gdy przestała myśleć o szklance wina, musującego światłem i banieczkami albo kurczaku w brązowym sosie, zanurzonego w złotym tłuszczu, stwierdziła, że zaczęła malować usta. Krzyknęła cicho, pobiegła umyć twarz do czysta i przyciemniła tylko brwi, by harmonizowały z peruką.

Sara otworzyła drzwi kuchni. Zapadał zmrok. Przedarła się przez alejkę bżową w kierunku jedzenia i stwierdziła, że wylądowała u drzwi Bena od podwórza. Nikt nie mógł widzieć, jak pukała.

— Proszę wejść — rzekł Ben, przytrzymując otwarte drzwi.



Sara szybko przeszła przez kuchnię, usiłując nie patrzeć na miskę z sałatą, talerz z bułeczkami.

W domu panował chłód. Wilgotna skóra Sary zaczęła wysychać, jej głód się zaostriął. Na ławeczce w wykuszonym oknie saloniku stało wino i nieco chrupek ziemniaczanych. Ben wyciągnął tacę w kierunku Sary. Przygryzła wargę, wzięła szklanekę i kilka chrupek, jak gdyby do jej ust nie napłynęło tyle śliny, że omal nie mogła mówić.

Chłodne powietrze i białe wino, spienione od bąbelków... chrzęst chrupki na języku... Sara westchnęła. Ben Woodward mieszkał tu, nie bał się i myślał, że oszalała. Przez moment czuła się z nim bezpieczna — głupie uczucie u kogoś, kto nosi w sobie strach jak tajemną chorobę. Przebrał się do obiadu w kremowe spodnie i koszulę.

Już tu więcej nie przyjdzie. Ben obserwował ją, nie przypuszczając, że może być niebezpieczna. Martin trzymał strzelby na stojakach w ich mieszkaniu. W jej pamięci jaśniał pistolet kalibru 25, o rękojeści udekorowanej płaskorzeźbami orłów o rozczapierzonych, ostrych pazurach. Martin przytykał go do jej skroni. Trzask kurka odbijał się echem w jej czaszce. „Zabiję ciebie i tego faceta też.”

— Mam nadzieję, że lubi pani świeże pomidory — rzekł Ben.

Sara powiedziała, że tak, oczywiście, gdy ze szklaneczką wina w ręce usiadł obok niej na połażonym w górnym i dolnym kącie. Był wysoki, barczysty i wyglądał nieco tak, jak być może wyglądałby Joe. U Joe'ego mogłaby się ukryć. Od Joe'ego nie chciałyby się odsuwać na drugi koniec tapczanu.

— Banan grasuje po domu — powiedział Ben, — Zna go już lepiej niż ja. Banan mrucząc ocierał się o stopę Sary. Sara miała wrażenie, że jest przezroczysta jak puste porcelanowe naczynko. Jadła ziemniaczane chrupki, a Ben opowiadał o swym dzieciństwie w pobliżu Chicago. Ojciec był roznosicielem, a on jako jedyny z pięciorga dzieci poszedł do college'u, nie mówiąc już o zrobieniu doktoratu. Niektórzy z jego krewnych sądzili, że musi być dość tępy, skoro tak długo chodzi do szkoły.

Sara sączyła wino, wyobrażając sobie, jak pani Nepper informuje nieznanego przybysza, który pyta o Laurę Pray — nieznanym tym był Martin Burney — „Zaprosił ją na obiad profesor Woodward. Taki miły młody człowiek — mieszka tuż obok.”

— Dostałem stypendium i w czasie wakacji pracowałem na budowie, udało mi się zrobić doktorat w mniej niż trzy lata — kontynuował Ben, dolewając wina.

Poszczyliło mu się, gdyż dostał tę posesję na uniwersytecie i niedrogo kupił dom koło parku, w pobliżu uniwersytetu. Nie ożenił się, nie mógł znaleźć odpowiedniej kobiety. Nie bardzo mu idzie prowadzenie domu. Sara piła wino, głaszcząc cętkowane futerko Banana i czekała, aż Woodward zacznie jej zadawać pytania, zwykłe, uprzejme pytania, na które nie będzie mogła odpowiedzieć.

Ben nie pytał absolutnie o nic, nawet gdy siedzieli przy starym dębowym stole w jadalni. Lasagne były gorące i ozłoczone topionym serem. Ben wrzucił do sałatki dojrzałe pomidory z Iowa; miąższ soczystych, szkarłatnych cząstek ociekał francuską przyprawą. Każda przyrumieniona na brązowo gorąca bułeczka była chrupiąca i krucha na brzegach. Czerwone wino puszczało leniwe bąbelki na ściankach szklaneczki Sary.

Sara starała się nie jeść zbyt szybko ani dużo, uprzejma jak bezpański kot, który bada nie znany mu dom, z wahaniem, delikatnie, jakby domu nie potrzebował i mógł nie przyjść ponownie.

Gdy opróżniła już talerz, mogła zacząć myśleć i rozmawiać o książkach i teatrze. Kiedy pomagała Benowi zanosić naczynia do kuchni, wyrwała ich oboje z małych, zwyczajnie umeblowanych pokoi, gdzie rozmawia się o sporcie, najnowszych wiadomościach czy pogodzie. Znaleźli się teraz na szerokich przestrzeniach, gdzie od czasu do czasu, zdumieni, natykali się na siebie w gęstwinie idei albo kroczyli ramię w ramię tą samą wąską dróżką.

Sara szorowała talerze w zlewie równie starym jak u niej. Suszarkę przydałoby się wybielić. Ben mówił o Dickensie:

— Troszeczkę? Nie uważa pani? Stąd się u niego bierze wielki teatr. Przyniósł ciasto czekoladowe z kredensu. Sara usiłowała nie patrzeć łąkornie na nóż, przecinający girlandy kolorowego lukru.

— Nicholas Nickelby! — rzekła Sara. Ben pozostawił jej swobodę, przez cały wieczór nie zadał żadnego pytania, czuła to tak wyraziście, jak odczuwała głód. — Koniec końców, Dickens pozwala nam wierzyć, że dla nas też może być szczęśliwe zakończenie, jeśli będziemy żyli cnotliwie, mając nadzieję w sercu.

Nóż przecinał wilgotne warstwy, pozostawiając na każdej lekką, brązową frędzelkę lukru. Wierzch rąk Bena jaśniał złotorudymi włosami.

— A życie takie nie jest — powiedział Ben.

— Nie — zgodziła się Sara, widząc te ręce zaciśnięte w pięści, czując, że Ben patrzy na nią z góry, gdyż jest mniejsza.

Kawa lśniła złotobrazowo w białych filiżankach, parując obficie. Zanieśli kawę do jadalni i usiedli.

— Fellini pisze, o co chodzi w jego filmach — ciągnęła Sara, czekając, aż Ben ujmie swój widelczyk. — Mówi, że nigdy nie chciał zrobić filmu ze szczęśliwym zakończeniem, gdyż wówczas ludzie wróciliby do domów i niczego nie zmienili w swoim życiu. Filmy, które się szczęśliwie kończą, podświadomie nas omamiają. Wydaje się nam, że w życiu wszystko dobrze się wyklaruje bez żadnego wysiłku z naszej strony, jak w kinie. Ben widział większość filmów Felliniego. Sara również. Dyskutowali o tym, jak Zampano odkupił Gelsominę od matki — Bestia odkupująca Piękną — i o bogini seksu w Słodkim życiu.

Sara czuła się teraz najedzona, a wino nieco ją rozmarzyło. Buszowała z Benem po domu, słuchając, co ma zamiar zrobić, gdy zdobędzie więcej pieniędzy. Na górze znajdowały się trzy sypialnie oraz mały pokoik koło saloniku na dole, który niegdyś był oszkloną werandą, lecz teraz przerobił go na swój gabinet, choć czasami zimą

panowała zbyt niska temperatura, by można było tam pracować. Oglądała jego dom z wahaniem i cicho stąpała w swej jedynej parze butów, słysząc, jak Ben nie pyta o nic. Czym, jak sądził, nie chciałyby się podzielić.

Usadowiła się na krześle w saloniku ze śpiącym kotkiem na kolanach, lecz w myślach przemierzała powściągliwość Bena, badała ją, sondowała na długość. Pogłaskała kotka.

— Zastanawiam się, czy będę mogła zatrzymać Banana, Jeśli nikt się po niego nie zgłosi? Jeśli nie ma właściciela?

— Jasne — rzekł Ben. — Wie pani co? Dowiem się, czy to nie jedno z kociąt Grangerów. Chętnie je oddają.

— Będzie pan wiedział za dzień czy dwa — powiedziała Sara. — Czy może go pan zatrzymać do tego czasu? — Nie miała czym karmić kota, a nie chciała kłamać. — Prawie każdy pokój będzie świeżo odmalowany. To nie miejsce dla kotka.

— Proszę mi tylko powiedzieć, kiedy farba wyschnie. Mam stopy konserw z tuńczyka, a zdaje się, że on to lubi.

— Za tydzień zaczynam pracę — oznajmiła Sara. — Puni Nepper znalazła mi zajęcie, będę się opiekować doktor Channing z Clay Street. Miała straszny wypadek samochodowy.

— Hazel George Channing — rzekł Ben. — Czterdzieści lat uczyła angielskiego na uniwersytecie. Specjalizowała się w Henrym Jamesie. Spieraliśmy się nieraz, dlaczego używa on tylu słów. Walczyła o każde, O Henry'ego Jamesa.

— Przypuszczam, że niewielu ludzi robiło to za jego życia — stwierdziła Sara. — Chyba już pójdę, skoro nie mogę się panu odpłacić myjąc naczynia.

— Niech mi się pani odpłaci, przychodząc ponownie na obiad. W niedzielę wieczorem? O tej samej porze, w tym samym miejscu, może Laura Pray rozwiąże zagadkę, dlaczego obiady Bena Woodwarda zawsze smakują tekturą?

— Dobrze — odrzekła, ponieważ w następnym poniedziałek zacznie pracę, mając do zjedzenia tylko płatki owsiane, jeśli starczą do tego czasu. — I... tak się zastanawiałam... czy potrzebne panu te jabłka pod drzewkiem?

— Te? — zaśmiał się Ben. — Służę każdemu, kto miałby

na nie ochotę — tylko mi przeszkadzają. Proszę sobie nazbierać, kiedy tylko pani zechce. Ale niech pani nie podnosi z ziemi, tylko nazrywa. Najlepsze są jeszcze na drzewie.

— Lubię mus jabłkowy — rzekła Sara. — Przyniosę panu trochę.

— Wspaniale.

Ben oparł się o drzwi kuchenne, przygarbiwszy się nieco i kręcąc głową wte i wewte spoglądał na pogrążoną w mroku kuchnię, jakby zadowolony, że byli tam razem. Gdy życzyła mu dobrej nocy, uśmiechnął się w poczuciu, że mają mnóstwo czasu, i był szczęśliwy i rad ze wszystkiego, co wniosła i co jeszcze wniesie.

A więc Sara zbliżyła się doń w drzwiach i uśmiechnęła w zapadającym zmroku. Nie próbował jej dotknąć, a ona się nie odsunęła i uśmiechnęła się przechodząc przez szeleszczące bzy. On również miał uśmiech na twarzy, gdy zamknął kuchenne drzwi i stał samotnie wśród jeszcze płonących świec.

Skoro nie odnaleziono ciała Sary, choć miną! już tydzień, rodzice Martina zadzwonili pytając, czy nie powinien zamówić za nią mszy. Czy chciałby, żeby przyjechali i mu pomogli? Czy mszy nie powinni odprawić w Montrose, gdzie są jego przyjaciele?

Powiedział, że chyba tak. Potem krążył po domu i przypatrywał się urządzonej na czerwono kuchni. Ta kuchnia mnóstwo go kosztowała, podobnie jak i sosnowe meble.

Spojrzał na trzymany w rękę dziennik, który czytał od wiciu godzin:

„Zastanawiam się, dlaczego Martin tak szaleje na punkcie żaluzji. Muszą być zaciągnięte trzydzieści centymetrów od góry. Jest bardzo schludny. Stwierdziłam to w domku letniskowym. Więcej mnie nie uderzył. Usiłuję zapomnieć, że to się kiedykolwiek zdarzyło.”

Teraz żaluzje były zawsze zaciągnięte trzydzieści centymetrów od góry.

Po całym dniu pracy sam musiał przygotowywać sobie obiady, co sprawiało, że wściekał się na Sarę — martwą Sarę. W soboty robił zakupy i ustawiał puszki konserw w równych szeregach na półkach kredensu, tylko pojedynczo, nalepkami do przodu. Teraz jego samochód zawsze był w garażu, a oba komplety kluczyków spoczywały na talerzyku na biurku — tak jak chciał.

„Spróbuję być tak schludna, jak chce Martin, ale za-

stanawiam się, dlaczego przedmioty są dla niego ważniejsze niż ja. Bije mnie, gdyż niewłaściwie ustawiłam rzeczy."

Pisała o śmierci ojca, o opiece nad matką, która została sparaliżowana, oślepla i nie mogła chodzić. Martin nie chciał, by sprowadziła ją do Massachusetts, i Sara napisała, że rozumie, ale nigdy nie dała mu poznać, jak podle się czuje, porzuciwszy matkę.

„Dziś zapomniałam zamieść garaż i Martin po powrocie z pracy skopał mnie, a potem pił wino."

Pisała o ich kuchni. Nie chciała urządzać jej na czerwono. Zapomniał o tym.

Napisała, jak jej było wstyd: „To tak, jakby się zawisło, utrzymując się tylko czubkami palców. Czuję, jak osuwa się jeden palec, potem następny. W zeszły poniedziałek potrzebowałam nowych rajstop, ale Martin zawsze chce, bym go prosiła o pieniądze. Rajstopy można kupić w supersamach, więc włożyłam parę par do wózka między żywność, i to mi uszło, Martin nic nie zauważył, ale ja zauważyłam.

Zaczęłam kłamać. Nie uderzył mnie, gdy zapomniałam kupić mu ilustrowany magazyn. Powiedziałam, że zabrakło w kiosku. Kłamałam, żeby mnie nie pobił!"

Pisała, jak nastąpił jej na nogę, i złamał palec, ale nie sądziła, by powodowała nim nienawiść. Po prostu miał przykrości w pracy.

„Znowu kłamałam. Kochałam się z Martinem, kiedy nie miałam na to ochoty — uczyniłam tak, ponieważ się bałam. Nie poznał się. Widział sińce na mojej piersi i udzie, nie w moim sercu.

Wstydzę się powiedzieć o tym komukolwiek. Zastanawiam się, dlaczego. Ponieważ kłamię, oszukuję i kradnę? Ponieważ mnie bije? Czy powinnam się tego wstydzić?

Okłamałam Martina. Powiedziałam, że zadzwonili do mnie z biblioteki w Montrose, gdyż potrzebują kogoś na parę godzin. Martinowi nie spodobałoby się, że szukam pracy. A zanim mu powiedziałam, przygotowałam uroczysty obiad, kochałam się z nim, tak jak lubi. i dopiero potem o tym wspomniałam. Mam pracę! Może będę mogła przestać zachowywać się nieuczciwie i jak prostytutka."

Bił ją. Pii wino butelkami, a potem się na nią rzucał. Wszystko to zapisała. „Staram się być uczciwa. W istocie to nie mnie nienawidzi”, zanotowała. „Nienawidzi swego Wyobrażenia o mnie, tego, że jestem inna niż on.” Czasem Całymi tygodniami była obolała i zeszywniała.

„Martin się Wstydzi, kiedy widzi, jak wolno chodzę.”

Mała czarna książeczka kryła w sobie pięć lat, Sara dzień po dniu zapisywała swym drobnym, schludnym pismem, usiłując zrozumieć, co się dzieje. „Nigdy nie czułam się Inna niż Joe. Ale wiem, że chłopcy od samego początku nie lubią dziewczynek. Nie. To coś więcej. Nie chcą być podobni do dziewczynek — ale ja chciałam być taka jak Joe.”

A potem naprawdę się bała. Nie rozpoznał siebie, ale był cały w tej książeczce — fragmenty jego osoby, Jak jego twarz, odbita w lustrze z ich przedopokoju, gdy ponownie je roztrzaskał. Uczynił to pewnej nocy, ponieważ płakał w samotności... nie było Sary w pustym domu. Gdy je rozbił, stał i wściekle spoglądał na swe zakrwawione kłykcie.

„Zastanawiam się, czy nie jest to przypadkiem moja wina. Ale nie rozumiem, co złego zrobiłam. Może chodzi

O to, że jestem słabsza od niego i łatwo mu mnie uderzyć. A co by zrobił, gdybyśmy mieli dziecko?”

Potem uciekła po raz pierwszy — pojechała odwiedzić matkę w Nebrasce, kuśtykając, gdyż złamał jej palec, a on podążył za nią w czasie weekendu, zaciągnął z powrotem do letniego domku w Sand Hook i zrzucił ze schodów.

„Od początku powinnam była zachowywać się jak mężczyzna”, napisała, gdy znowu mogła pisać. Bazgrała teraz, gdyż miała przegub w łupkach.

„Z chwilą, kiedy zaczniesz się zachowywać jak kobieta, przestajesz być taka jak oni

i mogą cię uderzyć, gdyż jesteś inna. Jeśli z nimi śpisz, jesteś Dziwką, Cipa, Dupą. Jeśli nie, jesteś Suka, Klempą. Mężczyźni nie mają takich przydomków.”

Opisała, jak zrzucił ją ze schodów na plaży, co skończyło się pęknięciem śledziony i złamaniem nadgarstka, który zawsze już będzie skrzywiony o dziesięć stopni. Schroniła się do domu dla maltretowanych kobiet, ale nie chciała



stracić pracy w bibliotece — wróciła do domu. A policja nie chciała jej już pomóc — mieli nawał spraw, tak jak i sądy, wróciła więc do niego. Zmusił się do przeczytania jej nieczytelnej bazgraniny, która przyprawiała ją o ból. Złamał jej nadgarstek. Przeczytał wszystko.

„Zastanawiam się, czy to Martina powinnam nienawidzić, czy też coś niezależnego od niego każe mu to robić, ranić mnie?”

Przeczytał wszystko, aż do dnia przed utonięciem, po czym odłożył małe, czarne książeczki z powrotem do jej biurka, lecz sama myśl o nich sprawiała, że wpadał w coraz większy szal. Ryknął w ciszę domostwa: — Dogłądanie tego wszystkiego to żadna frajda! Chcesz mieszkać w chlewie? Jaka to kobieta udaje, że jej dobrze w łóżu? Ty złodziejko! Ty kłamczucho — ślubujesz, a potem mnie zostawiasz, chcesz się rozwieść — a wała! Nie zostawisz mnie! Powinienem był skrócić ci kark. — I wtedy przypomniał sobie, że Sara nie żyje.

Jego rodzice przybyli i zamówili mszę żałobną w kościele w Montrose, i jego przyjaciele stanęli potem wokoło, poklepując po plecach płaczącego Martina. Najbliżsi: Cristinę i Roger Wiedinowie, Fairchildowie, Joan i Jim Pagent oraz Sam i Marie O'Brien nie mówili wiele. Niektóre kobiety nie patrzyły na niego. Zauważył to. Cieszył się, kiedy już było po wszystkim.

Po mszy rodzice wrócili z nim do domu i zostali na noc. Jego ojciec, pedantyczny, zasuszony typ, jeszcze nim podano obiad, zasiadł przed telewizorem i podziwiał herosów futbolu. Gdy był dyrektorem liceum, chodził na każdy szkolny mecz, gdzie wznosił okrzyki, zachęcał do walki, tracił głos i nabawiał się zaziębienia.

Matka Martina sprzątała dom i przygotowywała obiad. Weszła do saloniku i patrzyła na ojca Martina, aż musiał na nią spojrzeć.

— Może pogadałbyś trochę z Martinem — odezwała się, gdy spiker na chwilę przestał mówić.

Głos miała miękki i łagodny, zupełnie jak Sara, gdy nie była pewna, czy Martin zamierza ją uderzyć. Tym miękkim głosem kłamała i oszukiwała, jak sama napisała w dzienniku.

Przez chwilę ojciec Martina nie odpowiadał. Potem rzekł: i — Nie bądź głupia, Marto. Nie widzisz, że oglądamy Ostatnią rozgrywkę?

— Myślałam tylko...

— Lepiej nie, Marto — powiedział ojciec. — Nie zaczynaj myśleć na starość.

— Martin chciałby trochę pogadać...

— Jak cholera! — ryknął Martin. Usłyszawszy, że Martin przeklina, ojciec zgasił telewizor i zacisnąwszy wąskie usta popatrzył na syna, — No dalej — ulżyj sobie — krzyknął nań Martin. — Powiedz matce, jaka z mej idiotka — latami to powtarzałeś!

— Martinie... — odezwał się ojciec.

— Ty byłeś panem! — ryczał Martin. — Przychodziłeś do domu i mogłeś wyrabiać, co ci się żywnie podobało! Czy nie tak, mamó? To my musieliśmy kłamać, oszukiwać i kraść, żebyś mógł dostać harcerski mundurek — pamiętasz? Albo ten nowy rower? Mieliliśmy swoje tajemnice, co, mamó? I dalej tak jest, w całym mieście. Do diabła! Ojciec zacisnął usta i nie odzywał się, wyłączył Martina, odmówił słuchania go, tak jak w latach sześćdziesiątych wyłączał swych licealistów-hippisów. Martin poznał się na tym. Twarz ojca zmarszczyła się jak stary balon. Nie patrzył ani na Martina, ani na Martę.

— Jest zdenerwowany — rzekła matka do ojca. — Naturalnie, że jest zdenerwowany. — Obserwowała Martina z takim wyrazem twarzy, którego przedtem u niej nie widział.

— Nie pochwalam przeklinania — zaczął ojciec.

— A co by było gdybyśmy, ty i ja, musieli żyć tak jak mama? — krzyknął Martin na ojca. — Wolałbym zdechnąć!

Martin poszedł do kuchni, wbijając obcas w pokierszowane linoleum.

Matka wycierała szmatą podłogę. Wyminał kałuże, usiadł przy stole i szlochał, myśląc, że prędzej zdechnie, niż będzie żył jak jego matka.

Ladna — powiedział brat Bena, Rod. Udając się w drogę do Teksasu, w sobotę zaparkował swą półciężarówkę w pobliżu domu Bena. — Ładna. Może trochę chuda. — W porannym niedzielnym słońcu zezował na Sarę, która znajdowała się w ogródku za domem. — I do tego tuż obok.

— Wiesz, trudno się do niej zbliżyć — rzekł Ben, otwierając dwa następne piwa. — Laura Pray. Była u mnie na obiedzie w poniedziałek wieczorem i na dziś wieczór znowu ją zaprosiłem, ale publicznie pokazuje się tylko sama. Mówi, że tak woli.

— Woli? — spytał Rod.

Ben nie chciał o niej mówić. Rod był taki, jak reszta jego rodziny — uganianie się za forszą zrobiło z niego twardego faceta. Bawić się można było po pracy. Żaden z nich nie mógł zrozumieć kogoś, komu frajdę sprawia praca na uniwersytecie, nawet jeśli przynosiła niezłe pieniądze. Rod opowiadał o swych dzieciach, a Laura Pray przyzywała kotka. Ben wsłuchiwał się w jej głos. Owego pierwszego wieczoru zorientował się, że dziewczyna nie chce mówić o sobie, powiedział jej zatem, że teatr uniwersytecki planuje wystawienie sztuki Christophera Frya.

— Christopher Fry — rzekła Laura. — Przetłumaczył Wojny trojańskiej nie będzie. Czytałam jego Zabawę w chowanego.

— Ja też — oznajmił Ben, patrząc na nią.

Po chwili odwróciła wzrok. Włączył radio i otoczyła ich fuga Bacha.

— Muzyka najlepiej oderwie nas od ziemi, tak jak przyływ w ciemności porusza łódkami na kotwicy, aż zaczynają tańczyć — zacytowała. — To z Ciemność jest dość jasna Frya.

Myślał o tym w domu, patrząc, jak idzie zarośniętą ogrodową ścieżką, pragnąc znowu posłuchać, jak mówi, tak jak on uwielbiał mówić.

Muzyka. Piękna kobietą w jego domu, żadnych zaokrągłych, same kości, lecz piękna.

Nikt nie wie, o czym myślą kobiety, stanowią tajemnice z innego świata. Jasne, długie, przylegające włosy Debory, które pozwalała mu szcztokować, czesać i zaplatać... nad ramionami i piersiami, które pewnego dnia...

Na skrzynkach pocztowych domu, w którym kiedyś Debora miała mieszkanie, nadal widniały rzędy nazwisk studentów, ponad wózkami dziecięcymi i starym materacem na werandzie ciągle obłaziła farba.

Przechodził koło tego domu niemal codziennie. Wiedział, że wyszła za męża i wyjechała. Spała z jakimś facetem, choć nie chciała spać z nim, Benem, te blade, śliskie włosy pod kimś, czyjeś usta na tych piersiach.

Rod mówił o reumatyzmie ojca. Ben miał takie uczucie, jak kiedy naciska się dzwonek do drzwi i nikt nie otwiera, choć wiadomo, że ktoś tam jest, lecz nic nie można poradzić, a tylko wpatrywać się w obojętne drzwi; Nie chciała, by zadawał jej pytania... ale dlaczego? Słyszał, jak Sara wchodzi po schodach i znika.

Doprowadzało go to do wściekłości, jakby się tylko z nim drażniła, jakby mogła mu powiedzieć, skąd przybywa. Czy była mężatką? Dlaczego zajmowała się domem w Cedar Falls w Iowa, choć bezsprzecznie posiada wykształcenie. Nie chciała mu powiedzieć.

Jaką właściwie grę prowadzi? Udaje nieprzystępną?

— Życzę miłego wieczoru — rzekł Rod z uśmiechem.

— Trudno się do niej zbliżyć — powiedział Ben, krążąc po kuchni, Rod mówił dalej, a on przyglądał się firankom Sary, poruszonym lekkim wietrzykiem.

Sara leżała na łóżku, bolał ją nadgarstek. Cały tydzień myła ściany, boazerię i myślała o jedzeniu. W jej samotnych pokojach rozchodziło się echo, brakowało maszyny do szycia i deski do prasowania. Tęskniła za hamburgerem i frytkami.

Na półkach w Montrose stały jej dawne, ulubione książki... w marzeniach przewracała ich strony. Czuła zapach pieczonego kurczaka.

Czasami przesuwały się przed nią twarze przyjaciół, słyszała ich głosy. Myśleli, że nie żyje. Nigdy już ich nie ujrzy. Nigdy im nie mówiła, jak ich kocha.

Brakowało jej dużej patelni, nie wiedziała dlaczego. Co mogłaby na niej smażyć? Pomyślała o wyschniętych, kościstych rękach matki, które zasadziły tyle roślin w tyłu ogrodach i ciągnęły tyle wiader wody, by roślinki wykiełkowały i rosły. Matkę, tak samo jak Sarę, oderwano od wszystkich wspomnień. Budziła się, mając w pamięci zapach przysmażanej wieprzowiny i zawiesisty, mleczny smak parującego sosu spod wieprzowych kotletów albo kaczana kukurydzy.

Lecz gdy nie myła ścian ani boazerii, zapomniała, co utraciła albo na co ma wyjątkowy apetyt, gdyż miała do woli książek. Znosiła do domu tyle, ile tylko mogła unieść z miejskiej biblioteki. Gdy z łomotem rzucała je na podniszczony stół w saloniku, wiedziała, czego mogą dokonać. Otwierała książkę i po paru godzinach wypełzała z pisarskiego snu. Gdy mrugając powiekami, spoglądała na tapczan i krzesła, pełne górek i dołków, na dziurawy dywanik, czuła się częścią marzenia sennego. Świat, w który wierzyła, był światem książek.

Pewnego wieczoru Sara stwierdziła, że czyta w gasnących już blaskach dnia. Zapaliła lampę, nie wypuszczając z rąk książki, bohaterowie zdawali się bardziej realni niż Sara. Poszła przejrzeć się w lustrze w holu. Nie istniejesz, nawet w książce, rzekła do siebie. Jesteś martwa.

Gdy Sara czytała, nie zwracała uwagi na monotonię owsianki, fasoli, jabłek, fasoli, owsianki, jabłek. Całe godziny spędzone nad książką — dni stały się rozległe,

długie i głębokie jak u dziecka. Zapomniała:, czym jest radość.

W niedzielę zjadła na śniadanie jabłko i resztki fasoli. Zostało jej trochę płatków owsianych, zje je w jutrzejsze popołudnie przed pójściem do pracy. Przygotowała zupę z gorącej wody i keczupu i zjadła ją na lunch z mussem jabłkowym. Lodówka była czysta, biała i pusta, z wyjątkiem kilku jabłek.

Słyszała, jak Ben i jeszcze jakiś mężczyzna rozmawiają na chodniku przed domem, a z okna na piętrze starego domu z czerwonej cegły, stojącego tuż obok, dobiega ryk dzikiej muzyki. Ben niósł kotka. Przeszli między drzewami parku na Seerley Boulevard, gdzie stała zaparkowana ciężarówka.

Przez siatkowe firanki Sara przypatrywała się, jak pół-ciężarówka odjeżdża i Ben wraca do domu. Szedł, stawiając wielkie kroki, a słońce zapalało brązowe i czerwone ogniki w jego kędzierzawych włosach i oświetlało srebrzystobiałą sierść kotka, którego niósł na ręku. Wiedziała, jak wyglądają jego ręce — duże, o długich palcach, obrośnięte na wierzchu złotymi włoskami, spomiędzy których błyskały piegi. W kącikach oczu zaczęły pojawiać się zmarszczki. Garbił się i kręcił głową, jakby nie był pewien, co ma dalej robić.

Sara chodziła z pokoju do pokoju. Musi dwukrotnie zaszpachlować, zeszlifować, potem położyć podkład, a następnie farbę.

Boazeria w każdym pokoju była pooblupywana i miała mnóstwo dziur po gwoździach. Musi powypelniać dziury kitem do drewna, a potem zeszlifować. Lecz kuchnia będzie jasnopomarańczowa, salonik i hol od frontu złote, a sypialnia jasnożółta, aby się wydawało, że wszędzie świeci słońce. Tylko ona zdoła dostrzec pod farbą cienie zaszpachlowanych dziur, gdyż wie, gdzie się znajdowały.

Sara pomacała szpary w ścianie sypialni. Ben miał lodówkę pełną jedzenia i jeszcze te obiady w zamrażarce... Przestań, powiedziała do siebie. Patrzyła, jak Ben rozmawia z dziećmi, ćwiczącymi na drabinkach, przykuęając, by naśladować kota ku uciesze dwóch dziewczynek, które

zeskoczyły z huśtawki. Widziała, jak odrzucił głowę do tyłu i się roześmiał.

Udawaj, że jesteś na diecie, powiedziała sobie. Połóż się do łóżka, przestań o tym myśleć i oszczędzaj energię. Położyła się do łóżka i myślała o Martinie, jak je w ich urządzonej na czerwono kuchni albo zabiera jakąś kobietę na obiad, albo może odwiedza rodziców. Nie bądź głupia, odezwała się do swej mrocznej sypialni. Utonęła dopiero przed dwoma tygodniami, za krótko, by zdążyć znaleźć sobie kobietę.

Inna kobieta w domu w Montrose. Gdy się wprowadzili, panował tam straszny bałagan, ale umiała zagipsowywać dziury, szlifować i malować, uszyć firanki z prześcieradeł i odnawiać używane meble, robili to z matką i Joe niezliczoną ilość razy. Ale czerwona kuchnia! Martin powiedział, że musi być pomidorowa.

Jej nowa lodówka była daleko w Montrose, tak samo jak kuchenka. Każdy garnek, patelnia i ulubiona łyżka — myślała o nich jak o deserterach, którzy przeszli do obozu wroga. W bielizniarce w Montrose znajdowały się dwie pary nowych błękitnych powłoczek i zharmonizowane z nimi prześcieradła w kwiaty, jak również poszewki. Znalazła je na wyprzedaży. Uszyła firanki do każdego okna i narzutę na tapczan i nic z tego już do niej nie należało.

W myślach buszowała po małym domku na Cape Cod. Jeszcze przed ich wyjazdem należało umyć okna w sypialni, nikomu nie przyjdzie do głowy, że zostawiła dom podejrzenie schludny i czysty. I niczego nie powinno brakować z wyjątkiem jej.

Niemal zapadła już w sen, gdy w umyśle jej pojawiły się obrazy basenu YWCA, mrozące krew w żyłach — błękitny lód. Tłuste i chude kobiety skupiły się wokół niej, gruchając miękkimi, pocieszającymi głosami, a ona, drżąca, z zamkniętymi oczyma, czepiała się każdej ciepłej ręki czy ramienia. Nie dowiedzą się, że utonęła, i była z tego zadowolona. Nie znały jej prawdziwego nazwiska.

Nie miała teraz prawdziwego nazwiska. Wynurzając się

ze snu, wiedziała, że wyniosło ją poza zwyczajne miejsca, gdzie ludzie przyznają się do swoich nazwisk i nie kłamią.

Sara leżała w mrocznej sypialni, nie mając nic do czytania, skończyła już wszystkie książki, które przyniosła sobie z biblioteki. I była głodna.

Jabłka... Nie mogła znieść myśli o nich. Krążyła po domu ze łzami w oczach. Wreszcie chwyciła jabłko, pokroiła je na plasterki i wyszła na oświetlone popołudniowym słońcem podwórko za domem.

Usiadła na kępcie chwastów, z łokciami na kolanach i wpatrywała się w mały, tajemniczy świat tuż przy powierzchni ziemi. W cienistych laskach, utworzonych ze źdźbeł trawy, małe żyjątka miały swą metropolię.

Popołudnie perkotało wokół niej głosami owadów. Słońce grzało ramiona i perukę. Powoli odprężała się, czując tylko słońce i wietrzyk i nie widząc nic prócz małego światka kamyków, ziarn piasku i zwiędłych liści.

Pokruszyła plasterki jabłka na małe kawałki i bawiła się w grę, którą uwielbiała jako mała dziewczynka: w karmienie mrówek. Zgięta wpół pod gorącym słońcem, była wielkim bóstwem, spuszcającym mannę z nieba, co miało tyleż logiki i uzasadnienia, ile mogłaby znaleźć jakakolwiek istota ludzka.

Przed takim pokarmem z raju mrówki zatrzymywały się na szlakach, wpierw wyrażając zdziwienie poruszeniem czułek. Potem, jak ludzie, posłużyły się swymi zdumiewającymi talentami w celach praktycznych — schwyciły jedzenie i podążyły do domu. Gdy spotykały inne mrówki na rogu lub w mrowisku, powiadamiały je po mrówkowemu i nowi przybysze również wyruszali na poszukiwanie manny.

Ogrzana słonecznym ciepłem i senna, Sara zdrzemnęła się w słońcu, obserwując sznur mrówek, machających w powietrzu kawałkami jabłka. Gdy w końcu wstała i weszła do środka, natychmiast zasnęła na łóżku i nic się jej nie śniło.

W wysokich, okrytych letnim listowiem drzewach brzdąkały cykady. Liście ocierały się o dach. Gdzieś na głównej ulicy wyła syrena. Sara obudziła się akurat na czas, by



włożyć tę sarną koszulę i spodnie. Nie miała żelazka ani deski do prasowania. Prała ubrania w szamponie, wieszala je, by obciekły przez noc, i rano wkładała suche, niespecjalnie zmięte. Sińce były jeszcze trochę widoczne. Lecz gdy przeszła przez tunel bżowy, niosąc w miseczce trochę musu jabłkowego, Ben miał na sobie tę samą kremową koszulę i spodnie.

Oświadczył, że lubi mus jabłkowy, podziękował i cofnął się, by wpuścić Sarę do saloniku. Banan spał na wysiedzianym tapczanie, w świetle świec, trzymając wszystkie cztery łapy w górze. Sara usiadła, osłabła od smakowitych zapachów kuchennych. Znów było wino, krakersy, ser i oliwki. Banan obudził się na tapczanie obok Sary i rzucił się na jedzenie, którym Sara starała się nie opychać.

— Powiedziała pani, że czytała Maeterlincka — rzekł Ben.

Alkohol rozgrzał Sarę, do czerwonego wina dobrze smakował ser, tworząc kompozycję cierpką i delikatną.

— Tylko w antologii — odparła. — Tragedię w życiu codziennym. — Ben nie nastawił muzyki z chwilą, gdy usiedli, i Sarze to się spodobało.

— Dobrze, że nie puszcza pan muzyki cały czas — powiedziała.

— Powiem pani coś, zawsze mieszkałem w miastach. — Gdy myślał, oczy mu się zwężyły. Były szarobłękitne, okolone jasnymi rzęsami, które błyszcząc, przydawały oczom świetlistości. — W miastach pragnie się zagłuszyć maszyny i motory, w dzień i noc. — Uśmiechnął się. — Ale tu są świerszcze. Sowy. W nocy walczy kot. Pani drzwi na werandę z tyłu domu — powinienem je naoliwić.

— A może mogłabym pomóc panu dzisiaj przy obiedzie? —

zapropozowała Sara, odkładając Banana na dywanik i podnosząc się. — Lenię się i na nic się nie przydaję, a lubię gotować.

— Ja nie — rzekł Ben. — W każdym razie nie dla siebie.

— Ale przyjemnie jest przygotowywać wspólnie coś, co się potem zje,

— No więc trzeba przyrządzić sałatę — zgodził się Ben znad stołu kuchennego. — Może pani zajmie się tą główką, a ja pomidorami.

Przez chwilę kroili w milczeniu na przeciwległych krańcach kuchennego stołu, przykrytego plastikiem przypiętym pinezkami. Sara wiedziała, że mówi to, co myśli, nie zgrywa się po kobiecemu. Nikt jej nie uderzy ani na nią nic ryknie. Nie miała prawie makijażu i nie była nieśmiała, roztrzęsiona ani inna, niż jest. Kroiła zieloną sałatę.

— 'Lubię szum samochodów jadących w deszczu — oświadczyła.

— Albo po śniegu, kiedy jest bardzo zimno i skrzypi — powiedział Ben. Była tak chłodna jak sałata, którą kroiła — taka niedo-tykalska.

— Uuch — wzdrygnęła się Sara. — Na śniegu jest mi za zimno.

— Zapach letniej ulewy? — Ben wrzucił pokrojone w plasterki pomidory do drewnianej miski. — Kolejka jadąca przez miasto?

Sara zaczerpnęła głębokiego oddechu, odtajała i uśmiechnęła się.

— A jak nie było samochodów, tylko tętent końskich kopyt, przejeżdżający wóz albo szelest stóp?

— Musiałaby pani podejść do okna i popatrzeć, gdyż nie tak wielu ludzi tędy przechodzi — rzekł Ben, nie okazując targającej nim wściekłości. Chciała grać. Nie wiedział nawet, jak wyglądają jej prawdziwe włosy, ale znał się na perukach. Myśli, że może go wykiwać?

— Wieczorami ludzie siadali na wielkich frontowych werandach, obserwując konie i powozy.

— Spacerowali po naszym parku. Kiedyś orkiestra dawała tam koncerty, a w środku była fontanna, zanim dzieciaki ją rozwaliły. Potem była tam też fontanna z wodą pitną, póki dzieciaki jej nie porozbijały. — Ben wrzucił pokrojoną zieloną sałatę do pomidorów. Nie patrzył na Sarę. Nie rozumiał kobiet, bez względu na to, co robiły. — Mam nadzieję, że lubi pani indyka tetrazzini, cokolwiek się za tym kryje, indyka z kluseczkami. Ben czuł między nimi mur, choć jej pragnął, a ona o tym wiedziała. Gry.

— Mmm — rzekła Sara. — Pachnie ładnie.

Lecz to, co odczuwała jako aromat, było uprzejmością, którą wyświadczają sobie prawie nieznajomi

— Zdaje się, że Maeterlinck mówi w tym utworze o zwyczajnym życiu.

Sara podała talerz Benowi, stojącemu nad rondelkiem.

— Powiada on, że teatr współczesny, a nawet niektóre sztuki Szekspira, ukazują ludzi, popełniających gwałtowne czyny, których Maeterlinck sam nigdy nie dokonał, a zatem nie może podzielać towarzyszących im emocji. Lecz liczne wielkie tragedie greckie oraz sztuki Ibsena są tak „nieruchome”, powiada, że czujemy, jak unoszą się nad nami rzeczy wspaniałe i straszliwe.

— Dużo zielonego groszku? — spytał Ben.

— Poproszę — rzekła Sara.

— Głodna?

— Głodna.

— Proszę. Zaniosem swój talerz i wsadzę bułeczki do pieca.

— Z masłem?

— Tak. Lubi pani dżem?

Sara odparła, że lubi, i usiadła w pokoju, który nie był już obcy. Nawet byk z powbijanymi weń pikami wpatrywał się w nią, jakby przy całym swym cierpieniu uznał, że tu jest jej miejsce. Wino uderzyło jej nieco do głowy, tak że szmaragdy i jaspisy wymieszanej sałatki, złote, ociekające masłem bułeczki, kremowobrazowa potrawa parująca na jej talerzu lśniły jak oarwione szkło w słońcu.

Banan zapiszczał. Sara położyła sobie kotka na kolana, gdzie zwinął się w kłębek.

— Pytałem dzieciaki w parku. — Ben wyciągnął do Sary talerz bułeczek.

— Powiedziały, że to kotek Grangerów, więc ich zawołałem, a oni cieszyli się, że kotek będzie w dobrych rękach.

— Dziękuję — rzekła Sara. — Zabiorę go od pana, gdy wyschnie farba.

— Musiała przestać mówić, gdyż ślinka napłynęła jej do ust. Miała przed sobą gorące mięso z sosem o lekkim posmaku czosnku i cebuli. Lśnił polany masłem zielony groszek. Sara usiłowała nie jeść zbyt pośpiesznie

i patrzyła, jak Ben wielkimi dłońmi trze oczy. — Ciężki dzień?

— Tak. A do tego pewnemu mojemu studentowi nie podobał się stopień, który mu wystawiłem w zeszłym Wmestrze, więc zadzwonił i nawymyślał mi w środku nocy.

— Co pan może na to poradzić? — spytała.

— Widzi pani, to taki pedzio. Czasami pojawiają się na moich zajęciach

— rzekł Ben. — To dobrzy aktorzy. Wydobywają tkwiącą w nich kobiecość — są bardziej złożonymi osobowościami. A czasem kobiety ukazują swoją męską stronę, jak bohaterki Szekspira.

— Albo Antygona?

— Może jeszcze bułeczkę? — spytał Ben.

Sara wzięła jeszcze jedną bułeczkę, posmarowała masłem i przyrumieniona skórka smakowicie chrupnęła jej na języku. Banan leżał zwinięty w półksiężyc jak jeszcze jeden rogalik, lecz teraz kotek ostrymi pazurkami wdrapał się na koszulę Sary, obwąchując jej usta, delikatnie łaskocząc wąsami w podbródek. Sara dała kociakowi kawałek posmarowanego masłem, chrupkiego księżyca.

— Kocie — rzekła, wpatrując się w żółte ślepia. — Jesteś samcem czy samicą?

— Czasami nie można powiedzieć, póki nie pojawią się kocięta — rzekł Ben.

— Zdobędzie sobie jedzenie i znajdzie dom bez względu na pleć — oświadczyła.

Ben patrzył na zmarszczki wokół jej ust i chudą rękę, głaszczącą cętkowane futerko. Nie powiedziała, kim jest, i spoglądała nań nieprzeniknionymi, kocimi oczyma. Co miał robić — również grać, krusząc jej linie obronne, jak mężczyźni z czasów wiktoriańskich poświęcali pół godziny na zdjęcie swym damom gorsetów, ściągnięcie zapinanych na guziki butów, rozpięcie rzędów perłowych guziczków? Uśmiechnęła się do niego nad puszystą głową kota. Nie był to uśmiech flirciarski, głowę trzymała prosto, unosząc podbródek, gdy pomagała odnieść naczynia do kuchni i kroїła ciasto z jabłkami. Była tak chuda, że kościste biodra sterczały jej przez spodnie.

— Jakie zajęcia będzie pan prowadził na jesieni? — spytała.

Odparł, że ugrzązł w Podstawach makijażu i Wprowadzeniu do teatru: „Miejsce teatru i dramatu w życiu człowieka.” Skromny wykładowca nie prowadzi wielu zajęć dla wyższych lat. Roześmiała się, gdy opisywał nowych studentów w pracowni makijażu, a on czuł, że jakaś jej cząstka nigdy się nie śmieje, lecz stoi z boku i obserwuje.

Słuchała, jak opowiadał o telewizyjnej konferencji prasowej prezydenta. Ona splukiwała talerze, on odkładał jedzenie, a potem zmyli naczynia. Powiedziała, że nie widziała tego programu, nie przyznała się, że nie ma telewizora.

Ben nie zadawał absolutnie żadnych pytań. Rozmawiali, śmiali się i oglądali angielską sztukę w telewizji, lecz Sara czuła jego rezerwę. On się nie będzie wtrącał.

Ale żegnając się, nie stanęła blisko Bena. Posiniaczyły ją ręce takie duże jak jego. Powiedziała mu tylko, ile te posiłki dla niej znaczą i jakim jest dobrym przyjacielem.

— Cieszę się, że na coś się przydadę — odparł. Nie zadawała wielu pytań ani nie usiłowała wkraść się w jego życie. — Życzę jutro powodzenia w nowej pracy.

Patrzył, jak Laura przechodzi przez tunel z szeleszczących liści bzu.

W Massachusetts lalo. Samotność ulic uwydatniały parasolki w godzinie szczytu i odbicie światła neonu, gdy Martin co wieczór wracał samochodem do domu w Montrose.

Szukał Sary na ulicach. Nie mógł się powstrzymać. Myszkował w tłumie na Boylston Street, u Filene'a, pośród ludzi mijających bibliotekę w Montrose. Czasami siadywał przed biblioteką, gdyż ona tam niegdyś pracowała.

Widział blondynki z powiewającymi długimi włosami. Błękitne oczy odpowiadały na spojrzenie Martina, gdy zatrzymywał się, by zapalić. Widział matę usta... kontur Wąskiego nosa. Żadna nie była Sarą. Martin szukał jadąc z pracy i do pracy i to szukanie stało się dla niego najważniejsze. W firmie komputerowej Rambaugh Al Su-rino otrzymał stanowisko kierownika z własnym gabinetem i osobistą sekretarką. Martina to nie obeszło. Wiedział, że personel obserwuje go, ciekaw, jak to przyjmie i czy otrząśnie się z przygnębienia. Guzik go to obchodziło. — Pewnie wolałbyś zostać sam, żeby to wszystko przemyśleć — oznajmił jego ojciec, tak że rodzice, Bogu dzięki, nieczęsto go odwiedzali.

Co wieczór Martin godzinami czytał papiery i książki Sary. Miała tyle książek. Melinowała je, gdzie mogła. Chciał wygładzić wybrzuszenie na materacu łóżka albo

przesunąć stos ręczników i znajdował książki, wyglądające tak cholernie nieprzystępnie jak jego ojciec, gdy mówił o „mistrzach prozy”. Większości ludzi najzupełniej wystarczały lektury szkolne — nikt nie ośmieliłby się wydać informatora handlowego w formie książki i nigdy nie nazywano go książką, gdyż odstreczyłoby to klientów. W czasie ich miodowego miesiąca Sara przeczytała kilka książek na głos.

Te wszystkie książki, na które Sara wydała uczciwe pieniądze, mógłby oddać Armii Zbawienia. Od czasu do czasu brał jakąś z jej toaletki albo zdejmował z wysokiej półki, ukrytą za pudełkami z owsianką. Szukał „momentów”. Sara podkreślała niektóre słowa i pisała na marginesach: „Tak!” „Męski szowinista.” „Bzdury!” „I kto to mówi?”

Okładał ją pięściami, gdyż wydawała własne pieniądze na książki, ale stawiała mu czoło jak mężczyzna, nawet gdy ją bił. Cholera! Co zrobiłby mężczyzna, gdyby mu powiedziano, że nie może wydawać własnych pieniędzy?

— Cholera! — wykrzyknął, siadając w ich drugiej maleńkiej sypialni, której nigdy nie wykorzystano dla niemowlęcia, i patrzył na rzędy zwiędłych fiołków.

Z biura biblioteki odesłano resztę rzeczy Sary. Przyniosła je Pam Fitzer, mała brunetka, która oświadczyła, że jest najlepszą przyjaciółką Sary z biblioteki. Obejrzała dom i Martina, gdy zanosił pudełka do sypialni.

— Jest pan taki samotny — mówiła za każdym razem, gdy przechodził obok niej z kolejnym pakunkiem. — Wiem, jaki musi się pan czuć samotny i opuszczony.

Gdy Pam wreszcie odeszła, mógł otworzyć pudełka. „Jesteś tam zwykłym popychadłem”, powtarzał Sarze, wyszydając jej dorywczą pracę. „Po prostu stemplujesz książki oddawane i wypożyczane.”

Pam Fitzer powróciła następnego wieczoru i spytała, czy nie miałaby ochoty na prawdziwy domowy posiłek, a on nie bardzo mógł odmówić. A więc weszła do środka, poszperała w szafkach, w lodówce i przyniosła zakupy ze sklepu. Zapłacił jej za wszystko.

więc była tam, krzątając się między zlewem i kuchenką, pobrzękując naczyniami jak Sara. Oczywiście, że czuł się osamotniony — zaczął jej o tym opowiadać i nie mógł przestać. Opowiadał, jak odnosili się do niego pfltyjaciele i trenerzy. Jego ojciec był dyrektorem gimnazjum, więc Martin nigdy nie wiedział, czy rzeczywiście zasługuje na dobre stopnie albo na członkostwo w drużynie piłkarskiej, póki nie poszedł do college'u i nie dostał w kość.

Przed obiadem wypili mnóstwo wina i niektóre jego ıłowa mogły wstrząsnąć Pam — że zawsze uważał, iż Bóg musi być podobny do jego zasranego ojca, pewnie tak samo marszczył brwi, gdy mówił: „Cholera” albo „Do diabła” i pozwolił ukrzyżować własnego syna. Pam odrzekła, że nigdy jej to nie przyszło do głowy.

Ambitny, oznajmił Pameli. Był naprawdę ambitny. Jego twarz przybierała ten kwaśny wyraz, gdy inni chłopcy Odbierali nagrody na zakończenie roku, a on nie. Ale co to ma za znaczenie? Umie rozmawiać i robić wrażenie na ludziach, od razu dostał dobrą posadę w Rambaugh. Pam oświadczyła, że wykształcenie to nie wszystko.

Chyba że nie, powiedział Martin, ale powinna z nim pojechać na zjazd rodzinny. Tylko jego tata ma wyższe wykształcenie. Cały tłum jego krewnych to farmerzy, sprzedawcy albo mechanicy, dyrektora liceum uważali za wielką szychę, a jego matka uśmiechała się, kiwała głową, aż Martinowi robiło się niedobrze. To wszystko było tylko na pokaz. Lecz gdy jego ojciec na niego najeżdżał, matka mówiła Martinowi, żeby się nie dawał, że on też będzie kimś. Pamela stwierdziła, że jego matka musi być strasznie miła i chciałyby ją poznać.

Martin był zadowolony, że ma z kim pogadać, więc Pam Fitzer wróciła następnego wieczoru i ugotowała obiad. Martin przeczytał wszystko, co znajdowało się w przyniesionych z biblioteki pudełkach Sary. Teraz zorientował się, ile pieniędzy wydała w ciągu roku na książki. Usiłowała „oddać sprawiedliwość” zainteresowaniom wszystkich czytelników, nawet gdy ich nie pochwałała. Ciągłe ktoś stał jej



nad głową, nie starczało pieniędzy, a do tego musiała się zajmować dziećmi ze szkoły.

Czasami niemal się uśmiechał. Nadawała ludziom przydomki w swym prywatnym archiwum kłótni, walk i zmagañ

O utrzymanie biblioteki „w stanie równowagi”. „Pani Kowalikowa” podarła na jej oczach magazyn **Ms.** „Pan dwurzędowy” zapłacił za swego syna karę w wysokości dwudziestu pięciu dolarów bilonem, ponieważ oszalał. „Panna niebiańska” życzyła sobie, by na każdym stojaku z literatura znajdował się egzemplarz Biblii.

Nazwiska brzmiały zabawnie, ale od razu zorientował się, jak znaczną ponosiła odpowiedzialność w porównaniu z nim. Nigdy o tym nie mówiła. Nigdy nie usiłował się dowiedzieć. Witała go w drzwiach, pytała, jak minął dzień, przynosiła drinka i słuchała, robiła obiad, zmywała...

Następnego wieczoru dzwonek u jego drzwi zadzwonił akurat wtedy, gdy oglądał w telewizji jakieś seksowne kobiety w roli detektywów i popijał wino z butelki. Przed domem stała Pam; wślizgnęła się przez uchylone drzwi, stanęła zbyt blisko niego i powiedziała, że myślała o biednym Martinie.

No coż, to miło, odrzekł. Była mocno uperfumowana, a gdy przycisnęła się do niego i zarzuciła mu ręce na szyję, poczuł, że więcej ma na sobie perfum niż ubrania.

— Tyle, tyle o tobie myślałam — gruchała Pam. — Jak ty musisz cierpieć.

Łzy napłynęły mu do oczu, a jednocześnie zastanawiał się, jak się jej pozbyć. Głaskała go po karku i szloch ścisnął mu gardło.

— Zostawiałem ją, żeby sama sobie jadła dobre obiadki — robiłem to mnóstwo razy, bo ona nie znosiła jeść w samotności i jedzenie stygło — wyznał.

Pam chciała, by jej o tym opowiedział, i jak mu idzie w pracy...

oznajmiła, że jest dobrą słuchaczką. Usiadła i słuchała, kiwając głową, bawiąc się włosami i naszyjnikiem i kręcąc się na tapczanie. Martin rzeki, że na pracę nie może się skarżyć. Ma wiele odpowiedzialnych zadań. Nic ma czasu na rozmyślanie.

— I ma pan ładny nowy wóz — rzekła Pam. — To duża przyjemność. — Popatrzył na nią. — Widziałam w zeszłym tygodniu, jak parkował pan koło biblioteki — powiedziała i się zaczerwieniła.

Wścibskie baby, pomyślał Martin i powiedział, że mając trochę pieniędzy w banku postanowił przesiąść się do lepszego auta.

Czy napiłby się kawy? Zrobiło się dosyć późno. Czy jadł obiad?

Odpowiedział przecząco, więc usmażyła mu jajecznicę i powiedziała, że trochę posprząta w kuchni. Łzy znowu napłynęły mu do oczu, gdy słuchał, jak Pam pobrzękuje talerzami i sztućcami, on zaś siedział przy stole jadalnym i sam przed sobą udawał, że to Sara.

Martin przyniósł do kuchni brudne talerze, a Pam umyła je, wytarła i odłożyła na miejsce, podczas gdy on tłumaczył, co robi w firmie komputerowej Rambaugh. Przedtem niewiele jej o tym opowiadał.

Musiał opanować funkcjonowanie bardzo skomplikowanej maszyny, oznajmił, wyposażenia biur, kosztujących więcej niż budynki. Gdy wracał do domu, był zawsze wyczerpany, lecz nie mógł przestać myśleć o tym, jak zostawił Sarę samą ostatniego dnia, który mieli spędzić wspólnie. Cały ten czas przesiedziała na brzegu i przepłakała, był tego pewien.

— Wiem — zagruchała Pam, podchodząc do Martina, stojącego przy kuchence. Otoczyła jego szyję ramionami i wsunęła rękę za dekollet.

— Gdyby Sara mogła wrócić! — szlochał Martin. Nie chciał wyciągnąć ręki zza sukienki Pam, gdyż bał się zranić jej uczucia. Więc trzymał ją tam, a Pam wiła się wokół niego, a potem posuwał drugą rękę w górę jej uda i pod to coś koronkowego, co tam nosiła, a nie było tego dużo. — Byłbym miły do końca życia, gdyby mogła tu wrócić! — szlochał Martin. Ciało Pam nie było takie jak Sary, inaczej też pachniała. Zaczęła się rozbierać, a Martin uważał, że nie powinien jej powstrzymywać — zrobiła mu przecież obiad. Po prostu była sympatyczna. Miała na sobie czerwoną koronkową kombinację i Martin nie chciał o tym myśleć.

Gdy stanęła już naga przy kuchence, zaczęła zdejmować mu koszulę. Starał się na nią nie patrzeć, stojącą tak koło mokrych ścierek i patelni, na której przypalił fasolę.

Zdjęła mu koszulę i zabrała się do spodni, a on zaczął się zastanawiać, czy to wyjdzie. Żołądek miał wypchany jajecznicą i grzankami i nie mógł powstrzymać łez, napływających mu do oczu, nawet gdy chciał, by ubrała się i wyszła.

Mógł tylko zamknąć oczy i udawać, że to Sara. Przynajmniej nie była tłusta i przyjemnie pachniała. W łóżku wydawała śmieszne dźwięki, cały czas mówiła i nie wiedziała, co mu sprawia przyjemność. Przypomniał sobie skrzypiące łóżka w domku letniskowym i Sarę pod osbą, krzyczącą: „Och!”

Pragnął, by Pam przestała mówić, gdy już się na niej znalazł. Nie słuchał, koncentrował się na dużych piersiach i miękkich włosach Sary, aż pomyślał, że to ona pod nim leży i poleciał jak rakieta — dał tej bibliotekarce dwa czy trzy akapity więcej, niż się spodziewała.

— A teraz śpij — rzekła Pam, podnosząc się w końcu i idąc do kuchni pozbierać ubranie z podłogi.

Wróciła do sypialni i wciągnęła czerwoną koronkową kombinację, rozciągając ją na całą długość, tak jak czyniła to Sara. Uśmiechnęła się do Martina, który leżał owinięty kołdrą, lecz nie otworzył oczu, póki się nie ubrała i nie wyszła frontowymi drzwiami.

Jestem mężatką, wyszeptała do siebie Pam Fitzer po tym, jak uśmiechnęła się do Martina w łóżku, i szczęśliwa i odprężona wyszła frontowymi drzwiami. Biegła między blokami w deszczu, nie dbając o to, że zrujnuje fryzurę i makijaż. A w domu się nie zorientują. Rozmyślając o tym, zatrzymała się, by krople deszczu spadły jej na twarz i uznała, że była dzielna i będzie wierna aż do śmierci, i że wcale tak bardzo nie bolało. Dobrze to zrobiłam! wyszeptała w deszcz i serce ukryte pod nowym, szmaragdowozielonym płaszczem przeciwdeszczowym z prawdziwymi guziczkami perłowymi napeęczało jak balon. Ale matce wystarczy jedno spojrzenie...

Biegła dalej. A więc tak to się robi. Dzięki Bogu za książki w bibliotece, które mogła czytać w każdej chwili, ponieważ wszyscy o nich zapomnieli, gdyż zamknięto je na klucz w specjalnych szafkach. Dobrze to zrobiła — pokazała mu, jak bardzo go kocha, pytając o jego żalobę i jego pracę i słuchając, słuchając. Biedaczysko. Nieszczęsny biedaczek, bezbronny, samotny, załamany i tęskniący za Sarą.

Wszystko jak trzeba, choć bała się, by nie wziął ją za głupią, nachalną i niekobietą. Ale płakał w jej ramionach. Na samą myśl stawała się słodsza niż cukierek, wprost topniała w deszczu. Jajecznicą. Przypaliła pierwszą partię grzanek, ale nie poczuł swądu.

Umiała smażyć jajecznicę — nie za płynną, nie za suchą. A jutro Martin znajdzie kanapki, które przygotowała, gdy opowiadał o firmie komputerowej Rambaugh — z kurczakiem z majonezem. Kurczaka przyniosła z domu.

Pam zatrzymała się pod latarnią i przyłożyła mokre ręce do mokrej twarzy. Czasami wyglądał jak mały chłopiec, z okrągłym czołem, na którym już zaczynały się pojawiać zmarszczki, krągłym podbródkiem i pełnymi, bezbarwnymi wargami. Jego brwi można było dostrzec tylko z bliska, wówczas widziało się cienkie włoski, wymodelowane płasko jak wzór na wachlarzu.

Ruszyła naprzód. Poznają się. Jej matce wystarczy jedno spojrzenie. Cicho zamknęła frontowe drzwi. Matka nie spojrzała na nią, czytała książkę, gdy Pam zgasila światło na werandzie i przeszła przez hol. Ojciec i matka czytali pod dwoma stojącymi lampami.

— Na pewno zmokłaś — odezwała się matka, nie podnosząc oczu. — W tym nowym płaszczu. Już czwarty wieczór wychodzisz. Ci twoi znajomi to jakieś łazęgi.

— Jest wodoodporny — rzekła Pam, nie bardzo słuchając, patrząc na ojca i matkę.

A więc tak to robili, jeśli rzeczywiście robili. Musieli. Nieważne, ile czytasz, nigdy nie można być pewnym, jak się umieścić, z nogami na ścianie, i tak dalej. Z wielkim, tłustym brzuchem albo chudymi nogami w czarnych, workowatych spodniach?

Będzie nosiła diament na palcu. Przy układaniu książek na półkach biblioteki za każdym razem jej palec rozsiewe błyski.

— I jak film? — spytała matka, nadal nie podnosząc wzroku.

— Kowboje — odparła Pam. — Skrzykują się razem, by ocalić rancho, ale i tak je tracą.

Salonik wydał się dziś Pam inny niż zwykle, dom był inny. To dlatego, że ona się zmieniła. To było takie duże i dało się wepchnąć. Teraz wszystko się zgadzało.

— Powiedz ojcu, że nie wyniósł śmieci, pewnie powie, że

nie może, bo znowu pada, a jutro zabiorą je, jeszcze zanim się obudzi, choć Bóg widzi, że ja nie będę spała.

— Dobrze — odrzekła Pam, myśląc, że wszyscy to robią za ciemnymi oknami w całym Montrose — co noc! Wilgoć i trochę krwi, ale znalazła podpaski i agrafki w jego łazience. Nie będzie się kąpać. Tak długo, jak się da. Zmyć jego zapach?

— Tato? — odezwała się, a on podniósł wzrok. — Mama mówi, że nie wyniosłeś śmieci, a teraz powiesz, że nie możesz, bo znowu pada i zabiorą je rano, zanim się obudzisz, ale mama nigdy nie śpi. Jej piękna czerwona bielizna w czarne róże — widział ją. Widział, jaka jest piękna.

— Powiedz matce, że wyniosłem — oznajmił ojciec i wybuchnął śmiechem. Śmiejąc się, zaszeleścił gazetą, wstał i poszedł do kuchni, ciągle się zaśmiewając.

— Wyniósł je, mamó — rzekła Pam,

Powiesiwszy płaszcz na wieszaku w holu do wyschnięcia, poszła na górę ze swym nowym ciałem, które zostało otwarte, ktoś je użył, przeszło przez czyjeś ręce i poznało już świat. Weszło po schodach czując, jak uderza w nim krew, piękne i funkcjonalne jak zakrzywiona poręcz schodów, jak geranium, zielone i rozrastające się pod ślubnym zdjęciem rodziców.

Przystanąła, by popatrzeć na tę parę. Stali możliwie jak najbliżej siebie, róże matki nachylone nieco ku rękawowi ojca, kołnierzyk jego koszuli zlewa się, biały z białym, z jej ślubnym welonem. Rozbieranie się. Myślała, że tego nie zrobi, ale zdjęła ubranie, gdyż myślała tylko o nim, kiedy tak stał, szlochając, że będzie miły do końca życia, byleby Sara wróciła.

Pam zamknęła drzwi sypialni na klucz i rozebrała się do naga. Niedużo krwi. I miała jeszcze na ciele czerwone plamki. Znikały dość wolno — ciągle były widoczne. Ślady palców. Nie jej. Nie jej. Czowała serce, znowu nabrzmiewające jak balon. Nigdy nie będzie szczęśliwsza niż teraz, nawet gdy weźmie ślub w miejscowym kościele w pięknej białej sukni. Pamela Burney. Pani Martinowa Burney. Nie skrzywdzi Sary. Sara utonąła.

Opowiadała Sarze wszystko — o rodzicach, jak odnosiły się do niej dziewczęta w szkołę średniej i że nie ma chłopca. Sara wysłuchiwała jej zwierzeń — pierwsza osoba, która kiedykolwiek jej słuchała. Myślała, że Sara sprawiła na niej wrażenie samotnej i smutnej. „Czasami”, mówiła Sara, „widzę świat jakby z przestrzeni kosmicznej i jest taki apodyktyczny — wszystko zależy od naszego wyboru. Wybieramy betonowe ulice z krawężnikami, wybieramy posyłanie dzieci do szkoły i wybieramy, że mężczyźni i kobiety mają mieszkać razem w domach jako «małżeństwa». Ale wcale tak nie musi być. Wcale nie trzeba mieć chłopca, życia seksualnego ani dzieci, by być szczęśliwą. Kto ci o tym naopowiadał?”

Pam wkładała szlafrok, myśląc o Martinie. Gdy mówił, odrywał sobie strzępki paznokci i garbił się — co w połączeniu z grubym karkiem sprawiało, że wyglądał, jakby był nieco przeciążony od góry. Nie lubił ojca, ale kochał matkę — to było miłe. Gdy chodził, zawijał palce do środka, a stawiając wielkie kroki najpierw wbijał w ziemię obcasy — obserwowała go z okna biblioteki — i silnie wymachiwał ramionami, jakby przeprawiał się przez wodę.

Nigdy nie będzie taka mądra jak Sara. Sara co miesiąc czy dwa studiowała inny przedmiot i czytała bez końca. Recytowała wiersze nowych poetów, o których Pam nigdy nie słyszała, a gdy wzięła się do dramatu, zamawiała taśmy z innych bibliotek i po pracy słuchała sztuk. Pam westchnęła. Gdy poślubi Martina, jej rodzice będą mogli mieć kota. Jej matka powie: „Kotku (czy jak tam będzie miał na imię), chyba nie wyrzucił śmieci, a śmieciarka przyjedzie jutro z samego rana i on nie wstanie, ale my, kotku, będziemy na nogach.”

Pam przybliżyła twarz do lustra. Wszeptała wówczas: „Uważaj. To pierwszy raz.” Ale był taki namiętny. Nie mógł się powstrzymać. To chyba jest trochę tak jak wtedy, gdy musi się zwymiotować czy kaszlnąć. Miał szerokie kości policzkowe, uszy blisko przy głowie i kciuki zawsze ugięte w kłykciach. Szeptała mu swe najtajniejsze myśli, gdy był zajęty tam niżej, dostając, czego chciał.

Co wieczór, jeśli tylko zdoła, będzie stała na rogu i patrzyła, czy w pokoju Martina palą się światła, a potem zapuka i zrobi mu obiad. Co wieczór. Aż odczuje jej brak, gdy nie będzie mogła przyjść i powie: „Wczoraj czekałem na ciebie całą noc. Nie mogę bez ciebie żyć. Wyjdź za mnie.” Bardzo jasną szminką napisała na lustrze: „Pamela Burney”. Wyłaniała się z za tych słów, jedyna, którą on, pokocha — nie tak piękna jak Sara, lecz kochająca. Gorące posiłki, gdy wróci do domu, wszystko poreperowane i czyste, gdyż będzie racją jej życia, a ona zrezygnuje z pracy w bibliotece, gdyby sobie tego życzył — za nic w świecie go nie zrani.

„Pamela Burney”. Długo patrzyła na siebie, uśmiechając się, opuszczając szlafrok i obracając się, by zobaczyć czerwone ślady, nim oczyści lustro.



Na poniedziałkowe śniadanie Sara miała resztki owsianki, a na lunch ostatki keczupu z gorącą wodą. O pół do czwartej zjadła mus jabłkowy, po czym wyszła w gorące popołudniowe powietrze.

Minęła wyglądający na stodołę dom Bena. Obrosnięty trawą nasyp obniżał się łagodnie jak u niej i podnosił ich domy niemal do poziomu parku po przeciwległej stronie ulicy. Popękany chodnik wysuwał się w półksiężyc w miejscu, gdzie niegdyś rosło drzewo. Drzewa tworzyły dach nad domami jej i Bena, zaciemniały czerwone cegły, dachówki i rzucały na białe ściany błękitny cień.

W połowie drogi do centrum Sara nacisnęła dzwonek u drzwi doktor Channing. Otworzyła kobieta tak chuda, że jej kości jak gdyby wydostały się z ciała.

— Pani Laura Pray? — spytała, prowadząc ją w głąb mrocznego domu.

— Nazywam się Eaker, jestem pielęgniarką i przychodzę do doktor Channing dwa razy w tygodniu, by ją wykąpać. W nocy śpi tu studentka, ale chora potrzebuje kogoś, kto zająłby się nią w dzień, podał lunch i obiad, trochę posprzątał — ot, takie rzeczy.

— Zajmowałam się matką — rzekła Sara, rozglądając się wokół. Pośród chłodnej prostoty saloniku rzuciło jej się w oczy inkrustowane biurko i dwie ryciny, wyglądające na Hogartha. Odlew greckiej głowy patrzył na Sarę oczyma

pozbawionymi wyrazu jak winogrona. — Jest niewidoma i cały czas łąży.  
— Doktor Channing nie jest niewidoma, ale straciła zainteresowanie życiem, nie chce dać się posadzić na krześle, nie chce rozmawiać — wyjaśniła pani Eaker. — Wie pani, miała straszny wypadek samochodowy. Ale proszę usiąść. Ellen wszystko pani opowie. Ellen Garner, Laura Pray.

Tłusta młoda kobieta w drzwiach zerknęła na Sarę tylko przez ułamek sekundy, a potem błędziła wzrokiem po pokoju. Brzuch wydymał jej koszulę, ciało wylewało się z dżinsów, i gdy pani Eaker wyszła, niezgrabnie usadowiła się na skrzypiącym krześle.

Sara usłyszała, jak zamykają się drzwi frontowe. Po chwili Ellen odezwała się bezbarwnym głosem:

— Głównie chodzi o to, żeby ktoś tu po prostu był, trzeba ją nakarmić, może pani pozmywać i przeprać.

— Rozumiem — rzekła Sara. — Czy mogłabym zacząć od zaraz?

— Pokażę pani kuchnię — powiedziała Ellen.

Dom był chłodny i przewiewny, po schodach weszły na piętro. Okna na podeście białeły organdyńowymi firankami i czerwieniły się geranium oświetlonym słońcem.

— Pralka i suszarka stoją tu, koło kuchni. Ja robię zakupy.

Oczy Ellen, brązowe i pięknie ocienione ciemnymi rzęsami, wpatrywały się w otwartą lodówkę tak beznamietnie, jakby jedzenie jej nie interesowało. Ślinka napłynęła Sarze do ust na widok mleka, sera, jajek i owoców.

— Dziś może pani zrobić obiad. Potrawy trzeba drobno pokroić, ale wolno jej jeść prawie wszystko — rzekła Ellen. — Proszę tylko powiedzieć, co pani przygotowała, a ona kiwnie głową, jeśli będzie miała na to ochotę. Może poruszać głową. Nie chce jeść i nienawidzi, jak się ją karmi, ale nie ma wyjścia. Nie może sama się nakarmić i nie chce rozmawiać.

— Rozumiem — oznajmiła Sara.

Mogła przyjrzeć się Ellen, gdyż wzrok dziewczyny nigdy na niej nie spoczął — błędził po podłodze, stole i krzesłach

kuchennych, rzędach glinianych naczyń, pojemnikach z przyprawami. — Podaję jej śniadanie i gdy pani przychodzi o dwunastej, wychodzę na zajęcia popołudniowe — ciągnęła Ellen, patrząc na lniane ściereczki, zawieszane na ścianie. Spoglądali z nich Elżbieta I i Henryk VIII, ich drukowane twarze zdawały się żywsze niż jej. — Więc je lunch mniej więcej piętnaście po dwunastej i obiad o piątej, ja przychodzę o szóstej i wtedy pani może iść do domu. Nieczęsto potrzebuje basenu, ale od czasu do czasu niech ją pani zapyta i czasami sprawdzi.

Sara pomyślała, że Ellen Garner może mieć najwyżej osiemnaście lat; mieszka z kobietą, która nie chce się odzywać. Dom otaczał je ciszą tak chłodną jak Ellen.

— Zaprowadzę panią do niej — rzekła Ellen. Perłowe światło, wpadające przez przezroczyście firanki, oblewało jasną poświatą znajdującą się na tyłach domu sypialnię i osrebrzało ogorzałą twarz na poduszce. Mosiężne lampy, uchwyty toaletki z orzechowego drewna i szyfonierka pobłyskiwały na tle błękitnych zasłon, narzuty i chodnika.

— To jest Laura Pray — powiedziała bezdźwięcznym głosem Ellen do głowy, wspartej na poduszce. Twarz była stara i nieładna, brązowe oczy wpatrywały się w Sarę bacznie, z czujnością. — Znajoma pani Nepper. Mówi, że może przychodzić w południe, przeprać, posprzątać i podać pani lunch i obiad.

Brązowe oczy przypatrywały się im obu. Głowę na poduszce otaczał starannie zapleciony warkocz siwych włosów.

— Cieszę się, że dostałam tę pracę — odezwała się Sara po chwili. — Musi mi pani dać znać, jeśli coś źle zrobię. Proszę potrząsnąć głową. Albo mrugnąć. — Sarze zdawało się, że w brązowych oczach zamigotał na chwilę mały ognik.

Twarz Ellen pozbawiona była wszelkiego wyrazu, jej oczy obiegały pokój jakby czegoś szukając.

— No, to idę po zakupy. Numery telefonów pani Eaker i lekarza są na lodówce.

Co można powiedzieć o którejkolwiek z nich? Sara patrzyła, jak Ellen wytacza się z domu, i pozostała z chłodem, ciszą i parą brązowych oczu, przypatrujących się jej z łóżka. Przybliżyła się i uśmiechnęła:

— Co zjadłaby pani na obiad? Mięso? Nie jest pani głodna?

Głowa na poduszce poruszyła się w przód i w tył.

— A może jajecznicę? — Sara uśmiechnęła się do czujnych oczu, które wydawały się zranione i zasmucone, nawet gdy uważnie się jej przypatrywały. Twarz nigdy nie była piękna — duży nos nad wydatnymi ustami i wielkimi zębami. Ciało pod przykryciem wydawało się jeszcze solidne, nawet obfite. Głowa poruszała się w górę i w dół. — Zajrzę do lodówki i do szafek, żeby zobaczyć, co tam jeszcze jest — rzekła Sara, poklepując nieruchomą rękę na kołdrze.

Odpowiedział jej tylko szum urządzeń klimatyzacyjnych.

Sara poszła do kuchni i zaczęła się tam żwawo krzątać, wypełniając powietrze dźwiękiem zamykanych i otwieranych drzwi, brzękiem pokrywek o patelnie. Było mnóstwo jajek, porządny rondel, groszek w zamrażalniku i jabłka.

— Miałaby pani ochotę na mrożony zielony groszek? — Poszła zapytać smutne brązowe oczy. — I do tego świeże jabłko, pokrojone na małe kawałki? — Głowa na poduszce poruszyła się z góry na dół. Sara uśmiechnęła się i wróciła do kuchni.

Jajka, mleko, sól. Na widok jedzenia zrobiło jej się słabo. Gdyby mogła wypić szklankę mleka... kto ją zobaczy? Podniosła karton mleka i zrobiła krok w kierunku kredensu, potem zatrzymała się w pół kroku z wyrazem przerażenia na twarzy.

Sara niemal pobiegła przez hol do sypialni, stając tak, by doktor Channing mogła ją widzieć.

— Czy, robiąc obiad, mogłabym wypić szklankę mleka? Nie miałaby pani nic przeciwko temu?

Głowa poruszyła się w przód i w tył.

— Bardzo dziękuję — rzekła Sara i poszła nalać sobie zimnego, tłustego mleka.

Poczuła kurcz żołądka, zaczęła nucić przy pracy. Na parapecie leżała w rzędach pietruszka i szczypiorek. Sara spojrzała na nowy, lśniący piecyk, lodówkę, kuchenkę mikrofalową. Lniana makatka na ścianie ukazywała dostojnego Henryka VIII, opasłego i rozmarzonego, lecz czarne oczy jego córki rzucały ostre spojrzenie, śledzące Sarę, krzątającą się między stołem, kuchenką i zlewem. Może doktor Channing zapłaci jej choć trochę dziś wieczorem. Mogłaby kupić coś do jedzenia.

Z sąsiedniego domu dochodziły stłumione dziecięce pokrzykiwania. Potem zamknęła się wokół niej głucha, ponura cisza dwu kobiet. Lecz do miseczki chlupnęły jajka, zamruczał mikser. Sara ustawiła na tacy obiad dla doktor Channing i znalazła serwetkę w szufladzie.

— A teraz — powiedziała Sara, zawiązując serwetkę pod brodą chorej — zjemy smaczny obiadek i pogawędzimy. Obawiam się, że będzie pani musiała mnie słuchać, gdyż pani usta będą pełne jedzenia. — Brązowe oczy uśmiechnęły się z lekka. — Nigdy tego dobrze nie zrobię — kontynuowała Sara, przysuwając łyżeczkę do ust kobiety. — Nikt nigdy nikogo nie nakarmi tak, jakby sam brał jedzenie, ale spróbuję.

W lustrze nad toaletką chuda brunetka karmiła starą kobietę i Sara pomyślała, że brunetka wygląda na szczęśliwą — ma pracę. Potarła czoło grzbietem nadgarstka i uśmiechnęła się do pani Channing.

Jakże trudno jest ocenić, kiedy druga osoba przełknie albo co następnie będzie chciała zjeść. Na podbródek doktor Channing upadł kawałek jajka, a Sara nie chciała zeskrobywać go łyżką.

— To dosyć zapychające — rzekła. — Może napiłaby się pani czegoś? Mleka? — Kobieta potrząsnęła głową. — Kawy? Herbaty? — Tym razem skinęła potakująco. — W takim razie pójde nastawić wodę.

Herbata w torebkach była w kredensie, Sara znalazła ją w końcu, — Herbata z cukrem? — spytała, gdy przyszła zabrać łyżeczkę. — Cytryna? — Głowa dwukrotnie kiwnęła przecząco.

Kawałek jajka. Łyżeczka groszku. Cisza pokoju otaczała je jak kokon, cichy szum klimatyzacji pochłaniał dźwięki. Dochodziło do nich tylko światło stłumione zasłonami.

— Mam dwadzieścia pięć lat i mieszkam w domu pani Nepper na Seerley Park. Dorastałam w różnych miastach w Nebrasce — tylko przez jakiś czas mieszkaliśmy w Massachusetts — więc pochodzę ze Środkowego Zachodu. Kocham Cedar Falls szczególnie dlatego, że jest to miasto uniwersyteckie.

Parę kawałków jabłka. Kęs jajka.

— Ma pani tyle książek. Może jutro coś bym pani poczytała? — Brązowe oczy spojrzały na nią cieplej. — Chciałaby pani? Uwielbiam czytać, ale może nie będę zbyt dobrą lektorką dla profesora uniwersytetu?

Oczy doktor Channing znowu spojrzały gdzieś w przestrzeń z taką głębią smutku, daleko od wydatnych warg i żujących zębów.

— Może poczytać pani Henry'ego Jamesa? — spytała Sara, spychając groszek na jajecznicę, by nałożyć go na łyżeczkę.

W holu tykał zegar.

— Pracowała pani nad nim całe życie, prawda? — odezwała się Sara po chwili. — Jeśli sprawiało to przyjemność pani, to i mnie również. Ze wszystkich jego powieści udało mi się przebrnąć tylko przez *W kleszczach lęku*. Zaplątuję się w te wszystkie słowa jak kot w motek wełny.

Klimatyzacja szumiała cicho, bezustannie.

Umysł Sary opuścił Henry'ego Jamesa i przypomniał sobie, niczym nie sprowokowany, że Martin domagał się, by każdy ręcznik wiszący w łazience złożony był na trzy, jego bielizna złożona na trzy i wszystkie koce na półkach w szafie złożone na trzy. Nagle zachciało jej się śmiać, lecz powiedziała twarzy na poduszce:

— Nie chcę pani zagadać. Może czasami puścimy muzykę, gdy będzie pani jadła.

Głowa skinęła.

W końcu Sara rzekła;

— No i skończyliśmy.

Poszła po herbatę. Pani Channing sączyła ją przez plastikową rurkę. — Chciałaby pani jeszcze coś? — spytała Sara. Głowa otoczona warkoczem poruszyła się w przód i w tył. — W takim razie pójdę zmyć naczynia. Za chwilę przyjdzie Ellen. Będę tu zaglądać, czy pani czegoś nie potrzebuje.

Sara Burney, wykwalifikowana bibliotekarka, włożyła brudne naczynia do miednicy, znalazła płyn do zmywania i napotkała czarny, intensywny wzrok królowej Elżbiety z makatki. Elżbietę ukrywano, też obawiała się o swoje życie — lękała się własnego ojca. (Teraz Henryk VIII spoglądał na nie obie znad wydatnego brzucha.)

Gdy doktor Channing potrzebowała basenu, Sara przetoczyła stary, ciężki tułów na bok, a potem do poprzedniej pozycji. Niezdarne, obwisłe ciało, jak u jej matki. Dotykała go ostrożnie, delikatnie i otaczała kalekę chudymi ramionami, uśmiechając się do brązowych oczu, zranionych i nieruchomych.

Sara była w kuchni, gdy zatrzeszczały drzwi i weszła Ellen z torbami zakupów. Zerknęła na Sarę, po czym zajęła się wyładowywaniem puszek, butelek i pudełek.

— Dobry wieczór — rzekła Sara.

— Dobry wieczór — odparła Ellen bezdźwięcznym głosem.

Opasłe ręce wydymały się jej między łokciem i nadgarstkiem, jakby były w tych miejscach związane — balony tłuszczu.

Żeby tak wyglądać, myślała Sara... toczyć wokół siebie te ogromne uda, chodząc od szafki do szafki i wypatrywać oczy znad tego potężnego brzucha, żeby dostrzec właściwą dolną szufladę.

— Doktor Channing zjadła obiad — oświadczyła Sara. — Jajecznice z groszkiem, jabłko i herbatę,

Ellen przez minutę stała z otwartymi ustami.

— Nie jadła tyle od czasu wypadku.

Pod cienkimi brązowymi włosami jej twarz pozbawiona była wyrazu, lecz brązowe oczy miała podobne do oczu doktor Channing, gdy Sara uchwyciła ich spojrzenie — czujne, dalekie.

Sara wytarła naczynia i odstawiła. Ellen poskładała papierowe torby.

— Mam pani zapłacić za pierwsze dwa tygodnie — powiedziała po chwili i wyciągnęła kopertę.

— Dziękuję — odparła Sara. — Czy chce pani, żebym przychodziła codziennie od południa do szóstej?

— Tak — powiedziała Ellen. — I może mogłaby pani przyjść czasami rano, żebym mogła popracować w bibliotece. Muszę przygotować się do zajęć.

— Mogę przyjść o każdej porze — zapewniła Sara. — Proszę mnie tylko nieco wcześniej zawiadomić. I gdy tylko pani będzie chciała, żebym przeprała, czy posprzątała...

— Czy mogłaby pani przyjść jutro o ósmej? Mamy sprzątaczkę, która przychodzi ijkrio w piątki, więc mogę wtedy iść do biblioteki — rzekła Ellen. — Lunch może zjeść pani tutaj. — Głos miała teraz praktyczny, jakby nawykła do planowania.

— Zgoda — powiedziała Sara. Na kuchennym zegarze było już po szóstej i Ellen zdawała się czekać na wyjście Sary. — Do widzenia.

Sara dopiero przed następnym blokiem otworzyła kopertę i stwierdziła, że jest tam dość pieniędzy na opłacenie czynszu, kupienie jedzenia, gipsu, szpachelki i sportowych butów. Niemal zatańczyła na chodniku — ma pracę i nie zadano jej żadnych pytań, na które nie umiałaby odpowiedzieć! Włożyła pieniądze do kieszeni i dotykała ich, idąc cienistymi ulicami,, a potem brudną, upalną ścieżką wzdłuż autostrady 218.

Na College Square znajdował się supermarket z tanią żywnością; Sara zaglądała przez nachylone szyby, wybierając to mięso, te warzywa i ten deser jak klejnoty wyłożone na aksamicie i jadła powoli przy narożnym stoliku, nadal czując w kieszeni góry dolarów. Gdybyż tylko naprzeciw niej siedziała Cristinę Wiedin. Cristinę uwielbiała jadać w supermarketach. Zmiatała wszystko z talerza, dojadła, czego Sara nie dawała rady zjeść, i szła po jeszcze, przewracając oczami i mówiąc: „Wszystko, co lubię, jest tuczące albo niemoralne, więc lepiej coś zjeść.”



Teraz Sara Burney utonęła. Nigdy już nie zobaczy Cristine, Karen, Joan, Pam ani Marie. Myślą, że Sara Burney nie żyje. Nigdy nie będzie mogła wrócić, by powiedzieć im, iż tak nie jest.

Gdy Sara skończyła obiad, popychała wózek wolno, z rozkoszą, ani przez moment nie zatrzymując się przy płatkach owsianych, fasoli czy keczupie. Torba zjedzeniem była już ciężka, ale kupiła parę dobrych sportowych bucików, potem zatrzymała się przy stoisku z narzędziami.

Pani Nepper obiecała jej farbę, Sara kupiła pędzel, podkład, szpachlówkę, szpachelkę, papier ścierny i złapała autobus jadący College Street.

Gdy rzuciła zakupy na stół kuchenny i otworzyła czystą, białą, pustą lodówkę, roześmiała się głośno z radości. Będzie mogła wypić szklanek mleka przed pójściem spać. Jutro zacznie wypełniać pęknięcia i dziury w ścianie. Będzie mogła biegać w nowych butach.

Kupi sobie pamiętnik — odkąd sięga pamięcią, zawsze pisała pamiętnik... nic. Nie może prowadzić pamiętnika. Jest Laurą Pray, która nic zostawia żadnych śladów.

Wykąpała się, wypila mleko i leżała w łóżku, myśląc o doktor Channing, która cały dzień wpatrywała się w sufit. Rozmyślała o tym, co Ellen Gardner powiedziała jej o pani Channing.

— Została sparaliżowana zeszłego lata, w wyniku wypadku — rzekła Ellen. — Nie chce już żyć, to wszystko.

Sara ujrzała przez moment oczy Ellen, nim je spuściła. Patrzyły, jakby Ellen spokojnie obserwowała kobietę, która chce umrzeć, tak jak student wyższej uczelni może patrzeć na salę w czasie zajęć albo zadaną mu pracę czy też półkę biblioteczną wypełnioną książkami.

Słyszając, jak Laura Pray puka do kuchennych drzwi, Ellen Garner uniosła wzrok znad zmywanych naczyń. Gdy Laura weszła, w jej lśniących, ciemnych puklach płonęło słońce. Ellen spojrzała na nią i czuła, że jej własne ciało wydyma się bezkształtnie jak przedziurawiona piłka plażowa.

— Dzień dobry — powiedziała Laura — piękny poranek. Jak się ma doktor Channing?

— W porządku — odparła Ellen.

— Powycieram — zaproponowała Laura i wzięła ścierkę. — Nie ma sensu używać maszyny do zmywania naczyń tylko dla nas.

— Rzeczywiście — zgodziła się Ellen, zeskrobując paznokciem kciuka resztki jajeczniczy z patelni.

Przez chwilę słychać było tylko brzęk talerzy i szum wody. Lato zdawało się zatrzymywać przed drzwiami doktor Channing. Sara wytarła naczynia i przypomniała sobie wiersz Jamesa Russella Lowella — czy na pewno jego? — o zamku jak przyczółek zimy. Lato obieгло go ze wszech stron tam tata tam Nie może się wedrzeć na mrozu tron, lecz wokół, gdzie spojrzeć, rozbiło namioty tam lata tam tata tam nie pamiętała dokładnie, jak to szło A każdy przestronny, zielony i złoty. Z każdego szmer jakiś dochodzi upojny, aż wietrzyk zapadnie w sen nocny, spokojny. Za oknami kuchni trzepotały liście.

— Mam nadzieję, że odkładam rzeczy na miejsce — zwróciła się do Ellen.

Ellen nie odpowiedziała, zerknęła tylko do szafek, lecz nie spojrzała na Sarę. Oczy miała brązowe, bardzo wilgotne i bardzo nieruchome. Stojąc nad zlewem ukazywała tylko swą zewnętrzną stronę, jak wydęty garnek gliniany, który właśnie myła. Kuchnia wokół niej mogłaby być pusta, głosiło jej ciało.

— Gdzie pani wieszka ścierki? — spytała Sara.

— Może ją pani wrzucić do brudów i przeprać dzisiaj razem z resztą. Kosz na brudne rzeczy stoi koło pralki — rzekła Ellen.

Wylała mydliny, wytarła miednicę gąbką i włożyła ją pod zlew, powoli opuszczając swą potężną postać ze sterzącym tyłkiem. Odgarnęła cienkie włosy z czoła. Sara chciałaby położyć jej rękę na ramieniu i powiedzieć coś miłego, ale co tu było do powiedzenia?

— Do widzenia — powiedziała Sara, gdy Ellen wychodziła z kuchni z notatnikami pod pachą.

Kosz był pełen bielizny pościelowej, ręczników i koszul nocnych. Sara rozłożyła je na stosiki i śpiewała przy pracy — starą piosenkę ludową o beztroskiej miłości. Czysty dźwięk przenikał przez hol do nieruchomej twarzy na poduszce.

Słońce schowało się i pachniało deszczem, lecz już robił się upał, choć było dopiero pół do dziewiątej. Gdy El Garner dotarła do biblioteki uniwersyteckiej, była już cała spocona.

Niewielu studentów przyszło o tej porze. El mogła usiąść w swym ulubionym, wyściełanym krześle w rogu, zgarnąć pod siebie spódnicę i owinąć się starym płaszczem przeciwdeszczowym. Gdy ktoś na nią spojrzy, nigdy się nie domyśli, że ona jest w ciąży — wygląda na zwykłą tłuścioszkę, wiejską dziewczynę, jedną z tych, których się nie zauważa — co roku mnóstwo takich opuszcza uniwersytet z dyplomami nauczycielek.

Niedługo potem letnia burza strugami deszczu zalała okno koło El. Zeszłej zimy przez taką ulewę biegła do

Beeley's Drive Inn, lecz przyczepa Jerry'ego odjechała. Nikt nie wiedział, dokąd się udał (ani, jeśli już o tym mowa, skąd przybył). El znalazła tylko żółty prostokąt zeschniętej trawy i kilka butelek po wódce w pojemniku na śmieci.

El otworzyła notatnik do przedmiotów humanistycznych, zaczynał się od notatek na pierwszy semestr. Nie myśl o rzeczach nieprzyjemnych. To była jej pierwsza zasada. Widniała na drugiej stronie: Nie myśl o rzeczach nieprzyjemnych podkreślone na czerwono. Zaczęła kartkować „Kulty religijne Persji.”

El otaczały jaskrawoczerwone i niebieskie wyściełane krzesła. Czasami wyglądała przez okna na deszcz i jej wargi się poruszały. Gdy w swych notatkach Ellen dotarła do „Początków hebraizmu”, na górze strony ujrzała zapisek Nie ryzykuj, który podkreśliła, by korespondował z pierwszą regułą. We „Wczesnym średniowieczu” drukowanymi literami zapisała: Dbaj o zdrowie. Koniec z colą i parówkami na lunch. O tych trzech regułach pomyślała w pierwszym semestrze. Może powinny się tam znaleźć i inne, na przykład Ucz się na błędach bądź nawet Żałuj za grzechy, lecz jakoś tych trzech się trzymała.

Jej, ale mam szczęście, że jestem gruba, myślała El, patrząc na notatki, dotyczące rosnącego znaczenia opactw średniowiecznych, lecz przypominając sobie chudą sylwetkę i blask rozburzonych włosów Laury Pray. El była tłąstą, przeciętną dziewczyną, niczym nie wyróżniającą się w tłumie studentów. W domu, jako najstarsza córka Pete'a Garnera nigdy nie chodziła na randki, dostawała najlepsze stopnie, każdego lata pracowała w przydrożnym zajeździe i zawsze ciągnęła za sobą młodszych braci i siostry. Na uniwersytecie spojrzenia prześlizgiwały się po niej jak deszcz po szybie. W Cedar Falls może być nikim — parą patrzących oczu.

W lutym ciągle jeszcze była chora i przerażona, wyglądała przez okna z sali, w której odbywały się zajęcia, zastanawiając się, co może zrobić. Te sale były jedynymi miejscami (z wyjątkiem kabin w toalecie), gdzie mogła spokojnie rozmyślać.

Wszyscy studenci z jej rocznika — nigdy nie przypuszczała, że może ich być tak wielu. We wrześniu błądziła zagubiona w tłumie po wielkich, przerażających budynkach. Siadywała w rogu i patrzyła, jak inni jedzą z takich samych tacek jak ona. W nocy pod jednym dachem z nią spała setka dziewcząt, jak pszczoły w swych komórkach, z lokówkami i szpilkami we włosach, pachnąc perfumami. Uwielbiała patrzeć, jak mijają ją w drzwiach dormitorium. Siadywała na rogu czyjegoś łóżka i przyglądała się rozwalonym wokół niej dziewczętom, ich ślicznym roześmianym ustom, tak pięknym kształtom nóg i piersi, jak Laury Pray. Ona też wydawała się komuś piękna, była kobietą i do kogoś należała. W marcu przeniosła się do domu doktor Channing. Wówczas mogła już rozpamiętywać, jak leżała przytulona do Jerry'ego, ukrywając twarz w ciepłym kąciku między szyją i ramieniem.

El prze kartko wy wała „Osiągnięcia Egipcjan”. Gdy dotarli do Egiptu, mogła już myśleć o przyszłości. Miasteczko uniwersyteckie pokryte było dwumetrową warstwą śniegu i ona też czuła się pogrzebana. Wypłakała już cały zapas łez i rozważała możliwość wyskoczenia z okna, co uznała za normalne.

Czyż nie była wówczas małym, przerażonym kurczątkiem, czepiającym się miejsca, gdzie tak czy tak musi pozostać, przepraszającym, że żyje, przerażonym, że nie zdąży oddać swych prac na czas — jejku.

Dziś rano w domu koryta dla świń będą trzaskać. Pola za oknami sypialni pokryte są gęstym zielonym zbożem. Jeśli tam również pada, dom cuchnąć będzie gnojem i oborą, budynki gospodarskie pokryją szare smugi wilgoci, a wywrotka ojca rozjeździ błoto za domem. Gdy wejdą dzieci, w korytarzu od podwórka stanie rząd brudnych butów.

El westchnęła i powróciła do notatek o hieroglifach. Matka będzie umęczona tym biotem i w ogóle będzie umęczona i przerażona, że może zostać sama. Pete Garner zmęczył się uprawianiem cudzego pola i odszedł na jakiś czas, gdy El miała czternaście lat. Byle drobiazg wystarczy,

by tata odszedł, rzekła El pod nosem, patrząc na deszcz. El nie chciała być tym drobiazgiem. Nic go nie kosztowała, mając stypendium i pracę u doktor Channing.

Czuła zapach smażonych jajek, wydymających się na grillu w zajeździe u Beeleya. Stała tam z łopatką o ułamanej ręczce, czekając, kiedy będzie można je odwrócić. Gdy była głodna (a przeważnie była), myślała o tym przydrożnym zajeździe. Przez trzy lata wakacyjne miesiące spędzała na zwijaniu spłowiałych bambusowych stor. otwieraniu dwóch par podwójnych drzwi i zasuwaniu żaluzji. Robiła to każdego ranka o siódmej, gdy świat pachniał zielenią i czystością.

Po tego czasu uruchamiano już saturator, tacki napełniano mrożonymi frytkami, rożen i garnek do smażenia w głębokim tłuszczu były już gorące, a ona roznosiła papierowe serwetki, wycierała stoły albo przewracała jajka na grillu. Łopatkę ze złamaną ręczką otaczało coś w rodzaju aureoli, gdyż trzeciego lata był tu Jerry, wychodzący z przyczepy, by unieść jej włosy z karku i pocałować miejsce tuż poniżej, które, jak twierdził, było najbardziej miękkie na całym jej ciele.

Ż tyłu szafy stała spakowana walizka. W semestrze jesiennym Ellen poszła naprzód z materiałem na wypadek, gdyby coś się stało, zachorowała i nie mogła dotrzymać kroku innym. Miała przygotowane pieniądze na taksówkę i karteczkę dla doktor Channing, w której pisała, że musi wyjechać na parę tygodni, by zaopiekować się swą ciotką Marcellą — nagła choroba. Ciotka Marcella zajmie się tym, a zresztą pani Channing ma teraz Laureę Pray. „Pani Marcella Dchtstrom. 109 Fourth Street. Waterloo, Iowa” — wypisano na karteczce wraz z numerem telefonu ciotki Marcelli — wszystko gotowe.

Dwaj studenci przeszli wzdłuż rzędu krzeseł obok El, śmiejąc się z jakiegoś żartu. El patrzyła, jak machali dużymi, niezgrabnymi rękami myśląc, że wezwie taksówkę z holu hotelu i pojedzie do Waterloo. Po czym po prostu wkroczy do szpitala z karteczką w ręce i powie:

„Nazywam się Eleanor Dehlstrom. Czy moglibyście zawiadomić moją

ciotkę, że tu jestem? Na pewno przyjedzie." I więcej z niej nie wydobędą. El wpatrywała się w deszcz spływający po szybie; przywodził jej na myśl przejrzyste żyły, schodzące się i rozchodzące. A jeśli Jerry naprawdę wyśmiewał się z niej i na swej liście kobiet odhaczył ją jako „łatwą”? Niewiele jej opowiadał o innych, ale powiedział, że żadna nie była tak dobra jak ona, więc poczuła się taka dumna, choć była zmęczona i spocona, jadąc do lodziarni po dwa dwudziestolitrowe pojemniki wielosmakowych lodów dla klientów, którzy tłumnie napłyną po wyjściu z kina. Powiedział, że nigdy jej nie zapomni.

Nie myśl o rzeczach nieprzyjemnych — pomyślała więc

o tym Lecie. W myślach zawsze widziała je napisane dużą literą. Czasem, zanim usnęła u doktor Chanriing, czuła lucernę i koniczynę. Deszczowe chmury spiętrzyły się nad czerwonymi stodołami. Potem znów lało się słońce, maślane sierpniowe słońce. Zapach tego Letniego słońca czuła we włosach dzieci, gdy otulała je przed snem. Kiedy szła spać, ciągle jeszcze czuła w sobie Jerry'ego i jej pościel w ciemności pachniała powietrzem, jak białe chmury.

Po wyjściu ze szpitala może wrócić do domu. Wszystkie pokoje będą zarzucone zabawkami i brudnymi ubraniami, a jej matka będzie blada i wiecznie zmęczona. El spróbuje poukładać i posprzątać przed powrotem na uniwersytet. Może wziąć na ręce któreś maleństwo, Beverly albo Arta i popieścić je. Była taka smutna na Boże Narodzenie, kołysała je godzinami. Gdy się zapakowała przed wyjazdem, zastanawiając się, jak zdoła to zrobić, byli tacy podekscytowani, skacząc po stosach jej ubrań, kotłując się na starym łóżku El.

Fala czułości przepłynęła przez El, gorąca słodycz, której sniak niemal czuła. Głowa Jerry'ego pochylona nad rachunkami wieczorem w zajeździe napelniała ją takim samym wzruszeniem. Z przyczepy przychodziła jego żona i coś doń ryczała, rozsiewając zapach whisky, który otaczał ją zawsze, jak i kordonkowy szlafrok, a Ellen rozpływała się z czułości, widząc łysiejące miejsca we włosach Jerry'ego, głębokie zmarszczki na czole i plamy potu pod pachami.

Hieroglify egipskie upstrzone były małymi, pulchnymi ptaszkami i przyczajonymi lwami. El naszkicowała kilka w swym notatniku i teraz się jej przypatrywała. Jerry nie chciał nic wiedzieć o jej uczuciach, jeśli je okazywała, opowiadał świńskie historyjki o tym, czego ją nauczył. Gdy przestawali się kochać, mówił, jak mu to dobrze robi, tak samo jak podnoszenie ciężarów za budynkiem zajazdu. Byli po prostu dobrymi przyjaciółmi, powtarzała, i trafiła się im taka wspaniała sprawa.

Gdzieś za półką z pismami płasko spadła na podłogę książka. Plaśnięcie zbudziło dziecko. El poczuła chyba małą, miękką stopkę, wypychającą jej skórę, czuła jego twardą wypukłość z boku pod pachą. Wsunęła rękę pod płaszcz i delikatnie masowała, aż mały nie narodzony Em cofnął łokieć, kolanko, stopkę czy cokolwiek to było.

„El i Em”. Ich prywatny żarcik. Przerabiali Machiavellego tego dnia, gdy po raz pierwszy odczuła jego ruchy, więc pomyślała, że nazwie go „Mac” albo „Ren” ód „renesansu” i dlatego że tak tuptał. Ale stanęło na „Em” od „Embriona”. Był tam, dzień i noc, tajemny i żywy pod jej płaszczem, swetrem czy starym deszczowcem. Grubaska robiąca się jeszcze grubsza — tyle wszyscy widzieli. Nawet jej matka nic nie zauważyła w czasie wiosennej przerwy, raz tylko powiedziała, że El mogłaby jeszcze raz przejść na dietę. Gdy El przypatrywała się studentom tańczącym w klubie, Em walił, gdzie popadło pod płaszczem, mały orzeszek w jej skorupce. Jejku! Uwielbiał perkusję, ten mały duszek!

Długa, pożółkła twarz ciotki Marcelli nie zmieni się, gdy usłyszcy wezwanie ze szpitala. Nie powie: „Nie znam żadnej Ellen Dehlstrom” — ponieważ Dehlstrom to jej panięńskie nazwisko. Dojdzie do wniosku, że chodzi o Ellen, która nie może użyć własnego nazwiska, „będzie ratować twarz” ze względu na rodzinę, co, jak twierdzi, zawsze musiała robić. Tak, odpowie, że oczywiście zna Ellen Dehlstrom i zapyta, jak ona się czuje. Naturalnie, przyjedzie jak najszybciej. Potem pojedzie na farmę, wywoła matkę Ellen i oznajmi jej zimno, że kolejny popełniony przez nią błąd właśnie się zemścił — Ellen najwyraźniej urodziła dziecko w szpitalu w Waterloo. Nie



ulega wątpliwości, że cały ten bajzel spadnie na głowę starej, dobrej ciotki Marcelli, gdyż oni nie będą mogli zostawić farmy i całej tej dzieciarni, której uznali za stosowne sobie narobić.

Jakiś student usiadł przy stoliku w pobliżu El i podparł głowę rękami. Jego kark z tyłu wyglądał jak u dziecka, tak kiedyś będzie wyglądał Em. Ciocia Marcella dowie się, jak załatwić adopcję dla Em i zabierze El do domu. Dopilnuje, by nigdy nie dowiedział się o tym uniwersytet ani sąsiedzi, ani ojciec El. Ann Olson, koleżanka z rodzinnych stron, zrobiła kiedyś to samo, gdy El była jeszcze w szkole podstawowej. Ann jednak się przestraszyła, gdy zaczęły się bóle i powiedziała wszystko koleżance z pokoju na uniwersytecie. Współlokatorka nie zdradziła jej przed nikim w Cedar Falls, ale wygadała się przed kimś, ten ktoś powtórzył komuś innemu i wkrótce wiedziało już całe miasto. Ciotka Marcella prędzej umrze, niż piśnie słówko. I będzie musiała przyznać, że El dobrze to zorganizowała. Choć raz uzyska uznanie ciotki Marcelli.

El przewróciła kartkę z notatkami egipskimi. Pewnego dnia ciotka Marcella przyjdzie odwiedzić El w szkole, w której El będzie nauczycielką. Dzieci będą zajęte przy stolikach, a słońce rzuci promienie na sterczące kosmyki włosów i loki, na akwarium i rzędy roślin i książek. El będzie siedzieć przy swoim stoliku, przechodząc wzrokiem od jednego dziecka do drugiego, wiedząc, czego które potrzebuje. Poprosi ciotkę Marcelłę, by usiadła z tyłu i obserwowwała.

Deszcz dalej spływał strumieniami po szybach biblioteki. El przesunęła rękę po oparciu krzesła. Było na nim wydrapane serce z dwoma inicjałami (żaden nie jej).

Przymknęła oczy, usiłując wyobrazić sobie, jak usiądzie tu w przyszłym miesiącu. Em już zniknie — będzie cudzym dzieckiem. Dalej będzie siedziała w starym, czarnym płaszczu, pusta, pojedyncze życie jak wszystkich w bibliotece.

El zrobiła coś głupiego. Sięgnęła na dół i przykleiła swą gumę do zucia pod spód krzesła, tam gdzie była przymocowana obręcz. Gdy wróci do biblioteki we wrześniu, będzie tam nadal, jak list. List miłosny od „El i Em” do pustej już istoty.

Następnego dnia przed świtem Sara śpiewała, wciągając perukę. Sińce na jej łydkach były już tylko lekko żółtawe. Gdy całkiem znikną, obiecała sobie nowe szorty i koszulę z krótkimi rękawami.

Biegła Main Street. Czytała o tym mieście, gdy jeszcze nazywało się Sturgis Falls, a rzeka Cedar obracała młyn.

— Gdy tu przybyłam, wiązy na Main Street tworzyły wspaniały tunel — powiedziała pani Nepper. — Zielony. Ciągnął się milami w górze.

Wspaniały zielony tunel.

Miasto zdawało się teraz sprzyjać Sarze — nowe drzewa ukorzeniły się i stały mocno — tak jak ona, Laura Pray, która prała nocne koszule i pościel doktor Channing. podawała jej lunch i obiad, podstawiała basen, zmieniała pozycję w łóżku, czytała Hemyego Jamesa.

Sara biegła po terenie uniwersytetu, jej buty prawie nie robiły hałasu, gdy mijała jedną po drugiej okrągłe wysepki światła. Dziesięć tysięcy studentów jeszcze spało, nowoczesna fontanna przed centrum nauczania spuszczała lśniąca tafłę wody, wydając samotny, ciągły dźwięk. Króliki uciekały przed nią w pobliżu kampanili. Powąchała petunie na potężnych grządkach; rzędy okrągłych jak księżyc tarcz łuczniczych wspierały się na podpórkach, tu i tam pobłyskiwał staw rektora, nie opodal elektrownia wypuszczała w niebo strużkę dymu.

Dom Bena pogrążony był jeszcze w ciemności, gdy wróciła, by zrzucić ubranie i wziąć prysznic. Sińce z jej piersi i ramion prawie zniknęły.

Drzemała naga w skotłowanej pościeli, gdy zerwał ją dzwonek telefonu.

— Wie pani co — niech pani wpadnie do mnie na śniadanie — rzekł jej do ucha Ben. — Proszę przejść między bzami. Ja stawiam.

Sara już miała odmówić, ale nie uczyniła tego, gdyż głos Bena był tak lekki, tak niezobowiązujący. Czekał. Nie zadawał pytań.

Słońce już wzeszło. Włożyła koszulę, dzinsy i była rada z gęstego tunelu między domem swoim i Bena. Wiedziała już, jak przemykać drzwi od podwórka tak, by nie wydawały żadnego dźwięku.

Ben smażył jajecznicę na śmiesznej, starej kuchence, w której piec stał obok palników. Ubrany był do wyjścia: eleganckie spodnie, koszula z krótkimi rękawami i krawat, który go postarzał, wyglądał w nim inaczej niż zwykle, jak człowiek pracy, młody profesor — do tego obrazu nie pasował tylko plastikowy fartuch.

Ben usłyszał szelest liści bzu i patrzył, jak Laura wsuwa się do kuchni, wdzięczna, lekka, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Zbliżyła się do niego, bosa i chuda, a Banan piszczał i okręcał się wokół jej kostki.

— Cześć — powiedział Ben.

Minęły dopiero dwa tygodnie, odkąd ujrzał ją na ulicy, lecz zaczęła nabierać ciała i nie sprawiała już wrażenia wychudłej i wymęczonej.

Uśmiechając się spokojnie usiadła teraz przy kuchennym stole i włożyła chleb do tosterka — trzeba go było pilnować, bo inaczej grzanki się przypalały. Powiedziała, że dziś nie będzie tak gorąco i spytała, czy nie ma przypadkiem egzemplarza sztuk Szekspira?

Ben zastanawiał się, jak wyglądają jej prawdziwe włosy pod lśniąca peruką. Zastanawiał się, przed czym się kryje, dlaczego i od jak dawna.

— Wie pani co? — rzekł, stawiając talerze z jajecznicą na bekonie i siadając przy stole. — Dlaczego ma pani tkwić co dzień rano u siebie bez telewizji, książek, radia i nawet

bez klimatyzacji? Niech pani zostanie tutaj. Dotrzyma pani towarzystwa Bananowi. Nikt tu nie przychodzi z wyjątkiem kontrolera licznika, a w tym miasteczku ma on zwyczaj pukać, potem wchodzi, idzie do piwnicy i wychodzi. Telefon może sobie dzwonić. A w każdej chwili może pani wrócić do siebie.

Laura nie odpowiedziała od razu. Widział, jak jej spojrzenie pobiegło przez salonik do półek z książkami.

— Byłoby mi miło, od czasu do czasu — wyznała, myśląc, jak upalnie jest w jej pokojach i jak wiele książek ma Ben. — Wraca pan do domu na lunch — powiedziała w końcu.

— Mam do dyspozycji tylko zapluta knajpkę w klubie uniwersyteckim, gdzie podają hamburgery, albo jakieś zatłoczone garkuchnie na College Hill.

— Przygotuję panu dziś lunch, zanim wyjdę do pracy — oświadczyła. — T zostawię gotowy obiad. Żeby się zrewanżować.

— I zje pani ze mną — rzekł Ben.

— Zastanawiam się... — Laura zawahała się i umilkła. Nagle Ben wstrzymał oddech, zrobiło mu się zimno.

— Mogę zapłacić moją połowę? — spytała Sara. Ben roześmiał się wesoło, z ulgą.

— Jasne — powiedział.

Bawiła się kawałkiem grzanki na talerzu.

— Ale ma pan własnych znajomych. Nie może pan tkwić tu ze mną co wieczór.

— Niech się pani do nas przyłączy — zaproponował i owo dawne, przerażone spojrzenie zmieniło cały wyraz jej twarzy. — Jeśli pani ma ochotę — dodał niepewnie.

— Nie mogę — odrzekła cicho. — Oczywiście, że bym chciała, ale nie mogę. Muszę być sama.

— Dlaczego? — zapytał, zanim zdążył się zastanowić. Podniosła się, by poskładać brudne talerze, nie patrząc na niego, ale nie zamilkł, nie mógł nie zapytać:

— Czy pani jest mężatką? Boi się pani kogoś? — Słyszał swój na wpół gniewny ton i wiedział, że wszystko powiedział nie tak, wszystko...

— Muszę być sama — powtórzyła.

Milczenie narastało między nimi, pierwsza taka chwila ciszy, odkąd powiedział:

— Nie chce się pani pokazywać z rudzielcem?

Laura zmywała talerze w zlewie. Ben poszedł do gabinetu po papiery, plan stolików w sali, notatki. Słuchał brzękania talerzy.

— Woli pan chleb biały czy ciemny? — zawołała Laura.

— Ciemny — odkrzyknął.

— Na którą chce pan obiad? — zapytała po chwili. Jasny, uroczy kobiecy głos zadał mu z kuchni takie

zwykle pytanie, jakby Ben nie mieszkał sam, jakby zawsze ktoś był w tym domu, przygotowując kanapki i obiad, piorąc, odkładając uprasowane rzeczy, robiąc porządki. Przestałyby go nękać tysiące drobiazgów. Mógłby napisać tę książkę o teatrze eksperymentalnym.

— Może na siódmą? — zapytał.

Laura wyszła z kuchni, gdy krzyknął do widzenia. Stała dość daleko od frontowych drzwi, kiedy Ben je otwierał i zamknął jej uśmiechniętą twarz w swym domu, jakby była żoną, kimś, kto do niego należy.

Seerley Park był zielony i świeży. Małe dziecko siedziało samotnie na huśtawce.

— Pobujać cię? — zapytał, zdumiony szczęściem, dźwięczącym w jego głosie, cieniem w cętki, padającym na trawę i dzieckiem, roześmianym, wzlatującym coraz wyżej.

Dzieci, pomyślał Ben. Minał należący do prezesa uniwersytetu duży, kwadratowy dom, przyglądający się trawnikom, drzewom, College Street i miasteczku uniwersyteckiemu pod zwisającymi okapami. Wdychał głęboko poranne powietrze. To jeszcze nie wrzesień — spadło tylko kilka listków. Przed paroma laty spychacze zburzyły baszty, wieżyczki i podwójne ceglane mury budynku administracyjnego, lecz nadal spodziewał się ujrzeć je na swej drodze, brzydkie, lecz chwytające za serce.

— Doktor Woodward?

Ben zatrzymał się. Dopędziła go Anne Frazer w

obcisłych spodniach, postukując obcasami i z zakłopotaniem mrugając utuszowanymi rzęsami.

— Nie rozumiem zadania na piętnastego! — rzekła. — Można napisać tylko dziesięć stron? Ale ja mam tyle do powiedzenia o Eugene O'Neill!

— Dziesięć stron — powiedział Ben i przepuścił ją przez drzwi. Stała na szczycie schodów, mrugając do niego umalowanymi rzęsami, lecz minął ją i zszedł na dół. — Do zobaczenia na zajęciach.

Dziś rano znajome rzeczy ukazywały mu się w niezwykłym świetle.

Maucker Union miał na górze tarasy z asfaltu i cegły, pokoje znajdowały się w suterenie... dziura w centrum miasteczka uniwersyteckiego, dół pełen ryczących, czytających, jedzących i pijących młodych ludzi. Ben nagle uświadomił sobie, że przypominało to kryjówkę chłopców z Piotrusia Pana. W miejscu rosnącego nad nią drzewa stały betonowe szyby wentylacyjne i kilka małych, okrągłych, ułożonych w kształcie amfiteatru siedzisk, mających zwieść kapitana Hooka.

Ben kupił kawę ze śmietanką, usiadł przy pokrytym okruszkami stole i stwierdził, że klub został tak pomyślany, by zawsze był pełen dziewcząt i chłopców. Podawano tam szybkie dania, które uwielbiali, a muzyka w podziemiu ryczała donośnie.

Kawa miała smak plastiku, z którego wyprodukowano filiżankę. Być może przez ponad trzydzieści lat będzie przychodził do tej nory Piotrusia Pana, coraz starszy, siwiejący, łysiejący, lecz w tym podziemnym klubie będzie spotykał tylko młodzież, jedzącą to, co młodzi lubią w każdej kolejnej dekadzie, ubranych w aktualnie obowiązujące młodzieżowe mundurki, i sądzącą, że nigdy nie dorośnie.

Ben przygarbił się, rozejrzał wokoło i zostawił połowę kawy. Gdy wydostawał się z kryjówki Piotrusia Pana, wydawało mu się, że usłyszał tykanie zegara na kampanili — głos Starego Krokodyla, który połknął czas. Lecz Ben był w świetnym nastroju, a Cedar Falls w Iowa w ten wrześnieowy poranek wyglądało inaczej, niezwykle, uroczo, ponieważ — czyżby — był zakochany?

Budynki uniwersyteckie z czerwonej cegły płonęły w porannym słońcu. Ben minął studentów, grających w tenisa na kortach. Żadna z kobiet nie była tak chuda jak Laura i nie miała takich błyszczących, rozburzonych, sztucznych włosów.

Pokój nauczycielski jak zwykle woniał zastarzałym dymem papierosowym. Ben słuchał smutnej opowieści Gene'a Mosera o projektorze, który się zaciał, i przeglądał pocztę ze swojej przegródki: reklamy dotyczące publikacji tekstów, szczegółowy program zebrania całego wydziału, ankieta, zasięgająca jego opinii co do programu nauczania.

— Znowu liczymy spinacze — rzekła Alice Spider.

— Oszczędzamy też papier — powiedział Ben i pokazał jej arkusze egzaminacyjne kursu Wprowadzenia do teatru — na drugiej stronie miały wydrukowany nieaktualny regulamin parkowania.

— A może pójdziemy dziś na piwo do Wylewnego Richardsa? — zawołał siedzący w rogu Hal Esterbrook.

— Siedzę nad tą sztuką — oświadczył Ben. — Da się przełożyć?

Rano miał zajęcia z dwoma grupami, dwie godziny wypełnione rzędami młodych, pozbawionych wyrazu twarzy, gapili się na niego jak na żywego trupa. Dla kogo zapłoną te oczy? Dla gwiazdy rocka? Filmów porno?

Ben żartował. Ben się uśmiechał. Wiedział, że może zwracać się do kilku twarzy, które uśmiechną się, zmarszczą albo będą dezorientowane. Był przekonany, że starzy komedianci z dawnych teatrzyków wodewilowych, powstawszy z grobu, by pokazać ostatni numer, rozpoznaliby tę salę, pełną kaszlących i szurających nogami widzów, którzy chcą godziwej rozrywki za swoje pieniądze. Sprzedajesz bilety i dajesz przedstawienie, bez żadnych oklasków, gdy zadźwięczy dzwonek.

Lecz wykonywał swoją pracę i nie miał specjalnych zastrzeżeń, porównując ją z innymi, gorszymi zajęciami; Gdy wróci do domu, na stole będzie czekał lunch, przygotowany pnsz Laure, Była tam, myśląc o nim. Niech zatem Piotruś i Wanda klonują się na zawsze. Niech tyka kroko-

dyl. Zawiadomienie o dwóch popołudniowych zebraniach komitetu nawet go nie zirytowało — myślał o ustach i piersiach Laury i zastanawiał się, jakie może mieć włosy.

Gabinet Bena był mały i pozbawiony okna. Studenci pierwszego roku już zaczęli przychodzić, pytając, jak zwykle, czy będzie ich niańczył jak nauczyciele w szkole: czy mogą opuszczać zajęcia, czy też odbije się to na ich stopniach? Czy mogą zdawać pierwszy egzamin innego dnia?

Odpowiadał im uprzejmie. Gdy wróci do domu, lunch będzie na stole, i to ona go tam postawi.

Lunch był na stole. W południe pognął do domu i na jednej ze swych najlepszych lnianych serwetek znalazł ułożone kanapki, sałatę, owoce i ciasteczka, a obok stał w wazoniku bukietek stokrotek. Wyjął jedną z wody i trzymał ją w miejscu, gdzie jej ręce musiały dotknąć łydźki.

Cedar Falls było upalne w południowym słońcu. Sklepy na głównej ulicy ocieniały gęsto posadzone drzewa, studenci tłoczyli się w chłodnej sali klubowej. Sara, idąc do domu doktor Channing, myślała, jak zwyczajnie i pięknie wygląda Cedar Falls w dojrzałej letniej zieleni. Dzieci, bawiące się w parku na Clay Street, przyglądały się mijającej je Sarze, psy poszczekiwały na autobus. Kierowca otworzył drzwi i krzyknął:

— Hej, Merv, jak tam polów?

— Złapałem dwa zębaczki! — odkrzyknął staruszek z Clay Street.

Gdy Sara otworzyła kuchenne drzwi domu pani Channing, błękitne oczy Bena Woodwarda natchnęły ją jakąś myślą. Słyszając, jak mówi: „Niech się pani do nas przyłączy”, wpadła na pewien pomysł, szczęśliwy jak iskiereki słońca, padające na kuchenny stół doktor Channing.

Przy owym stole stała Ellen Garner, a jej tłusta twarz miała tyleż wyrazu, co tarcza wiszącego nad nią kuchennego zegara. Nic spojrziała na Sarę, powiedziała do widzenia i zamknęła za sobą drzwi, udając się na zajęcia. Sara przyglądała się sylwetce Ellen na tle słonecznego chodnika: Ellen przechylała się lekko z boku na bok, kołysząc się jak



kaczka w ciemnym, ciepłym płaszczu przeciwdeszczowym, gdy termometr w kuchennym oknie wskazywał trzydzieści stopni.

Doktor Channing brała kąpiel. Po pewnym czasie do kuchni weszła pani Eaker, jej koścista twarz promieniała zadowoleniem.

— Wygląda dużo lepiej! — powiedziała. — Przedtem nic jej nie interesowało, ale teraz je. Odzyskuje siły.

— Zastanawiam się, czy to nie zasługa książek — rzekła Sara. — Kiedy jestem zdenerwowana albo zmartwiona, wystarczy, że otworzę Jane Austen i już jest dobrze.

— Z klasykami jest tyle roboty — oznajmiła pani Eaker. — Lubię łatwe książki — rozumie pani, uciekam w nie. Kryminały, romanse historyczne.

— Naprawdę pani w nie ucieka? — spytała Sara. — Czy po prostu przygląda się pani, jak postaci robią to czy tamto, ale gdy już pani przeczyta do końca, świat jest znowu taki sam? — Uśmiechnęła się. — Klasyka to książki, które ludzie kochają i dzięki temu są żywe — ale ja kocham książki. Wgryzam się w nie jak w kości.

— Tak samo jak doktor Channing — powiedziała pani Eaker. — Dobrałyście się jak w korcu maku.

Dziwaczna myśl znowu zawirowała w głowie Sary — była tuż-tuż.

Poszła nakarmić panią Channing. Teraz czytały opowiadania.

Być może wzrok doktor Channing stał się nieco żywszy, gdy zobaczyła Sarę. Sara nie była pewna.

— Dzień dobry. Jaki piękny dzień..

Pani Channing pomyślała, że Sara wygląda, jakby ją ktoś pocałował, może ktoś wymówił jej imię szczególnym tonem.

Sara rozpostarła serwetkę pod brodą chorej i poszła po tom opowiadań Henry'ego- Jamesa, przechodząc przez chłodne pokoje, ukazujące to, co doktor Channing niegdyś kochała: kosztowne przedmioty i soczyste kolory, półki pełne książek. Lecz odkąd ją przynieśli do domu, przebywa w mroku i ciszy. Nie można jej ruszyć. Leży z tyłu domu jak zwierzę, które wpełzło do porzuconej muszli.

Sara zaczęła wkładać do ust kaleki pulpety ze spaghetti i otworzyła tom opowiadań w miejscu założonym papierkiem. Znów błąkała się jej po głowie ta ledwo uchwytna myśl.

— Ma pani idealny dom — rzekła. — Wygląda, jakby pracowała pani nad nim całe życie, jest wykwintny, ale nie przeładowany, prosty, ale nie ubogi i nie podobny do żadnego innego. — Sara przywykła już do rozmowy z milczącą panią Channing. Westchnęła. — Gdybym mogła, kupiłabym starszy dom i robiła to samo, przez całe życie. Gdy pójdę na emeryturę, będę miała mieszkanie dokładnie wedle moich upodobań i też będzie tam tyle książek.

Sara zaczęła czytać, karmiąc jednocześnie łyżeczką doktor Channing. Kończyły Autografy Jeffreyja Asperna i doszły do miejsca, w którym panna Tita ofiarowała siebie (i cenne zapiski pisarza) bohaterowi, który nie chciał poślubić „pociesznej, żalostnej starej kobiety z prowincji” nawet za cenę uzyskania tak ważnych dla siebie papierów.

Sara zaczęła czytać ostatnie stronicie i karmiła doktor Channing spaghetti, co było bardzo odpowiednie, gdyż opowiadanie toczyło się w Wenecji.

Lecz po chwili przestała zwracać uwagę, czym ją karmi, a i doktor Channing było to chyba obojętne. Po prostu jadła i słuchała, jak bohater błądzi po Wenecji, śledzony przez tajemniczego gondoliera. Był niemal zdecydowany poślubić „nieszczęsną staruszkę”, by uzyskać papiery.

Głos Sary prawie nie drżał, lecz wiedziała, iż Henry James zdawał sobie sprawę, jak kłamstwo wszelkimi sposobami potrafi zniszczyć życie.

Niespodziewanie uniósł się i spiętrzył za nią ogrom jej własnego, niewybaczalnego kłamstwa. Matka leżała bez ruchu, niewidoma, wiedząc, że nigdy nie usłyszy głosu Sary. A gdyby, choć raz, Martin powziął podejrzenie... Sara czytała dalej.

Czytała dobrze, „wspaniałe, zwyczajne miejsce stałego pobytu” w Wenecji zdawało się otaczać obie kobiety, odgradzając je od szumu klimatyzacji.

Lecz dama spaliła papiery. Dla dżentelmena, który z niczym powrócił do domu, ich utrata była „niemal nie do zniesienia”.

Sara zamknęła książkę. Przejmujące, wyraziste cierpienie zdawało się z niej emanować nawet po przewróceniu ostatniej strony.

Siedziała w milczeniu, spoglądając na małą, błękitną książeczkę.

Wówczas właśnie ta myśl, ów plan, którego szukała, pojawił się w jej umyśle w sposób tak subtelny, jak zdanie z tamtej opowieści.

Sara spojrzała na doktor Channing.

— Szalone z nas damy! — rzekła i przez moment uchwyciła we wzroku kaleki coś na kształt przerażenia. Więc się uśmiechnęła.

Deszcze sprawiły, że ostatnie dni sierpnia były chłodne i przesycone zielenią — w Iowa trwała pełnia lata, na drzewach nie było ani jednego żółtego listka.

Sara szpachelką zdrapała ze ścian odpadający tynk, chropowate kawałki z głuchym stukotem spadały na podłogę. W najgłębszych pęknięciach widniały szare listwy, jak kości. Potem na ścianach i suficie przyschły łaty i żyłki gipsu. Chodziła po gazetach i kichała od unoszącego się pyłu. Każdego ranka wstawiała przed świtem, by odnawiać pokoje, które nawet do niej nie należały. Cienkimi warstwami farby pokrywała gips i stary pokost, pragnąc barw żółtych, złotych i pomarańczowych, własnego ciepłego gniazdka. Gdy zagruntowała i pomalowała wreszcie salonik i kuchnię, zaprosiła na obiad Bena. Czasami przez tunel z bzów przychodziła do niego na śniadanie, z Bananem skaczącym wokół jej bosych stóp.

Ben myślał o niej, gdy nie uczył świeżo przyjętych studentów ani nie uczestniczył w zebraniach komitetów, które mnożyły się jak króliki, zajmując mu każdą wolną chwilę.

Znał Laurę Pray od dwóch tygodni, a nic mu jeszcze o sobie nie powiedziała. Widział, jak z zapartym tchem zdaje się czekać pełna lęku, że zada jej jakieś pytanie. Jej

chwilami przerażony wzrok i nieprzystępność jeszcze bardziej pobudzały jego bujną wyobraźnię, toteż Laura stała się bohaterką całych opowieści, jakie snuł w myślach.

— Bezsprzecznie jest kryminalistką, która ucieka przed prawem — powiedział do Banana po pierwszym obiedzie z kuchenki mikrofalowej, który zjedli wspólnie z Laurą. Kotek miał pyszczek i jedną łapę w puszcze z tuńczykiem i nie słuchał. — Wiesz, jak to było? Poszła do wytwornego sklepu z biżuterią w Nowym Jorku, Los Angeles albo gdzie indziej — opowiadał Ben Bananowi — i popadła w ciężkie omdlenie. Gdy zajęci byli wzywaniem lekarza, połknęła kilka diamentów, powąchała sole trzeźwiące i przyjechała tu, na Środkowy Zachód, by to wszystko przetrwać. — Kotek oblizywał pyszczek zadziwiająco długim kocim językiem, — Opowiada, że jestem takim „dobrym” przyjacielem. Może zauważyła, jak na nią patrzy. Czuł, że sobie z nim igra, kobiety zawsze bawią się z mężczyznami w kotka i myszkę, trzymając ich w niepewności.

Laura nosiła ciągle te same ubrania i prawie się nie malowała. Pomagała mu przy śniadaniu, nie opowiadała dowcipuszków ani nie rzucała słodkich, przeciągłych spojrzeń jak inne kobiety. Ben był przy niej niezwykle rozmowny, spragniony dźwięku głosów ich obojga rozbrzmiewających razem.

— Dlaczego ona jest taka nerwowa? — spytał Banana po paru dniach. Banan nie wiedział.. — Mam teorię — oznajmił kotu. — Jest nerwowa, gdyż zawiązała spisek, mający na celu zorganizowanie w każdej szkole drużyn piłki nożnej i koszykówki wspólnych dla dziewcząt i chłopców. Potem wyniki byłyby uśredniane. Producenci ochraniaczy na jaja są na jej tropie. — Banan drapał pchły.

Teraz tylko od czasu do czasu na twarzy Laury pojawiał się ów zabiedzony, przerażony wyraz, który pamiętał z pierwszych dni.

Wyliczając pieniądze za swój udział w zakupach, rzekła cicho;

— Koniec ze szwindlami. Moje własne pieniądze. Ja decyduję, jak je wydawać i nigdy, przenigdy nie będę musiała kłamać, oszukiwać ani kraść.

A zatem nie miała własnych pieniędzy. A więc czyje? I jakie robiła „szwindle”?

Śmiała się, mówiąc „nigdy, przenigdy”. Ben lubił patrzeć, jak się śmieje — odrzucała głowę nieco do tyłu, jakby zgarniając z ramienia długie włosy. Rozbijając jajka do miski, Laura powiedziała, że podziwia styl Hemingwaya. Brzmi, jakby został przetłumaczony ze starszego, prostszego języka. Znalazła ubijaczkę do jajek i uśmiechnęła się do Bena. — A jego kobiety? — spytał, odwracając bekon, który był już prawie usmażony.

— Uważał, że kobiety są inne, nie takie jak mężczyźni — nie rozumiał, że nie rodzi się „kobietami”. Hej, chce pan kawałek?

Laura nachyliła się do Bena, by oderwać kawałek bekonu, rozchylone pełne, małe wargi ukazywały białe zęby. Mogła na niego spojrzeć. Nie uczyniła tego. „Uwielbiam bekon.”

— Jeszcze? — spytał, wyciągając następny plaster. Wzięła go i położyła na brzegu kuchenki.

— Może pan przypilnować jajek? Chcę panu przeczytać coś śmiesznego. Przyniosła od siebie z domu nieduże, znalezione w bibliotece pismo. Konkurs na parodię Hemingwaya, rzekła i zaczęła czytać, a Ben pilnował jajek, aż oboje zaczęli się tak śmiać z tej parodii. Jakaś para kochała się na stole bilardowym w Harry's Bar and American Grill, aż bile latały na wszystkie strony), że Ben musiał zdjąć jajka z palnika i oprzeć się o ścianę.

— „Barman u Harry'ego — czytała Laura — zapytał, czy przesunęli stół, a gdy powiedzieli, że tak, kazał im przestawić go na miejsce.” — Pod koniec jej głos przeszedł w pisk.

Cha, cha, cha — to wszystko, co Ben mógł z siebie wydobyć, splatając ręce na brzuchu, który mało nie pękł, Izy ściekały mu po policzkach do pełnych, czerwonych ust.

Laura była zarumieniona, tarła oczy i wydawała lekko zduszone dźwięki. — To wspaniale — rzeki Ben, gdy oboje mogli już mówić.

Laura powiedziała; że nagroda obejmuje przelot do Wenecji i z powrotem i obiad dla dwóch osób w barze u Harry'ego. Nie patrzyli na siebie.

— Aleśmy się uśmieiali — odezwa! się Ben po chwili.

— Tak — odparła Laura. — J bardzo dobrze.

— Tego nam potrzeba — stwierdził Ben.

— Tak.

Po czym oboje zaczęli się śmiać, gdyż brzmiało to jak z Hemingwaya.

Laura wyjęła sztucce z szuflady. Ben patrzył i myślał, jak mało o niej wie.

Czy była kiedyś meżatką? Czy teraz jest zameżna?

Może wygląda jak szaleniec, skąd mógł wiedzieć? Laura powiedziała, że przygotowuje mu lunch, a po śniadaniu śpiewała cicho w kuchni, gdzie żaluzje, z listewek były spuszczone przed słońcem. Zamknął oczy przed lustrem w łazience, słuchając kobiety śpiewającej w jego domu.

Śpiewała nadal, gdy podszedł do kuchennych drzwi, włosy miał mokre — nigdy nie dawały się przyczesać. Będzie piękna, gdy nabierze trochę ciała. Dwa tygodnie i jeszcze nawet jej nie dotknął.

Ben zbliżył się do Laury, szorującej talerze w zlewie. Spojrzał z góry na jej sztuczne włosy. Od pierwszego dnia wiedział, że to peruka. Część tej jej cholernej tajemnicy.

Ben podszedł odrobinę zbyt blisko, ledwo, ledwo przekraczając niewidzialną powietrzną granicę, gdzie kończy się przyjaźń, oceniając ją instynktem skóry i koniuszków włosów. Tylko trochę wykroczył poza przyjaźń. Zorientowała się natychmiast i zwróciła do niego profilem, który był brzydki, a jednak piękny — długi, kościsty nos, usta jak kwiat. Nie odezwał się, nie musiał. Odsunęła się parę centymetrów, akurat tyle, ile trzeba, by znowu byli przyjaciółmi, śmiejącymi się z kogoś, kto kocha się na stole bilardowym. Tylko krok. Gniew przykurczył mu palce i odebrał oddech.

— Lubi pan mięso z ryżem po chińsku? — spytała Laura. Przytaknął i poszedł po teczkę. Nigdy nie wiadomo, co myślą kobiety, są tajemnicami z innego świata. Zamykając teczkę przytrzasnął sobie palec.

Dobrze ci tak, powiedział do siebie, wysysając krew.

Laura znowu śpiewała w kuchni. Przygarbił się i rozejrzał po saloniku, myśląc, że może nawet się nie pożegnał, wściekły na wszystkich i wszystko.

Lecz Laura podążyła za nim jak żona odprowadzająca męża idącego do pracy. Nim otworzył drzwi, wyciągnęła ręce, by wyprostować mu kołnierzyk, przekraczając na tę sekundę niewidzialną linię.

Ben szedł przez Seerley Park ssąc skaleczony palec, czując smak krwi, lecz po drodze do budynku „Sztuki przekazu” cały czas lekko się uśmiechał.

Letni poranek w Cedar Falls tętnił śpiewem ptaków. Parę listków spadło z drzew na podwórzu za domem Bena. Sara myślała o ślubie. W co ma się ubrać? Pojechała autobusem do College Square i wysiadła na Walmart. Śmiech Bena nadal dźwięczał jej w głowie, napełniając rozmarzoną Sarę uczuciem ciepła. Spacerowała po sklepie, patrząc na tanie ubrania, które nie starczą na długo. Ale może pozwolić sobie na sukienkę i nie musi już zakrywać sińców.

Walmart podobałby się Marie O'Brien, myślała Sara tęsknie. „Eleganckie sklepy denerwują mnie”, rzekła kiedyś Maria. „Mam wrażenie, że rzeczy gapią się na mnie. Sprzedawcy mają rację, gdy wchodzę, chowają wszystkie karteczki z ceną: złe wiadomości kryją się zawsze za dekoltem albo w rękawie.”

Sarę wstrząsnął poryw tęsknoty za Marie. Tu w Walmart wszystkie ceny można odczytać bez trudu. Mijała stojaki, zawieszono identycznymi sukienkami, a w polu widzenia nie było żadnego sprzedawcy.

Spojrzenie jej padło na rząd zielonych sukienek z dużym dekoltem i z szerokimi, krótkimi rękawami. Obiecała też sobie, że gdy tylko znikną siniaki, kupi szorty i koszulę z krótkimi rękawami. Wybrała parę.

— Ile kompletów? — spytała znudzona kobieta w przymierzalni.

Dała Sarze karteczkę z cyfrą 5. Rolę przymierzalni spełniały szafki z jedną półką i bez lustra. Każda miała



zasłonkę z opadającym sznurkiem, wydymającą się do środka i na zewnątrz zależnie od podmuchu stojącego wentylatora.

Oczywiście, że sukienka była tania, lecz miała kolor pierwszych majowych listków i pasowała na Sarę idealnie, podobnie jak białe szorty z biało-czarnym paskiem i biała koszulka z czarnym przybraniem.

Wszystko to znalazło się przy kasie, z powiewającymi metkami, a Sara promieniała przeliczając resztę i niosąc nową sukienkę, koszulę i szorty w szeleszczących plastikowych torbach. To jej nagrody.

Gdy otworzyła drzwi domu Bena, było sucho i ciemno, przez żaluzje kuchenne padały smużki światła. Sara umyła naczynia, zerwała, obrała i pokroiła na kawałki jabłka z drzewa Bena. Zagniotła ciasto na placek, znalazła wałek, posypała stół mąką i nagle zaczęła drzeć. „Nie za cienko, usłyszała głos Martina. Dziś na obiad steki?”

Cedar Falls, wyszeptała Sara do siebie, usiłując wsłuchać się w odgłosy małego miasteczka w Iowa: skrzyp łańcuchów huśtawki w parku, szelest liści na parapetach. Z drzeniem zamknęła oczy, lecz słyszała tylko brzęk-brzęk-brzęk łódki na przystani.

„Ładna mała łódeczka.” Sara przykryła jabłka ciastem i trzęsącymi się rękami docisnęła je widelcem do brzegów formy. „Mała przejażdżka po zatoce.”

„Boi się wody!” Zwężone oczy Martina... Tak bardzo uważała. Sara odcięła z brzegu formy zwisające kawałki ciasta i przypomniała sobie swój kawałek placka na stole między brudnymi naczyniami, słyszała uderzenia fal. Pomyślała o wszystkim. Chyba tak?

Wytarła dno formy, wstawiła ją do piecyka Bena i oparła się o ścianę pod dwoma maskami aktorskimi, jedną zasmuconą, jedną roześmianą. Drżąc, ujrzała krzesła z guzkami na oparciach i usłyszała skrzypienie łóżka.

Nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, poszła na górę do sypialni Bena, mijając zniszczone łóżko z drewna kasztanowca, rzeźbione u wezgłowia w kiście winogron. Obok niego rozpierał się fotel na biegunach. Podeszła do szafy Bena i ukryła twarz w jego ubraniach, umączona ręce

trzymając zaciśnięte przed sobą. Wdychała zapach, który był tylko jego, złożony z wielu woni, jedyny w swoim rodzaju. Poczowała się bezpiecznie. Lecz jednak, mimo wszystko, był większy, silniejszy. Czasami widziała to jego spojrzenie, gniewne spojrzenie, które zdawało się mówić, że nie powinna mieć żadnych sekretów i że się z nim droczy. Nie patrzyłby tak na mężczyznę. Cóż ona robi w domu należącym do mężczyzny?

Po paru minutach otarła oczy i zeszła na dół umyć ręce i zajrzeć do ciasta. Nie powinna nigdy dotknąć Bena Woodwarda. Ani nawet zbyt dużo na niego patrzeć.

Aromatyczne jabłka zaczęły wypełniać kuchnię smakowitym zapachem. Jeśli zbyt blisko zbliży się do Bena Woodwarda, może go zabić plackiem z jabłkami, uśmiechem albo zieloną sukienką. Jeśli Martin ją odnajdzie. Krając mięso do ryżu, widziała, jak drżą jej ręce. Z mięsa wyciekał czerwony sok.

Ben ochroni ją i będzie mogła się skryć...

— Och! — krzyknęła Sara w pustej kuchni. Nóż wysunął się jej z ręki i musnął pokryty plastikiem stół Bena, więc zrobiło się jej wstyd.

W sierpniu w Bostonie panowały upały. Plaże Nowej Anglii zatkałe były nagimi ciałami. W Montrose w Massachusetts zorganizowano „Dni Montrose” z paradą i stoiskami rękodzielniczymi.

Pam Fitzer stała na rogu mrocznej ulicy i płakała.

Martin jeździł z pracy i do pracy. Dom jest tak cichy, mówił do siebie. Codziennie, gdy wracał z upalnego Bostonu, było tak cicho.

Patrzył na drzwi łazienki i stłuczone lustro w holu. Przeczytał na nowo pamiętniki Sary. Tak dobrze pisała. Powinno się je opublikować.

Wszyscy powinni wiedzieć, co jej zrobił.

W lodówce było kilka kanapek z kurczakiem, nie wiedział, skąd się tam wzięły. Wyrzucił je i zaczął przeszukiwać szafki, myśląc, jak ręce Sary otwierały to pudełko krakersów i tę na pół zużytą paczuszkę wiórków kokosowych; usiadł przy kuchennym stole i płakał.

Nigdy nie zwracał szczególnej uwagi na szafki kuchenne z wyjątkiem puszek. Teraz wyjął wszystko ze środka i w pojemniku z napisem „Cukier” znalazł opakowanie po pigułkach antykoncepcyjnych.

— Cholera! — krzyknął.

W pudełeczku nie było pigułek, cisnął je przed siebie. Zabrzęczał dzwonek.

Kłamstwa, oszustwa i złodziejstwa Sary. Mówiła, że chce mieć dziecko, gdyż on tego chciał, a naprawdę wcale go nie pragnęła. Nie z nim. Nie z kimś, kto ją bił, tłukł lustra, wyważał drzwi i zrzucił ją ze schodów.

— Tak! — ryknął, podbiegając do drzwi, lecz ich nie otworzył.

— To Pam.

— Wynoś się! — krzyknął. — Wynoś się!

Usiadł na skotłowanym łóżku. Wyciągnął Sarę z domu Cristinę i Rogera w czasie pikniku przed wyjazdem na lotnisko. Jasne, że się bała. Jasne, że myślała, że nie ma wyjścia i nigdy nie będzie chciała mieć z nim dziecka. Martin zerwał się i zaczął maszerować po domu, wbijając obcasy w stare wytarte dywaniki. Poszła na policję... ale nie chciała narobić mu kłopotu, bo mógłby stracić pracę. McManus życzył sobie, by pracowały u niego szczęśliwe rodziny, Martin miał dostać awans i McManus — do diabła. Wskoczyła do zatoki. Dla niego jest stracona. A on spał w ich łóżku z inną kobietą. Powinien opublikować pamiętniki Sary. Tylko tyle z niej zostało. Miał wrażenie, że ludzie obgadują go w Rambaugh i gapią się nań w Montrose. Przestał więc robić zakupy w Montrose i zaczął chodzić do nowych supermarketów.

Czasami widywał kobiety, które wyglądem nieco przypominały mu Sarę. Czasem prowadziły ze sobą dzieci. Sara chciała mieć dziecko, póki nie zaczęła się go tak bać.

Wrócił do domu, ustawił konserwy na półkach etykietkami do przodu i płakał.

Ponownie zaczął czytać pamiętniki Sary. Potem rozpalił ogień pod metalowym, ustawionym na ceglach koszem i wyrywał, a następnie palił każdą przeczytaną kartkę. Gdy zostały tylko okładki, spalił je również i cały dom cuchnął plastikiem. Była jego. Nie ma zamiaru z nikim jej dzielić. Ostatniego dnia sierpnia Martin poszedł do nowego supermarketu w Waltham. Dobrze się naszukał, zanim znalazł wszystko, co chciał, i po jakimś czasie zauważył, że idzie za

nim kobieta — odwróciła się na końcu długiego rzędu stoisk i wpatrywała się w Martina. Była jakaś żylasta, nikt się za taką nie obejrzy. Podeszła w końcu do niego, stając przed workami kartofli.

— Przepraszam — rzekła. — Nie chciałam się narzucać, ale czy nie jest pan przypadkiem mężem Sary Langer? — Była zupełnie nie umalowana. Powiedział, że nazywa się Martin Burney. — A tak — Burney. Powiedziała nam, że nazywa się Langer. Myślałam, że może to jej nazwisko panińskie. Ale pan mnie nie zna. Jestem Vanessa Shelly. Poznałam pańską żonę na basenie YWCA... właściwie znałam ją dość dobrze. Taka miła i ładna. — Martin wpatrywał się w nią, aż nieco się zmieszala. — Nie chcę mówić o tej tragedii. Chciałam panu tylko powiedzieć, jaka była odważna — tak się bała wody! Wszystkie razem zachęcałyśmy ją, by weszła do basenu, w każdy poniedziałek, środę i piątek, a potem robiłyśmy co mogłyśmy, by nie uciekała z wody. I w końcu pływała lepiej niż którakolwiek z nas! — Wpatrywał się w nią. — Nie wiedziałabym, że Sara Langer to Sara Burney, gdybym nie widziała zdjęcia was obojga — dodała Vanessa. — Ale po co ja tyle papkę. Przepraszam. W zeszłym miesiącu przeczytałam artykuł w gazecie i miałam do pana napisać, żeby powiedzieć, jak nam wszystkim przykro... — Martin się nie odzywał. Vanessa miętosila torbę, w którą zapakowany był leżący na jej wózku chleb. — Naprawdę świetnie pływała. — Jeśli Vanessa widziała nawet, że twarz i oczy Martina są zupełnie pozbawione wyrazu, była zbyt zakłopotana, by zamilknąć. — Zobaczyłam was oboje w gazecie i poznałam Sarę od razu, a dziś pana. Ze zdjęcia. Powinnam była napisać. Tak mi przykro... — Martin zostawił swój wózek. Twarz miał zupełnie bladą i pustą. — Tak świetnie pływała. Pewnie po prostu zanurkowała i nie zdawała sobie sprawy... — Vanessa szła za Martinem. Wychodził z supermarketu, gdy Vanessa mówiła: — Naprawdę, tak mi przykro — lecz odpowiedział jej tylko trzask zamykanych drzwi.

Ostatni, upalny dzień sierpnia. Ben z przyjemnością siedział w chłodnym domu, z przyjemnością brał prysznic. Ślub w taki poranek? Słyszał, jak Laura Pray zamyka frontowe drzwi i idzie do autobusu. Nie chce z nim pojechać, wyjść ani się pokazać. Jak Debora. Debora podała przynajmniej powód — była studentką, a on wykładowcą.

W co się ubrać na sierpniowy ślub? We wszystkim będzie za gorąco — to istotnie problem. Ben grzebał w szafie i rozmawiał z Bananem, który z rozmachem walił łapą w jego krawaty, jeśli dyndały zbyt nisko.

— Dlaczego nie chce się ze mną pokazywać? — spytał Ben kota. — Powiem ci — na pewno ma starego, bogatego kochanka, który ściga ją po całym kraju. Lubi okładać jej ciało wykwintnymi potrawami i smarować pepek musztardą, a Laurze to się przejadło. Zaprzysiągł zabić każdego mężczyznę, który odezwie się do niej choć słowem czy — uchowaj Boże! — zje z nią obiad — zgadza się?

Ben ubrał się, znalazł kościół, stodołę z cegły z przyczepionymi do chodnika czterema kolumnami. Z jego boku wyrastał guz z betonowych płyt, opatrzone wywieszka, iż jest to „szkoła chrześcijańska”.

W środku było już gorąco, a witraże przepuszczały światło w kolorze sosu spod pieczeni oraz zupy z zielonego groszku. Niższe partie okien były uchylone do góry, tak że zieleni i brązowi święci, królowie i aniołowie wyglądali jak

ciachnięci scyzorykiem do wysokości karłów, którzy znad kolan wpatrywali się uroczyście w sanktuarium.

Ben dostrzegł Laure, jeszcze zanim go ujrzała. Stała w tylnej połowie nawy wraz z panią Nepper oraz młodym człowiekiem, który uśmiechał się i coś do niej szeptał. Laura ubrana była w zieloną suknię — nigdy jej dla niego nie włożyła — w której wyglądała świeżo i bardzo pięknie, przy szyi miała przypiętych kilka wczesnych astrów z ogródka.

— Dzień dobry — wyszeptała pani Nepper, spostrzegłszy Bena. — Cieszę się, że pan przyszedł. Niech pan siada. Cieszę się, że mógł pan przyjść.

Laura odwróciła głowę i uśmiechnęła się, ujrzawszy Bena, zajmującego miejsce z drugiej strony pani Nepper.

— Znacie się już — rzekła pani Nepper, skłaniając starą, zbrązowiałą twarz od jednego do drugiego.

— Spotkaliśmy się na podwórzu za domem i ściągnęliśmy kotka z drzewa — oznajmiła Laura.

— Tak — potwierdził Ben.

Słyszał miękki, cichy głos Laury, odpowiadający na pytanie mężczyzny o blond włosach w krawacie w paski.

A więc Laura Pray lubi nie znanych mężczyzn, ale nie chce, by ktokolwiek łączył ją z Benem Woodwardem — może wstydzi się, że jadła z nim śniadania i obiady? Gniew spowodował, że Benowi zrobiło się jeszcze goręcej.

Od czasu do czasu Ben mógł się wychylić i rzucić okiem na astry Laury poprzez kwiecisty żabot pani Nepper — astry zajmowały najlepsze miejsce w kościele.

Na Laure, rozmawiającą z tym nie wiadomo kim w szykownym garniturze i krawacie, padały skrawki słońca. Ben pragnął, by nie było tu pani Nepper, by mógł siedzieć przy Laurze. Żałował, że nie ma na sobie szykowniejszego garnituru i krawata. Potem wściekł się, że żałował, iż nie ma na sobie szykowniejszego garnituru i krawata.

Dzieciak w pomiętej sportowej kurtce wskazywał nowo przybyłym ich miejsca, potem przyprowadził, sądząc po przeładowanym, zbytnio przybranym kwiatami stroju i podenerwowanym wyglądem, matkę panny młodej. Usiłowała

rzucić okiem na tył kościoła, nie mogąc zarazem całkiem się odwrócić. Ben przypuszczał, że martwiła się czymś ważnym: czy welon się nie zaplącze, czy lukier na torcie się nie rozpuści i czy panna młoda wzięła tabletki antykoncepcyjne.

Laura od czasu do czasu szeptała coś do faceta o kasztanowych włosach, w szpanerskim ubraniu. Otaczała ją tajemnica, jak czarny wdowi welon, w dziewiętnastowiecznych sztukach. Jest prawie nieprzejrzysty. Miało to erotyczny urok.

Obserwował ją kątem oka. Tygodnie minęły i nawet jej nie pocałował. Sam na sam z nią w jego własnym domu.

— Craig Miller — rzekła pani Nepper.

— Kto? — wyszeptał Ben.

— Siedzi z nami — powiedziała pani Nepper. — Jego ojciec jest właścicielem People's Bank.

Kobieta w średnim wieku grała solo na skrzypcach. Ciało zwisało jej na rękach i trzęsło się za każdym poruszeniem smyczka jak obwisła skóra kurczęcia.

— Craig Miller — wyszeptała pani Nepper. — Bank w Waterloo. Już jest zastępcą dyrektora. Ma głowę. Chodził do Ames. Przedstawię pana później. Bank w Waterloo.

A zatem wystrojona Laura siedzi z zastępcą dyrektora banku i nie powiedziała Benowi, skąd przybyła, czy jest mężatką, czy nie... plama zieleni w odcieniu zupy z groszku padła na but Bena. Wstała śliczna młoda dziewczyna i zaśpiewała o miłości, która nigdy nie przeminie. Miller znowu coś szepnął do Laury, a ona uśmiechnęła się, po czym szybko obróciła głowę i schwyciła spojrzenie Bena, wychylającego się zza pani Nepper. Wydawało mu się, że Laura nieco się zarumieniła i być może wyglądała na trochę zawstydzoną.

Ben z nachmurzoną miną przyglądał się świętemu z witraża, z kolanami pod brodą i kluczem tak wielkim jak on sam. Kobiety są niestałe. Niby lubią jednego, a za chwilę pokazują się z kimś całkiem innym. Ben zgarbił się i rozejrzał po kościele, po którym błędziła muzyka organowa. Wszedł pan młody i stanął z jakimś kolegą. Wyglądał



jakby przypięto go do tej całej historii białym goździkiem. Pomyśleć tylko: wystrojona i zgrzana publika usadziła się w rzędach, by popatrzeć, jak dwoje ludzi publicznie ogłasza, że mają zamiar spać ze sobą do końca życia. Można by pomyśleć, że będą chcieli zatrzymać to dla siebie.

Lecz organy zagrzmiały marszem weselnym i pojawiła się panna młoda, wyglądająca dwa razy potężniej od pana młodego, w krynolinie według najlepszych wzorów mody Południa z ubiegłego stulecia i welonie, ciągnącym się przez pół nawy. Panu młodemu przekazał ją ojciec zupełnie niesłyszalnym głosem.

Ben ukradkiem spojrział na Laurę. Zdawało mu się, że płakała, na przodzie jej zielonej sukni były plamy i nie patrzyła ani na pana młodego, wkładającego obrączkę pannie młodej, ani na klęczącą parę. Nie znał jej nawet na tyle, by domyślić się, dlaczego płakała. Ale w końcu kobiety są sentymentalne i zawsze płaczą na ślubach. Pot błyszczał na nosie pani Nepper., Śluby to kobieca sprawa. Kobiety uwielbiają takie historie. Wyłącznie tym handlowały sklepy, całe domy towarowe.

Państwo młodzi pocałowali się szybko, z zażenowaniem i popędzili wzdłuż nawy. Dziwna para, jedno spowite w biały materiał, z kwiatami w rękach i kwiatami w długich, nagranych włosach, a drugie w ubraniu praktycznym, ze swobodnymi ramionami i nogami. Mokre plamy na zielonej sukni Sary powiększyły się, bolało ją gardło. „Niech nie rozłącza.” Tak się mówi tylko na ślubach.

— Muszę iść do pracy — wyszeptała Sara do pani Nepper, gdy zgromadzeni zaczęli się podnosić i wychodzić.

Przemknęła koło Craiga Millera mówiąc, że cieszy się, iż go spotkała, i zdołała przecisnąć się przez tłum. Ben nawet nie miał okazji jej przypomnieć, że spotkają się wieczorem, by obejrzyć zaplecze teatru. Na drzewach, rozgrzanych letnim upałem, śpiewały ptaki. Sara wycierała oczy, pędząc po Main Street. Była już prawie za piętnaście dwunasta i autobus czekał przed hotelem Black Hawk. Trzech mężczyzn w samochodzie przyjrzało się Sarze, gdy wsiadła i zajęła miejsce.

Ależ upał. Wysiadła na rogu koło domu doktor Chan-ning. Ben nie mógł ukryć gniewnego wzroku, sztywności karku, rozdrażnienia w głosie, spojrzeń rzucanych na kobietę, która nie chce się z nim pokazywać. Plamy z łez na jej sukni wysychały. Przenieś się. Wyjedź do innego miasta. Najpierw musi zrobić jedną rzecz, jeśli zdoła. Weszła do domu pani Channing, odgradzając się od upału.

W drzwiach kuchni stała elegancka kobieta.

— A więc to pani! — zawołała. — Laura Pray? Jestem Georgia Parrish.

Słyszałam, że pomaga pani Haze, czyta Henry'ego Jamesa.

Jej stalowoszare włosy tworzyły srebrny hełm, makijaż był prawie naturalny, stanowiący tło dla stalowoszarych oczu.

— Tak — odrzekła Sara, czując, że aż się cała wzdraga przed poznaniem kolejnej osoby. Gdy śniła o Cedar Falls, miała być tam samotna, zawsze samotna.

— Haze i ja czasami razem podróżowałyśmy — do Francji, na wyspy greckie — i kiedy widzę ją teraz, jak nie chce mówić, ruszać się, w ogóle nic nie chce... — Zamilkła i długimi czerwonymi paznokciami ujęła róg ściereczki. — Nawet ze mną nie chce rozmawiać.

Weszła Ellen Garner z naręczem książek, pożegnała się i zamknęła za sobą drzwi. Georgia przypatrywała się jej zatroskanymi oczyma.

— Leżeć w tym domu i gnić. Pani jej nie znała. Nie może sobie pani wyobrazić.

— Powiedziano mi, że została sparaliżowana po wypadku. Tak myślę, że może ona nie chce już żyć — rzekła Sara.

— Pani jest wykształcona — to widać. Kocha pani książki, muzykę, rozmyślanie, rozmowy... tak dobrze czyta pani Henry'ego Jamesa. I ona chce to wszystko rzucić?

Georgia Parrish mówiła o Hazel Channing. ale jej szare oczy przypatrywały się Laurze Pray: sukienka z taniego domu towarowego, dziewczyna śliczna, chuda jak tyka, ale mądra, cicha, ktoś w kuchni, bardzo smutna.

Patrząc na Laurę Georgia powiedziała, że wróci, gdy

znowu będzie mogła przyjechać do Cedar Falls. Jest architektem, jej projekt realizowano w Des Moines. Pożegnała się i wychodząc, z uśmiechem położyła rękę o czerwonych koniuszkach na ramieniu Laury, gestem, który miał być pocieszeniem.

Sara patrzyła, jak Georgia Parrish wsiada do nowego samochodu, ubrana w lniany kostium barwy najbledszego złota, jej pierścionki błysnęły przez moment na kierownicy.

Przez otwarte drzwi wdarł się gorący podmuch. Sara zamknęła przed nim drzwi.

Południowe słońce traciło swój wilgotny żar w oknach doktor Channing.

Na zewnątrz pobudzało zboże do coraz wyższego wzrostu i napełniało gorące południowe powietrze Iowa zapachem ziemi i traw, lecz tu było wątle i blade, nikły blask wyodrębniający drewno, porcelanę i mosiądz.

— Dzień dobry — rzekła Laura. — Rozmawiałam z pani przyjaciółką. I byłam dziś na ślubie — Karen Ann Birtch z Judsonem Barkerem.

Rozpostarła serwetkę pod brodą doktor Channing. Astry przy dekolcie jej sukni zwiędły, włożyła je do wazonika na toaletce.

Brazowe oczy Hazel spoczywały na krzątającej się Laurze. Poruszała się w bladym, padającym z okna świetle, kobieta, która szukała samotności, nie pozwalała się dotknąć. Hazel Channing rozumiała tę potrzebę nietykalności, by nie dać się dotknąć nigdy więcej.

Ale doświadczenie — tak. Była o tym przekonana. Świadczyło o tym ciało Laury, choć Hazel nie wiedziała, jak do tego doszło. Wargi i cienka szyja Laury mówiły: „Zraniono mnie.” Jej gesty dawały do zrozumienia, że nie zostanie nigdzie dłużej, niż musi. Reszta jej istoty, siedząca teraz przy Hazel, z pełnymi piersiami i kościstymi biodrami, była teraz zadowolona, że stare ciało w łóżku nie zada jej żadnego pytania. I nie zada.

Tak więc Hazel patrzyła na Laurę Pray. Kogo obchodziło, co się stało, czy przyjaciele przychodzili, czy nie, jaki to dzień, który rok i czyją piękną starość zmasakrował samochód w rowie?

Oczy doktor Channing napotkały wzrok Laury Pray. Hazel umrze w milczeniu, brzydka stara kobieta, która ugrzęzła w zrujnowanym życiu jak zwierzęta w wyschniętym bajorku. Widziała afrykańskie zwierzęta, nie mogące wydobyć się z błota, z szeroko rozwartymi szczękami nad kupką kości.

Ale teraz otworzyła usta i zaczęła zjadać lunch z łyżeczki. Laura, ozłocona stojącą przy łóżku lampą, otworzyła książkę Henry\*ego Jamesa, którą miały zamiar teraz czytać. To była ta najpiękniejsza: Złota czara.

Hazel pomyślała, że zna na pamięć całe jej fragmenty. Jeszcze raz księciu z Włoch spodobał się Londyn, gdyż przypominał Rzym cesarów. „Jeśli rzymianin chciał odzyskać choć nieco tego uczucia, najstosowniej było stanąć na London Bridge, a nawet, w piękne majowe popołudnie, w Hyde Park Corner.”

Hazel zamknęła oczy i mimo ściśniętego gardła przełknęła nieco ryżu. Ujrzała Tamizę taką, jaką ukochał Henry James — połyskującą między mostami pod błękitnym londyńskim niebem, którego ani ona. ani James nigdy już nie zobaczą.

Ale James pozostawił swoje słowa. Laura odczytywała je melodyjnym, niskim głosem w popołudniowych godzinach.

Hazel słuchała. Coś było nie tak. Od wielu dni narastało coś złego, zatruwając zdania, które znała na pamięć. Leżała i wpatrywała się w Laurę Pray.

Ben krążył wokół domu, czekając, aż przyjdzie pora, by spotkać się z Laurą w teatrze. Był zdenerwowany i podekscytowany. Spróbuje się za nią pouganiać. Jest taka chłodna, taka niedotykalna. Gdy jadł obiad, ciągle nachodziła go myśl! o tapczanie w poczekalni artystów, a potem zaczął sobie wyobrażać, jak by to robił na scenie — to by było coś, co by się pamiętało, reżyserując na tych deskach kolejne sztuki i za każdym razem, gdy kurtyna pójdzie w górę...

Przychodziła do jego domu, a on był u niej. Teraz teatr. Będą mogli mieć niezłą zabawę z kostiumami — nieograniczone możliwości. Lato w Ukryciu. Sierpień w Przebraniu. Może jest trochę szalona. Wreszcie słońce zaszło. Wreszcie zaczęło się ściemniać.

W pobliżu teatru biegła główna autostrada i przejeżdżające samochody rzucały smugi światła skroś falujących przestrzeni szkła, jak ryby migające w akwarium. Nowy budynek sprzątno w piątek, teraz był pusty. Głęboko zaczerpnął powietrza — pachniało kurzem, trocinami i nieco spalonym metalem ze spawalni. W zapachu tym kryły się ambicje i zawody.

Przeszedł cały gmach, piętro za piętem. Nigdzie żywej duszy. Zapalił niewidoczne z zewnątrz światła i czekał przy drzwiach od strony zaplecza.

Gdy się ściemniło, zastukała i rozejrzała się, nim weszła.

— Nikogo w całym budynku — rzekł Ben. — Sprawdziłem.

Westchnęła w ciemności i przemykając obok niego w holu, wniosła ze sobą wilgotną ciemność letniej nocy, jej tajemniczość. Migotały białe szorty i koszula i zamknęła się wokół nich cisza, tak że Ben niemal słyszał podniecenie, sekret — dźwięczały w powietrzu jak odkreślony prąd.

Laura zaśmiała się u jego boku.

— Kiedy rusza następna wycieczka? — spytała. Pragnął jej właśnie tutaj i właśnie teraz. Przez te drzwi

wchodził każdego dnia roku szkolnego. Gdyby tak mógł zatrzymać się przy ścianie i przypomnieć sobie wilgotną miękkość jej piersi, jej wargi pod jego ustami... Ale powiedział:

— Zaraz. — I odważył się tylko schwycić ją za rękę. — Nie zapalę światła, ktoś mógłby zobaczyć.

Szła za nim trzymając go za rękę, rzekła:

— Przepraszam za to, co wygadywałam na ślubie do pani Nepper.

— Nie ma sprawy — odparł Ben, tuż obok niej w ciemnym choć oko wykol holu.

Nie powiedziała nic więcej.

Ben pokazywał dwie duże kabiny kontrolne, z komputerami rozstawionymi przed szkłem lustrzanym jak w kabinie pilota statku kosmicznego. A teraz regulator światła — proszę tylko popatrzeć!

Podnosił i obniżał światła i skupił je wszystkie na stojącej na piedestale Gwieździe, zmieniając przesłony, tak że kolorowe wiązki omiotły czarną scenę — i czuł, jakby to wszystko należało do niego, szeregowego wykładowcy. Pomosty były równie widmowe jak stary film, z widownią wypełnioną pustymi krzesłami znajdującą się daleko w dole. Otworzył boczne drzwi wiodące na pomost nad sceną, po stromych metalowych schodach wspięli się na samą górę, skąd mieli widok na całą scenę. Nigdy nie widział jej w szortach, była nadal chuda, ale już nie taka koścista.

— Stąd sypie śnieg w Królu Learze — rzekł Ben, gdy

stanęli na pomoście. — Zwiędłe liście na jesień. Confetti na-parady. Zazwyczaj lubił udzielać wyjaśnień, lecz nie dziś. Pragnął jej i to pragnienie przydawało wszystkim ich rozmowom owej goryczy, którą odczuwał przedtem. Wydawało mu się, że lubi te rozmowy, że taka pogawędka z kobietą to najlepsza rzecz na świecie.

— Wygląda jak pajęczyna — stwierdziła.

Przed nimi zwisały rury i olinowania z konopi. Zajrzała w metalową kratę, na której stali. Nieruchome płótno tapicerskie, horyzonty sceniczne i zasłony opadały pod nimi jak żagle w czasie ciszy. Był tak blisko niej, że czuł jej włosy, skórę.

Ciemność, pięćdziesiąt pięć stóp powietrza pod nogami i żadnego udawania — wszystko widoczne jak na dłoni. Bena swędziały ręce, by dotknąć Sary.

Patrzyli na rozciągającą się pod nimi mechanikę fantazji, aż do barierki z przeciwciężarami i wciągarkami. Bohaterowie sztuk mogli poruszać się z wdziękiem, całować, opowiadać dowcipy, lecz nad ich głowami wisiały kable i stalowe liny i przechodzili nad czarnymi otworami zapadni.

Ben nie wyjaśniał wiele. Między nimi rozciągnęła się przestrzeń, a Sara zadawała pytania, by tę przestrzeń utrzymać, jak wstrętna kokietka.

Gdy schodzili, ich kroki dźwięczały na żelaznych stopniach.

— Proszę spojrzeć — powiedziała i zaśmiała się — swobodny dźwięk.

Ktoś ubrał w fałdziste szaty kościotrupa i usadowił go na krześle z butelką w kościstych palcach. Nikt nie widział, jak zamknęła się wokół nich krzątająca pracowni scenograficznej, pachnąca klejem i farbą.

Charakteryzatornię i pracownię kostiumów zostawił na koniec.

— Oto moja działka — rzekł, trzaskając wyłącznikiem światła.

Pomiędzy maszynami do szycia i stołami krojczych stały bezgłowe manekiny w kostiumach z Kandyda.

— Och! — wykrzyknęła, podziwiając wykwintne suknie.

— Proszę.

Ben wręczył jej jeden z kapeluszy z wielkimi piórami. Sara włożyła go i upozowała się przed lustrem.

— Nie pasuje fryzura — stwierdziła.

— Pięknie — powiedział Ben. W jego oczach lśniły jasne światła.

Przestała się śmiać, lecz ukradkiem spojrzała na siebie i przebiegła ręką błyszczące aksamity i zwoje koronek. — Jeśli lubi pani żyć przeszłością, tu jest najlepsze miejsce — dodał, otwierając magazyn kostiumów.

Chodziła po nim wzdłuż i wszerz, zafascynowana rzędami błyszczących kolorów. Fatałaszki, przynęty, udawanie, przebrania.

— Proszę spojrzeć. — Podniosła wielki, czarny satynowy kaptur.

— Niech pani przymierzy. Lustra są wszędzie — zauważył Ben.

Pokręciła się przed nim w tym kapturku, potem przymierzyła następny.

— Niech się pani nie krępuje. Proszę nie zwracać na mnie uwagi.

Zapominała o swej ciągłej ucieczce, o strachu.

Oczy jej lśniły jak zwoje satyny i jedwabiu. Zsunęła z wieszaka renesansową suknię i myknęła za wielkie pudło. Ben rozsiadł się, by klaskać i gwizdać, a ona wyszła i w lustrach ukazało się pół tuzina uroczych Petrarkowskich Laur. Przypuszczał, że Laura przechodziła obok biednego starego Petrarki z taką samą czarującą rezerwą, z takim samym chłodem.

Wiedziała, jaka jest piękna, śmiała się, lecz wiedziała. Strój z Szalonych Lat Dwudziestych zmienił ją w srebrzystego pstraga, migotliwego od koralu, błyskającego świetlistym połyskiem. Suknia trzymała się na koniuszkach jej piersi i odsłaniała kolana, z tyłu zaś opadała na kształt rybiego ogona.

Laura miała zaróżowione policzki, oczy jej błyszczały. Igrała barwnymi kolorami pań, wdów i panien, przedstawiała piękności, zuchwałe oszustki, niewierne żony, przebrane kochanki — nosiła stroje ich wszystkich, chichocząc, jej oczy wiedziały, jak wygląda, choć śmiała się z siebie.



Z początku odłożyli wszystko z powrotem. Ben zapalił reflektory. Błyszczące włosy Sary, zwoje satyny i aksamitu oraz klejnoty objawiły się żywsze niż w rzeczywistości.

— Niech pan tylko spojrzy! — Znalazła błękitną kryolinę.

— Proszę, proszę — powiedział Ben.

Weszła za pudło, by zdjąć podkoszulek i Ben usłyszał szelest materiału. Pojawiła się w końcu, wyglądając jak piękność o talii osy, nagich ramionach, okolonych warstwami kryz, wstążek i różyczek. Gdy się określiła, ogród olbrzymich spódnic zakotłosał się w rzędach luster jak pole błękitnych dzwoneczków. Ben zaklaskał w dłonie. Stała, wpatrując się w swoje odbicie.

— To suknia Kunegundy z Kandyda — rzekł Ben. —

Osiemnastowiecznej panienci z wyższych sfer, oczywiście, dopóki nie zaatakowało jej kilka regimentów.

Laura weszła za pudło. Słyszał, jak parę razy stuknęła je łokciami.

— Ktoś mnie śledzi — zachichotała, ukazując się w białej, koronkowej szacie, ozdobionej pączkami różyczek jak z dreźnieńskiej porcelany, niesamowicie wypchanej z tyłu i na biodrach. Zauważył, że spod peruki wystaje kosmyk jej włosów. — Ale klatka! — Ponownie zachichotała. — Zastanawiam się, jak one siadały!

— Przycupywały jak ptaszki — oznajmił Ben. — Mamy jeszcze dla niej dwa identyczne kostiumy, jeden bardziej wyszargany i pokrwawiony od drugiego.

Teraz zaczęły składać suknie, kapelusze i walizki na kupki, pochłonięci następnym stosem i jeszcze następnym. Spostrzegł, jak wpycha kosmyk pod perukę, ale nie dojrzał, jakiego koloru ma włosy. Wciskał jej kostium za kostiumem, przypinając pióra z epoki Cesarstwa, układając rozcięte rękawy ze średniowiecza. Trzepotała wachlarzami, trzepotała rzęsami, dygała.

— Oszalałam — wykrzyknęła wreszcie. — Zastanawiam się, kim jestem!

Stała obok stosu ubrań, wskazując na swe odbicie w lustrze, odziane w grecki chiton, olbrzymi edwardiański kapelusz z piórami i klapki.

Spoważniała, patrząc na siebie.

Nie spoglądała na niego i już się nie śmiała, lecz wpatrywała w stosy kostiumów.

— Kim jesteś? — spytał miękko Ben.

Teraz jej oczy znowu przybrały spłoszony wyraz. Potrząsnęła głową, potem obróciła się do niego nagimi plecami, okrytymi szalem z gazy.

— Nie mogę rozpiąć tego zamka — powiedziała matowym głosem.

Mocował się z zamkiem, a jej lśniące, sztuczne włosy muskały wierzch jego dłoni. Rozpiął grecką suknię, po czym powoli przesunął dłonie po jej nagich ramionach i usiłował ją obrócić...

Gdy tylko poczuła dotyk jego palców, odskoczyła, chwytając oddech.

— Nie — zaprotestowała, tworząc między nimi przestrzeń, obiema rękami przyciskając do siebie gazowy szal. Ujrzała jego twarz. — Nie powinnam była tu przychodzić! — wykrzyknęła.

Niektóre kobiety były takie — Wenus na muszli, zimna. Wreszcie rzekł:

— Spróbujmy jeszcze raz. Zacznijmy wszystko od początku.

— Nie chcę, żebyś myślał, że to z twojego powodu — rzekła, obracając się ku niemu na pół nagimi plecami. — Że ja nie... że po prostu cię kokietuję.

Potarła czoło końcem nadgarstka i potoczyła wzrokiem po kolorowych stosach.

— Nie ma sprawy — uciał Ben.

Przyglądała mu się przez chwilę, a potem schowała za pudło i wyszła po paru minutach w szortach i koszuli, trzymając w ręce sukienkę. Zaczęli wieszać kostiumy na wieszakach. Znaleźli pudła na kapelusze, ustawili w rząd buty.

Żadne się nie odzywało. Przypominało to film puszczonej od końca, tak że wycofywali się ze wszystkich miejsc, w których wspólnie się śmiali, unikali ich.

Stosy się zmniejszały. Kolory zawisały na wieszakach. Gdy Ben zgasił światła, pokój znowu był schludny. Zwyczajny.

— Nie pokazałem pani mojego biura — rzekł Ben. Nie patrzył na Sarę. Głos miał rzeczowy.

— Świetnie — powiedziała Sara. Ona również na niego nie patrzyła.

— Proszę bardzo — oznajmił Ben, zapalając lampę na biurku. — Nic nadzwyczajnego. Jestem wykładowcą i to najpodrzedniejszym z podrzędnych. A to moja charakteryzatornia.

Weszła za nim do środka.

— Ogłaszam, że znajduje się pani w towarzystwie jednego z największych magików od charakteryzacji na Środkowym Zachodzie — pochwalił się Ben. — W moich sztukach nie ma miejsca na brody czy wąsy z krepowanej wełny — ani też z włosów jaków. Wietrzymy nasze peruki — są z prawdziwych włosów. Kosztują setki dolarów. Studenci nazywają to „trzepaniem dywanika”. Ten sam proces.

Peruki były przypięto do ściany. Przesunęła palcem po wąsach.

— Zaczepia się je na siatce?

— Na siateczce gazowej. Zupełnie niknie na skórze — powiedział Ben.

— Niewiarygodne. Nie widać jej z odległości pół metra. Przymocowuje się matową gumą arabską, usuwa zmywaczem, czyści acetonem. I tyle.

Obejrzała każdy kawałek sztucznego owłosienia, potem przejrzała się w wielkim lustrze nad stołami.

— Zastanawiam się... czy mógłby mnie pan ucharakteryzować na mężczyznę?

— Gdyby nosiła pani brodę.

— Brodę?

— Kobięca szyja zdradza panią — rzekł.

— Jestem wysoka. — Nie uśmiechała się. — Mam dość niski głos, ale co z rękami? — Spojrzała na piersi. — Mogę się spłaszczyć.

— Najlepiej szerokimi bandażami — poradził Ben. — Owija się parę razy dookoła piersi i zapina pod pachą.

Przyjrzała się swoim rękom.

— Najważniejsza jest gestykulacja — powiedział. — Trzeba sztywno trzymać palce. Paznokcie muszą być naprawdę krótko obcięte. Nie należy machać rękami. Dobrze jest nosić duży sygnet na palcu, by ludzie patrzyli na niego i nie zauważyli braku włosów.

— I to wszystko?

— Trzeba mnóstwo ćwiczyć — chodzić inaczej, inaczej się trzymać — wszystko, czego uczą się chłopcy. I mówić niskim głosem.

— Może mi pan przymierzyć tę ciemną brodę? Sara nie patrzyła na niego, siedziała przed lustrem.

— Należała do kobiety z brodą z cyrku Barnuma — oznajmił Ben podchodząc do szafki. — Ma pani szczęście — jest za mała dla mężczyzny. — Gumą arabską posmarował lekko górną wargę, policzki i brodę Sary, zbliżając bardzo twarz do jej twarzy. Ich oczy się nie spotkały. Czuł miękkość jej podbródka, gdy ujął go w dłoń. — Proszę spojrzeć.

Sara patrzyła, jak gęsta, kędzierzawa, starannie przystrzyżona broda okrywa pół jej twarzy. Potem wokół ust zafalował wąs. Teraz przy stole z przyborami do charakteryzacji siedział młody, piersiasty mężczyzna.

Brodaty, piersiasty mężczyzna wpatrywał się w siebie.

— Jeśli wąsy są gęste i opuszczone, zakrywają wargi... można cedzić zupę — tłumaczył Ben.

Sara uśmiechnęła się i zobaczyła, jak jej zęby pojawiają się i znikają w czarnych, kręconych włosach, które wyglądają, jakby rzeczywiście rosły — siatka pod nimi była niewidoczna. Gdy dotknęła palcem wąsa, ujrzała znajomą rękę na obcej twarzy.

— Musi pani popracować nad głosem, Trzeba mówić nisko i ćwiczyć, aż będzie się to robić bez zastanowienia. Niektórzy mężczyźni mają dość wysokie głosy.

— Wzrost mam odpowiedni — powiedział młody mężczyzna przed lustrem. — Muszę się zamaskować i niedługo wyjechać z miasta. Czy dostanę tu coś takiego?

— Wie pani co, niech pani to sobie pożyczy — zaproponował Ben. Nie zadawał pytań, nie patrzył na młodego mężczyznę. — Możemy stąd wziąć kostiumy albo iść razem po zakupy, jak dwaj kumple.

— Wolalabym wziąć coś z tych rzeczy.

— Jest coś współczesnego, musimy się rozejrzeć. Jakieś letnie ubranie, które będzie na panią pasowało. Może spodnie i koszule. Nawet buty. A jeśli byłby potrzebny mój samochód...

— O nie — zaprotestował brodaty młodzieniec. — To już byłoby za wiele. — Ale błękitne oczy napotkały w lustrze wzrok Bena.

— Nie ma sprawy. Na razie nie będę go potrzebował. Chodzi dobrze, tylko nie daje się zamknąć drzwi od strony kierowcy.

— Nie mam prawa jazdy.

— Niech pani się stara nie dać złapać. I będziemy musieli pogrubić brwi.

— Rzucił okiem na ciemnowłosego młodzieńca w lustrze.

— Nie pyta pan, dokąd jadę ani jak długo mnie nie będzie — zapytał młodzieniec.

Ben, nie patrząc nań, wyjął z szafki zmywacz i aceton.

— Jadę zobaczyć się z moją matką — rzekł ciemnowłosy mężczyzna. — Ojciec zmarł już dawno, a matka jest w domu opieki. Gdy się urodziłam, miała czterdzieści pięć lat. a teraz jest przykuta do łóżka. Z całej rodziny tylko ja jej zostałam.

Przez moment Ben poczuł się dziwnie, patrząc na twarz obcego mężczyzny. Zaczynał zachowywać się inaczej, choć nie potrafił określić, na czym to polega.

— Jest niewidoma — kontynuował brodac. — Nie zorientuje się, że wyglądam jak mężczyzna. Jeśli nie przyjadę, pomyśli, że jest sama jedna na świecie.

Ben nałożył zmywacz na szczoteczkę do zębów, wciąż dziwnie się czując. Chwilami Laura wydawała się taka jak on.

— Pokażę, w jaki sposób co wieczór zdejmować brodę i wąsy.

Sara obserwowała, jak przykładał szczoteczkę do siatki. Raz położyła mu rękę na dłoni, a gdy spojrział na nią w lustrze, uśmiechnęła się.

Do domu chciała iść sama, a zatem zapakowali do pudełka ubrania, brodę, przybory do makijażu, bandaże, aceton, gumę arabską i zmywacz. Niósł to wszystko, gdy nie odzywając się kroczyli ciemnymi korytarzami i przez hol przeszli do drzwi, którymi wchodził co rano. Otworzył je i wyszła w wilgotną letnią noc.

Ben wrócił do swojego gabinetu. Długo siedział przy małym, zawalonym papierami biurku, wpatrując się w cztery ściany bez okien.

Sara uśmiechała się do siebie w lustrze. Przymocowała wąsy i brodę, owiązała piersi bandażem i ubrała się w letni męski garnitur, koszulę i krawat z magazynu kostiumów Bena. Stała w rogu pokoju i mówiła w pustkę, obniżając głos i słysząc, jak echo odbija się od ścian. Pożyczyła parę tanich męskich okularów w ciemnej oprawce. Kupi duży męski sygnet na każdą rękę.

Banan nie dał się oszukać przebraniem i ocierał się o spodnie młodzieńca, wchodzącego do saloniku. Słabo oświetlał go snop światła, padający z domu Bena.

Ciemnowłosy młodzieniec ukląkł przy tapczanie, oparł brodą głowę na ramionach i spoglądał na obraz walki byków. Teraz na ścianę obok byka padał cień — cień nagiego człowieka. Nie tańczył. Krążył po pokoju. Jeden człowiek długo obserwował cień drugiego.

Cień na ścianie zatrzymał się. Sara nagle ujrzała Bena, który rzucił się na krzesło, światło lampy padało na jego nagie plecy i nogi. Kulił się jak zasmucone dziecko, mając twarz przyciśniętą do kolan i ukrytą w ramionach.

Sara wstrzymała oddech, przełknęła z trudem, nie mogła oderwać oczu. Lekki wietrzyk wionął w okna saloniku Sary. Ktoś śmiał się w Seerley Park.

Zeszła z tapczana, zdjęła męskie ubranie, wąsy, brodę, odwinęła bandaż z piersi.

W koszuli i szortach, bosa, przemknęła koło bzów i cicho zastukała w kuchenne drzwi Bena.

Gdy Ben otworzył drzwi, weszła do ciemnej kuchni. Wciągnął szorty. — Hej — powiedział.

— Muszę trzymać się od pana z daleka — rzekła Laura. — To nie chodzi o to, że ja...

Ramiona Bena objęły ją mocno, lecz przedtem głośno zaczerpnęła powietrza, wyrzuciła ręce w górę, odgradzając się od mężczyzny, który mocno chwycił ją za łokcie, przeguby i kłykcie. Czuła jego gorącą twarz — płakał. Po tych kilku sekundach walki Sara znalazła się przy kuchennym stole, a Ben w drzwiach, oboje szybko oddychali, czując zapach starego drewna, gotowanych potraw i mydlanych woni kuchni Bena.

Żadne się nie odzywało. Przejechał samochód. Tykał kuchenny zegar.

Potem Laura podeszła do Bena i płasko oparła dłonie na gęstych, kędzierzawych włosach na jego piersi. Jego ręce przesunęły się w górę jej ramion — знаła te długie palce. Był barczysty i postawny, jego naga skóra grzała ją, nawet gdy nie dotykała jej bezpośrednio.

— Tak mi przykro — wyszeptała Laura, jej szept brzmiał coraz cienie, aż przeszedł w pisk, gdyż płakała, opierając mokrą twarz na ramieniu Bena.

— To nie o pana chodzi, To nie ma nic wspólnego z panem.

Nic nie odrzekł, poczuła tylko, jak westchnął, gdy podniosła się i opadła na jego pierś.

— Nie chce, żeby za mną gonić. Schwytać mnie. Skrzywdzono mnie — wyszeptała. Jego palce zacisnęły się nieco na jej ramionach, to wszystko.

— Muszę mieszkać sama. Sama się sobą zajmować.

— Powiem pani coś, mnie też skrzywdzono — rzekł Ben bezdźwięcznym głosem. Odsunął się od niej nieco. — Nie ma pani pojęcia, jakie to uczucie. Kochałem ją, a ona ledwo pozwoliła się pocałować. Boże drogi, nienawidziłem jej.

Wtedy Laura zarzuciła Benowi ręce na szyję. Mocno przyciskała się do niego, mając usta prawie na jego wargach.

— Nie musi nas pan nienawidzić — wykrzyknęła.

— Nienawidzić? — zawołał Ben zdumiony i pocałował ją.

Przyparta do ściany, czuła, jak jego ręce wsuwają się pod jej koszulę. Miała mokrą twarz i płakała, oparta o wieszak z mokrymi ścierkami. Mamrotał słowa pocieszenia, których nawet nie słyszał, i szukał po omacku zamka szortów Sary, wreszcie go znalazł, ściągnął jej szorty, wydostał się ze swoich.

Całował ją i całował, a gdy przerwali, by schwycić oddech, usiłowała wydostać stopy z ciasnych, elastycznych szortów. W swoich i jej ustach czuł smak wypitego wina, a przywarte do siebie ciała były gorące.

Podciągnął jej podkoszulek, który zaczepił się na ramionach i twarzy, a potem trzymając Sarę w ramionach, wyniósł ją z kuchni. Szedł przez ciemny dom, po schodach, szorty dalej dyndały jej wokół stóp. Słyszał, jak klamerka zamka uderza o poręcz.

Gdy położył Sarę na łóżku, płakała cicho, niesłyszalnie dla niego.

Zwinęła się w kulkę, stopy nadal mając omotane szortami.

— Nazywasz to nienawiścią? — rzekł Ben, przestając się śmiać, by pogłaskać ją między nogami.

— Tak — odparła Sara, szlochając.

Ręce Bena zastygły na jej ciepłej skórze. W ciemnej sypialni zapanowała cisza. Płakała. Odwróciła się do niego plecami.



Odsunął się od niej, usiadł na brzegu łóżka. Zaciśnął pięści. Cały płonął.

— Nienawiść — rzekła Sara.

— Nie! — ryknął.

— Ale co czujesz? — spytała.

— Masz prawo powiedzieć „nie” — oświadczył zimno, opuszczając ramiona i kręcąc głową w ciemności.

— Czujesz się zraniony. Obrażony. Odrzucony.

— Przepraszam — odparł tym samym, lodowatym głosem. — Nie można obwiniać mężczyzny o to, że próbuje.

— Owszem. Ja mogę.

— Jezu Chryste! Przychodzisz, rozmawiasz, uśmiechasz się i całujesz mnie, a potem mówisz: „Nie, nie ty, nie teraz...”

— Można mnie za to znienawidzić, prawda?

— Tak! — krzyknął Ben. — Wiesz, tak! Jeśli chcesz, żebym to powiedział, to powiem!

Uczuł, jak wychodzi z łóżka. Jej białe stopy szeptały na deskach podłogi. Z powrotem wkładała koszulę i szorty. Uderzał pięściami w gołe kolana, siedząc nieruchomo, gdy stanęła przed nim na moment. Słaby odbłask ulicznej latarni rozświetlił jej białe szorty, zarys ramienia i nogi. Potem usłyszał jej stopy na schodach. Cicho zamknęły się za nią drzwi od podwórza.

Wrzesień w Bostonie był upalny. W domu Martina nadal roznosił się zapach spalonych pamiętników Sary. Martin krążył wokół metalowego, ustawionego na ceglach pojemnika na śmieci, w którym palił powydzierane kartki, stał on w kuchni jak krematorium, jak grób. Sara umiała pływać.

Jeździł do pracy, mamrocząc do siebie: „Umiała pływać.” Przy każdym czerwonym świetle na drodze do punktu sprzedaży i obsługi komputerów klął — jest durniem, tkwiącym w tej głupiej robocie jak schwytyany motyl, złapany w pułapkę czerwonych świateł, szefów w Rambaugh i nie mający pojęcia, gdzie jest Sara, jeśli jest. Gdy światło zmieniało się na zielone, naciskał na gaz i odjeżdżał z piskiem, jakby znalazł ślad, cel, wyraźną drogę do Sary, która winna nie żyć — nie będzie żyła, gdy tylko ją znajdzie, jeśli nie umarła.

Potem zaczął myśleć. Nie powinien był pozwolić odejść tej dziwce w supermarkecie.

Teraz pojemnik na śmieci nie przypominał krematorium ani grobu — cuchnął kłamstwami, nienawiścią i wyrównywaniem rachunków. Przez te wszystkie lata żywił i ubierał Sarę, dał jej dach nad głową, kupił dom, meble, chodniki, nową lodówkę i kuchenkę, pozwolił pracować w bibliotece, a ona chciała, by myślał, że utonęła.

Odplynęła do jakiegoś faceta, który czekał na nią w samochodzie, prawdopodobnie na drodze przy plaży... chichocząc ściągnęła na jego oczach mokre ubranie i włożyła suche, sztywne. Odjechała z jakimś facetem, śmiejąc się z Martina Burneya, który krzyczał: „Sara! Sara!” i nurkował do zatoki Manhasset.

Umiała pływać. Nie bała się wody.

Powinien był zmusić tę dziwkę w sklepie, by wszystko mu powiedziała — do cholery! Prawdopodobnie wie, gdzie jest Sara.

A więc po pracy musi pojechać do supermarketu w Wal-tham. Siedział w samochodzie, obserwując wejście, wypatrując żylastej nie umalowanej kobiety z brązową grzywką, nie pamiętał jej nazwiska.

Sara prysnęła z jakimś facetem — bez dwóch zdań — innym facetem, który będzie jej kupował ubrania, dom, nową lodówkę i kuchenkę, frajer. Martin pił porto albo sherry z butelki, obserwując wejście do supermarketu, klnąc, myśląc o swej baretcie kalibru 25. Śliczny, maleńki pistolecik. Tłumik można zrobić z puszki po soku pomarańczowym i zwoju stalowej wełny.

Nie mógł przypomnieć sobie jej nazwiska. Gdy mu powiedziała, że Sara umie pływać, nic więcej nie słyszał.

Sara spała z kimś innym.

Popił wina, walnął pięścią kierownicę swego nowego samochodu i zaklął. Żylasta Grzywka nigdy nie wróci do tego supermarketu — prawdopodobnie mieszka całe mile stąd i nigdy już jej nie zobaczy.

W nocy Sara zaczęła przychodzić do niego do łóżka. Budził się i czuł jej szczególny zapach, jej perfumy i wyciągnął rękę, by dotknąć pełnych piersi i długich, krągłych ud — i nie było ich tam.

Kogo obchodziło, czy dobrze pracował w Rambaugh? Wiedział, że wszyscy mówią o nim, Martinie Burneyu, który stracił żonę i się rozkleił. Pewnej nocy usiłował się obudzić, gdy Sara przyszła doń do łóżka, ale nie zdołał. Czuł w snach jej zapach i wyciągnął do niej rękę i była tam, jak najbardziej, ale już nie pachniała

jak Sara. Cokolwiek to było, cuchnęło gorzej niż kosz na śmieci. Jego ręce, szukające miękkiego ciała, natrafiły na coś oślizłego i napęczniałego od wody morskiej.

Marnie sypiał. Po pracy siadywał w samochodzie przed supermarketem, wypatrując dziwki z grzywką.

Cała spuchnięta od wód oceanu. Kości wystające z tego wszystkiego. Widział kiedyś utopionego psa, który tak właśnie wyglądał, na pół pokryty piaskiem na plaży w Manhasset.

W Rambaugh był skończony. Sara mu to zrobiła. Zapłaci za to. Mała baretta, która tak dobrze mieści się w kieszeni — wcale jej nie wypycha. Ludzie wchodzili i wychodzili z supermarketu aż do zamknięcia. Wielkie szklane drzwi sunęły w przód i w tył, aż w końcu światła pogasły i mógł wrócić do domu.

Ieraz musiał spać z zapaloną lampką nocną, tak że gdy śnił o gnijącej Sarze z obnażoną kością nosową i zębami w szerokim uśmiechu, mógł się obudzić, ociekając potem, i przekonać się, że w łóżku nie ma przy nim absolutnie nikogo. Mogła tylko utonąć. Może jest rozkładającym się trupem. Może to oznaczał ów sen.

Lecz następnego wieczoru koło pół do ósmej pojawiła się Żylasta Grzywka, zdążająca do supermarketu. Martin był pewien, że to Żylasta Grzywka. Miała na sobie dzinsy i wydekoltowaną bluzkę, przechodząc przez drzwi odgarnęła wiotkie włosy. Schował butelki po winie i poprawił krawat, a gdy wyszła z torbą, czekał pod drzwiami.

— Pan Burney! — zawołała, wytrzeszczając na niego oczka jak u królika pod nastroszoną grzywką.

— Opowiadała mi pani o Sarze, a ja byłem tak wytrącony z równowagi, że zapomniałem pani nazwiska — rzekł Martin, uśmiechając się. Gdy chciał, potrafił być bardzo miły i serdeczny. — Czekam tu od paru dni po pracy w nadziei, że pani powróci. Chciałem wypytać o wszystko, co pani wie o Sarze.

— No cóż — powiedziała.

— Zdaje mi się, że pani nazwisko zaczyna się na N? — próbował Martin.

— Nie, nazywam się Vanessa Shelly. Właściwie nie znałam dobrze pańskiej żony.

— Tak mi jej brak — wyznał Martin, sprawiając wrażenie smutnego i opuszczonego.

— Kłopot w tym, że kotka będzie się kocić — mówiła Vanessa. — Rozumie pan, czuję się odpowiedzialna. Zostawiłam otwarte drzwi, ona wyszła, a teraz będzie miała kocięta.

— Pani pewnie myśli, że zwariowałam, gdyż chcę mówić o Sarze. Chodźmy do jakiejś sympatycznej knajpki, zjedźmy obiad i porozmawiajmy o Sarze — mogłaby pani to zrobić?

— To takie przykre z Sarą i bardzo panu współczuję, ale chodzi o kota. Czuję się taka odpowiedzialna, a Jean wyszła.

— Więc może chodźmy do pani, skoro martwi się pani o kota — zaproponował Martin. — Muszę z panią porozmawiać dziś wieczorem, gdyż firma wysłała mnie z miasta na parę miesięcy. — (Akurat Rambaugh wysłał go teraz! Ale w ten sposób Żylasta Grzywka pomyśli, że już nie będzie jej więcej nachodził.) Przyjrzała mu się bacznie, a on był zadowolony, że miał garnitur i krawat. — Pracuję w firmie komputerowej.

— To miło — rzekła Vanessa, zmartwiona, ponieważ łóżko było nie posłane i koło drzwi zostawiła stos brudnej bielizny.

— Może proszę o zbyt wiele — powiedział Martin i zaczął się odwracać. Wyglądał tak smutno i samotnie, jak tylko potrafił.

— Nie, nie — zaprzeczyła Vanessa. — Nie, oczywiście, że nie. Może pojedzie pan za mną i chwilę poczeka, aż trochę uładzę w mieszkaniu? Jesteśmy na 2E.

Martin odparł, że to byłoby wspaniale i Żylasta Grzywka odjechała starym, zżartym rdzą fordem. Jechał za nią nowym, szpanerskim samochodem — to również powinno zrobić na niej wrażenie.

Zaparkowała przed mocno zrujnowanym blokiem, pomachała do niego i wbiegła do środka.

Po paru minutach Martin wkroczył za nią. Klatka schodowa była ciemna i cuchnęła kotami, psami, a może mokrymi pieluchami. Wąska, wydeptana ścieżka na schodach była czysta, wokół jednak panował brud i walały się niedopałki. „2E” musi oznaczać piąte piętro.

Tak było w istocie. Gdy tam dobrnął, Żyłasta Grzywka otworzyła drzwi, wydając zapraszająco-przepraszające dźwięki.

Martin wszedł i walnął głową w biały wór ze śmieciami, zawieszony tuż w drzwiach. Wisiał wraz z innymi w długim rzędzie, wypełniając sobą całą wolną przestrzeń. Obwisły pęk worów zaszeleścił i kołysał się, aż uderzył o ścianę, od której się odbijał i zaczynał szeleścić i kręcić się w innym kierunku.

— Nie mamy gdzie tego trzymać — oznajmiła nerwowo Vanessa, zamykając drzwi.

Jej ręce i ramiona pokryte były piegami, a czoło już przecinały poprzeczne zmarszczki. Stali naprzeciw siebie na tym skrawku pokoju, który nie był wypełniony podwójnym łóżkiem, zlewem zawalonym naczyniami, kuchenką mikrofalową, dwoma rowerami, zdjęciami, brudnymi filiżankami, tekturowymi pudłami, schnącą bielizną, wypchanymi zwierzętami, splątanymi roślinami i rzędami białych plastikowych worków na śmieci przywiązanych u góry do rozciągniętych nad głową sznurów — jak mięso u rzeźnika albo wisielcy.

Było gorąco. Martin wpatrywał się w splątane sznury, które rozciągały się między krańcami karniszy, przecinając . w poprzek pokój. Zwisały z nich dziesiątki białych worów, opatrzonych wielkimi czarnymi napisami:

BAJERY JEAN, SSS VANNY, SMRODY VANNY, ZIMOWE RZECZY JEAN, SEKSOWNE CIUCHY VANNY, WPADKI JEAN, ODPADKI JEAN, ZABÓJCZE CIUCHY VANNY...

Martin przestał odczytywać napisy na workach i rzekł:

— Miłe mieszkanko. — Worki zwisały tuż nad głową Vanny. — Dobry pomysł.

— Nie mamy gdzie tego upchnąć, więc Jean zawiesiła torby — jest niesamowicie pomysłowa — powiedziała Vanny i wpełzła pod sam koniec łóżka. Po chwili pojawiła się, bardzo zaczerwieniona. — Jak dotąd jeden kociak — wyjaśniła.

— Gratuluję.

— Może pan usiadzie — zaproponowała Vanny, zrzucając z jedyne go krzesła wypchane prosię i zwinięte w rulonik rajstopy.

Martin wcisnął się między wór na śmieci opatrzony napisem ARMIA ZBAWIENIA i drugi, oznaczony jako WALKA KLASOWA — JEAN, i usiadł.

— Może kawy? — spytała Vanny.

— Bardzo chętnie — odparł Martin.

— To jej pierwszy miot — tłumaczyła Vanny, wkładając dwie filiżanki do kuchenki mikrofalowej.

— Chciałem się tylko dowiedzieć, czy Sara opowiadała pani o swoich kłopotach, nadziejach i ambicjach, takich rzeczach — powiedział Martin. Vanny usadowiła się na drugiej stronie łóżka i ponownie odgarnęła grzywkę. Na nosie świeciły jej krople potu.

— Ależ ja nie znałam jej zbyt dobrze. Mówiła, że dużo pracuje w ogrodzie i w domu i dlatego jest taka po... dlatego chce uprawiać sport, wie pan — nauczyć się pływać. — Twarz Vanny znowu poczerwieniała, kobieta usadowiła się sztywno na drugim końcu łóżka, jakby chciała trzymać się jak najdalej od Martina.

— Czy opowiadała o facecie, w którym się kochała?

— O facecie?

— Kręciła z jakimś facetem. Chciałem się dowiedzieć, czy mówiła coś o nim, czy przychodził z nią, czekał albo coś w tym' rodzaju.

— Ależ ja.....

— Nic się nie stanie, jeśli mi pani o tym opowie — zachęcał Martin. — Przecież ona nie żyje.

— To takie smutne — stwierdziła Vanny, siedząc sztywno na łóżku i zerkając w stronę kuchenki mikrofalowej.

— Widziała go pani? — spytał Martin.

— Skąd, nie, nigdy... ale ja jej dobrze nie znałam.

— Może mi pani powiedzieć — naciskał Martin, podnosząc się i waląc głową w worek oznakowany jako RODZINA VANNY.

Jeden wór uderzył w drugi i po chwili cały rząd kołysał się od ściany do ściany, gdy Martin zbliżał się do łóżka, na którym siedziała Vanny.

— Nie znałam...

— Owszem — rzucił Martin. — Znała ją pani. Mówiła o tym facecie, prawda? Mówiła, że chce mnie zostawić? — Jego głos rozbrzmiewał teraz w całym pokoju.

Vanny schowała się za worek oznakowany jako ODPADKI JEAN i otworzyła drzwi kuchenki, oddzielające ją od Martina.

— Zrobię tylko ka...

— Niech mi pani powie! — krzyknął Martin, zatrzasnąwszy ponownie drzwi kuchenki. — Niech mi pani wszystko powie!

— Ale ja nic nie wiem! — Vanny opierała się teraz

o ścianę. Oczy jej biegały od Martina do drzwi pokoju. Spodziewała się kogoś — Martin chwycił ją za nagie ramiona i mocno potrząsnął.

— Zabiję cię, ty dziwko — wiesz, dokąd miała jechać! Łzy strachu trysnęły z oczu Vanny.

— Wiedziałaś, że spotykała się z jakimś facetem! — ryczał Martin. — Powiedziała ci, kim on jest! Mówiła ci, że ma zamiar z nim uciec i zrobić ze mnie durnia!

— Nie! — zawodziła Vanny.

Martin uderzył ją w twarz, niezbyt mocno, tak by oprzytomniała.

Vanny wrzasnęła, jakby chciał ją zgwałcić — choć była tak nieapetyczna — więc jeszcze raz dał jej w twarz, by przestała wrzeszczeć.

Wrzeszczała jeszcze głośniejsze.

Mały kotek wyskoczył spod łóżka z kociakiem w zębach

i wpadł do pustego pudełka. Vanny dalej krzyczała, oparta o ścianę pod plastikowymi workami, zasłaniając twarz



rękami. Martin ponownie ją uderzył, lecz nie uciszyło to hałasu.

Gdyby miał broń... ktoś może ją usłyszeć...

Wybiegł, zatrzasnął za sobą drzwi, tak że worki na śmieci zakłósały się i szeleściły nad rozetką Vanny. Z łoskotem przeleciał cztery kondygnacje brudnych schodów, wskoczył do samochodu i z szybkością pocisku odjechał z parkingu i dalej.

Martin Burney! Nie wiedziałam, co robić! — szlochała Vanny.

— Siedź spokojnie — powiedziała Jean Tarkley. — Przykładaj łód, bo będziesz miała straszego sińca pod okiem.

— Martin Burney! Chciał tu przyjść i pogadać, a ciebie nie było! A Samotnica miała kocięta...

— Mówiłam ci, że wyszłam po papierosy. Potem spotkałam Harolda i poszliśmy na kawę — rzekła Jean. — Siedź spokojnie.

— Nie powinnam była odzywać się do niego w supermarkecie ani go zaczepiać. Trzeba mi było pilnować własnego nosa. Musiałam się wtrącać! — Vanny znowu zaczęła płakać. — I nie przypominałam sobie w porę o sińcach...

— Już dobrze — gruchała Jean. — Uspokoisz się troszkę i wezwiemy policję.

— Policję! — Vanny usiadła. — Chcesz wezwać policję?

— Siedź spokojnie.

— Żeby wszędzie wsadzali nos i sprowadzili za sobą prasę, a wtedy twoja rodzina dowie się, że znowu mieszkamy razem?

— Ale nie można dopuścić, żeby jacyś wariaci wdzierali się do mieszkania kobiety i ją bili — oznajmiła Jean. — Będziesz miała sińce jak diabli.

— Czekał na mnie przed sklepem i chciał się dowiedzieć

wszystkiego o swojej żonie Sarze — tej, która utonęła w zeszłym miesiącu, pamiętasz? Więc zrobiło mi się go żal, bo stracił żonę. A powinnam była pamiętać.

Samotnica siedziała teraz w pudełku na łóżku, liżąc dwa nowo narodzone kocięta. Nad nią dyndał plastikowy worek z napisem ODPADKI JEAN. — Może zejdę i przyniosę ci stek albo trochę whisky — zaproponowała Jean.

— Nie wychodź! On może wrócić! Pchnął mnie tam na ścianę i powiedział, że mnie zabije, jeśli nie powiem wszystkiego, a ja mówiłam mu, co wiedziałam.

— Powinnyśmy wezwać policję — powiedziała Jean. — Co zapamiętałaś?

— Ten lód jest taki zimny! — łkała Vanny. — Powinnam była pamiętać od początku... Zawsze to widziałam. Zrobiło mi się go żal, zresztą jest taki przystojny. Skąd mogłam przypuszczać, że się na mnie rzuci... Łkała, leżąc na wznak obok Samotnicy i kociąt, pod okiem miała woreczek z lodem, a jej mokra brązowa grzywka przyłgnęła do czoła.

— Co zapamiętałaś?

— Że Sara była zawsze posiniaczona. — Vanny znów usiadła. — Nie było tego widać pod ubraniem, ale gdy pływała albo brała prysznic — na piersiach, plecach i biodrach. Pływała bardzo intensywnie.

— To dlatego cię uderzył.

— Dlaczego?

— Bo powiedziałaś, że Sara była zawsze posiniaczona — rzekła Jean.

— Nie! Mówiłam ci! Nie przypomniałam sobie w porę, dopiero gdy tu przyszedł i robiłam kawę. Gdybym pamiętała, czybym go tu zaprosiła? Zawsze mówiła, że ma dużo pracy w ogrodzie i w domu i ciągle się o coś tłucze, a ponieważ była blondynką, myślałyśmy...

— Może jednak przyniosę ci stek.

— Nie! A jeśli on wróci! — ryknęła Vanny. — Nie wiesz, jak on wyglądał, gdy się na mnie rzucił. Wysoki, kawał chłopca...

— Nie przyjdzie tu już. Spodziewa się, że złożymy na niego doniesienie i będzie miał policję na karku. — Jean westchnęła. — No dobrze. Przenocujemy dzisiaj u moich rodziców, zgoda? Jeśli tak się boisz, możemy zostać dłużej. Nie obchodzi mnie już, co sobie pomyśła, a stamtąd masz blisko do pracy i na uniwersytet. Położysz się do łóżka i porządnie wyśpisz. Nadal uważam, że powinniśmy zawiadomić policję.

— Nic mi nie jest. — Vanny podniosła się. — Jeśli rodzina się dowie, że tu jestem, nie przyślą ci więcej pieniędzy i jak opłacisz chesne? — Gdy Vanny pochyliła się nad kocim pudełkiem, kilka lodowatych kropli spadło na Samotnicę. — Niczego nie połamał.

— Nie widziałaś, że to wariat? Czy normalny przyszedłby do twego mieszkania, aby porozmawiać o żonie? Lepiej spakuj parę rzeczy. I weź coś, żebyś się podmalowała, przyda ci się na jutro do pracy.

— Wyglądał zwyczajnie — rzekła Vanny. — Przystojny. Miał nowy samochód — jechał za mną i tu zaparkował. Ale gdybym w porę sobie przypomniała, że Sara zawsze była posiniaczona. — Zadrzała. — On oszalał.

— Idź się spakować i weź ze sobą jakieś przyzwoite ubranie. Vanny włożyła ociekający woreczek do zlewu z brudnymi naczyniami i rozwiązała wór z napisem SEKSOWNE CIUCHY YANNY.

— Na basenie Sara używała panińskiego nazwiska — przynajmniej tak mi się wydaje. Mówiłam ci, że to było jakieś dziwne.

— Może nie chciała, żeby on wiedział.

— Ale poznałam go z tej fotografii w gazecie. Może nie powinnam była nic mu mówić. Powiedział, że Sara kręciła z innym. Może nie chciała, żeby się dowiedział o basenie.

Vanny wkładała ubrania i przybory do makijażu do czystego worka na śmieci. Od czasu do czasu pociągała nosem.

— Ale utonęła.

— Fakt — rzekła Vanny. — Teraz nie ma znaczenia, czy on się dowie. — Obmacywała palcem spuchniętą twarz.

— Chodźmy — poleciła Jean.

Jean prowadziła, a Vanny trzymała pudełko z Samotnicą i kociętami. Gdy dojechały, rodzice Jean jak zwykle byli nadąsani, (ecz Jean nie miała już zamiaru kłamać. Matka oddała Vanny gościnny pokój i gapiała się na jej podbite oko. Jean przypuszczała, że wszyscy zachodzą w głowę, dlaczego przyjechały. Niech tam.

— Papużki nierozłączki troszkę się podziobały? — parsknął nastoletni brat Jean, idąc spać na górę.

Jean przyniosła Vanny trochę gorącej zupy, jeszcze jeden woreczek z lodem i głaskała jej długie, miękkie, kasztanowe włosy, póki nie usnęła. W domu panowała cisza. Jean na palcach przeszła przez hol do swego pokoju. Matka nic w nim nie zmieniała od szkolnych czasów Jean: kolorowe Firanki i koronkowa spódnica, w której zadawała szyku, i lalki tulące się do siebie na łóżku, przytulone dzieciennymi buziemi, splecione dzieciennymi ramionkami.

Za lustrem nadal tkwiły fotografie chłopców, pod nimi nagroda za udział w dyskusji i doping na zawodach sportowych, a także miłosne karteczki. Jean nie tknęła łóżka ani lalek. Włożyła szlafrok, umyła twarz i cicho otworzyła drzwi do Vanny — wiedziała, kiedy zaczną skrzypieć.

W gościnnym pokoju nie sypiał nikt z wyjątkiem krewnych, którzy zjeżdżali do nich od czasu do czasu. Niby była to część domu, lecz rośliny stały zakurzone, tak jak i duża Biblia na stoliku przy oknie i leżący obok schludny stosik najlepszych ręczników. Musimy być przygotowani na przyjęcie gości mawiała jej matka. Gościnność. Powinno im być miło i wygodnie.

Samotnica spała z kociętami w pudełku pod stołem.

Vanny parsknęła przez zapchany nos, gdy Jean wpelzała do łóżka obok niej. Powolutku wsuwała rękę pod szyję Vanny, aż jej głowa znalazła się na ramieniu Jean, a ciepłe ciało ogrzewało ciało Jean. Leżały razem w gościnnym pokoju nieruchome jak lalki, jedna z oczyma zamkniętymi, druga otwartymi.

Oszalał. Martin jechał szybko, przez okna samochodu wpadało zimne wrześnie powietrze. Po prostu wszedł w czerwoną mgłę, wyszedł z drugiej strony i zobaczył, co narobił.

Ta dziwka wezwie policję. Stała tam, krzycząc i chowając twarz pod tymi zwariowanymi workami na śmieci — wezwie policję.

Ale on może pojechać do domu, spakować parę ubrań, wszystko pozamykać. To jeszcze zdąży.

Zaparkował blok dalej i, przekradł się alejką do frontowych drzwi.

Wrzucił ubrania do walizki i wyciągnął swoje magnum 44 — to był kawał żelastwa, prawdziwa armata, ale naprawdę potrzebował swej baretty 25 z orłami na rękojeści. Znalazł baretę i magazynek, wybił oba denka z puszki po soku pomarańczowym, włożył do niej trochę stalowej wełny i wyniósł się. Na drodze wyjazdowej z miasta zatrzymał się przy automatycznym kasjerze, wziął mnóstwo gotówki i pognął w stronę oceanu.

— Skończony dureń — powiedział głośno, wjeżdżając na dwupasmową szosę w kierunku Manhasset. W czerwoną mgłę. Ta dziwka, którą spotkał w supermarkecie, nie chciała powiedzieć mu nic więcej, więc jej przyłożył.

Skończony dureń. Sara. Zrobiła z niego skończonego dumnia i uciekła, żeby spać z innym mężczyzną, jej piękne

ciało... Prawda była jak gorący piecyk, na którym musiał siedzieć, czy mu się to podobało, czy nie. Nauczyła się pływać. Ten mały przerażony królik. Mówiła, że jedzie na Uniwersytet Bostoński na zajęcia w każdy poniedziałek, środę i piątek, gdy tymczasem uczyła się pływać albo całowała jakiegoś faceta, leżąc pod nim i śmiejąc się z Martina Burneya. Gdy ta dziwka w supermarkecie powiedziała mu o Sarze, zamarł i do tej pory nie wie, co o tym myśleć. Sara kłamała i kręciła — widział to jak na dłoni, po cichu uczyła się pływać. Ale co jeszcze wyrabiała za jego plecami? Musi tam kryć się jakiś mężczyzna.

Mniej więcej za godzinę będzie w Manhasset. Stevenson nigdy nie wynajmował domu letniskowego po wrześniowym Świącie Pracy. Może się tam ukryć, gdyby chciał. Każdego popołudnia samochód można zaparkować w innym miejscu, potem przejść do domku, gdy się ściemni. Musi się ukryć. Musi pomyśleć.

Sara nie bała się już wody. Jeśli wpadła albo zanurkowała tej nocy do zatoki Manhasset, miała sporo możliwości, by wrócić do domku letniskowego i wynieść się w cholerę z Manhasset, gdy on opływał zatokę wraz z Johnem Fleishmanem, wrzeszcząc i krzycząc. Ani przez chwilę nie wątpił, że utonęła i morze ją zabrało.

Gdy Martin dotarł do Manhasset, nie przejechał przez miasto, zaparkował w ślepej uliczce, która między pustymi magazynami biegła do oceanu, i pomaszerował drogą na piaszczysty cypel.

Ujrzawszy światła samochodu, ukrył się w zagajniku sosnowym i przypomniał sobie, jak chował się tak z Sarą, śmiejąc się i kochając.

Teraz też się śmiała, bez dwóch zdań. Była gdzieś tam, roześmiana, gdy on z płaczem wyciągał jej ubrania. Śmiała się z jakimś facetem, gdy on tracił szansę na kierownicze stanowisko w Rambaugh. A teraz straci pracę. Zrujnowała mu życie. Śmiejąc się.

Chyba że była na tyle zdesperowana, by się utopić.

Fale oceanu biły ku niemu w ciemności z za wydm. Jak tu zrozumieć kobiety? Równic dobrze mogłyby mieć ogony

jak ryby — są takie tajemnicze, śliczne i brudne, nawet jeśli mają „zasady” i cały czas mówią o tym, jak sieje oszukuje, i o kłamstwach. Czarna woda biła ku niemu. A może Sara się nie śmieje. Może tkwi gdzieś tam, obgryziona przez ryby. Może jest czaszką, uśmiechającą się spomiędzy długich blond włosów.

Fale waliły głucho i syczały. Wizytowe buty Martina

o cienkich podszwach tonęły w piasku. Minał porośniętą trawą wydme, w której woda wydrążyła niszę. Godzinami rozmawiał z Sarą w tej piaszczystej jakby jaskini... mieli tu wszystko, czego im było trzeba, a nad nimi krzyczały mewy. A gdy się ściemniło, Sara chętnie się z nim kochała, ochocza pod jego ciałem na piasku jeszcze gorącym od słońca. Łzy w oczach Martina oziębił wiatr. Całował potem jej tajemnicze, piękne ciało i spał, aż poczuł zimny dotyk na łokciu, na kostce. Ocean pełzał w przyptywie, by ich znaleźć. Ubrali się i poszli do domu w świetle księżyca, trzymając się za ręce.

Teraz lodowaty wrześnieowy wiatr przewiewał mu rękawy i nogawki.

Kiedyś śledził ją aż do Nebraski, po tym jak złamał jej palec u nogi.

Uciekła do matki. Ale nie można im pozwolić tak po prostu uciec. Nie można powiedzieć: Tak, kochanie, możesz odejść. Składałaś te obietnice, a ja kupiłem ci dom, kuchnię urządzoną na czerwono, wszystkie bajery, a ty mówisz o niezależności? Z twoją pracą w dwóch kawałkach — przyjmowanie książek, wydawanie książek?

Wbił obcasy w piasek, który nasypał mu się do butów. Kładą na siebie seksowne ciuchy i pacykują się. Co dzień musiał się nieźle nawojować pod okiem McManusa — a potem wracał do domu do Sary. A ona się nie skarżyła, nic nie mówiła, lecz wiedział, czego pragnie. Pragnęła uciec. Chciała żyć z innym i dopięła swego.

Piasek w butach. Wyobraził sobie jej ciało na plaży, podmywane przybrzeżnymi falami, może już pokawałkowane, rozkładające się od ponad trzech tygodni w wodzie jak zdechła ryba, którą widział w akwarium, gdy miał dziesięć lat. Jak we śnie.



Znal drogę nawet po ciemku. Latarnie przybrzeżne nie paliły się. Dał zimny wiatr. Martin zanurkował w sosnowy zagajnik przed letnim domkiem i słuchał. Na podjeździe nie było żadnego samochodu. Żadnych świateł. Czekał w aromacie sosen, na wietrze, a potem wolno zszedł ze wzgórza. Dom wisiał nad nim, schody opadały na plażę, poniżej znajdowała się piwnica. Nie było żaglówki w sąsiedniej przystani. Nic prócz ciągłych uderzeń fal.

Schody na plażę pobłyskiwały na ostrych, pomalowanych krawędziach. Czerwona mgła nienawiści, a potem stukot ciała Sary, spadającego ze schodów. Nikt tego nie widział.

Ręce zdrewniały mu z zimna. Nikt tego nie widział. Nikt się nie dowiedział. Lojalność. Żadnego szantażu. Jedynie śmierdzące biurko szeregowego sprzedawcy w Rambaugh zamiast prywatnego gabinetu z sekretarką. Jedynie awans Ala Surino. Teraz z kimś innym się śmieje. Ulotniła się. Żyje z kimś. Zrobiła go w konia.

Martin wszedł po schodach plażowych. Nietrudno jest się włamać, gdy się wie, jaki zamek zamontowano w drzwiach. Odniósł wrażenie, że w kuchni cuchnęło rybą.

Nie ma gazu, prądu ani wody. Zamknięte po sezonie i cholernie wyziębione. Ciemno, ale nie wpadł na stół z idiotycznymi nogami ani na krzesła z wypuczonymi oparciami.

Martwa, ciemna, zimna sypialnia. Łóżko z gołym materacem. Gdy na nim usiadł, zaskrzypiało c, as, f.

Nigdy nie można im wierzyć. Martin zadrżał, zimno z materaca przeniknęło przez jego cienkie spodnie. Ostatnim razem, jak robiła obiad, przerwał jej, zmusił, by go pocałowała, rozebrała się i przysłała tu. Wydają te dźwięki, a potem coś ci mówią. Cholera. Nigdy nie wiadomo, co myślą. . Sarą miała piękne piersi. Dokładnie między nimi znajdował się pieprzyk, a inny wyrastał na przestrzał, między łopatkami.

„Trafiona strzałą Amora”, powiedziała. „To taki mit o pieprzykach. Jego strzała przeszła mnie na wylot.” Gdy dorastała, czytała jedną książkę dziennie. Ciągle

trzymała nos w książkach, jakby nie miała ich dosyć w szkole. Bo on owszem. Jakby nie było ich pełno w bibliotece.

Miała taki zarys bioder, nawet gdy zaczęła chudnąć. Nawet palce u nóg miała śliczne. Gdy zbladła jej opalenizna, była cała jasna. Błyskałyby w wodzie jak zdechła ryba.

Martin zmusił się do wstania z łóżka i przejścia do małego pokoju od frontu, wyglądającego na zagajnik sosnowy i drogę. W tych frontowych drzwiach otworzyła pudełko i wyjęła czarną jedwabną kombinację, a on przeprosił ją za to, że ją uderzył i skopał. Kupił jej róże i piękną bieliznę. Huk fal odbijał się echem w zimnym mroku. Walił głową we frontowe drzwi, łzy spływały mu do ust.

Zacznij od początku. Jeśli nauczyła się pływać, po co to zrobiła? Żeby uciec. Żeby myślał, że nie żyje, płakał jak dziecko, stracił szanse uzyskania stanowiska, które zajmuje teraz Al Surino, stracił pracę.

A jej brat Joe tylko ją do tego podjudzał. Zawsze mówiła, że odwaga naprawdę objawia się w drobiazgach, a potem skomlała i nie chciała zbliżyć się do wody, bo powiedziała, że Joe się utopił.

Ta dziwka z grzywką. Opowiada mu, że Sara tak dobrze pływała, i nagle zapomina języka w gębie. Nie chce puścić pary, dziwnie się w niego wpatruje. Teraz będzie miał policję na karku — mają numer jego prawa jazdy, będą szukać samochodu. Ale to miejsce nie przyjdzie im do głowy, po sezonie i w ogóle. Przynajmniej póki nie wyruszy, z pistoletem i tłumikiem — zwykła puszka po soku pomarańczowym i trochę stalowej wełny. To zagrało.

Musi być jakiś ślad. Może znajduje się tutaj. W kuchni spędzali większość czasu, gdy nie byli na dworze. Siedział w ciemnym pomieszczeniu i przypominał sobie ciasto, rozwałkowane w koło. Żaglówka to zawsze był jego pomysł, a Sara bała się — nie kiwała go — była przerażona. Cholera. Ręce jej się trzęsły i patrzyła na ciasto, nie na niego.

Chwycił w ciemności kuchenne krzesło, rąbnął nim o stół, walił i walił, aż zostało mu w rękach tylko oparcie z idiotycznym wypuczeniem pośrodku.

Fale przyływały i odpływały pod pogrążonym w ciemności letnim domkiem.

Martin nie wiedział, jak długo przesiedział w zimnie. Stwierdził, że trzyma w dłoniach oparcie krzesła, siedząc na gołym materacu w pokoju, w którym nie rozlegał się żaden dźwięk. Gdzie jest reszta krzesła? To, co z niego zostało, wrzucił pod łóżko, które zaskrzypiało c, as, f.

Z wolna w jego głowie zaczęły pojawiać się obrazy: głupia suka, skowycząca, gdy ją uderzył, mały, ciepły pistolet w jego dłoni, zimny wiatr na przybrzeżnej drodze. Sara, która uczyła się pływać i śmiała się... Nie mogła tego zaplanować, nawet gdyby brała lekcje pływania. Widział, jak stoi przy niskim kamiennym murku, nie chcąc iść, mając nadzieję, że on to odwoła. Chyba że to też było nabieraniem. Takie głupie, że nie chcą pójść się zabawić, jeśli każdy włoszek nie leży jak trzeba, a przebiegłe jak diabli. Jak toto weszło do żagłówki i czepiało się wszystkiego. Nawet Fleishman dał się nabrać.

A jeśli cały czas ćwiczyła pływanie? Tej nocy, gdy pozełowali do Bankton, była pełnia księżyca, wiatr od morza, lekki i przyjemny. Gdy przyszła ta pierwsza wielka fala, zajęty był przy głównym żaglu...

Jej pozbawiona wyrazu twarz przerażonego królika, gdy to sobie planowała, pozwalając, by wszystko zorganizował, niczego nie podejrzewając. Wstrętne, podstępne dziwki, skradają się za plecami jak koty i wypinając cycki i tyłki, załatwiają, co chcą. Nawet jego matka.

Oszukuje na rachunkach ze spożywczego. Chowala wszystko w kieszeniach starych spodni.

No dobra. Umiała pływać. Nie bała się wody. Te „wieczorowe zajęcia” w Bostonie, na które chodziła, żeby „dostać podwyżkę” — ale bujda.

Wymykała się za jego plecami, by trenować pływanie w poniedziałki, środy, piątki — a może wskakiwać do łóżka jakiegoś faceta. Śmiała się z niego. Całymi miesiącami śmiała się z niego, planując

ucieczkę. Niech on myśli, że utonęła. Będzie co noc płakać, sądząc, że ona nie żyje. Zniszczy jego szanse w Rambaugh. Niech tu siedzi, wacha jej ubrania i patrzy na jedzenie, którego nie zjadła, i płacze jak dziecko, a ona tymczasem... Gdzie była?

W pobliżu matki? Tam udała się poprzednio. Ale odnalazł ją, przywiózł z Fredsburga do domu letniskowego i zrzucił ze schodów.

Martin siedział, trzęsąc się w ciemności, słuchając uderzających fal. Nie może zniknąć na długo. Skąd weźmie pieniądze? Jeśli posłuży się numerem ubezpieczenia, by otrzymać pracę, natychmiast wyda się, że żyje. Nie może tego zrobić. Wszystkie ich pieniądze są w banku. Nie brakuje ani centa.

A więc jakiś facet płaci jej rachunki. Taka kobieta bez trudu kogoś znajdzie. Oboje gdzieś sobie żyją i śmieją się z biednego, starego Martina Burneya.

Fredsburg. Dom opieki. Sara na pewno skontaktuje się z matką, czuła się za nią odpowiedzialna, Joe nie żyje, a jej matce było tak smutno po śmierci Sary. Jeśli Sara żyje, pojedzie do Fredsburga powiedzieć, że nie utonęła. A może zamiast niej pojedzie ten facet, z którym żyje.

Martin siedział na łóżku do czwartej rano, potem poszedł do samochodu. Zaparkował jak zawsze w sosnowym lasku i zabrał walizkę do domku. Będą szukać jego samochodu. Znieważenie i pobicie. Ta dziwka, której mowę odjęto i nie chciała puścić pary. Ale mógłby wypożyczyć samochód i szybko wywiać z tego stanu. Niech znajdą jego nowy samochód w ślepej uliczce.

Znowu usiadł na łóżku. C, as, f. Wiła się, wykrzykiwała „och, och” i cały czas udawała. Głównowała. Śmiała się z niego z innym mężczyzną, całowała innego, mówiła „och, och” i rzeczywiście tak czuła, a potem wracała do tego błazna, Martina Burneya.

Zaśmiał się bezgłośnie. Miał pistolet w kieszeni płaszcza — taki drobiażdżek — który świetnie leżał mu w ręce. I mnóstwo naboju. Nie można zabić topielicy. Pozbędzie się ciała i nikt nie będzie o nic pytał. I tego faceta też dostanie.

Mogła wypaść za burzę.

Martin siedział z twarzą w dłoniach, słuchając huku przyływu. Owej nocy Sara samotnie jadła obiad, wsłuchując się w ten dźwięk. Cholera. Wpełzło weń zimno. Nie potrzebuje łodzi. Można zbyt daleko zawędrować. Po prostu zawędrować. Trochę się zakrztusić i po wszystkim. Fale przychodzą. Fale odchodzą.

Ale podskoczył i zaczął się ruszać, by się rozgrzać. Znajdą samochód, ale jego nie znajdą. Nie żyje, powiedzą. Utopił się. „Z rozpaczy po śmierci żony.”

Sara leżała, wpatrując się w cienie liści na ścianie sypialni. Zdawały się unosić z powiewem wiatru, lecz zatrzymując wzrok na pojedynczych liściach ujrzała, iż każdy przytwierdzony był do drzewa.

Ponad jej oknem znajdowało się okno sypialni Bena, wokół zaciągniętej zasłony promieniowała świetlna obwódka. On również zbudził się przed świtem.

Sara obróciła się, ukryła głowę pod poduszką. Minał miesiąc, odkąd pierwszy raz ujrzała Bena Woodwarda koszącego trawnik, zostawiającego zbyt długą trawę w zielonych pokosach. Miał takie Joki jak Joe, złotorude włosy na piersi i długie nogi w obcisłych dżinsach. Ze sposobu, w jaki pchał kosiarkę i okrążał drzewa na podwórzu za domem, można było wnioskować, że lubi letnie popołudnia w Iowa i zapach skoszonej trawy.

Podpatrzyła go, gdy był skryty, nagi i cierpiący, z kolanami pod szyją, zgarbionymi ramionami, ukrytą twarzą.

Wpatrywała się w cienie liści na ścianie sypialni i przypomniawszy sobie ów wstrząs, gdy obce usta zmieszały swój oddech z jej oddechem i cudze oczy wypełniły jej świat. Przyciśnięta do ściany, z drżeniem poczuła zapach wina i pomyślała o wzniesionej pięści, uderzającej ją...

Jest trującą rośliną, każdy mężczyzna, który jej dotyka, ociera się o śmierć.

Ben rzekł: „Nienawidzę jej.”

Zapach i smak wina... gniewne pocałunki. Sara przycisnęła poduszkę do uszu, lecz pamiętała, jak Ben niósł ją przez pokoje, gdzie śmiali się i rozmawiali. Paproć, którą przyniosła ze swego ogrodu, otarła się o jej dyndającą stopę smutnym dotknięciem, gdy stopy Bena dudniły po schodach, a ucisk jego ramion sprawiał jej ból.

Ale umknęła z jego ramion i z jego łóżka, zamknęła za sobą drzwi.

W tunelu bżowym przed domem Bena, ciągle z trudem chwytając oddech, czując jego usta, jego ręce między nogami, spojrzała w górę.

Świecił księżyc, ten sam, który — zaledwie przed trzema tygodniami! — zaszedł za chmury nad zimną zatoką Manhasset. Gdy wpatrywała się weń przez liście bzu, księżyc prześlizgnął się przez smuzkę mgły i wypłynął z niej w pełnym blasku.

W księżycowym świetle pobiegła do swych drzwi z tyłu domu, zamknęła je na klucz i oparła się o gładką, nową farbę w kuchni, dotykając jej drżącymi rękoma.

Nie przyszedł, nie zatelefonował. Przez niemal dwa tygodnie trzymał się z dala od jej życia. Była bezpieczna od jego twardych rąk, ramion, ud i ust, które szukały po omacku, siniaczyły i których nic nie obchodziło. Sara usiadła na łóżku. Zastanawiała się, czy w ogóle zasnęła. Noc była prawie jesienna, zimna, wilgotna od rosy.

Z okrytego rosą klonu zahukała sowa. Gdy wiatr wionął przed świtem, ogrody i trawniki pokryły się pierwszymi zwiędłymi liśćmi jesieni.

Wstała, wypila filiżankę gorącej kawy, przebrała się w strój sportowy i cicho wyszła przez żółte, kremowe, pomarańczowe i złote pokoje, które miały barwy słonecznego światła nawet jeszcze przed wschodem słońca. Zostawiła otwarte drzwi. Okno sypialni Bena spoglądało z góry na jej okno. Zaczerpnęła głęboko powietrza odchodzącej nocy.

Zbliżała się jesień — poczuła jej zapach i wiatr na twarzy, gdy tylko wyszła frontowymi drzwiami. Kiedy miną dwie czy trzy jesienie, może i ona upodobni się trochę

do reszty ludzi. W miarę upływu lat, może przestanie drzeć, płakać i uciekać, gdy dotknie jej mężczyzna...

Zrobiła krok w ciemności i nastąpiła na coś sportowymi bucikami. Co to? Pochyliła się, by podnieść niewyraźny przedmiot, miękki jak bukiet kwiatów.

Gdy podeszła do latarni, zobaczyła, że to bukietek białych różyczek z czerwoną różą w środku.

Ben, powiedziała do siebie.

Ben. Nagle uniosła się szczęściem, tak że zdawała się płynąć. Wciągnęła w nozdrza świeży, rześki, zapach kwiatów.

Jesienne powietrze dmące jej w twarz było zimne i niosło ze sobą woń pól pogrążonych jeszcze w ciemności. Ile to lat minęło, odkąd ostatni raz dostała kwiaty?

Ben. Sara zostawiła róże na schodku i pobiegła za róg wzdłuż Seerley Boulevard, utrzymując dobre tempo, sama w milczącym mieście..

Ben powiedział: „Kochałem ją, a ona nawet nie chciała mnie pocałować. Boże, nienawidziłem jej.”

Wzdłuż płotu przebiegł kot i zniknął, również sam w ciemności. Sara przebiegła przez Główną, szyny kolejowe i słyszała, jak gada do siebie strumyk, ukryty w czarnych krzewach pod podkładami. Szmer wody dobiegał ją jeszcze jakiś czas, potem skręciła wzdłuż nie oświetlonych domów i szkoły naprzeciwko basenu po przeciwległej stronie ulicy. W sierpniowe popołudnia basen skrzył się barwami i dźwięczał okrzykami, lecz w pierwszych dniach września szkoła była już czynna. Przypuszcza, że w dni powszednie dzieci wyglądały z okien szkoły na tę błękitną wodę i zastanawiały się, dokąd odeszło lato.

Biegając, uśmiechała się do siebie. Gdzieś w ciemnych krzewach nad jej głową ćwierkał ptak. Jej skóra zaczęła pokrywać się warstewką potu.

Potem przyszedł jej na myśl Martin, z rękami nad niewyraźnie zarysowaną twarzą, samotny w ich łóżku. Czasami jego oczy otwierały się i zwracały ku niej przez tyle mil, jak przenikający odległości promień światła latarni morskiej, śiąc nienawiść w szczeliny, aż przerażona cofała



się w ciemności i widziała pistolet kalibru 25, czuła kule trafiające w nią... w Bena...

Lecz minęły tygodnie — ponad miesiąc, odkąd złapała oddech, zanurzając się w przejmująco zimnym oceanie, zmierzając ku dwóm ciemnym, stłuczonym latarniom na brzegu. Biegając, oddychała głębiej i coraz bardziej się odprężała. Latarnie stały jedna za drugą w stożkach światła. Mrówki przebiegały chodniki jeszcze nawet przed wschodem słońca, widziała poruszające się z nimi ich małe cienie.

Mijała śpiące w domach dzieci. Mężczyźni i kobiety leżeli spleceni ramionami.

— To była mordega — powiedział raz Ben, opierając się o jej starą kanapę i wpatrując w płonące świece. — Tyle pięknych uczennic, a żadna nie dla mnie. Myślałem, że były aniołami, inną rasą, a ich motto brzmiało: „Nie dotykaj.”

Mogła zostawić Bena w trosce o jego bezpieczeństwo, wrócić po latach, gdy być może już się ożeni, przyjaciel, który nie będzie wiedział, dlaczego odeszła.

Albo mogłaby pozostać w Cedar Falls i sprowadzić matkę do domu opieki, który jest o parę ulic dalej na University Avenue. Niech Martin zionie nienawiścią, niech przyjedzie, niech...

Sara zatrzymała się, drżąc, przed biblioteką uniwersytecką.

Okna biblioteki jaśniały, nocne latarnie oświetlały rzędy pism, stojak z mapami. Stała spocona, dysząc, sama przed czystym szkłem. Chcę zrobić magisterium z bibliotekoznawstwa.

Kampanila zadźwiewała ośmioma półgodzinnymi uderzeniami. Pobiegła ścieżką wyłożoną czerwonym tłuczniem, żuzłem, a potem po asfalcie parkingu, w dół ku miasteczku.

Ale poślubiła Martina i wszystko wyszło nie tak.

Biegając, oddychała głęboko. Sara Burney gniła w wodzie... tak myślał Martin. Wyobrażał sobie, że Sara Burney leży pod niebem na jakiejś plaży albo zapada się coraz głębiej, rozpadając się. To ciało pływało w umyśle Martina, jeśli nie popełniła jakiegoś błędu, a on zorientował się (Sara myślała o wierszu Sylvii Plath) i czekał — jak Meduza

Sylvii Plath — by zamienić w kamień to, co miała teraz w Cedar Falls. Sylvia powiada, że żaden jej dzień nie był bezpieczny, gdyż gdzieś tam myślał o niej mężczyzna.

Sara przyśpieszyła kroku, zwróciła baczną uwagę na zapach skąpanych w rosie ogrodów, zamierający odległy gwizd pociągu, pulsowanie krwi w uszach. Ben położył róże na jej progu. Pobiegła Main Street aż do wystaw na Parkade i świetlistych kul nad sklepami, potem mszyła w stronę domu, szczęśliwa, zdyszana, ociekająca potem.

Bukiet Bena czekał na nią na progu. Niosąc go do kuchni poczuła, że coś dynda przy wstążce — bilecik? Zapaliła światło w kuchni. Z jedynej czerwonej róży pośród miękkich białych pączków zwisał kawałek papieru.

Sara odwiązała karteczkę, uśmiechając się na myśl o Benie, rozglądając się po pomarańczowej kuchni. Na zwiniętym papierku widniały czarne drukowane litery:

**WIEM, KIM JESTEŚ, MOJA LAURO. ZNALAZŁEM CIĘ I NIGDY NIE POZWOŁĘ CI ODEJŚĆ.**

Ręcznie wypisane litery wiły się przed oczyma Sary, wypełzając z białych płatków, przytwierdzone do róży czerwonej jak kropla krwi.

Sara z trudem złapała oddech i poczuła zimno. Skoczyła, by zakryć kuchenne światło, a nawet robiąc to, jej umysł pobiegł w przeszłość jak królik umykający przed lisem: pistolet Martina przy jej skroni, pierwszy raz, gdy pomyślała o zanurkowaniu do zatoki, sińce na basenie, lecz nie podała swego nazwiska i nikt nie może skojarzyć jej z Sarą Burney, która utonęła, stłuczone latarnie na brzegu, John Fleishman jako świadek, nic w domku letniskowym, nic w małym domku na Cape Cod...

Wstrzymała oddech, zlodowaciała z zimna. Martin musi tu być, ukryty w ciemnym domu, przycupniętym obok niej i nie była już bezpieczna, lecz czuła się jak w domu w Montrose, jak w domku letniskowym, jak w skorupie, w pułapce. Wstrzymała oddech, by usłyszeć, czy nie oddycha ktoś inny.

Przez parę minut stała w kuchni absolutnie nieruchomo z rozgniecionymi różami w ręku. Nie zamknęła nawet drzwi na klucz. Głupia. Głupia. Pot spływał jej pod ubraniem, aż była cała mokra i zrobiło jej się zimno. Martin był w sypialni albo w łazience, w saloniku, w gabinecie albo czekał na szczycie schodów.

Kule w ciemności — wiem, kim jesteś.

Zanurkować do zatoki Manhasset, udawać, że nie żyje — kto by to wybaczył? Gdy tak stała, jej umysł prześlizgnął się po tych wszystkich latach. Oczywiście, że ją zabije, a najpierw ją przestraszy, wymęczy, będzie z nią igrał — popełni okrucieństwo, by się jej odpłacić. Nie wątpi, że ma jakiegoś mężczyznę. Będzie szukał, aż znajdzie Bena i jego też zabije.

Jej nerwy były wyczulone na najmniejszy dźwięk za nią, przed nią, nad nią.

Cicho. Tak cicho. Ben nie zadzwoni znowu w porze śniadania, Martin nie odbierze telefonu i nie usłyszy głosu Bena. Ben nie będzie chciał mieć z nią teraz nic wspólnego. Może nic mu się nie stanie.

Była gotowa pobiec do najbliższych drzwi, na werandę za domem. Mijały minuty. Przejechał samochód. Bez względu na to, jak szybko by biegła, on ma broń.

Wreszcie zrobiła krok, potem następny. Cicho skradała się wokół pustej wanny, by oprzeć plecy o ścianę koło sypialni. Światło z parku padało na jej otwartą szafę. Nie wiedziała, ile minut stała nasłuchując, jedną ręką dotykając gładkiej żółtej emalii, którą nakładała całymi godzinami, myśląc, że tutaj jest bezpieczna, że może tu pozostać. Krzyknął pierwszy ptak, zaczynało świtać.

Podłoga jęknęła pod jej sportowym butem, gdy zbliżała się do szafy.

Nikogo w niej nie było. Schyliła się, by zobaczyć, w słabym świetle z parku, że nikt nie siedzi pod łóżkiem.

Może być w saloniku, w gabinecie albo ukrywa się na szczycie schodów na piętrze. Wiedziała, że tam jest — pd czasu do czasu skrzypiały deski podłogi. Dręczył ją ciszą, z bronią w ręku — jeśli w ogóle tam był.

„Znalazłem cię i nigdy nie dam ci odejść.”

Sara przekradła się do gabinetu. Był pusty. Zajrzała do saloniku, który również świecił pustką. Drzwi do piwnicy były zamknięte. Idąc stopień po stopniu po schodach na piętro, spodziewała się ujrzeć Martina opartego o zamknięte drzwi na górze. Nie było nikogo.

Pobiegła, by zamknąć na klucz wszystkie drzwi i zaciągnąć wszystkie zasłony. Szlochała, wycierała mokrą twarz i uświadomiła sobie, że nadal trzyma w dłoniach róże i zmiętą karteczkę. Zapaliła zapalną i spojrzała na czarne litery.

Zapalnik zgasła. Przez firanki w saloniku wpatrywała się w park. Martin tam był. Była tam jego nienawiść — stała wzdłuż jej ulicy jak ciemne domy, jak drzewa, jak kołysane lekkim wiatrem huśtawki w parku przed świtem.

Sara, choć taka spocona, wpełzła do łóżka, naciągnęła kołdrę na głowę i znowu była zamknięta w malej przestrzeni, jak w domku letniskowym, jak w ich domu w Montrose (gdzie Martin rozwalił drzwi). Dom powinien być bezpieczny. A jeśli wszędzie gdzie indziej jest bezpieczniej?

Pięściami przycisnęła kołdrę do ust, usiłując coś wymyślić, lecz zbliżył się Martin, całując pieprzyk między piersiami, obracając ją, by ucałować drugi między łopatkami, i ujrzała okrągłe czoło Martina, poprzecinane zmarszczkami, gdy szeroko otwierał oczy, aż migotały i lekko drżały. Polując z nim, czuła jego ciepły oddech na zimnej twarzy, szept nad połyskującą strzelbą.

Zastanawiała się, czy powinna iść poszukać Martina. Był gdzieś tam w nocy, obserwując ją z parku albo podwórza za domem. Może się tak ukrywać całymi dniami, a ona nie zmruży oka z przerażenia. Nie zwróci się do nikogo o pomoc. Cóż może powiedzieć? Widziała Bena leżącego we krwi z utkwionymi w niej, nie wierzącymi oczyma.

Sara wyszła z łóżka. Znajdzie Martina, cichutko zawoła go po imieniu, zanim się rozjaśni, zanim ktokolwiek ją usłyszy. Powie mu, że nigdy go już nie opuści, nigdy.

Stojąc przy łóżku, tarła czoło spodem dłoni i myślała, jak mogła być tak głupia, żeby zapomnieć o przyniesieniu

bielizny z pralni. Mogła wieszać ręczniki tak, by krawędzie były równe. Czy to takie skomplikowane?

Mogłaby pamiętać, by wrzucić jego listy do skrzynki koło biblioteki i nigdy nie wychodzić z domu, gdy on wraca z pracy. Mogłaby składać jego bieliznę na trzy, nie na dwa. Jeśli włoży mu do portfela mnóstwo banknotów dolarowych, pomyśli, że żadnych pieniędzy mu nie brakuje. Jeżeli wypije ze dwie szklanki wina, będzie sympatyczny...

Pobiegła do łazienki i wymiotowała, aż całkiem osłabła i była oblana potem, w ustach pozostał jej kwaśny zapach nienawiści, która kryła się w niskich głosach, dużych pięściach — nigdy nie wróci. Przypomniała sobie młodą matkę z czarnosiną, opuchniętą twarzą z dwojgiem zawodzających dzieci na progu schroniska.

Kłęcząc nad toaletą, przypomniała sobie, że policja była uprzejma, widzieli to wszystko już przedtem. Ich oczy przesunęły się po niej, zdążając do następnego pobicia, następnej kłótni rodzinnej.

— Czy pani sobie wyobraża, że możemy tu przesiedzieć całą noc?

Widziała swe schludne biurko w bibliotece z ustawionymi na nim zielonymi roślinami, tabliczką z jej nazwiskiem, kartoteką i notatkami. Jak mogła zostawić pracę, by ukryć się w schronisku? Dzień po dniu wydeptywała po śniegu ścieżkę do sądu. Urzędnik sądowy powiedział bezbarwnym głosem:

— Pani znowu wróciła do męża.

Sara umyła twarz i spróbowała pomyśleć. Gdzie Martin mógł ją zobaczyć? Jak szła pod bzami do Bena. Ujrzała doktor Channing słuchającą Henry'ego Jamesa. Kogo Martin zabije?

Spakuj się. Wyjedź przed świtem. Ben zapamięta tylko chudą, ciemnowłosą osobę, która nie chciała pieszczot ani uczucia. Ze złości zrobiło jej się gorąco, aż się spociła — przepadnie jej praca, dom koło parku. Zaczęła pakować do plastikowej torby tych swoich kilka ubrań. Na dnie szuflady leżała czarna jedwabna kombinacja, czuła zapach czerwonych róż, wetkniętych do słoja po marynacie.

Spakować się? Wyjechać? Oszalała. Sara zatrzymała się i przykryła oczy dłońmi. Był tam z bronią, obserwował — zobaczy, że wychodzi. Trzyma ją w tym domu jak w potrzasku.

Kwiaty, pomyślała z drżeniem. Naturalnie, że zostawi róże. Drukowane słowa raz po raz przebiegały jej przez głowę — ostrzeżenia, tak kot figlarnie trąca łapą mysz. Wyjęła czarną jedwabną kombinację z plastikowej torebki i zaczęła płakać, potem przestała i powiesiła swą jedyną sukienkę z powrotem do szafy, spojrzenie miała twarde, jakby już widziała bryzgi swej krwi na jakimś chodniku, podłodze, ścianie. , Banan będzie miauczał na werandzie od tyłu, by go wpuścić; Sara długo nasłuchiwała przy kuchennych drzwiach.

Gdy je otworzyła, oczy kotka migotały jak świetliki za obitymi siatką drzwiami.

Sięgnęła do klamki. Wisiało na niej coś miękkiego — szybko cofnęła rękę. Potem pomacała to, szarpnęła, uciekła do kuchni, zamknęła drzwi na klucz za sobą i Bananem i stała drżąc w saloniku z następnym delikatnym bukietem kwiatów — świeżych stokrotek. Bilecik przytwierdzony do stokrotki zapisany był takimi samymi czarnymi drukowanymi literami jak karteczka przy róży:

**ŚNIĘ O TWYCH MIĘKKICH UDACH O TWYCH PIĘKNYCH  
PIERSIACH CZY BĘDĘ TWOIM KOCHANKI EM"? ME USTA  
SĄ NA TWOICH KIEDY WIDZĘ CIĘ RANKIEM.**

Stokrotki patrzyły na nią żółtymi oczyma. Banan lizał słoną nogę Sary i też patrzył na nią żółtymi oczyma. Sara zaczęła jednocześnie śmiać się i płakać, pocierając czoło nadgarstkiem, jakby chciała zetrzeć senne koszmary.

— Tak się bałam — powiedziała kotu.

Usiadła na stole kuchennym i oparła głowę na ramionach. Tak się bałam. Ale to musi być Ben.

Zarumieniła się, ponownie odczytując bilecik. Banan wskoczył jej na kolana. Były to bileciki miłosne i tyle. Banan ugniatał jej kolana czterema łapami.

— Zastanawiam się —jesteś kobieta? — spytała Sara. Banan mógł tylko odpowiedzieć na to pytanie przeciągłym, żółtym spojrzeniem.

— Jeśli tak, to ty wybierasz, prawda? — rzekła Sara. — Żaden kocur nie może z tobą kręcić, jeśli nie masz ochoty.

Wiedziała, że plecie z radości i ulgi. Banan nie miał nic przeciw temu.

Zaczął mruzczyć.

— Byłam taka przerażona! — krzyknęła Sara, drapiąc Banana za uszami.

Świt zaczął oświetlać pomarańczowe ściany i paprocie pozawieszane w kuchni, która w końcu okazała się jednak bezpieczna.

Odkładając plastikową torbę, zaczerpnęła parę głębokich oddechów świeżego powietrza z otwartego okna. Śpiewały już ptaki, ale Ben będzie jeszcze spał w łóżku z drewna kasztanowca, złote rzęsy, złoto rud włosy na poduszce.

„A mężczyznę też zabiję.” Sara stała dłuższą chwilę, patrząc na plastikową torbę, spoczywającą w szufladzie toaletki na czarnej jedwabnej kombinacji.

Ten gniewny głos: „Kochałem ją, a ona nie chciała mnie nawet pocałować. Boże, jak ja jej nienawidziłem.”

Spakuj się i wyjedź. Rusz się.

„Myślałem, że są aniołami, inną rasą.”

Oszalał. Ben jechał szybko, przez otwarte okna wpadało gorące powietrze wrześnieego ranka. Laura. Po prostu wszedł w tę czerwoną mgłę miłości — i wyszedłszy drugą stroną stwierdził, że znów wystrychnięto go na dudka. Musiał z tym żyć już od ponad dwóch tygodni.

Ben walnął pięścią w kierownicę. Laura pozwoliła mu się pocałować, zanieść na górę, a potem zlodowaciała i mówiła o nienawiści. Nienawiść. No więc miała rację.

Zwykła kokietka. (Znał na to mocniejsze określenia.)

I zaczynał właśnie trzeci tydzień zajęć. Czekają go oceny studenckie. Członkowie jego wydziału będą przyglądać mu się, jak uczy, a potem napiszą długie listy, oceniające jego metody nauczania, sprawdzania wiadomości, jego stosunek...

Do tego nawaliła mu kosiarka. Firma miała kiedyś filię w Black Hawk Village, lecz teraz punkt napraw znajdował się aż w Crossroads. Miał dość czasu do drugiej, do rozpoczęcia zebrania komitetu programu nauczania.

A do tego nie mógł spać.

— Skończony dureń — powiedział głośno Ben, skręcając w South Main.

Nie powinien był jej poganiać, ale po prostu miał czerwoną mgłę przed oczyma. Nie chciała powiedzieć mu nic o sobie i nie pozwoliła mu...

Skończony dureń. Laura. Przez nią czuje się jak skończony dureń.



Trawnik przed domem wyglądał, jakby Ben roztrząsał tam siano. Musiał zaparkować kawał od punktu napraw i nieść kosiarkę, a robił się upał. Musiał czekać w kolejce. Bębnił palcami o kontuar i myślał, że może nie powinien był jej ponaglać. Płakała. Po prostu o niej zapomni. Niech sobie idzie.

Tłusty urzędnik zanotował wszystko z wyjątkiem koloru oczu Bena i panińskiego nazwiska matki, choć chodziło tylko o naprawę kosiarki. Patrzył na pisaninę urzędnika i myślał, że nie robił żadnych obietnic, nie kupował jej kosztownych prezentów ani nie zabierał do Nowego Jorku. Tylko o niej marzył, Bogu dzięki, a teraz nie musi z nią przebywać, nie widzieli się prawie od dwóch tygodni.

Udawał, że ona nie istnieje. Wyszedł wreszcie z punktu napraw i w upale wrócił do samochodu. Kobiety, które noszą seksowne ciuchy, uśmiechają się, a potem mówią: „O nie, nie ty” i wyslizgują się z twego życia. Laura prawdopodobnie śmieje się z niego, gdyż usiłował z nią wygrać.

Droga do domu składała się z czteropasmowych przystanków; kłął więc. Ma takie piękne piersi. Cholera. Mogliby pojechać z Laurą na Boże Narodzenie do Nowego Jorku, oglądać sztuki i zagraniczne filmy, wyobrażał sobie, jak dyskutują potem w pokoju hotelowym, skacząc sobie do oczu na temat reżyserii, gry aktorów, wystawienia, a później się kochają.

Niby powinno się na nie lecieć — same tego chcą — i ma taki zarys bioder. Ale płakała. I te nogi...

Czerwone światła na Main i University paliły się chyba z pięć minut. Siedział i kłął w smrodzie spalin. Gdyby się pobrali i chciałyby robić magisterium z bibliotekoznawstwa, nie miałyby nic przeciwko temu, mieszkałyby prawie na uniwersytecie, gdyż jego dom stoi tak blisko.

Gdyby był żonaty, nie musiałyby się zajmować tymi różnymi idiotyzmami i mógłby napisać książkę... a tymczasem zabrakło mu chleba i sam musi sobie przygotować lunch.

Ben skręcił na parking i zatrzymał się z piskiem opon.

Nie chciała mu nic o sobie powiedzieć. Prawdopodobnie była mężatką. Ta jej spokojna twarz.

Musiał czekać w kolejce do kasy. Zgarbił się i rozejrzał po sklepie. Jak zwykle był pełen studentów, gdyż znajdował się tylko dwa bloki od uniwersytetu. Brunetka w spodniach tak obcisłych jak skórka na brzaskwini rugała faceta, pakującego jej zakupy — nieszczęsna oferma kładła puszki na bananach.

Taka kobieta jak Laura bez trudu sobie kogoś znajdzie. Prawdopodobnie żyła z jakimś gościem i miała go dosyć.

Ben wrócił do domu i był tak głodny, że usmażył sobie hamburgera z cebulą, jak nauczyła go Laura, choć nie była to jeszcze pora lunchu. Teraz już wiedział, że trzeba odlać tłuszcz.

Cholerny idiota, mówił do siebie od czasu do czasu, nasłuchując skrzypu drzwi na jej werandzie; uważał, by zbyt nie przyrumienić hamburgera i mamrotał: „Idiota. Cholera.” Jej biała skóra po zniknięciu opalenizny będzie miała odcień niemal błękitny. Może spędzić miły spokojny wieczór samotnie albo wpaść na parę godzin do jakiejś knajpki na wzgórzu z Halem i Noney Esterbrook albo Grantem Barneyem i Janem Duganem. Nie ma zamiaru myśleć o Laurze Pray. Może woli kobiety od mężczyzn? Zimna lesba.

Drzwi na werandę za domem Laury ledwo zaskrzypiały. Gdy to usłyszał, poczuł się, jakby przywarła do niego. Patrzył, jak gorący tłuszcz pryska na patelni i chciał ją mieć w łóżku, i chciał ją uderzyć...

Nienawiść. Drżał z żądzy i drżał z przerażenia.

Laura stała tak, że mógł ją widzieć, biała koszula i szorty jaśniały na tle ciemnej zieleni. Pocierała czoło krawcem nadgarstka, co świadczyło o jej słabości i skrytości. Od czasu do czasu odzywały się ptaki, lecz ciszy późnego poranka mogła niemal dotknąć, tak jak dotykała wilgotnych zielonych krzewów, przebijających się przez stos śmieci przy płocie na tyłach domu.

Nie chciała się kochać. Ben gapił się na Laurę z kuchennego okna. Banan snuł się za nią po mokrej jeszcze trawie, potrząsając raz jedną, raz drugą łapką.

Ben wyłączył hamburgera i oparł czoło o chłodną szybę. Laura patrzyła na stos śmieci, piętrzący się na podwórku: stare siedzenia od krzeseł, drut, puszki, gnijące bale, połamane cegły. Banan wślizgnął się w tę dżunglę i tylko rozkołysana stokrotka wskazywała miejsce, w którym zniknął.

Sara stała, myśląc, że bileciki i kwiaty pochodziły od Bena, i tyle.

Westchnęła. Robił tylko to, co zazwyczaj robią mężczyźni. „Me usta są na twoich, kiedy widzę cię rankiem.”

Pani Nepper powiedziała: „Może pani zrobić z tym zarośniętym śmietniskiem na podwórku, co się pani żywnie podoba. Co się pani żywnie podoba, tak jest. To zarośnięte śmietnisko. Cesię pani żywnie podoba.”

Sara nasłuchiwała. Z oddali dochodziło brzęczenie i jęk, nie głośniejsze niż bzykanie komara, lecz narastające. Niedługo potem nadjechała aleją śmieciarka z Seerley. Sara brnęła przez stos odpadków.

— Dzień dobry — zawołała do mężczyzn, skręcających śmieciarką przy jej bramie. — Czy mogliby panowie trochę tego zabrać?

Jeden nieduży śmieciarz miał odstające uszy i szczerbę między przednimi zębami.

— Czemu nie — rzekł — wygląda na to, że trochę pani tego ma. Pomóc pani?

Sara powiedziała, że tak, i chwyciła rozmokłe siedzenie krzesła, a on chwycił drugie. Wyglądał jak czyjś dziadek, koszula już mu pociemniała na plecach i pod pachami, lecz rzucał rupiecie w powietrze.

— Łap! — krzyknął do drugiego.

Przez płot przerzucono kawałki blachy, pordzewiałe szpony drutu kolczastego, zeschnięte gałęzie, gnijące kłody i wszystko to pochłonęły jękliwe trzewia śmieciarki. Gdy wóz odjechał, skarżyć się na kolejną gromadę puszek, Sara wreszcie ujrzała gołą ziemię od drzwi za domem aż do alejki.

Obserwując Sarę, Ben zobaczył, że od czasu do czasu z liści bzu skapują krople nocnego deszczu. Liście paproci

i źdźbła trawy zdawały się wyraziste jak szczegóły na płótnie artysty, porozmieszczane tak, by oddać znaczenie każdego detalu.

Teraz ogródek był oczyszczony. Laura stała pośród żółtych, poskręcanych mleczy, które przebiły się przez stos rupieci razem z dzikimi stokrotkami, ostami, guzowatą babką, jaskrami. Wisteria i winorośl oplątały je, Sara musiała porozrywać długie pędy, przywiązać je z powrotem do płotu.

Poszła na werandę po starą motykę i łopatę. Słońce grzało i ona też się zgrzała, pot spływał jej po twarzy. Przez chwilę znów była z Joe w nowym miasteczku, usiłując doprowadzić do ładu kolejny stary dom, podczas gdy ich matka opłakiwała to, co pozostawili.

Cięła chwasty, lecz pozostawiała kwiaty: konwalie, floksy. Karbowana paproć znaczyła, że wiosną będą szparagi.

Ben obserwował Laurę. Wykopane chwasty szybko więdły, liście miały tak samo zielone jak rośliny, których nie wykopała, rzucone w kupki kwiaty zaczynały się zwijać. Wybierała, krok po kroku. Zabijała zielone liście i kolorowe kwiaty; umierały w słońcu.

Ben przestał tkwić przy oknie i rozejrzał się po kuchni, jakby był tu obcy. Wyszedł do Laury, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

— Potrzebuje pani łopaciarza — rzekł.

Czarne drukowane wyrazy zamigotały przed oczyma Sary. Nie patrzyła na mego, ale widziała, jak siedzi nagi na brzegu łóżka, zaciskając pięści.

— Konwalie — powiedziała, stojąc na rączce łopaty, by obluźować korzenie. — Piękne zielone liście i małe dzwoneczki na wiosnę, a reszta to korzenie z lanego żelaza, rozrośnięte na wszystkie strony. Niech pan spojrzy, co narobiły z tą kępą tataraków.

— Niech pani spojrzy, co pani zrobiła temu dzieciakowi z sąsiedztwa.

Siedzi przy oknie z lornetką — oznajmił Ben.

Odwróciła głowę tak szybko, że potargały się jej włosy. Spojrzała na czerwony dom na rogu, obrócony do nich plecami, z jedną białą brwią uniesioną nad drzwiami od

podwórza. W narożnym domu ponad okrągłą grządką chryzantem nagłym szarpnięciem zaciągnięto firankę. Benowi zdawało się, że przez chwilę w oczach Sary dostrzegł gniew i strach, nim ponownie zaczęła wykopywać konwalie.

— Pani Nepper mówi, że to jakiś dziwak — kontynuował Ben. — Zaczął studia na uniwersytecie, ale co dzień, gdy tylko skończy zajęcia, zamyka się na klucz i puszcza muzykę.

Po paru minutach, jakby w odpowiedzi, z czerwonego domostwa zaczęły dobiegać ogłuszające dźwięki muzyki.

Sara chwyciła konwalie, które wykopywał Ben, otrząsała ziemię i odrzucała na bok.

— Pani Nepper powiedziała, że mogę tu robić, co chcę — odezwała się po chwili.

Ben stał bardzo blisko niej, oczy patrzyły spokojnie, świadome jej obecności. Z sąsiedniego domu piosenkarz wykrzykiwał o gorącej miłości i ogniu. Sara wyprostowała się, wierzchem dłoni otarła błoto z czoła i przypomniała sobie policzek Bena, jeszcze gorący od łez.

— Tyle do wyrzucenia — rzekła, patrząc na stosy więdnącej zieleni.

— A co by pani powiedziała na obiad u mnie w poniedziałek wieczór? — zapytał miękko Ben.

Popatrzyła nań przez moment i wydało mu się, że ujrzał w jej oczach szczęście. Potem znikło. Sara czuła ostrość wypisanych słów.

— Nieumyślnie sprawiłam panu przykrość — odparła. — Nie jestem dobrym towarzyszem. — Odwróciła wzrok, spojrzała w górne okno.

Dudniła zeń muzyka — barn barn barn. Czy firanki poruszyły się? —

Dziękuję za róże i stokrotki — rzekła i odsunęła się od niego. Jej twarz poróżwiała.

— Róże i stokrotki? — spytał Ben. — Z mojego ogródka? Ależ oczywiście. Proszę nazrywać, ile tylko pani chce.

Laura spojrzała na niego.

— Dziękuję — powiedziała.

Była teraz usmarowana, ale ciągle śliczna, opalona, długonoga; białe obcisłe szorty podjechały jej do góry na plecach, a koszula miejscami wysuwała się na zewnątrz.

Z okna nad ich głowami ryczała muzyka.

— Zanieczyszczają powietrze — stwierdził Ben. — Niech pani tylko posłucha.

— Lepiej stąd chodźmy. Muszę się przebrać i iść do pracy. Dziękuję za pomoc.

Wzięła od niego łopatę i razem z motyką zarzuciła sobie na ramię.

— Nie zmieni pani zdania co do poniedziałkowego wieczoru?

Uśmiechnęła się i dostrzegł w jej oczach ulgę, gdy patrzyła na niego z wahaniem.

— Owszem, zmienię — rzekła. — Kiedy się ściemni? Ben skinął głową, wyszczerzył zęby w uśmiechu i potarł

bąble na dłoniach. Muzyka grzmiała dalej. Sara wchodziła na stopnie werandy, słońce oświetlało jej włosy, tył w białych szortach, za nią skakał po stopniach kotek. Ogonek omal nie uwiązł mu w drzwiach.

Sara zostawiła starą łopatę i motykę w rogu werandy. W kuchni jeszcze panował chłód. Zielone paprocie z ogródka za domem wisiały w oknach, cieniuąc światło.

Bukieciak stokrotek wiądnął w szklance przy zlewie.

Bilecików nie napisał Ben.

Bilecików nie napisał Martin.

Lecz śledził ją ktoś bez twarzy, wślizgnął się do drzwi za domem, do drzwi frontowych — Sara chwyciła stokrotki, wyrzuciła je do śmieci i ryknęła. Banan śmignął pod piecyk.

— Nieważne — rzekła Sara do Banana i do siebie. Umyła dłonie, ramiona i kolana, po czym znalazła papier

listowy i koperty. Z filiżanką kawy usiadła w zielonym świetle paproci i zaczęła pisać w odwrotną stronę i z tyłu w przód, schludnym pismem, absolutnie niepodobnym do jej własnego. Zawsze umiała to robić. Nikt nie rozpozna jej pisma. Zaadresowała sześć kopert do domu starców w Craigie Court.

**Kochana Chloe!**

**Dawno już nie pisałem, ale doskonale pamiętam te wszystkie mile chwile, które, spędziłem, mieszkając jakiś czas przy waszej rodzinie.**

**Pracuję teraz u pewnego profesora, dużo podróżuję i prowadzę badania naukowe, dzięki czemu mam dużo czasu i będę mógł teraz często pisać.**

**Być może któregoś dnia Cię odwiedzę. Pamiętam, że wasza rodzina przeprowadzała się co rok lub dwa, a ty, Sara i Joe urządzaliście domy. w których mieszkaliście. Pamiętasz, jak robiłyście siatki do okien z różnych strzępków, gdy mieszkaliście kolo tej farmy, a dookoła było mnóstwo much. Pamiętasz, jak razem z Sarą szyłyście w rękę firanki do saloniku?**

**Były to jednak dobre czasy. Życzę Pani zdrowia i wszystkiego najlepszego. Podróżuję służbowo, toteż będę wysyłał te listy z różnych miejscowości i wkrótce dam o sobie znać.**

**Serdecznie Panią pozdrawiam Larry Day**

Do oczu Sary napłynęły łzy. Jej matka myślała, że oboje jej dzieci nie żyją. Leżała w domu starców, gdzie nikt jej nigdy nie odwiedzał i dokąd nikt nigdy nie dzwonił. Samochód Bena stoi w jego stodole. Mogłaby do niego wskoczyć, pojechać do Nebraski...

Ale trzeba to zorganizować. Doktor Channing musi znaleźć kogoś, kto w tym czasie zastąpi Sarę. Musi poczekać.

Otarła oczy wierzchem dłoni. Joe znalazł w lombardzie czerwoną, aksamitną kurtynę teatralną i uszyli z niej zasłony do saloniku, w rękę, ponieważ nie mieli maszyny.

Jej matka tak ciężko harowała, gdy pewnej zimy w południowej Dakocie musieli mieszkać w przyczepie. Zmywała naczynia, myła dzieci i prała w toalecie stacji benzynowej i tak jakoś wychodziło, że Joe i Sara wyglądali równie schludnie jak wszystkie inne dzieci. Robiła z tego jakby zabawę. Teraz Sarze nie wydawało się to zabawne.

Sara wpatrywała się w swoje pióro i słuchała świergotu kardynała. Nie mogła napisać o przyczepie — ktoś będzie musiał przeczytać te listy matce. Nie wspomniała również o zrujnowanym domu w Manhasset. Mieszkali tam za darmo dwa czy trzy lata, gdyż ojciec był dozorcą i palił w ogromnym piecu w pokrytej brudem piwnicy. W zamian

pisala o swierszczu w piwnicy, który spiewal jak kanarek — no, prawie, i jadl plasterki surowego kartofla... i o ich ogrodzie. Przemilczala fakt, iz ogródek ten znajdował się na skrawku złomowiska starych samochodów. Joe utonął w zatoce Manhasset. Gdy pisala jego imię, przez list przemknął rudowłosy duch.

Pomineła okres, gdy mieszkali u krewnych i byli bez grosza. Opisala noc, gdy jej matka wezwala policje, gdyz slyszeli jakies halasy. Pamietasz? pisala Sara. A ten halas to byl po prostu stukot guziczków z dlugich majtek cioci Jennie, które wyrzucila do zsypu.

Czasami się śmiała. Czasem płakała, myśląc o niewidomych oczach matki, wpatrujących się w sufit domu starców, nad jej głową znajdowała się tabliczka z nazwiskiem. Personel tego domu był w większości uprzejmy, lecz krzyczeli do wszystkich staruszków, ponieważ niektórzy byli głusi. Zwracali się do starych ludzi po imieniu, jakby nigdy nie byli ciężko pracującymi członkami społeczeństwa, jak gdyby stracili prawo do bycia „Panem”, „Panią”, „Doktorem”, „Panną”.

Sara pisala odwrotnie i z prawa do lewa, rozpaczliwie szukając szyfru, który przekazałby matce: „Jestem Sara. Żyję.” Znalazła go w kwiecie irysu, kolorze frontowych drzwi i w sekretnym sposobie, który wynaleźli, by trzymać króliki z dala od grzędy zielonego groszku.

Sześć liścików. Wsunęła je w koperty, nakleiła znaczki, włożyła do papierowej torby i rozejrzała się po kuchni. Jak jasno wyglądał pomarańczowy kolor w porannym słońcu.

Lecz były jeszcze stokrotki i wiecheć zgniecionych róż w kuchennym koszu na śmieci. Ktoś ją obserwował, myśląc: „Czy będę twoim kochankiem? Me usta są na twoich, gdy cię widzę rankiem.”

Ktoś wpychał się w miejsce, gdzie chciała samotnie tańczyć, śmiać się i wieszać zielone paprocie w pomarańczowej kuchni.



Ben przygarbił się i rozglądał po holu, gdy sekretarka wydziału podsumowywała wykonaną przez studentów ocenę zajęć Bena „Wstęp do teatru”. „Wykładowcę należy oceniać na podstawie następujących cech, mających wpływ na sprawność nauczania. Do wystawienia oceny służy siedmiopunktowa skala, przy czym cyfra ,1' oznacza ocenę najniższą, ,7' zaś najwyższą.”

Nie widzącymi oczyma wpatrywał się w tablicę ogłoszeń wydziału. Jego studenci zakreślali maleńkie kółka od jednego do siedmiu: „Znajomość przedmiotu (tematyki zasadniczej i materiałów uzupełniających). Przygotowanie do zajęć (codzienne i ogólne). Organizacja zajęć. Ogólny stosunek do studentów, zainteresowanie ich sprawami (zajmuje się, wykazuje zrozumienie). Dostępność poza zajęciami (dyżury, możliwość kontaktu). Jasno objaśnia i ilustruje. Wykazuje zainteresowanie i entuzjazm w swojej dziedzinie. Sprawiedliwość prac sprawdzających i oceny (jasne kryteria oceny). Pobudza moją pracę naukową (prowokujące pytania wzbudziły moją ciekawość intelektualną). Jasno formułuje bliższe i dalsze cele. Wystaw swojemu wykładowcy ocenę efektywności nauczania za pomocą jednej z następujących liter F, D, C, B, A.”

Ben zgrzytnął zębami. Te dzieciaki tuż po szkole mają oceniać jego „znajomość przedmiotu” i „efektywność

nauczania". Rankiem obciął sobie włosy i swędziały go teraz całe plecy, lecz nic mógł ocierać się o tablicę ogłoszeń ani się podrapać. A szef wydziału wzywa delikwenta i głośno odczytuje oceny studentów. Na spodzie zawsze znajdują się nabazgrane uwagi: „Za dużo pisze na tablicy. Nie pisze na tablicy wszystkiego, co należy. Powinien zapuścić brodę. Powinien nosić marynarkę.”

— W porządku, doktorze Woodward, już skończyliśmy. — Sekretarka wyszła z drzwi jego klasy.

Ben marzył, żeby się podrapać, ale musiał przemaszerować do swego biurka na oczach dziewięćdziesięciu studentów, którzy właśnie zadecydowali, czy jest dobrze przygotowany, zorganizowany, sympatyczny, łatwo dostępny, sprawiedliwy, pobudzający intelektualnie i dostatecznie przystępny; napisali to, by szef wydziału mógł wszystko odczytać. Na szczęście już był czas na dzwonek, z przyjemnością zadał im bardzo długą pracę domową i zapowiedział sprawdzian na następny tydzień.

Oczywiście, że nie był najlepszym nauczycielem na świecie i dobrze o tym wiedział. Ben wrócił do swego gabinetu, czując, że jest wrażliwy i świeżo został oceniony, lecz przypomniał sobie dziewczynę w białej koszuli i szortach, wykopującą zielsko w słońcu. Przetrwiał lunch i zebrania komitetów, niecierpliwie czekając na przyjście nocy: Dopóki gęstość twojej skóry młodzieńczej zaranną rosą urodę jej wieńczy, dopóki ogniem z każdej pory bucha krew rozbudzona, zechciej mnie wysłuchać, zechciej mnie przyjąć, pókiśmy po temu. Laura wiedziała, że jej pragnął, i może ona go też pragnęła, przez chwilę widział szczęście w jej oczach, gdy powiedział: „A może zjemy u mnie obiad w poniedziałek wieczorem?”

Idąc do domu myślał, że ma przed sobą wieczór (a może i łóżko) w towarzystwie pięknej kobiety, i był zakochany, ale też i skonfundowany. A jednak, czyż nie było to proste? Biorąc prysznic, myślał o jej piersiach. Smażąc hamburgera z cebulą przypomniał sobie, jak się uśmiechała. Gdy zejdzie jej opalenizna, skóra będzie miała niemal błękitny odcień.

Drzwi werandy z tyłu jej domu cicho zaskrzypiały. Ben wstrzymał oddech i myślał, żeby ją pocałować... jej piękne usta o pełnej górnej wardze... Zaszleściły bzy.

Ben przełknął ślinę, przypominając sobie dotyk jej piersi...

— Larry Day — odezwał się męski głos w kuchennych drzwiach Bena. Ben wytrzeszczył oczy. Larry Day był mniej więcej w jego wieku, miał czarną brodę i nosił letni garnitur i krawat.

— Larry — powiedział mężczyzna.

Wszedł, wydając się zadomowiony w kuchni Bena, zamknął za sobą opatrzone siatką drzwi i oparł się o ścianę, na której wisiały dwie maski, jedna uśmiechnięta, jedna nachmurzona.

— Spaghetti? — spyta! ciepłym tenorem.

Był niski i kroczył sztywno, jakby oczekiwał bójki.

— Tak — powiedział Ben.

— Muszę ćwiczyć — rzekł Larry. — Przed jutrzejszą podróżą.

Ben nie miał co patrzeć (albo starać się nie patrzeć) na piersi Laury. Pocił się na samą myśl o niej. Teraz usiłował nie gapić się na mężczyznę w kuchni; wyjął marchewki, zieloną sałatę, ogórki i paprykę i poczuł gniew.

— Wiesz co? Dobrze wyglądasz — zwrócił się do Larry'ego Daya. — Ta broda jest w sam raz dla ciebie. Wygląda, jakby na tobie wyrosła.

— Muszę ćwiczyć — oznajmił Larry. — Prawdziwą próbę przechodzę na ulicy. Mam nadzieję, że nikt mnie nie uszczypnie, nie zagwiżdże na mnie ani nie powie; Hej, laleczko, może się zabawimy? Może się zabawimy? Albo coś w tym rodzaju.

— Taką cenę musimy płacić my, mężczyźni. Larry uśmiechnął się, potem spochmurniał.

— I nie muszę się uśmiechać. Ciągle zapominam. Uśmiecham się jak jakaś cholerna baba. To tik.

Przez chwilę w kuchni panowała cisza. Ben zaczął kroić marchewkę (Larry nie pomagał przy obiedzie). Wiedział, kim jest Larry. Nie musiał główkować, kiedy będzie mógł go pocałować.

— Brat usiłował mnie powstrzymać — ciągnął Larry. — Ale ludzie źle się czują w towarzystwie kobiety, która się nie uśmiecha.

Ben roześmiał się.

— Naprawdę. Znajomi pytali, co mi się stało, dlaczego jestem chłodna i nieprzyjemna. — Larry z rękami w kieszeniach krążył między pokrytym plastikiem stołem i poob-łupywaną lodówką.

— Mężczyźni raczej nie mówią o sobie — stwierdził Ben.

— Ja nie mówię — odparł Larry i spojrzał na nachmurzonego Bena, którego złotobrzazowebrwi sterczały nad błękitnym wejrzeniem. — Niewidzialny — dodał po chwili. — Teraz będę mógł wszędzie chodzić sam, nawet późnym wieczorem. Mam mnóstwo drobnych po kieszeniach! Mnóstwo kieszeni i cudownie, cudownie wygodne buty, w których mogę chodzić nawet na przyjęcia i nie przeszkadzają mi pończochy. I mogę biegać.

Ben mieszał sałatę w misce. Cały dzień marzył o Laurze. Mógłby zerwać tę brodę...

Błękitne oczy Larry'ego błyszcząły pod ciężkimi brwiami.

— Jest mi wygodnie w tym ubraniu i nawet bandaż tak mi nie przeszkadza, jak się już człowiek przyzwyczył do stanika.

Zaniósł sałatkę na stół; Ben przyniósł spaghetti i wyjął chleb czosnkowy z kuchenki mikrofalowej. Nalał wina i usiadł.

— Jak miło — wyznał Larry i uśmiechnął się.

Jego błękitne oczy były oczami Laury — przyjacielskie, nie flirtujące. Powiedział, że lubi spaghetti i poprosił o jeszcze jeden kawałek chleba. Ben spodziewał się, że ich scena miłosna w kuchni będzie się nad nimi unosić przez cały wieczór, będą o niej myśleć, choć nie wspomną ani słowem — i nie pomylił się.

Larry miał dar Laury szybkiego i naturalnego wciągania Bena w rozmowę. Ben gadał, gadał bez końca. Larry przyniósł zabawny artykuł, porównujący Normana Mailera z lordem Alfredem Tennysonem. Po czym Ben powiedział, że Browning jest nudny, a Larry walnął pięścią w stół, aż zadźwięczały talerze i filiżanki do kawy.

— Nudny — powtórzył Ben.

— Nie czytał go pan od lat. Sam się pan przyznał! Jakże może pan powiedzieć, że jest nudny, skoro nie zna pan Ckilde Roland do ciemnej wszedł wieży! — ryknął Lany, po czym zapytał: — Czy głos mam dość niski?

— Akurat — uznał Ben. — Niech pan trzyma łokcie trochę wyżej przy jedzeniu.

— Zauważył pan różnicę? — spytał Larry.

— Między czym?

— Między... — Larry urwał. Laurze szło całkiem dobrze, momentami Benowi wydawało się, że w ogóle nie ma tu kobiety. — Między sposobem, w jaki zwracał się pan do mnie, gdy byłam kobietą?

— -Dalej pod spodem jesteś kobietą — rzekł Ben i złąki się, że do jego głosu przebił się kipiący w nim gniew.

— Ubrałam się jak mężczyzna, ale zastanawiałam się, czy nie poprawi to panu samopoczucia. Ponieważ cały czas mówiłam „nie”. — Larry pomógł Benowi zanieść naczynia do kuchni.

— Wiem, że jesteś Laurą.

Ben poczuł wściekłość. Nikomu w kuchni piersi nie przebijały przez koszulę ani nikt nie krzyżował ślicznych nóg. Wiedział, kim ona jest. Wlał do miednicy płyn do mycia naczyń.

— Przepraszam za tamtą noc — powiedział Larry. Skończył zgarniać resztki z talerzy. — Wybrałabym pana, gdybym mogła wybierać... ale nie mogę.

Ben nie patrzył na młodzieńca z ciemną brodą.

— Mnie też jest przykro.

Ich oczy spoikały się. Potem, na parę chwil, dwaj mężczyźni otoczyli się ramionami, Ben ciągle jeszcze z mydlinami na rękach. Larry ze ścierką. Stali przez chwilę koło zlewu, głowa ciemnobrodego młodzieńca na ramieniu wyższego mężczyzny. Ben zachmurzył się, widząc czyste naczynia na kuchennym stole. Wiedział, że tam, gdzie się do niego przytulała, były jej piersi, a pod spodniami śliczne nogi.

— Mam pewną teorię — rzekł Larry, puszczając Bena. Podniósł mokry talerz.

— Jaka?

— Jestem tu i nie jestem, zgadza się?

— Nie jesteś?

Gdy Larry Day się uśmiechał, jego zęby białały między ciemnym wąsem i brodą, raz wyprostował krawat, wysuwając podbródek, na rękach pobłyskiwały duże sygnety.

— Jestem tu — oznajmił.

— Laura? — spytał Ben. — Larry?

— Ani jedno, ani drugie. — Brodaty młodzieniec ustawił talerze jeden na drugim i schował do szafki. — Na tym właśnie polega moja teoria. Istota ludzka zasadniczo nie jest ani męska, ani żeńska.

Ben wylał mydliny do zlewu i wytarł plastikowe pokrycie stołu.

— Tak myślę. — Larry przeszedł do saloniku. — Jak mam siadać?

— Nie kręć biodrami. Po prostu usiądź. Przede wszystkim nie siadaj ze skrzyżowanymi nogami. Robią to tylko kobiety i starcy. Jeśli chcesz, możesz położyć stopę na kolanie.

Larry usiadł na tapczanie.

Ben nie mógł usiąść, krążył po pokoju. Wyobrażał sobie sceny miłosne z Laurą na tapczanie, na każdym krześle i nawet na dywaniku. Podniósł Banana i przez parę minut głaskał kotka w milczeniu.

Larry przypatrywał mu się z wygiętego, pokrzywionego krzesła.

— Czy w ogóle wyczuwasz, o czym mówię? Nie uważasz, że to miłe?

— Pod tymi włosami i ubraniem chciałbym odnaleźć Laurę — oznajmił Ben.

— Czyż nie jest ciekawiej, że nie jestem tylko Laurą, ale jeszcze kimś innym?

Sącyli deserowe wino Bena.

— Nie musimy nawet rozmawiać — ciągnął Larry. — Nie musisz mi mówić, jak ładnie wyglądam ani że cieszysz się, że podoba mi się to czy tamto. I nie muszę cię pytać, jak ci dzisiaj poszło na uniwersytecie.

— Ale ci powiem — kiepsko. Studenci oceniali moje zajęcia. Dzieciaki z pierwszego roku mówią ci, czy jesteś dobrym wykładowcą, a potem szef wydziału wzywa cię i odczytuje całą tę ich bazgraninę, jakby cię to powinno obchodzić.

Larry uśmiechnął się i pociągnął łyk wina.

— Może powinienesz przebrać się dla mnie za kobietę — zrobmy najazd na magazyn kostiumów.

— Ja?

— Będziesz kobietą i mężczyzną. Obojgiem. Ani jednym, ani drugim. — Brodaty młodzieniec wpatrywał się w Bena i pocierał czoło czubkiem nadgarstka, gestem, który Ben rozpoznał. — Czułbym się... dziwnie. Wyglądałoby to na podwójne obnażenie się — twoje i nałożonej na ciebie kobiety. Tam, gdzie by na siebie zachodzili, obraz byłby trwały i to stanowiłoby twój rdzeń. — Oczy Larry'ego błyszczały. — Ty może się okazać fascynujące dla ciebie — zmieni twoje wyobrażenie o tym, co jest naturalne — zmieni twój pogląd na pracę.

Siedzieli w milczeniu, dwaj mężczyźni głaszczący kota. Ben podniósł książkę ze starego podręcznego stolika.

— Obaj jesteśmy, fanatykami książek — żyjemy w nich, fragmenty nosimy w głowach. To wariactwo. — Odnalazł zaznaczoną stronę. — Posłuchaj tego: Z jedną nogą już w strzemienu i nachodzącą na mnie śmiertelną męką, piszę do ciebie, najjaśniejszy panie... Mój żywot dobiega kresu... Być może przyjdzie czas, gdy związę tę zerwaną nić i powiem, co winienem rzec, lecz czego tu nie mogę wypowiedzieć. Żegnajcie, dzięki, żegnajcie, pozdrowienie wam, żegnajcie, mili przyjaciele.

— Głos z dawnych lat — zgadywał Larry. — Z czasów Szekspira?

— Zmarł w tym samym roku!

— Cervantes — rzekł Larry.

— Zgadza się.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

— Pada — oznajmił Ben.

— Ten cudowny zapach letniego deszczu — powiedział

Larry. Westchnął. — Mam nadzieję, że ludzie z wielkiego świata nie odkryją małych miasteczek.

— W żadnym razie — odparł Ben. — Szukają czegoś podniecającego. Plaże, tłumy...

— Sklepy pełne kosztownych różności. Góry. Nowe filmy.

— Sławne osobistości w ciemnych okularach. — Jesteśmy bezpieczni.

— Ano. Wiesz co? A może obejrzymy **Jezioro łabędzie!** — spytał Ben. Larry skinął głową, Ben zapalił zatem jedno światło w holu i usadowił się obok Larry'ego na tapczanie, by sączyć wino w blasku telewizyjnego ekranu — dwaj mężczyźni i cętkowany kot.

Czekając na rozpoczęcie baletu, Larry otworzył książkę na założonej stronie. **Być może przyjdzie czas, gdy związę tę zerwaną nić i powiem, co winienem rzec, lecz czego tu nie mogę wypowiedzieć** — przeczytał tenorowym głosem, spojrzał w błękitnozielone oczy Bena i przytknął rękę do jego policzka.

Zabrzmiała piękna muzyka Czajkowskiego. Długonogi, muskularny książę Zygfyrd tańczył na cześć swej odchodzącej młodości, będzie musiał poszukać żony. Pójdzie zapolować na łabędzie, by dodać sobie otuchy. (Książę i jego przyjaciele oddalili się lekkim krokiem, stąpając z palców na pięty, jak zwykli chodzić tancerze, trzymając broń gotową do strzału.)

— Gdybyśmy byli w teatrze, widzielibyśmy malutkie figurki — powiedział Ben. — Wysokie na cal, daleko na scenie dla lalek.

— I nie byłoby na czym oprzeć stóp — dodał Larry. Trzymał buty obok Bena, na podnóżku, w którym szwy puściły w paru miejscach.

— Przerwa w rozgadany tłumie. Dym z papierosów. Larry przeciągnął się i znowu wygodnie usadowił, Odeite, królowa łabędzi, między północą a świtem powracała do swej normalnej postaci, stawała się kobietą i książę Zygfyrd poprzysiągł jej wieczne uczucie.



— Gdy postaci są tak oddalone, ich tragedie również wydają się znikome — zauważył Larry. (Czarownik zagrażał ich miłości i knuł spisek, by Zygfyrd złamał przysięgę.)

— Ale widzimy, jak się pocą. Pomyślałeś kiedy, co trzeba by zrobić, żeby uzyskać ten sam obraz?

Larry zerknął na ekran.

— Latać jak jakiś oszalały ptak? W przód i w tył, tuż koło tancerzy, a potem daleko.

— W głowie się może zakręcić.

— Nigdy o tym nie myślałem.

Muzyka Czajkowskiego otoczyła ich magią. Odyla udawała Odette.

Zygfyrd dał się omamić. Larry przyglądał brodę.

Ben nachmurzył się, światło telewizora błyszczało w jego błękitnozielonych oczach.

Zygfyrd złamał przysięgę, przekonany, że Odyla to Odette. Nic nie można było poradzić. Łabędzie nigdy nie wrócą do ludzkiej postaci, jeśli Odette i Zygfyrd nie umrą.

Larry z napięciem wpatrywał się w śmierć, pięknie odtańczoną przez czarne łabędzie.

— To absolutnie nierealistyczne — rzekł Ben.

— A czy nigdy nie złamałeś obietnicy albo chciałeś jak najlepiej i źle trafiłeś? — A potem znowu musieć się starać i uratować inne łabędzie, które z katastrofą nie miały nic wspólnego? — spytał Ben. — Na szczęście nie. Ostatnio nie spotykałem wiele łabędzi.

Zamarły ostatnie akordy Jeziora łabędziego. Ben wyciągnął rękę, by zgasić telewizor, który był stary i chwilę trzeszczał. Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie w mroku.

— Kto jeszcze próbowałby tego ze mną? — zastanowił się Larry. Jego okolona brodą twarz była uciszona, błękitnymi oczyma patrzył spokojnie w oczy Bena.

Ben nalał im obu jeszcze trochę wina. Przez chwilę w saloniku panowało milczenie. Banan leżał na tapczanie koło Larry ego, z nosem schowanym pod ogonem.

— Chyba już pójdę spać — ziewnął Larry. — Jutro przed świtem wyjeżdżam do Nebraski, dzięki tobie. Bardzo

ci jestem wdzięczny za przebranie, pomoc i samochód. Wrócę do pracy u doktor Channing w piątek w południe. Ellen znalazła znajomą, która przyjdzie w czasie mojej nieobecności.

— Cieszę się, że mogłem się przydać — rzekł Ben.

Po Tremont przejechał samochód. Huśtawka w parku skrzypiąc kołysała się w przód i w tył, w przód i w tył.

— Nie chcę być niczyją towarzyszką życia — powiedział brodaty młodzieniec. — Nie chcę, żeby mnie utrzymywano.

Ben wstrzymał oddech, wpatrując się w niego.

— Łatwo jest znaleźć kogoś, kto by cię utrzymywał — ciągnął Larry, głaszcząc brodę. — Nie chciałbyś żyć za cudze pieniądze — żeby ci ktoś mówił, na co masz je wydawać?

— Nie — odparł Ben. — Ale nie jestem kobietą.

— I chciałbyś mieszkać w cudzym domu, nawet gdyby rzekomo był twój, bo tak by ci powiedziano?

— Mam własny — oznajmił Ben.

— Domagasz się szacunku — stwierdził młody człowiek. — Własnej pracy, własnego domu, własnych pieniędzy.

— Tak.

— I ja tego chcę przede wszystkim. — Larry oparł kostkę o kolano, uniósł brodaty podbródek i spod ciężkich czarnych brwi spojrzał na Bena.

— Szacunek. Nie taki, jaki okazujemy kobietom. Chodzi mi o taki, jakim otacza się mężczyzn.

Gdy Larry wyszedł z kuchni, Ben stanął koło piecyka, przypominając sobie, że przycisnął Larry'ego do ściany, wsadził mu ręce pod koszulę, ściągnął szorty.

Już pięć tygodni — powiedział kotu Larry Day i przejechał palcem po grubych brwiach, przeglądając się z nachmurzoną miną w lustrze w mrocznej sypialni. — Odwiedzę matkę. — Głęboki głos odbił się echem od rogu pokoju. Banan miauczał.

Larry wystawił Banana za drzwi i pozamykał drzwi. Gdy wyszedł z altanki za domem, na górnym schodku natrafił na jakąś paczuszkę. Chwytną ją, bramą od tyłu przeszedł na podwórko Bena, wyprowadził samochód ze starej stodoły i w mroku, przed świtem, jechał Seerley Boulevard. Obok niego na siedzeniu leżało pudełeczko słodczy z przyczepionym bilecikiem:

**TWOJE MIEJSCE JEST PODE MNĄ W MOIM ŁÓŻKU.  
BĘDZIESZ MNIE BŁAGAĆ.**

Światła bulwaru migwały na kurtce i dzinsach młodzieńca, na butach na niskich obcasach.

Jechał nachmurzony. Wszystkie bileciki były do siebie podobne i pojawiały się od czasu do czasu. Ponieważ nie można było przewidzieć, kiedy je następnym razem znajdzie, nie było sposobu, by zacząć się i schwytać tego kogoś, kto je podrzuca. Jeden bilecik głosił:

## **OBIECUJĘ, ŻE BĘDZIE NAM RAZEM STRASZNIE GORĄCO W ŁÓŻKU.**

Pod ciemnym wąsem i brodą białe zęby Larry'ego Daya ukazały się nagle, niemal jak w uśmiechu.

## **BĘDZIESZ CAŁOWAĆ MI STOPY I BŁAGAĆ, BYM TO ZROBIŁ JESZCZE RAZ.**

W samochodzie nie było kobiety. Jadąc, Larry Day podarł karteczkę na drobne kawałki i wyrzucił przez otwarte okno razem ze słodyczami.

Mila za milą przesuwała się Iowa.

Gdy wstało słońce, Larry skreślił na stację benzynową i zgasił motor. Bez uśmiechu powiedział obsługującemu, by nalał do pełna.

Na drzwiach było napisane „Mężczyźni”. Otworzywszy drzwi, Larry znalazł brudny pisuar i kabinę z sedesem. Gdy wyszedł z kabinki, przeczytał „W górę chuję” wydrapane na drzwiach. Nie było mydła ani ręczników. Ciemnobrody mężczyzna spoglądał nań z brudnego lustra.

**LAURO —**

## **WIEM, CO LUBIĄ MALEŃSTWA I JA CI TO DAM.**

Wszedł mechanik i obrzucił Larry'ego spojrzeniem, potem jeszcze raz na niego zerknął. Rozpiął spodnie przy pisuarze.

Larry zapłacił za benzynę i skierował się na autostradę prowadzącą za miasto. Drzewa koło domów farmerów miały żółte łaty żółtych liści, wrześnie słońce grzało coraz goręcej.

Larry jechał spokojnie, a gdy nadeszła pora lunchu zatrzymał się przy przydrożnej restauracji. W swych wygodnych butach podszedł do stolika, zamówił tanie danie firmowe, pamiętając, by się nie uśmiechać ani nie przechylać głowy. Uniósł podbródek i oparł pięści o krawędź stołu. Do Fredsburga przybędzie późno i weźmie pokój w hotelu, gdzie nikt nie będzie się kręcił w pobliżu.

— Proszę bardzo — powiedziała kelnerka, przynosząc zamówione danie. Przysunęła do Larry'ego piersi nieco bliżej, niż to było konieczne.

— Dzięki — rzekł Larry.

Kelnerka odeszła, kołysząc się na wysokich obcasach. Zanim zniknęła za wahadłowymi drzwiami, zerknęła na niego w lustrze.

Larry Day wkładał jedzenie między brodę i wąsy, a Sara jadła je wolno, uważnie. Znad krzaczastych brwi obserwowała zwyczajne urządzenia restauracyjne, nie musząc przybierać sympatycznego wyrazu twarzy.

Nikt się na nią nie gapił.

Gdy ponownie otworzyła drzwi samochodu, ogarnęła ją fala upału.

Nastawiła klimatyzację.

Mile pól uprawnych i małych miasteczek... koło siódmej Sara zatrzymała się na obiad. Zapadła ciemność.

Od czasu do czasu na wąskiej drodze przejeżdżały obok Sary ciężarówki, wstrząsając jej samochodem. Mijała, elewatory zbożowe, parki w małych miasteczkach, gdzie ćmy uderzały o samotne latarnie, i tablice reklamowe, niewiele tylko wyższe niż łany zboża.

I wreszcie Fredsburg. Oświetlone ulice rzucały nikłe blaski na niebo przed Sarą, która zaczęła rozpoznawać każdy zakręt, każdą kępę drzew.

— Joe — powiedziała, samotna, oświetlona światełkami z tablicy rozdzielczej. Zaczęła wjeżdżać na wzgórze, drogą do domu.

Nie zatrzymała się, gdy na skraju miasteczka ujrzała farmę, którą dzierżawili przez trzy lata. Nie zmniejszyła nawet szybkości. Stodoła rozpadła się na kupę drewna. Słabe światło padało na okna zabite deskami. Dom był pusty, opuszczony.

Jeszcze zanim go minęła, pobiegła z Joe wydeptaną ścieżką przez rowy na zachodnie pole. Nie musiała patrzeć na wierzby, by zorientować się, gdzie byli. Zielony trawnik opadał obok niej najłagodniejszym stokiem, poczuła stęchły zapach holu od frontu, matka roześmiała się, stare mosiężne łóżko rzucało cień na ścianę, po czym wszystko zniknęło

w bocznym lusterku i jechała w dół do domu starców w Craigie Court.<sup>1</sup> Nie zatrzymała się tu — na każdym parkingu i na ulicach Fredsburga szukała samochodu Martina. Miasteczko było małe. Na placu stał budynek sądu, a naprzeciwko sklep ze słodyczami Andy'ego, gdzie chłopcy po lekcjach wciskali chude biodra w kamienny występ, ze zwężonymi oczyma wdychając dym papierosowy. Każda dziewczyna chciała być wówczas śliczna, tak by chłopcy zeszli z tego występu i rzucili za nią właściwe obelgi, podobnie jak małe chłopaczki rzucają śniegowe kule. Wybierali właśnie dla niej najbardziej wyszukane sprośności, plugawe słowa jak plwocina, trzask lodu w tył głowy. Fredsburg był jasno oświetlony i przejeżdżając przezeń szukała samochodu Martina. Była jak ogłupiała ćma, którą ciągnęło do jedyne miejsce, gdzie Martin mógłby czekać z bronią, by ją zabić. Bezpieczne obszary ciągnęły się tysiącami mil w każdą stronę, a ona późną nocą przejeżdżała przez Fredsburg i zatrzymała się w jedynym hotelu czy też motelu w mieście, akurat naprzeciwko domu starców Craigie Court. Sara spojrzała na kępę drzew koło drogi, w której zeszłego lata kryła się cała noc. Po północy nad drzwiami motelu paliły się światełka. Martin krzyczał tam, walił pięściami. Pamiętała. Jego samochodu nie było przed motelem ani na parkingu w Craigie Court. Teraz przed motelem, tuż pod oknem pokoju Martina, wysiadł z samochodu młodzieniec z ciemną brodą, Martin obserwował go, jak trzasnął drzwiami od strony kierowcy i usiłował zamknąć je na kluczyk, trzasnął ponownie i nacisnął dzwonek do recepcji. Zaspany pracownik zaprowadził młodzieńca do pokoju. Szczęk drzwi i Martin ze swego okna widział już tylko samochody na parkingu i dom starców Craigie Court z palącymi się tu i ówdzie nocnymi lampkami. Z okna swego pokoju Sara spojrzała na dom starców po drugiej stronie ulicy. Martin zawsze chciał, by wpadała tam na chwilę, zobaczyła się z matką i odjeżdżała, sam nigdy

nie wszedł do Craigie Court. Powiedział, że przyprawia go to o dreszcze. Tu i tam w oknach domu paliły się światła.

I to w tym pokoju w motelu kulila się, przerażona, gdy Martin walił w drzwi?

Brodaty młodzieniec patrzył z lustra na Sarę. Zasuwała żaluzję, następnie odlepiła brodę, wąsy, krzaczaste brwi. Obserwowała ją teraz osoba płci ani żeńskiej, ani męskiej. Piers miała prawie płaską, nosiła dżinsy. Sara ściągnęła ciężkie męskie buty, dżinsy, koszulę, bandażę, ciemną perukę i ujrzała w lustrze młodą kobietę, która rozluźnia swe ciężkie warkocze. Nikt nie walił w drzwi ani nie wpadł z rykiem, nie rzucił jej na ziemię...

Popatrzyła na łóżko, szafkę, łazienkę, cicho nastawiła telewizor i wyciągnęła się na łóżku, poruszając palcami u nóg, tuż przed obliczami telewizyjnych gangsterów, strzelających do siebie na ulicy. Rankiem nie zastanie w drzwiach karteczki:

**PIĘKNA LALECZKO:**

**NIE UCIEKNIESZ OD MOJEJ MIŁOŚCI.**

**WEZMĘ CIĘ I BARDZO CI SIĘ TO**

**SPODOBA.**

Gorąca woda uspokajała ją, długo stała pod prysznicem. Broda, wąsy i letni garnitur, który zapakowała, leżały przy jej łóżku, by przeprowadzić ją bezpiecznie przez jeszcze jeden dzień, do powrotu do Cedar Falls.

Ziewając, Sara zgasiła światło, po czym uchyliła hotelową żaluzję na tyle, by po drugiej stronie szosy zobaczyć dom opieki, w którym leżała matka. Ciemny parking był niemal pusty, tylko jakiś mężczyzna" chodził od samochodu do samochodu, pisząc coś w notesie. Prawdopodobnie policjant. Nie zostawiła nic w samochodzie, drzwi od strony kierowcy nie chcą się zamknąć.

W pokoju jej matki nad wejściem nie paliło się światło.

Sara zaciągnęła żaluzję, położyła się, westchnęła i zaczęła śnić o Cedar Falls. Potem śniła o wielkiej obecności, o kobiecie, która przychodziła i wychodziła, jak się jej

żywnie podobało, wypełniając niebo nad Sarą swą ogromną kobiecą twarzą, a potem w jej śnie pojawił się Ben i uśmiechnęła się, śpiąc obok garnituru, koszuli, wąsów i brody.

Martin przeszedł cicho pod oknem Sary i otworzył drzwi kolejnego samochodu. Latarkę miał małą, ledwo oświetlała dowód rejestracyjny: „Benjamin Woodward, Tremont Street 2309, Cedar Falls, Iowa 50613.” Zostawił drzwi samochodu lekko uchylone.

Następny samochód również był otwarty. „Harley Fendstrom, Strawberry Lane 18905, Omaha, Nebraska.”

Martin nigdy nie zatrząskiwał drzwi samochodu, lecz odchodził w butach na miękkich zelówkach do swego pokoju na rogu. Czasami auta przyjeżdżały późno. Co dzień siedział w oknie aż do świtu i drapał się po świeżo zapuszczonej brodzie, która szybko rosła. Swędziała jak diabli. Od niemal dwóch tygodni zapisywał numery rejestracyjne każdego samochodu, który parkował przed motelem albo domem starców Craigie Court — tak już zgłupiał. Sara mogła nauczyć się pływać, ale to nie znaczy, że zdołała dopłynąć z żaglówki do brzegu. Prawdopodobnie utonęła i to ona śmieje się ostatnia.

Swędziała go nowo zapuszczona broda. Ufarbuje ją tak, by harmonizowała z farbowanymi na brązowo włosami. Jeśli założy ciemne okulary, Sara nigdy go nie rozpozna, aż będzie za późno. Klął i obserwował wszystkich, którzy przychodzili do domu lub motelu i czuł się jak duch. Nie miał żony, nie miał pracy, te świnię polowały na niego, a on siedział, szukając topielicy. Śledził nowo przybyłych do miasta — widział jak parkują samochody w motelu albo przed Craigie Court i szedł za nimi. Sara mogła przysłać kogoś w odwiedziny do matki — może mężczyznę, z którym żyje. Będzie chciała zawiadomić matkę, że nie utonęła, lecz nie odważy się zatelefonować. Do Chloe nikt nie telefonuje. Sara nie odważy się tam również napisać.

Jeśli samochód zostawał otwarty przez noc, Martin zapisywał adres właściciela. Zebrał już całkiem sporą listę i miał dość pokoju w motelu i hamburgerów. Przeważnie



pił wino. Ale policja jeszcze go nie znalazła. Może ta dziwka ze spożywczego nie doniosła na niego. Może myśleli, że utonął. Sporządzał opisy wszystkich, którzy wchodzili do Craigie Court. Pielęgniarka w izbie przyjęć powiedziała mu, że matka Sary nie otrzymała listu ani telefonu od czasu utonięcia córki i nikt też u niej nie był.

Codziennie sprawdzał, czy ktoś nie odwiedził Chloe Gray ani do niej nie telefonował. Wiedział, że Sara przybędzie tu albo kogoś przyśle.

Martin obserwował, czekał, klął, rozmawiał z sobą i pił wino. Głowa rozrastała mu się coraz bardziej, jak dynia.

W miarę upływu czasu zaczął widzieć Sarę bez przerwy: Sara pod wielkim drzewem na rogu... Sara siedząca w kącie pokoju. Czasami była z nim w łóżku, spuchnięta i cuchnąca, a gdy usiłował się z nią kochać, jej kości ślizgały się w śluzie. Spał przy zapalonym świetle.

Może czekać. Ona przyjdzie. Ma pieniądze, czas i broń.

Sara nie mogła zasnąć, choć pokój w motelu był chłodny i cichy. Matka leżała w wąskim łóżku tuż po drugiej stronie ulicy. Może śniła o swej utopionej córce.

Sara leżała godzinami, nie śpiąc prawie do świtu, pragnęła po prostu móc podnieść się i wyjść, pobiec do matki, otoczyć ją ramionami, powiedzieć, że żyje. Lecz nie mogła pójść do Craigie Court tak wcześnie — jeszcze nie zaczęło świtać.

Wstała, przyczepiła brodę i wąsy i ponownie owinęła piersi bandażami. Brwi. Peruka. Koszula i krawat, skarpetki i buty. Gdy spojrzała do lustra, w żółtym świetle lampy z niezadowoleniem popatrzył na nią mężczyzna, był jej skorupą, jej kamuflażem.

Młody brodacz wyniósł swą walizkę i włożył do bagażnika. Drzwi od strony kierowcy nie były zamknięte, przez chwilę stał i się im przypatrywał. Obejrzał wszystkie pojazdy na parkingu i przeszedł przez ulicę, by spojrzeć na samochody przed Craigie Court. To dziwne, pomyślał Martin. Zaobserwował ze swego okna, jak brodacz wszedł do biura motelu. Prawdopodobnie płaci rachunek.

Brodzaty młodzieniec wyszedł z biura i pomaszerował do otwartej całą dobę restauracji. Martin patrzył nań, drapał się w świeżo zapuszczoną brodę i ziewał.

— Nie — powiedziała młodemu człowiekowi kelnerka

w restauracji — przed siódmą trzydzieści do Craigie Court nawet się nie wejdzie.

Sara zamówiła zatem śniadanie, przeczytała gazetę, po czym kelnerka zobaczyła, jak niski młody człowiek z brodą odchodzi w kierunku ciemnej szosy.

Martin również go obserwował. Co do diabła, pomyślał. Może się przejść kawałek za tym brodatym facetem, zobaczyć, dokąd idzie. Wepchnął stopy do butów.

Sara skrzyła na szosę, rozpoznając każde najmniejsze wzniesienie gruntu na polach, każdy zagajnik, choć ich kształty były jedynie czarniejszymi zarysami na tle czarnego nieba. Piasek i żużel ostro chrzęściły jej pod nogami. Szła teraz szybko. Martin utrzymywał sporą odległość od brodatego faceta — ledwo go widział, gdy jak cień poruszał się po pokrytej żużlem skarpie.

Sara weszła na pagórek. Oto podwórze gospodarskie! Krzyknęła do siebie i zbiegła starą alejką między drzewami, mijając resztki stodoły. Nie potrzebowała światła, by zobaczyć dach werandy, po którym pełzła za Joe... na tle gwiazd poznała jego kształt i większą bryłę starego klonu, z którego schodzili w blasku światła, padającego z saloniku, gdzie siedziała matka.

W dwie deski, zakrywające okno werandy za domem, wbito po jednym gwoździu, po odsunięciu desek bez trudu podniosła okno i przedostała się przez nie do środka.

Przyniosła zapalki, jedną zapaliła. Objawiła się jej kuchnia matki — widmowe miejsce. Wspomnienia zlatywały się jak ćmy do światła, aż zapalka zgasła.

Martin wspiał się na wzgórze, drapiąc brodę. Przypuszczał, że gość ukrył się przed nim po drugiej stronie.

Sara przeszła na palcach przez ciemną niszę. Podłoga była lepka, kleisty dźwięk jej kroków biegł przed nią do holu na tyle domu, gdzie Joe trzymał chomika w klatce. Gdy jej kroki zatrzymały się w drzwiach saloniku, słyszała tylko ciemną, zatechłą ciszę.

Coś drapało w ścianę w pobliżu Sary. Mysz, obracająca się we śnie?

Martin zaczął schodzić ze wzgórza. Przed nim był ostry zakręt. Brodaty facet zniknął mu już z oczu.

Sara przypomniała sobie rosnące od północy sosny, które osłaniały dom od wiatru i wciskały się w każde okno. W pokojach zawsze panował mrok, nawet w letnie popołudnia, gdy po przeciwnej stronie drogi obraz pól był zamazany i zamglony od upału jak odbicia w wodzie.

Schody na piętro zaskrzypiały pod butami. Każdy stopień miał inny głos, a znała je wszystkie. Hol na górze był wąski i czarny, lecz nadchodził świt — pierwsze słabe blaski wpadły przez otwarte drzwi jej sypialni.

Ściana sypialni była pod jej rękami chłodna i szorstka. W jednym rogu ujrzała tanie dziecinne biurko; łzy napłynęły jej do oczu. Wyciągnęła jedną, małą, tandetną szufladę. Była pusta, lecz wysunęła ją do końca i nachyliła się, by zajrzeć do dziury, potem zapaliła zapalniczkę — z tyłu coś się przyczepiło.

Nim zapalniczka zgasła, trzymała skrawek papieru w dłoni, Był to mały rożek starej koperty. Obie z matką trzymały w nich nasiona. W tej kopercie nasiona ułożyły się w kopczyk, włożyła go do kieszeni. Woń zapalniczki unosiła się w porannym powietrzu.

Martin minął zakręt w coraz mocniej jaśniejącym świetle. Nikogo nie było widać, szosa leżała w milczącym blasku, padającym z nieba pustego jak okiem sięgnąć. Martin zaklął: „Cholera!” i przystanął, rozglądając się wokół.

Sara przechodziła przez inne sypialnie, potem zeszła na dół. Koło kuchennych drzwi zawsze wbity był rząd haczyków na palta, szaliki i kapelusze. Teraz zniknęły.

Jaśniejące światło pokazało się w progu jadalni. Sara pchnęła drzwi. Pokój nie był pusty ani ciemny — przypominał scenę, pokój wewnątrz pokoju, oświetlony zielonym światłem sosen. Do środka wsączały się słabe blaski świtu, tych okien nikt nie zabił deskami. Sosny, ochraniające dom od wiatru, gęste i ciche, rozpląszczały się o szkło igłami lśniącymi od rosy.

„Cholera!” — ponownie zaklął Martin, przystając i od-

wracając się w kierunku miasta. Doszedł do szczytu wzgórza. Błotnista wiejska dróżka wiodła między drzewami do zabitego deskami domu. Nigdzie śladu żywego ducha. Poszedł kawałek dróżką. W błocie odcisnięte były ślady męskich butów.

Sara przeszła przez drzwi jadalni. Na środku pustego pokoju dzieci urządziły sobie domek do zabawy — widziała to jak na dłoni. Na skrzynce po pomarańczach stały naczynka z żołądzi i rondelki z blaszanych puszek na tekturowym pudle. Sztućce na stole z deski zrobiono z patyczków. Za łóżko służyła stara kołdra zwinięta między deskami. W łóżeczku leżały dwie zmaltretowane lalki, jedna z zamkniętymi oczyma, szeroko otwarte oczy drugiej były namalowane. Sara omal się nie uśmiechnęła. Jakiś wiejski dzieciak zrobił sobie domek na środku podłogi, jak najdalej od popękanych ścian, pajęczyn i milczącej obecności sosen. Światło poranka wypełniło żołądziowe filizanki, blaszane naczynka i skrzynkę na książki, gdzie rolę książek spełniały poprzecinane i poskładane gazety.

Na podwórzu Martin patrzył na zapadający się dach werandy, klon i deski na drzwiach oraz oknach. Obszedł dom po zarośniętej chwastami trawie, aż doszedł do zbitego. skupiska sosen, chroniącego dom od północnego wiatru. Odwrócił się, ruszył w odwrotną stronę.

Z tyłu domu znajdowała się tylko weranda. Deski były obluzowane i rozchyłały się przy oknie, mógłby wspiać się i rozejrzeć.

Ptak zaświergotał tak blisko, że Martin odwrócił się w jego kierunku i ujrzał promienie słońca, przeświecające przez drzewa na wzgórzu — żółte palce blasku przeczesujące zielone zboże. Ziewnął i poczuł, jak jest zmęczony. Powinien być w łóżku. Brodaty facet pewnie poszedł znaną sobie boczną ścieżką albo ruszył na skos przez pole.

W jadalni Sara z uśmiechem trzymała gazetową książkę. Martin poszedł szosą w kierunku miasta. Gdy Sara wypełzła przez kuchenne okno, zamknęła je za sobą i zasunęła deski na miejsce, Martin był tylko małą plamką daleko na

drodze, punkcik skręcił za rogiem i zniknął, gdy schodziła wydeptaną wiejską ścieżką.

Wróciła do motelu — młody człowiek spacerujący po szosie.

Za dwadzieścia ósma przeszła na drugą stronę ulicy do domu starców Craigie Court. Szpitalne zapachy uderzyły ją w drzwiach, pozostały niezmiennie. Sara, w letnim garniturze i z czarną brodą, przeszła obok dyżurnej pielęgniarki, patrząc na karteczki z nazwiskami koło drzwi. Na jednej było napisane: „Chloe Gray”, a pod nią: „Lila Rainey”.

— Jestem dawnym znajomym Lili Rainey — rzekł młody człowiek, wracając do posterunku pielęgniarki. — Czy mógłbym zobaczyć się z nią wcześniej? Niedługo muszę wyjechać z miasta.

Pielęgniarka zajrzała do kartoteki.

— Jeszcze nie jest pora jej kąpieli — powiedziała. Pielęgniarka była młoda i uśmiechała się do brodatego młodzieńca. — Może pan pójść prosto do Pokoju Słonecznego, drugie drzwi na lewo.

Ciemnowłosy młody człowiek poszedł do Pokoju Słonecznego, w którym stały dwa łóżka z przyczepionymi do nich karteczkami: „Lila Rainey” napisane było błękitną kredką z czerwonymi iksami dookoła i „Chloe Gray” zieloną kredką z żółtymi stokrotkami.

Łóżko Chloe Gray było puste.

— Chodź, Mario — huknęła pielęgniarka z holu. — Czas na kąpiel.

— Niech no pan posłucha. Krzyczą tu cały czas, ale czy słuchają? —

Suchy, cienki głosik przeraził Sarę. Na łóżku obok łóżka jej matki znajdował się przykryty kołdrą koczek, który się teraz poruszył. —

Można im powiedzieć, że się kogoś zamordowało — i to dwukrotnie — i wcale nie słuchają. — Koczek znowu zadrgał. — Myślą, że wszyscy są głusi, głupi i nie mogą zabić muchy.

— Dzień dobry — powiedział brodaty mężczyzna.

— Dzień dobry — odrzekł koczek głosem cienkim jak papier.

— Zdawało mi się, że ktoś tu jest. Przynajmniej pan nie ryczy. Jestem Lila Rainey i dość już na mnie nawrzesz-

czano. Szkoda, że nie słyszał pan mojego męża. Albo Roke'a Pritchera.

— Czy pani sama tu mieszka? — spytała Sara głębokim głosem.

— Gdzie tam — odparł cienki głosik. — Chloe się kąpie. Sara pochyliła się nad łóżkiem Liii i odgarnawszy kołdrę

ujrzała wpatrującą się w nią kobietę tak wślutką jak jej głosik.

— Założę się, że pani mnie nie pamięta — rzekła Sara.

— Ciągle zsuwam się w tym łóżku — oznajmiła Lila. — Przenieśli mnie tu wczoraj i ciągle się zapadam. Nie, wcale pana nie pamiętam.

Lila Rainey była lekka i koścista jak papierowy latawiec. Gdy mężczyzna podniósł ją na poduszki, wydawało się, że składa się wyłącznie z nosa, rozwianych siwych włosów i zniecierpliwionych czarnych oczu.

— Bardzo się zmieniłem — wyjaśniła Sara. — Ciekaw jestem, czy pani zgadnie, skąd mnie pani zna.

— Des Moines? — zapytała Lila.

— Zgadza się. Byłem tym dzieckiem z sąsiedztwa, któremu pani dawała ciastka.

— Może od Browningów?

— Tak jest! Jimmy, najmłodszy.

— Nie pamiętam — odrzekła Lila. — Ale zawsze lubiłam dzieci. Sama miałam tylko jedno. Moją córkę i dziedziczkę.

Jimmy Browning podszedł do okna i wyrztał na chodnik przed domem i hotel po drugiej stronie ulicy. Po chwili zapytał niskim, męskim głosem:

— Kim był Roke Pritcher?

— Gwałcicielem — oznajmiła Lila.

Gdy Jimmy Browning usiadł koło Liii, stara kobieta pachniała jak lawenda pośród natarczywych zapachów domu dla przewlekle chorych: moczu, pasty do podłóg i ostatniego (czy też następnego) posiłku.

— Nie podqba mi się ten Roke Pritcher — zauważyła Sara, ciągnąc rozmowę tak, by mogła patrzeć przez okno i obserwować drzwi. Martin krążył tu wokół niej, pocila się w męskiej peruce i męskim ubraniu.

— Kobietom się podobał — powiedziała Lila. — Roke dla pań był jak balsam. Jeździł do miasta i uśmiechał się tymi swoimi zębami jak kołki, a one krążyły dookoła, krążyły i brzęczały jak pszczoły. Był draniem, odkąd zmoczył pierwszą pieluszkę. Ostre białe zęby i jak się zaśmiewał, wgniatając jakiegoś małego dzieciaka twarzą w żużel po drodze do domu z wiejskiej szkoły. Znałam Roke'a Pritchera od podszewki. Byliśmy biedni i miałam ledwo szesnaście lat, kiedy mnie najął, żebym mu gotowała, najmował służbę, bo był kawalerem.

Sara pomyślała, że niedługo przyniosą jej matkę. Nie mogła odejść od okna. Patrzyła, czy nie pojawi się Martin.

— I co się stało? — spytała.

Palce Liii, składające się wyłącznie z kości i kłykci, powleczone cienką jak papier skórą, szarpały nitki kołdry.

— Roke był większy i wskoczył na mnie. Dał swoim parobkom wolny dzień, żeby poszli na jarmark stanowy, i wskoczył na mnie. Zaszłam w ciążę. Najgorsze było to, że ci mężczyźni myśleli, że to normalne. Roke chciał mnie, ożeni się ze mną, będę mieszkać na dobrej farmie i czego jeszcze mogę chcieć? — Jej błyszczące czarne oczy ze

zniecierpliwieniem błędziły za młodzieńcem, który nie mógł usiedzieć na miejscu, lecz krążył między oknem i drzwiami i z powrotem do jej łóżka.

— Nie słuchasz! Wy mężczyźni zbieracie się razem i opowiadacie sobie, że wszystkie kobiety są jednakowe, ale nigdy nie chcecie nas posłuchać, żeby się dowiedzieć, jakie naprawdę jesteśmy. Zamykacie się jak ostrygi.

Sara nic nie odrzekła. Cóż tu można powiedzieć? Błyszczące czarne oczy Liii załśniły, gdy spojrzała na odbiornik telewizyjny. Stała na nim karta z życzeniami powrotu do zdrowia, ozdobiona białą koniczyną i zielonymi elfami, a obok zdjęcie czyjejs uśmiechniętej rodziny z psem i piętrowym domkiem. Jeśli nadejdzie matka, jak Sara ma z nią rozmawiać? Nie powinna jej znać. Przyszła odwiedzić Ltlę Rainey.

— Za chwile — rzeki głośno posługacz, pchając po ho-



lu fotel na kotkach, na którym siedział zasuszony staruszek. — Jedziemy na wspaniałe przyjęcie z ciasteczkami i kawą.

— Ten stary nie chce ciasteczek ani kawy — powiedziała Lila trzeszczącym szeptem. — I to od zawsze. Będzie siusiał na podłogę. Zobaczy pan. Łby mają zamknięte na kłódkę. Nie słuchają.

Zamarł szelest fotela na kółkach. Sara nasłuchiwała głosu Martina, kuląc się w swym męskim ubraniu i owłosionej twarzy.

— Musiałam pozbyć się dziecka albo wyjść za Roke'a — ciągnęła Lila.

— Po paru latach wyszłam za sprzedawcę paszy, którego spotkałam w Des Moines, ale nie mogłam mieć już drugiego dziecka. — Jej stare ręce szarpały i szarpały kołdrę. Jedna łza spłynęła po zmarszczkach i przyciemniła środek perkalowej stokrotki. — Musiałam spuścić moją małą dziewczynkę do kanału, aby się uwolnić. Jak lis, który odgryza sobie łapę.

— No, dalej, Lila — zawołała posługaczka, energicznie wchodząc do pokoju. — Pora na twoją kąpiel. — Znajomy może zaczekać w pokoju. — Uśmiechnęła się do brodatego młodzieńca i wyciągnęła Lilę spod kołdry. Lila była tak drobna, że nie wypełniała sobą szpitalnej koszuli, wydawało się, że szlafrok sam zajmuje łóżko. — No, jedziemy — wrzasnęła posługaczka, zgarniając Lilę.

Lila patrzyła znad ramion posługaczki, stara twarz w tobołku ozdobiona kwiatami flaneli. Cienkie głosy śpiewały nabożną pieśń w świetlicy na końcu holu.

— Była moją córką i dziedziczką — powiedziała Lila.

— No, zabieraj się — rzuciła posługaczka, ładując koszulę i twarz Liii do fotela na kółkach.

Duży nos i rozwiana czupryna Liii podskakiwały nad ramieniem posługaczki, błyszczące czarne oczy patrzyły z furią na młodego brodacza.

— Morderstwo — dwa morderstwa — i nikogo to nie obchodzi — syknęła. — Widzi pan?

— Wkładamy nasze śliczne różowe bamboszki — krzyknęła posługaczka, klęcząc przy łóżku.

— Morderstwo! — ryknęła Lila w twarz posługaczki, oddaloną tylko o parę centymetrów.

— I już jesteśmy gotowe — oznajmiła posługaczka, stawiając ją na nogi.

— Lila za chwilę będzie z powrotem. Może pan posiedzieć w świetlicy, jeśli ma pan ochotę — rzekła do młodzieńca.

Oczy Lili błyszczały. Posługaczka uwoziła ją, aż wreszcie zniknęła za drzwiami, jej szept: „Nie słuchają!” unosił się jeszcze w powietrzu.

Sara stała przy oknie, gdy przywieziono Chloe Gray po kąpieli. Dwie posługaczki sturlały ją z wysokiego wózka na łóżko, przykryły starannie i uśmiechnęły się do brodacza.

— Clo, pewien młody człowiek czeka tu na Lilę — rzekła jedna z posługaczek głośnym, wesołym głosem.

Młodzieniec czekał, aż wyjdą, po czym cicho zamknął drzwi. Sara na palcach przeszła do łóżka matki. Kołdra przypominała ogród — były tam maki, narcyze, owoce, kłosa zboża i zielone liście spadające z koszyków. Matka miała zamknięte oczy i leżała tak cicho, jakby nie żyła. Twarz na poduszce była tak szara, jak rozrzucone wokół niej cienkie włosy.

Oddychała chrapliwie.

Do oczu Sary napłynęły gorące łzy.

— Walczyłaś, mamó — wyszeptała cicho. — Zawsze walczyłaś, nie pamiętasz? — Twarz jej matki, te same ręce i te wszystkie lata. — Och, mamó, nie bój się.

Jej matka drgnęła. Niewidzące oczy otworzyły się i spojrzały w górę.

— To ja, mamó. — Sara pogłaskała cienkie włosy matki rozrzucone na poduszce i chwyciła pomarszczoną dłoń z blizną, przebiegającą wzdłuż kciuka i wokół nadgarstka. — To ja... to Sara.

Nieruchome oczy pozbawione były wszelkiego wyrazu. Pomarszczona ręka spoczywała nieruchomo w dłoni Sary.

— Powiedzieli ci, że nie żyję? Że utonąłam?

Blizna na ręce — Sara pamiętała, jak jej matka roztrzaskała szybę, rzucając dywanik na potłuczone szkło, by mały Joe i Sara mogli wydostać się z pożaru, buchającego kłębamii dymu i obracającego wszystko wokół nich w popiół.

— Pamiętasz pożar u wujka RONALDA? Nabawiłaś się blizny na ręce ratując Joe i mnie u wujka RONALDA... och, mamoo...

Ręka nadal spoczywała nieruchomo w dłoni Sary, jakby nikt nie pamiętał tego, co ona pamiętała. Sara zaczęła szlochać.

— Pamiętasz przebranie na ZADUSZKI, które uszyłaś mi z resztek? Miałam być różą. I ktoś wylał gorącą czekoladę na gości i już nigdy nie mogliśmy tego sprać!

Niewidzące oczy niczego SARZE nie mówiły. Ręka matki spoczywała nieruchomo w jej dłoni. Druga ręka poruszała się od maku do narcyza w wypełnionym kwiatami koszyku na kołdrze, i to wszystko.

— Mamo — wionęła jej Sara do ucha. — Mamo, jestem Sara. Dotknij mnie!

Uniosła poznaczoną blizną rękę do swych włosów, lecz włosy nie były jej własne, tylko szorstkie i sztuczne. Broda pokrywała jej twarz.

Tylko mozolny oddech jej matki świadczył, że żyła.

Sara otoczyła matkę, ramionami, przytulając ją mocno. Chowiała twarz w znajomym zapachu włosów i skóry matki, płacząc. Wyszepiała:.

— To ja, Sara. Mamo — jestem tutaj!

Chrapliwy oddech matki utknął w gardle. Westchnęła. Głos miała tak słaby, że ledwo dało się go słyszeć, wyschnięte wargi ułożyły się w słowa:

— Sara nie żyje!

— Przecież znasz mój głos! Musiałam ich przekonać, że nie żyję..

— Sara nie żyje — cicho powtórzyła matka.

— Nieprawda! Przyszłam najszybciej, jak tylko mogłam.

— Powiedzieli, że wypadła z żaglówki na Manhasset Bay. Niewidome oczy wpatrywały się w sufit, gdy Sara usiadła,

matka nie powiedziała nic więcej. Jej oddech prawie nie porusza! kołdry. Sara patrzyła na zamknięte drzwi. W każdej chwili może wejść pielęgniarka. Może przyjść Martin.

— Mamo... nie mogłam żyć z Martinem. Próbowałam. Ukrywam się przed nim, mamo. Myśli, że nie żyję.

— Sara utonęła, jak Joe — wyszeptała matka. Jej-cienkie palce błądziły po makach i jabłkach kołdry, kłosach zboża, zielonych liściach.

— Nigdy ci nie opowiadałam, jak Martin mnie bił. Złamił mi palec u nogi i po mojej ostatniej wizycie u ciebie zrzucił mnie ze schodów, aż pękła mi śledziona, i złamał mi nadgarstek. — Sara szlochała. — Boję się go, mamo. Ma broń i powiedział, że mnie zabije, jeśli go zostawię, i zabije też każdego mężczyznę, do którego odejdę.

— Chciała uratować Joe i nie dała rady, i od tej pory nie wchodziła do wody. Stąd wiem.

Łzy trysnęły z oczu Sary i szlochała, przypomniawszy sobie, jak zdarła gardło od krzyków. Gdy wypęzła z wody, czuła, jak przywiera do niej piasek z plaży. Kiedy krzyczała, w domkach letniskowych mrugały światła i na oświetloną księżycem zatokę wypłynęły łodzie. Twarz ojca, gdy go obudzono, surowy policjant i dwunastoletnia dziewczynka, przemoczona i mamrocząca.

— Mamo, dlaczego nie powiedziałaś mi, że wiesz? Nigdy nikomu nie mogłam powiedzieć. Usiłowałam ratować Joe...

— Sara próbowała. Wiem, że próbowała. Ale nie mogliśmy o tym mówić. Nigdy nie mogliśmy o tym mówić.

Głos matki był tak niski, Sara nachylała się nad nią.

— Wyzwał mnie, żebyśmy popłynęli do Bankton, a niedawno miał zapalenie płuc, pamiętasz? W polowie drogi krzyknął, że nie może oddychać, a gdy dopłynęłam do niego, zaczął mnie wciągać. Musiałam się od niego oderwać, pozwoliłam m-mu p-pójść n-na d-dno... — szlochała Sara z twarzą przytkniętą do twarzy matki. Wsunęła ręce pod stare ciało i przyciskała je mocno.

Po chwili matka wyciągnęła rękę, by dotknąć jej włosów, brody. Sara leżała nieruchomo, łzy skapywały na poduszkę matki.

— Moja Sara? — rzekła matka.

— Mamusiu! — Sara zarazem śmiała się i płakała. — Jestem przebrana za mężczyznę, mamó. Żeby Martin mnie nie poznał. Czy przychodził tu?

— Sara — wyszeptała matka.

— Przyjechałam tu, żeby ci powiedzieć, najszybciej jak mogłam.

Organizuję sobie nowe życie, w którym Martin nigdy mnie nie znajdzie. Boję się go, mamó. Nie mów mu, że przyjechałam. Ciekawa jestem, czy tu był? Czy telefonował, żeby zapytać, czy ktoś do ciebie dzwonił, pisał albo cię odwiedzał?

— Myślałam, że umarłaś, Saro. — Łzy z kącików oczu matki zaczęły spływać na poduszkę. Po chwili powiedziała: — Nie. Nikt nigdy nie dzwoni. Nikt nie przychodzi.

Sara uścisnęła wychudłe ręce matki.

— Gdy tylko będę mogła, zabiorę cię do siebie.

— Nie chciałam ci siedzieć na głowie, gdy wyszłaś za mąż — powiedziała matka.

— Ale teraz jestem wolna.

— Sara! — Matka ciągle powtarzała jej imię. — Sara! Sara! Nikomu nie powiem.

— Boję się, że Martin wpadnie na myśl, żeby mnie tu szukać, jeśli zacnie podejrzewać, że nie utonąłam, f nie miałam ani grosza. Dlatego tak długo nie mogłam cię zawiadomić. Powiedziałam, że chcę zobaczyć się z Lilą Rainey, nie z tobą. Pamiętaj — nikt cię nie odwiedzał. Martin myśli, że nie żyję, mamó. Musi myśleć, że nie żyję. Powiedział, że mnie zabije, jeśli jeszcze raz ucieknę.

Ręce matki zacisnęły się na jej rękach.

— Jest podły — rzekła. — Zawsze uważałam, że jest podły.

— Pamiętasz dobre czasy z Joe? — spytała Sara. — Pamiętasz, że zawsze uprawiałaś warzywa i robiłaś tyle przetworów? Zawsze zakręcałam ci marynaty, pamiętasz? A twoja słodka kukurydza — najlepsza w mieście? Ja też mam teraz ogród, cały ogród tylko dla siebie!

— Naprawdę tu jesteś — powiedziała matka.

— Masz piękną kołdrę na łóżku. Wiedziałaś o tym?

Cała w kosze pełne maków i narcyzów — przypuszczam, że chodzi o wiosnę i lato — i owoce, kłosy zboża i pszenicy na jesień — mówiła Sara. — Pamiętasz, że w Montrose miałam afrykańskie fiołki na stoliku? Na tyłach domu nie było ogrodu, a Martin nie pozwalała! mi sadzić kwiatów przed domem, ale nawet gdy mieszkałam z nim w tym piekle, miałam fiołki, które razem hodowałyśmy: Wieczorną Księżniczkę, Owoc Granatu i Jesienny Miód... i nadal je mam!

— To ty. Sara.

— Muszę już iść, bo się boję. Ale nie wolno ci myśleć, że jestem zjawą, mamu. Spójrz, daję ci ten mój tani pierścionek. Noś go na rękę. Za każdym razem, kiedy pomyślisz, że mogłam ci się tylko przyśnić, dotknij tego pierścionka i powiedz sobie, że Sara żyje i że niedługo będziemy razem, gdy tylko dostanę jakąś dobrą pracę w bibliotece.

Pierścionek postawnego mężczyzny z wyrytym drzewem dębu pasował jedynie na kciuk matki. Zaciśnęła na nim kościste palce i wyszemrała:

— Nie umarłaś! Nie utonełaś!

— Zgadza się — przytaknęła Sara. — Powiedz to sobie za każdym razem, gdy dotkniesz pierścionka. Ciekawa jestem, czy oni się tobą dobrze opiekują?

Podniosła kołdrę matki. Szpitalna koszula była rozcięta z tyłu i czysta, podobnie jak pościel. Sara z taką łatwością przewróciła na bok chude, lekkie ciało. Nie ma odleżyn. Matka miała przymocowany podkład, powleczone z wierzchu plastikiem. Podkład był suchy.

— Tak — wyszeptała matka. — Naprawdę się starają. Sara odwróciła z powrotem lekkie ciało, naciągnęła na nie kwiecistą kołdrę i poutykała narzutę. Wygładziła długie, szare włosy matki.

Gdy pielęgniarka otworzyła drzwi i zajrzała, czarnobrody mężczyzna pochylony nad Chloe Gray miał Izy w oczach, Ponownie zamknęła drzwi. Sara po raz ostatni uścisnęła cienkie palce matki.

— Sara — mówiła matka — myślałam, że umarłaś.

Myślałam, że już nikt o mnie nie dba. Nikt nigdy nie przychodził. Sara otarła mokre oczy matki, a ona przyłgnęła do rąk córki.

— Muszę już iść. Miałam szczęście, że byliśmy same w pokoju. Mieszkam we własnym mieszkaniu w miłym małym miasteczku i pozostanę tam, póki Martin nie nabierze pewności, że naprawdę nie żyję. Mam pracę. Nie martw się o mnie.

— Bądź spokojna — rzekła matka. — Nie umarłaś. — Znowu zaczęła płakać.

— Dałam ci mój pierścionek i nic umarłam. Nie mogę ci przysłać listów pod własnym nazwiskiem, ale jeśli dostaniesz list od Larry Daya, będziesz wiedziała, że naprawdę to ja. Będziesz pamiętać, że Larry Day będzie ci przysyłał mnóstwo listów i tylko ty będziesz wiedziała, że to naprawdę Sara Gray?

— Tak — wyszeptała matka. — Larry Day.

— To ja — powtórzyła Sara. — Nie zapomnij. I nigdy, nigdy nie mów nikomu, że przyszłam dzisiaj zobaczyć się z tobą. Martin może mnie w ten sposób znaleźć i niewykluczone, że mnie zabije.

— Och, bądź ostrożna — zaklinała matka, czepiając się rąk Sary. — Nikomu nie powiem.

— Do widzenia — wyszeptała Sara. — Przyjdę, jak tylko będę mogła. Chciałam, żebyś wiedziała, że nie utonęłam. Tak mi przykro, że się martwiłaś.

— Już dobrze — rzekła matka. — Teraz już dobrze. Sara podeszła do okna i wyjrzała na ulicę, po czym pochyliła się nad matką, leżącą pod makami, narcyzami i kłosami zboża na kołdrze.

— Dziś wieczór wyślę ci list — zwróciła się do bladej twarzy na poduszce. — Więc czekaj. Dostaniesz ode mnie wiadomość jutro albo pojutrze. Niech ci przeczytają. Powiedz, że to od dalekiego krewnego. Ale to będzie ode mnie, mamo. Od Sary. Do widzenia, kochana.

Sara pogładziła matkę po włosach i pocałowała.

— Do widzenia — wyszeptała matka, całując ją również.



Jej nieruchome oczy wpatrywały się w sufit, palce szarpały kwiecistą kołdrę. —Moja Sara, Do widzenia.

Ciemnobrody mężczyzna wyszedł z pokoju Chloe Gray i nieomal wpadł na fotel na kółkach, w którym siedziała Lila Rainey. Zatrzymał się i ukląkł koło niej w holu. Pielęgniarka dyżurna popatrzyła nań znad swego biurka. Miły facet, pomyślała, ale dość niski. Ładny garnitur.

— Nie mogę zostać dłużej, Lilo — powiedział, ujmując rękę Lili, tak lekką i suchą jak balsa. Rozejrzał się po holu, jakby kogoś szukał. — Ale postaram się przyjść znowu. Co się stało z Rokem?

Czarne oczy Lili patrzyły na brodatego młodzieńca.

— Kiedyś Roke i ja byliśmy sami w chlewie i Roke był właśnie na szczycie drabiny — akurat przechodził na drugą stronę i siedział okrakiem, a pod nim była kamienna podłoga, o którą czaszka rozwała się jak dojrzała dynia.

— Ho, ho — rzekł młody człowiek, klękając koło Lili.

— Powiadali, że mam złamane serce, kiedy zobaczyli, co świnię zostawiły z Roke'a Pritchera — powiedziała Lila, z oczyma błyszczącymi jak czarne węgle w oczodołach.

Posługaczka w białym poliestrowym kombinezonie pośpieszyła młodzieńcowi na ratunek.

— Znowu opowiadasz tę historię, Lila? — odezwała się ze słodyczą, a młody człowiek wstał wówczas i powiedział, że postara się jeszcze wpaść, po czym się pożegnał.

— Nie słuchają! — krzyknęła za nim Lila.

Na dworze było jeszcze chłodno, a na trawie leżała nocna rosa. Sara przebiegła koło dwóch wchodzących sprzątaczek i furgonetki z pralni, wyjeżdżającej z podjazdu. Spieszyła do swego samochodu. Nie zamknęła drzwi od strony kierowcy, gdy przed świtem wkładała bagaż do samochodu. Drzwi nie dawały się zamknąć.

Wyjechała z parkingu i skierowała się na szosę. Dopiero gdy odjechała wiele mil od Fredsburga, zdołała oderwać dłonie od kierownicy. Czowała słodki zapach porannego powietrza i z westchnieniem zaczerpnęła oddechu.

Posługaczka położyła Lilę Rainey z powrotem na łóżko.

W Craigie Court były lśniące białe podłogi, które co

rano froterował pewien staruszek. Fran, wysoka, koścista pielęgniarka, patrzyła, jak przejeżdża froterką tam i z powrotem. Uaktualniała karty pacjentów, sortowała pocztę, ziewała w nudzie przedpołudniowych godzin.

Gdy koło pół do dwunastej przyszedł Martin, Fran dziwnie nań spojrzała. Budził zdziwienie wszystkich —jakiś pan Baker, który twierdził, że jest znajomym Chloe, lecz nigdy do niej nie zajrzał i nie chciał uwierzyć, że nikt jej nie odwiedza. Gdy zaczął przychodzić więcej niż przed tygodniem, był tylko trochę zarośnięty, lecz szybko urosła mu ciemnoblon broda, inna niż włosy.

— Nie ma co mówić Clo o tym panu Bakerze — powiedziała kiedyś nocna pielęgniarka. — Przychodzi już chyba od dwóch tygodni i nigdy jej nie odwiedził.

— Myślę, że chodzi tu o forszę — rzekła Fran. — Pewnie o jakiś spadek. Nocna pielęgniarka dodała jeszcze, że może ten pan Baker to wariat?

— Dzień dobry — zwróciła się Fran do pana Bakera.

— Nikt nie odwiedzał Chloe Gray wczoraj po południu? — zapytał pan Baker. Dzień po dniu, zawsze mówił to samo.

— Nie, ale był tu dzisiaj jakiś młody człowiek, który chyba ją znał. Przyszedł odwiedzić Lilę Rainey, ale dość długo rozmawiał z Chloe, która później była laka szczęśliwa — oznajmiła Fran. — Niski młody człowiek koło trzydziestki z ciemną brodą. Odjechał przed paroma godzinami.

— Co takiego? — krzyknął pan Baker. Fran cofnęła się.

— Odjechał przed paroma godzinami — powtórzyła.

— Powiedziała mu pani, że chcę się z nim zobaczyć?

— Nie — rzekła Fran. — Właściwie nie przyszedł do Chloe...

Pan Baker przebiegi koło wystawy malarstwa amatorskiego, dużego, ozdobionego kwiatami kalendarza, w którym codziennie zmieniano kartki oraz pana Maundersa siedzącego w fotelu na kółkach koło fontanny z wodą pitną.

Zostawił ślady czarnych obcasów na białej podłodze. Drzwi powoli zamykały się za pędzącym.

— Coś takiego — powiedziała Fran.

— Wariat — oświadczył posługacz, stojący obok biurka z elektryczną maszynką do golenia dla pana Maundersa. — Co mu pani powiedziała?

— Tylko tyle, że młody człowiek z brodą odwiedził Lilę Rainey.

— Wariat — powtórzył posługacz, wyglądając przez okno. — Biegnie koło parkingu przy motelu.

— W końcu nigdy nie odwiedził Clo, prawda? — spytała Fran.

— Nie. Odjeżdża teraz. Patrzcie państwo — dwa razy wjechał na krawężnik!

— Wariat — podsumowała Fran.

Martin ledwo widział drogę i miasteczko. Wypatrywał niebieskiego samochodu. Widział, jak poprzedniego wieczoru wysiada z niego niski mężczyzna z ciemną brodą. Z miasta na autostradę prowadzi tylko jedna droga.

Niebieski samochód — niebieski samochód — niski facet z czarną brodą, powtarzał do siebie, jadąc po niewłaściwej stronie drogi, gdyż miał w głowie tylko niebieski samochód. Szedłem za nim dziś rano koło tego zabitego deskami domu.

Podjechał do autostrady i z piskiem opon zahamował na środku drogi. Jeśli mężczyzna wyjechał, musiał to zrobić już dawno. Ale może jest gdzieś jeszcze w mieście.

Martin jeździł tu i tam, szukając niebieskiego samochodu z tabliczką rejestracyjną z Iowa na parkingach, podjazdach i w otwartych garażach. W końcu zatrzymał się w cieniu za miastem. Zgubił brodatego faceta, ale go odnajdzie. Wyjął notatnik z kieszeni spodni. „Benjamin Woodward, Tremont Street 2309, Cedar Falls, Iowa 50613.”

Sara wysłała pierwszy liścik do Chloe Gray z miasta oddalonego o czterdzieści mil od Fredsburga. Matka otrzyma go następnego dnia. Mijając milę za milą nuciła cicho, myśląc, że dla matki teraz żyje. Jedna osoba wie, że istnieje Sara Gray.

Sara zatrzymała się, by zjeść coś w restauracji przy autostradzie w kierunku Nebraski. Kelnerką była sympatyczna, starsza kobieta o rzadkich włosach schowanych pod siatką.

— Zapłacę pani pięć dolarów, jeśli zgodzi się pani wysyłać te listy do mojej matki, jeden co tydzień — rzekła Sara do kelnerki tenorowym głosem. — Chcę, żeby były wysyłane z Nebraski ze względu na dawne wspomnienia.

Kelnerka obiecała, że na pewno wyśle co tydzień list i że to bardzo ładnie, że syn dba o matkę. Pomachała do miłego, ciemnobrodego młodzieńca i uśmiechnęła się, gdy opuszczał restaurację.

Było po drugiej w nocy, kiedy Sara wjechała w aleję i dotarła do stodoły Bena. Trawa na podwórzu za domem była mokra od rosy. Skakał po niej Banan, długonogi i miauczący.

Ben miał klucz do kuchennych drzwi Sary. Gdy zapaliła światło w kuchni, znalazła na stole karteczkę: „Przekąska i śniadanie w lodówce. Witaj w domu.” Otworzyła drzwi

lodówki. W zimnym świetle czekały na nią ciasteczka, mleko, ciasto kawowe, sok pomarańczowy i jajka.

— Ben — powiedziała do Banana, zamykając oczy i myśląc o tym, jak siedzi nagi, z zaciśniętymi pięściami na brzegu łóżka, a stłumione światło latarni rzuca w mroku blask na jego gniewną twarz. Martin nigdy nie przybędzie do Fredsburga — sądzi, że utonęła. Czowała się zbyt wolna, zbyt szczęśliwa, by spać. Możliwe, że jest bezpieczna. Będzie teraz mogła wychodzić z Benem... a może nawet kochać...

Gorąca kąpiel, a potem ciasteczka i mleko.

Banan siedział na kuchennym stole, mrugając do mężczyzny, który wszedł do łazienki, i kobiety, która z niej wyszła. Sara schowała brodę, wąsy, brwi i bandaże do dolnej szuflady toaletki, powiesiła męskie ubranie.

— Widziałam się z mamą — oświadczyła Bananowi. — Wie, że żyję! Gdy usiadła przy stole, Banan usadowił się jej na kolanach i został całyobsypany okruchami ciasteczek. Ben spał w sąsiednim domu. Może skulił się, z twarzą ukrytą w ramionach i jasnorudych włosach. Ponad pięć tygodni, odkąd... może już jest na tyle bezpieczna, by wyjść z mężczyzną, przestać się ukrywać? Sara ziewnęła, postawiła Banana na podłodze, wsunęła się do łóżka i natychmiast usnęła.

Niebawem zadzwonił telefon". Po omacku przeszła do saloniku, by go odebrać.

— Mówi EUen. — Szept był ledwo słyszalny.

— Tak? Ellen?

— Mówi Ellen. — Poprzez szept przebijało łkanie. — Czy mogłaby pani przyjść i zająć się doktor Channing? Właśnie miałam telefon z Waterloo. Moja ciotka jest bardzo chora, a nie ma nikogo innego. Muszę zaraz pojechać do niej taksówką.

— Już jadę — powiedziała Sara.

Usłyszała szloch i trzask odkładanej słuchawki.

Wystawiła Banana za drzwi, zapakowała trochę ubrań w plastikową torbę, włożyła koszulę, spodnie, sportowe buty i pobiegła wzdłuż Tremont, potem ulicą Osiemnastą i Clay.

Dom doktor Channing pogrążony był w ciemności, paiaii się tylko światło w oknie Ellen na górze. Sara cicho otworzyła i zamknęła drzwi kuchni i przez chwilę stała w mroku, nasłuchując. Ktoś płakał na górze, cicho i nieprzerwanie.

Sara wiedziała, gdzie znajduje się pokój Ellen. Weszła na górę drewnianymi schodami, które wydawały się mokre.

— Ellen? — odezwała się i zapukała.

Nie było odpowiedzi. W holu jaśniała dziurka od klucza w drzwiach łazienki.

— Ellen? — powtórzyła cicho i zastukała.

Nikt nie odpowiedział. Nieznacznie uchyliła drzwi i ujrzała krew na płytkach podłogi.

Krew znajdowała się na podłodze i umywalce, Ellen miała umazane nią nogi i stopy. Nie było kropli krwi w białej twarzy Ellen. Leżała z głową opartą o podnózek prysznic.

— Ellen!— krzyknęła Sara. — Och, Ellen. — Uklękła koło niej.

Dziewczyna trzymała w ramionach zwój ręczników, Sara wyszeptwała: — O, mój Boże! — pogładziła brązową, moką grzywkę. — Co się stało? Krwawisz...

Ponownie spojrzała na pokój i nogi Ellen. Czy zdoła ją podnieść, przenieść na łóżko?

Coś poruszyło się w tobołku, który Ellen trzymała w ramionach.

Zamiauczało jak kot. Z oczu Ellen płynęły łzy. Odgięła róg ręcznika i Sara spojrzała w małą, czerwoną twarz. Nieprawdopodobnie mała ludzka ręka przy twarzy zwinęła się w piąstkę, potem szeroko rozpostarła paluszki.

— To dziewczynka — oznajmiła Ellen.

Sara spojrzała w zmętniałe, brązowe oczy.

— Twoje dziecko? Urodziłaś dziecko? Ellen wbiła w nią wzrok.

— Powiesz — rzekła. — Nie zdążyłam pojechać do szpitala — za szybko poszło. A teraz powiesz. — Na zwój ręczników zaczęły kapać łzy i czerwona twarzyczka otwierała się i zamykała, miaucząc.

— Och, n-nie — zapewniała Sara, jękając się z powodu szoku. — Umiem dotrzymywać tajemnicy. Ale czy dobrze się czujesz? Czy ona..,

— Zostawiłam popłód. Chyba wszystko jest z nią dobrze. Wszystko w porządku. — Dziecko pomachało rączką i zamiauczało. — Mój ojciec nie może się dowiedzieć — szlochała Ellen. — Znowu zostawi moją matkę. — Nikt się nie dowie — przyrzekła Sara.

— Słuchaj — mówiła Ellen. — Nazywam się Ellen Dehlstrom. Po prostu podróżowałam autostopem przez Cedar Falls i zaczęłam rodzić, a ty mnie znalazłaś i wezwałaś taksówkę... gdyby ktoś w szpitalu dowiedział się, że przyjechałam stąd i zadzwonił.

— W porządku — powiedziała Sara. — Ellen Dehlstrom.

— Możesz zadzwonić po taksówkę? Doktor Channing nie usłyszy nas, klimatyzacja jest włączona. W szpitalu nie dowiedzą się, że mam coś wspólnego z Cedar Falls, i powiem im, żeby zadzwonili do mojej ciotki. Przyjedzie od razu. Zajmie się wszystkim.

— Zadzwonię — zapewniła Sara. — Zaraz wrócę. — Zadzwoniła po taksówkę, a gdy wróciła, znalazła Ellen leżącą na boku i usiłującą wytrzeć podłogę ręcznikiem.

— Zostaw! — krzyknęła Sara. Widok cichej, tłustej Ellen, usiłującej wyczyścić podłogę, ranił jej serce. — Później to zrobię. Wszystko będzie jak zawsze, zanim ktokolwiek się zorientuje,

— Wszystko miałam zaplanowane — rzekła Ellen. Jej blada twarz była ściągnięta i smutna.

— Zajmę się doktor Channing. Jedź spokojnie i niczym się nie przejmuj. Pojechałaś do chorej ciotki w Waterloo.

Sara znalazła czystą ścierkę, wytarła twarz i okrwawione ręce Ellen, a potem oczyściła jej nogi i stopy.

Położyła dziecko na łóżku i pomogła Ellen się podnieść. Pod czystą koszulą nocną spięły wokół niej dwa ręczniki i włożyły ciemny płaszcz przeciwdeszczowy. Ellen położyła się na łóżku, a Sara naciągnęła na nią skarpetki i włożyła buty.

— Powiesz — jęczała cicho Ellen, ocierając twarz o poduszkę. — Ludzie zawsze rozgadują.

Zaczęła płakać — beznadziejny dźwięk. Mokra brązowa grzywka przylegała do jej twarzy.

— Kie płacz — prosiła Sara, pochylając się nad nią. — Nie płacz!  
Ellen nie mogła przestać płakać. Sara spojrzała w jej smutną twarz,  
odwróciła wzrok, znowu spojrzała.

— Oto mój sekret — oznajmiła. Ściągnęła perukę. — i nie nazywam się  
Laura Pray. Teraz wiesz o mnie coś, czego nikt inny nie wie, ja wiem coś  
o tobie. I żadna z nas nic nie powie.

— Nie — powiedziała Ellen, wpatrując się w nią. — Nigdy nie powiemy.  
Nigdy.

— Pewnie, że nie — potwierdziła Sara, z powrotem naciągając perukę na  
grube jasne warkocze.

— Moja walizka stoi zapakowana w szafie — wyjaśniła Ellen, trąc oczy.

— Wrócę tu... Jeszcze nie wiem, ile dni to zajmie.

— Przywiesz ze sobą dziecko?

— Nie — odparła Ellen matowym głosem. — Muszę ją oddać.

Sara wygładziła Ellen grzywkę na czole, po czym zniosła jej walizkę i  
wyjrzawszy przez kuchenne okno ujrzała skrecającą z za rogu taksówkę.  
Cicho, zamknęła za sobą drzwi i poszła powiedzieć taksówkarzowi, że  
zaraz wychodzą.

— Taksówka przyjechała — rzekła, pochylając się nad Ellen.

Otoczyła ją ramionami i pocałowała białą twarz. Oczy Ellen nadal były  
pełne łez. Pocałowała Sarę.

— Przyjadę cię odwiedzić — zaproponowała Sara.

— Nie — absolutnie! — przestraszyła się Ellen. — Proszę. Nic nie rób.  
Nawet nie telefonuj. Udawaj, że jestem u ciotki. Jeśli ktoś zadzwoni,  
powiedz, że jest chora i ja się nią opiekuję.

Potem wolno zeszły po schodach. Sara trzymała owinięte w koc dziecko  
Ellen i czuła, jak kręci się małe ciało. W pobliskich domach nie paliło się  
światło, gdy Ellen wsunęła się do taksówki i wzięła dziecko od Sary.

— Do widzenia — wyszeptała, a Sara zamknęła drzwi i patrzyła, jak  
taksówka skręca za rogiem w kierunku głównej ulicy.



Zaraz będzie świtać. Ellen pojechała zająć się chorą ciotką w Waterloo. Drzewa szeleściły wokół narożnej latarni, jakby znały sekrety, Sarze wydawało się, że ciągle czuje krew na palcach.

Trzeba sprzątnąć łazienkę. Znalazła proszek do szorowania, ścierkę i zaczęła. Jeszcze jeden sekret. Żadna z jej tajemnic nie kryła szczęścia, jak u Ellen — dziecka, nowego życia na świecie.

Klęcząc na wykładanej płytkami podłodze, Sara myślała o Martinie, który zaczynał łysieć na ciemieniu, o jego brązowych oczach, ciele przyciskającym jej ciało i o tych wszystkich latach.

Potem przypomniała sobie kopniaki w łydki — potężne kopniaki, wielkie, ciężkie buty, fioletowoczerwone sińce.

Na płytkach rozmazana była krew. Wytarła ją. Zachowuje się sekrety i żyje z buzią na kłódkę, zamkniętą mocno jak u Ellen, która nie ma nawet dwudziestu lat. „Wszystko sobie zaplanowałam. Powiesz. Ludzie zawsze rozgadują.”

Sara skończyła sprzątać podłogę w kuchni, hol i schody. Zdjęła pościel z wąskiego łóżka Ellen i rozejrzała się po maleńkim pokoiku, który miał tak mało do powiedzenia — jak Ellen. Były tam dwa dziecięce rysunki zrobione kredkami z podpisami „Beverly” i „Art” nabazgranymi w rogach; jak zwykle ukazywały słońce, drzewo z patyczków i dom-pudełko z drzwiami.

Domy na rysunkach otoczone były niebem wymalowanym błękitną kredką. Wolna. Sara w maleńkim pokoiku zaczerpnęła głębokiego oddechu. Wolna.

Oczy Sary patrzyły twardo, gdy znosiła zakrwawione ręczniki na dół, by namoczyć je w pralce. Dochowałaś sekretów i przeżyłaś z buzią na kłódkę.

Na długo przed świtem Martin znalazł Tremont 2309. Światła z miejskiego parku pokryły cętkami stary dom Bena Woodwarda. Martin przejechał obok niego. Nie było widać niebieskiego samochodu. Zaparkował dom dalej i wrócił, trzymając się w cieniu, z dala od świateł latarni, póki nie wszedł w aleję. Na podwórkach od tyłu brzdąkały i bzykały owady, żaden pies nie zaszczekał. Czwarta rano. Żużel chrząścił pod butami. Martin poruszył klamką drzwi czegoś w rodzaju stodoły na tyłach Tremont 2309, pchnął je. Błysk latarki oświetlił niebieski samochód z właściwym numerem rejestracyjnym, zaparkowany tuż obok kosiarki i kupy rupieci. Brama z tyłu domu Woodwarda była otwarta. Nie paliło się żadne światło. Może Sara tu spała — spała z kimś o imieniu Ben, który pojechał do Nebraski powiedzieć jej matce, że córka nie utonęła... „rozmawiał z nią dosyć długo i później była taka szczęśliwa”. Stojąc jakiś czas w ciemności, Martin mógł rozróżnić podwórza z tyłu domów, odgródzone płotami tylko od strony alei. Przemknął przez bramę Woodwarda i poczuł pod nogami spadłe owoce — jabłka. Pod jabłonią było bardzo ciemno, lecz światło z sąsied-

niego domu padało na trawniki, ciągnące się do dużej, okrągłej grządki narożnego domu.

Martin na palcach przeszedł po trawie. Oświetlone okno należało do starego drewnianego domu z werandą od tyłu, otoczoną siatką: sąsiada Woodwarda. Niespodziewanie przestraszył Martina kot — skoczył ze skrytych za krzewami schodów. Martin po omacku dobił do okna i zajrzał do środka.

Zwykła kuchnia. Nikogo. Światło lampy na tle pomarańczowej ściany ukazywało sielski, oprawny obrazek dzbanka na kawę, filiżanki i spodeczka na stole, kwiatów w wazonie.

Martin wrócił do wynajętego samochodu i pojechał szukać motelu, widząc wyłącznie Sarę, jej długie, jasne włosy rozrzucone na poduszce Bena Woodwarda, jego okoloną ciemną brodą twarz na jej wznoszących się i opadających piersiach.

Na ulicach Cedar Falls zaczęły pojawiać się samochody.

Mleczarze ciężko stąpali po stopniach werandy, gazety głucho stukały za ogrodzeniem. Drzewa chwytały pierwsze promienie słońca, rewanżując się ptasim chórem.

Hen, w ulokowanych w wysokościowcach sypialniach, studenci klepali w budziki, potykając się schodzili do pryszniców, myśleli o piątkowych zajęciach i o weekendzie. Koło południa szczęśliwcy wyjeżdżali z uniwersyteckiego parkingu do domu.

Dźwięki przejeżdżających samochodów prawie nie dochodziły do mrocznej sypialni doktor Channing, odkurzacz sprzątaczkę buczał w holu. Sara wniosła tacę.

— Na lunch mamy makaron z serem — rzekła do twarzy na poduszce. — Zielony groszek.

Zawsze odpowiadała jej tylko cisza. Sara wsunęła ramiona pod Hazel Channing i obróciła ją na plecy, oswoiła się już z ciężkim ciałem. Chora nie mogła nic poradzić na tę bezceremonialność, musiała tolerować ręce, wsadzające ją na basen, myjące ją, wycierające, patrzące na jej stare ciało. Sara słuchała wrażliwej, bezradnej ciszy.

— Cieszę się, że mogę się panią opiekować, póki ciotce

Ellen się nie polepszy — rzekła po chwili, nabierając następną łyżeczkę.  
— Może poczytamy dalej Złotą czarę.

Odpowiedziało jej milczenie doktor Channing, które jednak wydawało się odmienione, podobnie jak światło w sypialni zmieniało się z południowego w wieczorne. Sara zerknęła na kobietę. Teraz ktoś żył za pomarszczoną twarzą. Wydatne wargi nabrały wyrazu, a choć oczy nadal zdawały się zranione i smutne, również miały inny wyraz.

— Obawiam się, że będę siedziała pani na głowie cały weekend, póki pani Eaker nie przyjdzie w poniedziałek, by panią wykąpać — rzekła Sara, nakładając na łyżkę makaronu z serem. — Czy chciałaby pani, żebym nastawiła jedną z sonat Chopina, a może etiudę? Chyba skończyła już z odkurzaniem.

Doktor Channing skinęła głową.

— Sonatę? Skinęła ponownie.

Hi-fi było nowe, z wieżami ukrytymi w saloniku, jadalni i sypialni. Kaskady Chopina opadały przez jedwabiste, odgródzone firankami światło słoneczne, wszystko razem migotało.

Sara rozejrzała się po sypialni, którą jej głos przez całe godziny wypełniał słowami Henry'ego Jamesa. James wiedział, dlaczego kobieta może się ukrywać - Chopin wiedział. Mówiły o tym smutne, płynne kadencje.

A więc żyj samotnie.

Sara nabrała makaronu na łyżkę i usłyszała przejeżdżającą ciężarówkę. Ciężarówka pojechała wzdłuż Clay do Seerley i skręciła w kierunku uniwersytetu, mijając biały samochód.

— Cholera — powiedział mężczyzna w samochodzie, nie spuszczać wzroku ze starego domu na Tremont. Naciskał zębami paznokcie, który już był obgryziony do żywego mięsa, i marzył, by pojechać do motelu przespać się. — Cholera — powtórzył Martin i spojrzął na swój palec. — Znowu obgryzasz paznokcie? — zawsze mówił ojciec — cóż za kretyński dowcip.

Cholera. Sara gnijąca gdzieś w oceanie, a on w małym miasteczku w Iowa, o którym nigdy nie słyszał, szuka

niskiego, brodatego gościa, który prawdopodobnie nigdy nie słyszał o Sarze Burney.

Kciuk mu krwawił. Ale Sara może być tu, w tej ruderze — mogła sobie znaleźć jakiegoś faceta. Może razem zaplanowali lipne utonięcie... ten Ben Woodward czekał na nią w samochodzie koło Manhasset, a może nawet przyszedł do domku letniskowego. Teraz są w Tremont 2309, śmiejąc się z Martina Burneya. Kopnął drzwi samochodu, potem jeszcze raz, zacisnął palce na dwudziestcepiątce w kieszeni, patrzył, jak dzieci bawią się w parku.

Tu i tam w słonecznym świetle spadały liście, choć większość była jeszcze zielona. Pod oknem doktor Channing krzyczały dzieci: „Ala zaklepana!”

Żyj samotnie, powiedziała Sara do siebie i uniosła wzrok, gdyż zdało się jej, że przez oświetlony słońcem pokój przeleciał ptak — a to spadł liść. Jaki smutny potrafi być Chopin. Gardło jej zacisnęło się, lecz nagle, nakładając na łyżkę zielonego groszku, poczuła pewność, że Martin nigdy jej nie znajdzie i nieomal roześmiała się, gdy patrząc twardo przed siebie, wyprostowana, podawała lunch Hazel George Channing. Nawet psy mają tyle rozsądku, że są szczęśliwe, gdy nikt ich już nie kopie..

Przepelzało popołudnie, a Sara przyglądała się samochodom, przejeżdżającym pod kuchennym oknem pani Channing. Czasami widziała niewidome oczy matki lub czuła, jak lekkie i chude jest obracane w łóżku ciało o oczach patrzących i pozbawionych wzroku. Guzowate nogi matki wyglądały, jakby nigdy ich nie używała, nigdy nie harowała tak ciężko, by odegnąć nędzę, waląc w nią miotłami i ścierkami, jakby była zbląkanym psem, drwiącym ze swego zapachu, brzydoty, ostrych zębów.

Sara uprała, wysuszyła ręczniki, których używała Ellen, i odłożyła na miejsce. Ellen i dziecko są już bezpieczne w szpitalu, Sara zadzwoniła, by zapytać.

— Jestem po prostu przyjaciółką rodziny — oświadczyła. Zadzwoniła też do Bena Woodwarda.

— A więc jesteś w domu. Samochód był w stodole, ale przeszukałem bzy i nigdzie nie mogłem cię znaleźć — rzeki.

— Usiłowałam się do ciebie dodzwonić dziś rano. Powinnam była zostawić ci karteczkę — powiedziała Sara. — Ellen zatelefonowała w środku nocy i poprosiła, bym przyszła i zajęła się doktor Channing. Ciotka Ellen jest bardzo chora, więc musiała pojechać do niej do Waterloo.

Głos Bena był aksamitny, głęboki, lekko falujący. Gdy zapytał: „Wracasz do domu?” w słowie „dom” była taka tęsknota, że Sara poczuła, jakby położono jej ciepłą rękę na skórze.

— Nie mogę — odparła Sara. — Nie ma kto zostać z panią Channing aż do poniedziałku, kiedy przyjdzie pani Eaker.

— Wyjeżdżamy we czwórkę samochodem z uniwersytetu na tę konferencję do Chicago. Wrócę dopiero w niedzielę późnym wieczorem, ale samochód będzie w stodole. Wiesz, gdzie są kluczyki, gdybyś go potrzebowała. Wystawię jedzenie i wodę dla Banana. W twojej kuchni pali się światło. Mam je zgasić?

— Może lepiej zostaw.

— Więc w poniedziałek będziesz mogła wyjść. Ja również — rzekł Ben.

— Wiesz co — a może pani Eaker da ci wolne popołudnie w poniedziałek. Co byś powiedziała, żebyśmy się spotkali na pokazie bydła po moich zajęciach o jedenastej.

W ogóle nie pytał o jej podróż, o przebranie. Oferował swój samochód, pomoc i to wszystko.

— Czy na Hill jedzie jakiś autobus? — spytała Sara.

— Tak jest. Ma przystanek tuż przed domem rektora na College. — W głębokim głosie słyszała teraz uśmiech. — Najlepszy pokaz na Środkowym Zachodzie, a kto wie, może sięgną do butów zapinanych na guziczki, gorsetów z kłów wieloryba i całej reszty. Powinnaś tam być koło pół do pierwszej, będę cię wypatrywał w bramie.

— Nie przychodź. Lepiej nie — poprosiła Sara.

— Zgoda — przystał Ben.

Słowa pożegnania dźwięczały w jej uszach uprzejmością, przestrzenią i powietrzem — tym co, jak jej się wydawało, zaczynało pojawiać się w ich wzajemnych stosunkach.

Odłożyła słuchawkę i zakryła twarz rękami. Czubkami palców dotykała szorstkich, sztucznych włosów. Nie powinna pokazywać się z żadnym mężczyzną, nigdzie. Była z Benem Woodwardem na jego podwórzu, u jego drzwi. Używała jego samochodu.

Lecz dziś po południu Martin pracuje w ośrodku sprzedaży i obsługi komputerów. Nigdy nie telefonował do domu starców w Craigie Court. Utonęła, wyszła z głębin na ląd i jest bezpieczna — jej matka o tym wie. Tak! Sara uśmiechnęła się, jej nagłe poczucie szczęścia było tak żywe, jak słoneczne geranium na oknie doktor Channing.

Lecz gdy Sara znalazła czystą pościel, posiała dla siebie łóżko Ellen i położyła się na chwilę, oczy nie chciały się jej zamknąć. Czowała drogę pod kołami samochodu, wdychała zapach krwi.

Leżąc w łóżku Ellen, wpatrywała się w rysunek domu, otoczonego wyłącznie nabazgranym kredkami niebem.

Koniec września, a taki gorąc — powiedziała Edna Grant do Helen Tyler, gdy stały na rogu Walnut i Seerley. Edna otarła czoło zwiniętą chusteczką. — Widzisz tego mężczyznę o ciemnych włosach, w ciemnych okularach w białym samochodzie?

— A bo co? — spytała Helen, patrząc na Seerley.

— Zaparkował tu wczoraj.

— Przestań — skarciła Helen spaniela.

— Widziałaś kiedyś ten samochód?

— Może to nowy lokator Clary?

— Jak się wynajmuje mieszkanie, to się nie siedzi przed nim cały dzień w samochodzie — zauważyła Edna.

— Może ma przyjechać wóz z meblami i chce tu poczekać? — zastanowiła się Helen.

— W niedzielę? Zresztą wynajmuje umeblowane.

— Znasz tych dwu mężczyzn, którzy mieszkają u Alice?

— Sprzedawcy.

— Rano słyszała, jak deszcz bębni po dachu. A świeciło słońce. — Helen odwiązała smycz Browniego od słupa telefonicznego.

— Deszcz? —. Oni.

— Na miłość boską.

— Chyba niemogli zdążyć do łazienki — rzekła Helen.



Przeszły obok białego samochodu, przyglądając się ciemnowłosemu mężczyźnie za kierownicą. Odwrócił twarz, lecz Helen puściła smycz Browniego, a następnie goniła go dookoła białego samochodu, tak że ujrzała twarz mężczyzny, zanim zdążył się pochylić.

— Ciemny i dość młody — oznajmiła Helen na następnym rogu. — Duży nos i wygląda na ponuraka. Taki typ, który wcześniej łysieje. Zaczesał włosy na łysinę jak twój profesor ekonomii- Zapuszcza brodę.

— Dlaczego siedzi w samochodzie, skoro ma tuż obok ładny park? — zdziwiła się Edna.

Martin siedział w samochodzie, pił wino i drapał się w podbródek. Cholernie swędząca broda. Całe ręce upaprał tą cholerną farbą z drogerii, gdy usiłował nałożyć ją na głowę i brodę.

Piątkowa noc. Sobotnia noc. U Woodwarda i w jego samochodzie w tej stodole panowała ciemność. Nikogo nie było w starym domu obok Woodwarda, w kierunku Seerley. Po drugiej stronie starsi państwo do dziewiątej siedzieli na werandzie przed domem.

Nie ma najmniejszego śladu Sary z wyjątkiem postaci Bena Woodwarda, który najprawdopodobniej był tylko uprzejmy dla Chloe Gray...

najmniejszego śladu Sary. Sara może być teraz w Fredsburgu, a on siedzi tu, ścigając jakiegoś nieznajomego. Martin siedział w samochodzie, pijąc sherry i porto. Nie pamiętał, kiedy ostatnio coś jadł. Nie był głodny.

Koło jedenastej w nocy wszystkie butelki z winem były opróżnione.

Martin prawie usnął, gdy nagle gwałtownie się ocknął, ujrzawszy, że samochód podwozi kogoś pod Tremont 2309 i odjeżdża.

Ben Woodward. Martin grzebał po kieszeniach, szukając kluczyków, upuścił je, zaklął, nie mógł ich znaleźć na podłodze samochodu, znalazł je, pojechał wzdłuż Seerley. Gdy skręcił za róg, klnąc w ciemności, zdołał tylko dostrzec mężczyznę, który schodził z frontowych schodów domu sąsiadującego z Benem Woodwardem. Mężczyzna krążył w głębokim cieniu wokół starego domu.

Martin zaparkował koło wysokiego budynku, cicho zamknął drzwi samochodu i ponownie wemknął się w alejkę prowadzącą do domu Bena Woodwarda. Ubrany był w ciemną koszulę i dżinsy — by nie było go widać w nocy — i teraz wiedział już, dokąd iść.

U Bena Woodwarda wszystkie światła były zgaszone — i to już od tak dawna. Samochód Woodwarda stał w stodole. Martinowi wydało się, że słyszał, jak ktoś wołał na kota: „Kici, kici... Banan, tutaj.” Potem szelest, jakby ktoś przedzierał się przez liście. Wysokie krzewy skrywały przed oczyma Martina tyły obu domów, lecz dał się słyszeć trzask zamykanych drzwi Woodwarda. W jego domu zapaliło się światło, prawdopodobnie w łazience, widać było tylko oświetloną krawędź zasuniętej żaluzji.

Martin czekał, przyciśnięty do drzwi stodoły, gdyż kręciło mu się w głowie i było mu niedobrze. Sara nie wchodziła ani nie wychodziła w czasie, gdy obserwował dom. Panowała w nim ciemność. A nuż myśleli, że ktoś mógłby jej szukać? Podstępna dziwka.

Martin zachwiał się i przylgnął do ściany stodoły. Włamać się. Dopaść ich oboje. Lecz może ten Woodward nigdy nie słyszał o Sarze Burney — po prostu chciał sprawić przyjemność niewidomej staruszce w domu opieki, a Martin Burney był głupcem?

Martin Burney nie był głupcem. Martin Burney musiał iść do ubikacji. Szlag by to trafił. Martin Burney stał w ciemnościach na jednej nodze i klął pod nosem. U Bena Woodwarda zgasło ostatnie światło.

Prawie północ. Przez cały weekend nie dowiedział się niczego ponad to, że Woodward jest w domu. Martin wysiusiał się w krzakach na podwórzu, a gdy kot wyskoczył nagle z krzewów, Martin wystraszył się tak, że przez minutę oblewał również stodołę Woodwarda.

Zaciągając zamek spodni, patrzył na sąsiedni dom. Ben Woodward wszedł tam frontowymi schodami. Na palcach Martin przeszedł po trawie do kuchennego okna. Nogi trzęsły mu się w kolanach — po tym winie. Znowu zobaczył przytulny pokój o pomarańczowej

ścianie, z filiżanką i spodeczkiem na stole. Rączka dzbanka do kawy znajdowała się w tej samej pozycji; kwiaty w wazonie zaczynały więdnąć. Nie było tu nikogo przez cały weekend.

Przebijające się przez listowie promienie latarni oświetlały coś w rodzaju ścieżki między domami; jej wydeptany, blady kurz tworzył w ciemności białą smugę. A zatem to Woodward szeleścił w tych krzewach. Po co wchodził na werandę od frontu w sąsiednim domu? Może by zabrać pocztę lub gazety — Sary?

Martin zajrzał przez drzwi werandy od tyłu, położył rękę na klamce.

Wisiało tam coś miękkiego, co rozgniało się pod jego palcami. Wsadził to do kieszeni i odszedł na palcach po miękkiej trawie.

Musiał jechać ostrożnie, gdyż ciągle widział dwie szosy, dwa czerwone światła, dwa zielone światła. W niedzielną noc parking przed motelem był niemal pusty. Cedar Falls zamarło. Sara może być w pobliżu, śpiąc pod jakimś dachem w mieście. Jest za sprytna, by posłużyć się którymś z jej własnych nazwisk, ale na wszelki wypadek sprawdzi w książce telefonicznej pod nazwiskami Sara Burney i Sara Gray i zadzwoni do centrali w Cedar Falls i Waterloo.

Jeszcze jeden pokój w motelu. Zamknął za sobą drzwi. Nazywał się Jim Baker i miał wynajęty samochód. Ben Woodward, powiedział do pustego łóżka. Ben Woodward będzie wiedział, gdzie ona jest.

W lustrze widniał jakiś mężczyzna o brązowych włosach i brodzie, przez którą nadal tu i ówdzie przeświecał podbródek. Martin patrzył na człowieka w lustrze, usiłując skupić spojrzenie w jednym punkcie.

Może Sara była u Woodwarda... ukrywała się, miała dobrą zabawę w łóżku, gdy tymczasem Martin pił wino w rozgrzanym samochodzie i siusiał na kota.

A jeśli jest gdzie indziej? Może w oceanie.

Ten człowiek wszedł po schodach, jakby w sąsiednim domu czuł się u siebie.

Martin wyjął pistolet z kieszeni. Razem z nim wypadło coś miękkiego — bukiet kwiatów.

Zmiał je w garści. Były przytwierdzone plastrem do klamki drzwi z tyłu domu.

Z kłębu kwiatów wypadła karteczka. Po chwili Martin skupił wzrok na tyle, że mógł odczytać czarne drukowane litery:

**OSZAŁAMIAJĄCE BÓSTWO: CO PÓŁ GODZINY PRZEZ  
CAŁĄ NOC, I BĘDZIESZ TO UWIELBIAĆ. BĘDZIESZ O TO  
BŁAGAĆ.**

WITAMY NA WYSTAWIE BYDŁA głośił biało-czerwony transparent, wydymający się na wietrze. Sara przycisnęła się do szyby autobusu! ujrzała obracające się diabelskie koło, srebrzyste, zwiewne jak aureola nasion dmuchawca.

Policjant kierował ruchem przed bramą; tłumy stały przed kasą, akurat tam, gdzie Sara wysiadła z autobusu. Przybyła wcześniej, Bena nie było widać. Kupiła bilet i czekała przy płocie. Za płotem były karuzele dla dzieci; różowe, plastikowe słonie z siedzeniami na plecach, małe samoloty z karabinami maszynowymi, z których dzieci celowały, krążąc w kółko. Pociąg, sięgający do wysokości kolan, turkotał po zakrzywionym torze, brzęcząc dzwonkiem.

Tłumy ludzi — Sara kryła się między nimi, tak samo anonimowa. Lekki wietrzyk unosił jej zieloną sukienkę wokół kolan, słońce mocno przygrzewało. Nikt jej tu nie znał.

Niebawem wysoki mężczyzna przeszedł przez bramę z biletem w ręce. Zobaczył Sarę, minął budkę, w której sprzedawano kukurydzę, i szedł nieco pochylony, rude włosy tworzyły świetlisty krąg nad błyszczącymi błękitnymi oczyma, cały skupił się na niej, widząc tylko ją, a Sara wyciągnęła ku niemu obie ręce, jakby był ciepłym kominkiem w mroźny dzień.

— Jak się masz — powiedział Ben.

Jeden mężczyzna pośród tak wielu — jego rude włosy i błękitne oczy świeciły dla niej. Odparła cicho:

— Jak się masz. — Uśmiechnęła się i ujęła go pod ramię. WITAMY NA WYSTAWIE BYDŁA

Martin przeczytał transparent, obracając się ku błotowi i tłumom na parkingu. Stracił z oczu rudego faceta — jechał za nim od Seerley Boulevard — widział, jak wyprowadza ten niebieski samochód ze stodoły Bena Woodwarda, a potem go zgubił. Nie był Benem Woodwardem. Woodward ma ciemną brodę.

Martin burknął: „Szlag by to trafił!” i wjechał na wolne miejsce na parkingu tuż przed tłustym farmerem, prowadzącym samochód pełen kobiet, wyskoczył i pobiegł ku bramie prowadzącej do czegoś, cokolwiek to było — z tym diabelskim młynem wyglądało na wesołe miasteczko. Kolejka do kasy. Martin tupał, kręcił się nerwowo i musiał czekać. Sary może tu w ogóle nie być. Musi znaleźć Woodwarda. Pójdzie za Rudym i zobaczy. Musi iść za Rudym. Cały czas.

Dzieci w kolejce podskakiwały, niemowlę wpatrywało się w Martina znad ramienia ojca. Martin kupił bilet i przeszedł koło karuzeli dla dzieci i budek zjedzeniem. Rudy mógł się udać w trzech czy czterech kierunkach.

„Rasowe pytony, kobry, żmije nadrzewne, żmija rogata, gekon tłustoogoniasty...”

Ben i Sara weszli do Estel Hall, słysząc monotonne nawoływanie:

„jadowity mokasyn wodny, potwór Gila, czarna żmija gabońska...” Bena i Sarę uderzyła fala chłodnego powietrza i hałasu, otoczyli ich ludzie o zaabsorbowanym wyrazie twarzy i nieśmiałych spojrzeniach osób zwiedzających.

Nikt nie interesował się kobrami ani tłustoogoniastymi gekonami, w drzwiach kasy siedział znudzony miody człowiek. Zawodzenia:

„Grzechotnik, żmija błyskawica” łączyły się z tonami polki z sąsiedniej budki. Sara i Ben zrezygnowali z rozmowy.

„Wieloplanowe połączenie baru i kominka” —głosił napis.

— Grzeje, podaje drinki i gra! — ryknęła Sara, usiłując przekrzyczeć dźwięki „piwnej polki”, a Ben odwrzasnął:

— Ostatnia nowość dla domu.

„Uzdatnianie wody dla myjni samochodowych, restrau-racji” — głosił duży czerwony napis.

— Interesuje panią uzdatniacz wody? — zawołał do Sary uprzejmy młody człowiek, starając się zagłuszyć polki i węże.

— Nie — odkrzyknęła Sara. — Interesuje mnie pańska znajomość ortografii!

Uprzejmy młody człowiek odrzuciwszy głowę przyjrzał się napisowi.

— Chodziło mi o to, żeby zwrócić uwagę — krzyknął. — Wiem, jak to się pisze, słowo honoru!

„Prognostryka krów: Dowiesz się, czy krowia rodzina nie powiększy się.”

„Teli-trone Company.” „Barry Jackson na senatora.” „Pomóż opiekować

się maltretowanymi dziećmi.” „Ręczny wyrób szkła.” Zmęczeni

widzowie rozwalali się na wystawionych w charakterze eksponatów fotelach. Z krokwi nad setkami budek opadały w splotach półksiężycy transparentów.

„Studio portretu z dawnych lat. Twoja podobizna gotowa w pięć minut.”

Sara i Ben zatrzymali się przed rzędami sepiowych fotografii w owalnych passe-partout: dziewczyna z knajpy, z asem na podwiązce, otaczająca ramionami rewolwerowca wpatrywała się w Sarę i Bena, tuż obok stała oprawiona w ramkę Indianka ze swym dzielnym wojownikiem. Były tam wiktoriańskie młode pary, kobiety i mężczyźni okryci jelenimi skórami i perkalem, stojący na platformach pociągu i piękności z Południa w towarzystwie oficerów w błękitnych lub szarych mundurach z czasów Wojny Domowej.

Kochankowie na fotografiach stali obok siebie, z twarzą przy twarzy. Ben otoczył Sarę ramieniem, a ona oparła się o niego, oświetlona rzędami zakochanych oczu. Ściany budki zavalone były kostiumami, strzelbami i kapeluszami z piórami; fotograf ustawiał właśnie kobietę i mężczyznę, ucharakteryzowanych na parę słynnych rewolwerowców, na tle zdobnych złotymi frędzlami czerwonych zasłon.

Tłumy, kurz pod stopami, głośna muzyka. Martin dotarł do Estel Hall — wydawało mu się, że przy drzwiach ujrzał rudego mężczyznę. Miał przed sobą mur ludzi, nad którymi unosiły się dźwięki pólki i czyjeś zawodzenia o autentycznych pytonach. Zaczął iść pierwszym przejściem, czując prażoną kukurydzę, wypatrując jednej twarzy, jednego ciała, które należy do niego i nigdy się od niego nie uwolni — jeżeli w ogóle istnieje. Sara i Ben opuścili tłumy i hałas Estel Hall, wychodząc na ciepłe słońce. — Cyrk farmerski — powiedział Ben. — Właśnie oceniają. Wszystkie rodzaje zwierząt.

W mniejszym budynku znajdowały się klatki z gołębiami, stały w podwójnym rzędzie na każdym z długich stołów.

— Ale imiona! — rzekła Sara, odczytując karteczki, gdy szli przejściem: „Gołąb Wywrotny z Komarna, La Hore, Jakobin, Francuski Mondain, Garlacz Indyjski, Srebr-nopuchy Szpak, Orientalna Kryza, Angielski Posłaniec, Berliński Krótkomordy Gołąb Wywrotny, Afrykańska Sowa, Saksońska Jaskółka, Falbaniarz, Idealny Amerykański Olbrzymi Gołąb Pocztowy. Runt Olbrzymi.” Runt Olbrzymi?

Brązowe, białe i płowożółte ptaki przycupnęły w małych klatkach, samiec obserwował ją znad olbrzymiej krawatki, jak starzec owinięty szalem. Na podłodze leżały wióry, pachniało piórami i rozgrzaną skórą.

— Wyglądasz na taką szczęśliwą — zauważył Ben. — Jestem szczęśliwa — oświadczyła Sara.

— Wyglądasz tak pięknie — dodał.

Jakiś człowiek sięgnął do klatki po gołębia, wyjął go i zawinął w zgrabną paczkę, jakby ptak był kawałkiem materiału albo gazetą. Obrócił go do góry nogami na rękawie. Różowe nóżki gołębia prawie nie drgnęły, jedno cierpliwe oko wpatrywało się w płaszcz mężczyzny.

— Musimy iść na jakieś karuzele — rzekł Ben. — I zjeść hot dogi. I wate cukrową.

Martin wyszedł z Estel Hall. Pod diabelskim młynem stały naprzeciw siebie stoiska z jedzeniem. Martin kupił



parówkę kukurydzianą — ociekającą tłuszczem kielbasę na patyku. Mógłby wybrać oberżynę smażoną po francusku albo kalafior smażony po francusku, albo francuskie nugaty czy plasterki cebuli smażone po francusku. Słońce piekło go, lecz dopadnie tego faceta i dopadnie Sarę, jeśli żyje. Jabłka w cukrze. Lody. Begonie.

Gorący letni dzień. Sara i Ben idąc, dotykali się — trzymali za ręce, Ben otaczał Sarę ramieniem albo ona jego. Benowi wydawało się, że mógłby tak chodzić do końca życia, pod niebem Iowa i flagami furkoczącymi w tym upalnym błękiecie.

Sara przystanąła, by popatrzeć na pajęczynę waty cukrowej, owijającej się wokół szpikulca, który trzymała sprzedająca.

Martin wszedł do namiotu, gdzie grano w bingo i rzędy ludzi siedziały w słońcu i cieniu, posuwając plastikowe płytki na numery swoich kart, pałali żądzą wygrania.

Ben kupił Sarze hot doga, sam zjadł dwa. Stanęli w cieniu stodoły, w której rodzina misternie wplatała kolorowe wstążki w końską grzywę i ogon, szpecząc do konia, mamrocząc w jego drgające uszy.

Ben miał odrobinę musztardy na brodzie. Sara wytarła mu ją serwetką, jej twarz była tak blisko jego i patrzyła mu w oczy tak długo, że spoglądając na jej miękkie usta wiedział, iż pocałowałaby go, gdyby byli sami. Wypili na spółkę colę przez dwie słomki i nic nie mówili, sączyli i niemal się dotykali albo dotykali się i słowa nie były potrzebne.

Martin wbijał obcasy w ziemię i zezował na słońce, patrząc w górę razem z tłumem — na szczycie drabiny stało zwierzę. Wyglądało jak osioł; przelożyło jedno kopyto przez krawędź żerdzi, potem następne.

— Brawo dla małej miss! — ryknął głośnik. — Będzie skakać!

Zwierzę upadło, tworząc brązowy środek wokół wykwit-łych ze zbiornika płatków wody. Mokre strumyki napływały do stóp tłumy, ludzie podskakiwali, śmiali się i krzyczeli.

Podniebny Nurek miał miejsca akurat dla dwojga. Ben

pomógł Sarze wspiąć się do środka, po czym razem ścisnęli uda, biodra i ramiona pod przezroczystym parasolem. Sara przycisnęła stopy do zakurzonej podłogi i wzniesli się szybko za innymi wagonikami, w których pary krzyczały, chwyciły się siebie, szybując ku błękitnemu niebu, pośpiesznie zanurzyli się, pikowali — Sara nie uchwyciła się Bena. Przymknęła tylko oczy, a on, zezując, ujrzał jej długie, blade rzesy pociągnięte tuszem i chudą rękę, mocno trzymającą perukę.

Oczy bolały Martina od słońca i ciągłego wpatrywania się w tłum, mocno zaciskał powieki, gdy Sara i Ben szybowali nad jego głową, wznosząc się i opadając na obręczy koła Podniebnego Nurka. Otworzywszy oczy, ujrzał przed sobą przechadzające się pary: mężczyzn, otaczających ramionami ramię lub talię kobiet albo trzymających je za rękę.

— Teraz diabelskie koło! — zaproponował Ben, po czym pobiegli do ostatniego wagonika i akurat zdążyli. Obsługujący zapiął ich ciężkim łańcuchem i koło uniosło Sarę i Bena ku niebu. — Jak dałaś sobie radę z brodą i wąsami? — spytał Ben.

— Świetnie — odparła Sara. — Tak się martwiłam. Ale mama ma się dobrze. Któregoś dnia ci opowiem... — Jej głos zanikł.

Patrzyła z daleka, z bardzo daleka na nabity ludźmi festyn — odległy, wielobarwny świat. Ponownie spróbowała mówić, lecz minawszy najwyższy punkt zaczęła wraz z Benem szybko opadać, zniżając się do zgiełku, muzyki, spojrzeń przechodzących ludzi... potem znowu się wzniosła, opadła i jeszcze raz się wzniosła...

Koło uniosło ich w górę w kołyszącym się wagoniku. Słońce lało się na nich, Sara złożyła głowę na ramieniu Bena, a potem wielka machina zatrzymała się, gdy dyndali na samym szczycie, zbyt wysoko, by miał dla nich znaczenie jakikolwiek dźwięk lub widok z wyjątkiem dźwięku- ich własnych oddechów, widoku swych twarzy. Gorące słońce, gorący wiatr. Ich usta, spotykając się, były gorące, zamknęli oczy na tle jaskrawego, nagiego nieba, całowali się coraz

mocniej, aż wydało się im, iż pograżyli się w sobie na szczycie świata. Lecz wówczas ich wagonik, chybocząc się niczym kołyska, zaczął się obniżać. Usta Sary otwarły się na wargach Bena i raz powiedziała „Och”. Mrugał jak sowa w biały dzień. Pośpiesznie porozdzielali swe wargi, ręce i ramiona i zeszli do wesołego miasteczka jak dwoje oddzielnych pasażerów diabelskiego koła, lecz w oczach mieli rozmarzenie, jakby bliskość słońca ukazała im coś nowego. W milczeniu wysiedli z wagonika.

Ziemia uwierała Sarę między palcami, czarna ziemia, która nie przypominała morskiego piasku — przywierała do ciała. W tym upale nie czuło się zapachu morza, jedynie woń hot dogów i hamburgerów, wyziewy benzyny z ciągników i powiewy z okręgów kukurydzy po obu stronach.

— Wiesz co, powinniśmy zrobić sobie zdjęcia — powiedział Ben. — Na pamiątkę.

Sara wróciła z nim więc do Estel Hall i budki z fotografiami „Z dawnych lat”.

— Muszę wyjść o trzeciej — rzekł Ben, gdy fotograf dopasowywał białą koszulę z żabotem na podkoszulek Bena i związywał mu z tyłu szykowny aksamitny płaszcz, tak by pasował na niego idealnie. — Fatalnie się złożyło. W ostatniej chwili zwołali zebranie rady wydziału, którego nie mogę opuścić.

— W porządku. — Sara znajdowała się w zakrytej firanką części budki, głos miała stłumiony. — Połóżę sobie. Tu jest zabawnie. Mogę wrócić do domu autobusem.

Fotograf założył Benowi na szyję krawat na gumce i pod aksamitny płaszcz wsunął rękawy z falbaniastymi mankietami, naciągając je aż po pachy. Olstra i dwa prawdziwe rewolwery. Kapelusz z szerokim rondem zsunięty na tył głowy. Ben spojrzał na siebie w lustrze: Dziecię Dzikiego Zachodu, czarodziej pokera, pożeracz serc, strzela jak szatan. Lustro wymalowane było na podobieństwo afisza, pod jego twarzą rewolwerowca widniał napis: POSZUKIWANY.

A oto pojawiła się zapierająca dech w piersiach królowa

knajpy. Sara zdjęła sukienkę, a nowa, uszyta z aksamitu, składała się głównie z przepaski i koronki, po prostu bardzo wycięty gorset. Mnóstwo koronek na spódnicy, noga goła nad czarną pończochą i podwiązki; fotograf powiedział, by postawiła stopę na stołku Bena. Włożył jej mały pistolecik za podwiązkę i butelkę w dłoń. Boa z piór owijało się wokół nagiej szyi, a z ozdoby na głowie wystrzelało półmetrowej długości pióro. Miała rękawiczki do łokci, a jeden oparła na ramieniu Bena. Poprosi o zdjęcia, pomyślała Sara, i je ukryje.

— Proszę podnieść brody trochę Wyżej — powiedział fotograf. — Niech się panienska do niego przysunie. I ramieniem proszę otoczyć mu szyję... tak jest. Proszę trzymać nogę tak, żeby było widać broń.

Fotograf zniknął pod czerwonym welwetowym sukniem i nastąpił oślepiający błysk. Potem wyszedł zabrać pistolet z podwiązki Sary i włożył zamiast niego asa pikowego.

— Teraz proszę na mnie spojrzeć i się nie uśmiechać. Martin wyszedł z za rogu. W głębi budki fotografa

w jaskrawym świetle pozowała jakaś para. Okulary Martina przyciemniały jasne kolory.

Rudy rewolwerowiec, w falbaniastej koszuli, z koltem z każdej ręce, wpatrywał się w Martina z za aparatu fotograficznego i rzędu fotografii. Martin pomacał pistolet w kieszeni.

Szyję rewolwerowca otaczały śliczne ramiona brunetki w rękawiczkach. Do pasa była niemal naga, a za podwiązkę miała zatkniętego asa pikowego. Rozbłyśły światła, odciskając w umyśle Martina obraz rewolwerowca i królowej knajpy z wyrazistymi, nieomylnymi szczegółami. Była to, jak dojrzał Martin, Sara.

Sara przebrała się w kącie za kotarą. Gdy wyszła, Ben trzymał już zdjęcia, były jeszcze wilgotne. A więc to ona, brunetka o nagich ramionach, ściskająca rudego faceta w koszuli z falbanami, w aksamitnym ubraniu i z sześciostrzałowcami.

— Podobają ci się? — spytał Ben.

Sara skinęła głową, patrząc na odbitki. Ani rewolwerowiec, ani królowa knajpy nie uśmiechali się, sepiowy brąz fotografii odepchnął ich w czasie do ludzi dziewiętnastego wieku, którzy nie mogli utrzymać uśmiechu na twarzy przez długie minuty, jakie zajmowało zrobienie zdjęcia. Nie uśmiechali się ani do siebie, ani do czarnej dziury aparatu.

Przyzwyczajeni byli do broni, mówiły ich spokojne oczy.

Gdy Ben płacił za zdjęcia, przyglądał mu się mężczyzna o brązowej brodzie, w ciemnych okularach. Widział, jak Sara bierze kopertę ze zdjęciami i odchodzi, z obejmującym ją Benem.

Piękna Sara powinna być trupem w stanie rozkładu.

A oto ona, pulchna i uśmiechnięta, w zielonej sukience, której nigdy nie widział, odchodzi z obejmującym ją mężczyzną.

Letni wietrzyk rozburzył krótkie, ciemne włosy Sary, gdy Martin szedł za nimi. Kroczył jak we śnie. Miała perukę albo obcięła i ufar-

bowała włosy. Zmieniona fryzura powiedziała mu to, co chciał wiedzieć — wystrychnęła go na dudka i się ukrywa.

Martin zwięził oczy patrząc, jak żegna się z Rudowłosym przy bramie. Wiatr przewiewał cienką, zieloną sukienkę Sary na piersiach i wokół nóg, które należały do niego — była jego żoną. A poszła w świat bez niego i jest szczęśliwa.

Martin nie spuszczał z niej wzroku. Jest szczęśliwa... Martin przewrócił się o sznury elektryczne i uskoczył przed małym dzieciakiem, trzymającym ociekającego musztardą hamburgera z serem w jednej ręce, w drugiej zaś lody w waflu. Czuł się sztywny i zimny jak maszyna, której metalowa główka terkotała „Sara, Sara, Sara”. Miał pistolet w kieszeni. Zabije ją teraz — dopadnie samą i zabije.

Przyszło mu do głowy, że krótkie, ciemne włosy to peruka — lśniły w świetle. Martin znał to ciało, ale nie sposób, w jaki się poruszało — bez celu, w rozmarzeniu, spokojne i samotne. A jednak każdy ruch był ruchem Sary. Wróciła do Estel Hall, jakby nikt nigdy nie płacił za jej jedzenie, dom i ubrania — rok po roku. Zostawiła go jak papierowe kubeczki albo patyczki po lodach, które ludzie kopali wokół, w kurzu i słońcu.

Ale szedł za nią, z ręką w kieszeni, w której znajdowała się broń. W połowie hałaśliwego przejścia Sara zatrzymała się przed lustrem, by przymierzyć naszyjnik, a potem następny. Sprzedawca za ladą wręczał jej delikatnie wisiorki, Sara wzięła je w rękę, którą ugięła jak miseczkę, i pochyliła się, by zapiąć je na karku. Jej półuśmiech spotkał się z drugim w lustrze, gdy płaciła za małe złote serduszko, zwisające na łańcuszku wokół szyi, lecz ani razu nie odwróciła się, by spojrzeć na mężczyznę w ciemnych okularach, stojącego przed napisem: „Czy twego psa potną w celach doświadczalnych?”

Słoneczne światło rzuciło na nią blask, gdy znowu znalazła się na powietrzu, leniwie kołysała ramionami. Czasami wiatr szeroko rozwiewał krótkie, luźne rękawy jej sukienki. Martin poczuł mdłości — to kielbaska, którą pośpiesznie przełknął i dwie butelki bezalkoholowego piwa. Kroczył dalej we śnie, z oczyma utkwionymi w ciele, które

powstało z martwych. Podniosło ręce do barierki, na której oparło się, by popatrzeć, jak mechaniczny mustang wyrzuca mężczyzn i chłopców w morze z nadmuchanej gumy,

— Dalej, kowboju! — ryczał tłum, gdyż mustang miał namalowane długie rzęsy i uszminkowane usta.

Dziecko poleciało w dół głową naprzód. Martin mógłby zastrzelić Sarę i pozostawić ją w miejscu, gdzie z uśmiechem opierała się o barierkę. Upadłaby na ziemię. On zgubiłby się w tłumie, Ale wokół niej byli ludzie. Szedł za ciałem, które utonęło. Przechadzało się pod kołdrami uszytymi z kawałków materiału, zawieszonymi wysoko na sznurach. Spacerowało w zakurzonych sandałach przed stoiskami, pełnymi szydełkowych dziecięcych bucików i robionych na drutach przykrywek na papier toaletowy, do których przyczepiono niebieskie, czerwone bądź złote kokardy na znak, że eksponaty te zostały nagrodzone. Spostrzegł, że mężczyźni odwracają się, by popatrzeć na ciemne włosy, zieloną sukienkę.

Później Martin stracił ją z oczu. Biegał jak szalony po pawilonach i alejkach wystawy. W końcu znalazł Sarę na pokrytej dachem arenie, przyglądającą się krzyżącemu woźnicy, który powoził sześciokonnym zaprzęgiem. Robił coraz mniejsze ósemki, a publiczność klaskała. Martin nie odrywał oczu od Sary, która siedziała sama w pierwszym rzędzie, z rękami na kolanach, wpatrując się w wielkie konie pociągowe zmuszone do dreptania w miejscu.

Potem były wierzchowce i podlotki w bryczesach. Sędziowie wybierali zwycięzców. „Konie przy ogrodzeniu są już wolne” — zadudnił głośnik. Więc tu sobie siedziała, patrząc na konie.

Żołądek Martina wywracał się na drugą stronę. Mógłby teraz podejść do rzędu, w którym siedziała, zastrzelić ją, zeskoczyć z platformy pod balustradą i wmieszać się w tłum na zewnątrz areny.

Zaczął podchodzić do miejsca, gdzie siedziała, odwrócona do niego plecami. Musiał iść wolno, jakby się nigdzie nie śpieszył, a gdy tak się posuwał, popis dobiegł końca i Sara podniosła się do wyjścia.

Musiał zatem iść za nią po otwartym terenie. Popołudniowe słońce oślepiło go, zielona sukienka zniknęła w ścisku. Martin pobiegł za nią do dużego budynku z cegły, na którym widniały napisy: „KONIE POD WIERZCH”, „CHAROLAIS”, „WOŁY”, „BYDŁO BEZROGIE RASY HEREFORD”, „BYDŁO KRÓTKOROGIE”, „ABER-DEEN ANGUS”, „SALA RAS”.

Odór gnoju i słomy zionął na Martina, idącego za Sarą pod nisko opadającymi krokwiemi. Bydło leżało z nosami przy ścianie, a naprzeciw bydłych zadów na składanych krzesłach albo wielkich, pomalowanych pudłach siedziały farmerskie rodziny, składające sobie wzajemnie wizyty, kopiące słomę, trzymające dzieci na ręku.

Nie mógł się zbyt zbliżyć do trzepoczącej, zielonej sukni Sary i drugich nóg, które musiała zakrywać, gdy była z nim. Martin przełknął ślinę, walcząc z mdłościami, podchodzącymi mu do gardła. Pomiedzy długimi, ceglanyimi budynkami stodół mężczyźni polewali zwierzęta wodą, brązowe kałuże odbijały niebo i chmury. Krowy przeżuwały w cieniu.

Sara wolno szła przez Salę Ras, zatrzymując się, by odczytać napisy. Martin trzymał się za nią w gromadzie, przed jego oczyma przesuwaly się nie czytane napisy: „White Park, sprowadzony do USA z Anglii, 1941. Hodowany w Rzymie w 55 r. p.n.e.”

Było mu niedobrze od zjedzonych hot dogów i z nienawiści. Pragnął być sam z Sarą — przekradałby się za nią od budynku do budynku. Pomyśli, że go zgubiła i wtedy...

„Czerwony Angus” — głosił napis. „Pinzgauer.” Skoczyła do Manhasset Bay. Umiała pływać. Uciekła, śmiejąc się, i pozwoliła, by płakał, trzymał jej ubranie i wygadał się ojcu, że ją bił.

„Limuzyna”, „Chianina”, „Brangus”, „Beefalo”. „Blond d'Aquitaine”. Spokojne krowy, żując, obserwowały go. Dopadnie ją samą, by go błagała, a potem zastrzeli.

Na końcu obory pojawiło się światło, na wpół go oślepiając, gdy szedł do wyjścia, gdzie rzędami wisiały ogromne zabawki — psy z trzema piegami koło każdego



czarnego nosa miały po jednym czerwonym języku, jednej czerwonej obroży i dwoje czarnych uszu. „Postaw butelkę. Wygrywasz. Gra kończy się, gdy butelka się przewróci. Zaryzykuj. Wygraj nagrodę.”

Sara szła z półuśmiechem na ustach, całkowicie zatopiona w sobie i samotna. Czasami zagadnęła dziecko lub matkę. Wygrała jakąś małą zabawkę, wyciągając ją wędką ze szklanej gablotki i oddała dziewczynce w dresie. Czekala w kolejce w toalecie dla pań, podczas gdy Martin wemknął się do niemal pustej męskiej toalety i w kabinie z surowego drewna, do której pod drzwiami wpadał promień słońca, zrzucił kiełbasę i nieco piwa. Pomyślał, że być może zaczyna wierzyć, iż Sara żyje. Była szczęśliwa. Jej sukienkę wydymał wietrzyk Iowa. A on rozbijał lustro, rzucił pracę — był poszukiwany przez policję. Spoconymi rękami dotykał pistoletu w kieszeni, a potem zobaczył, że zarys orla z rękojęści odcisnął mu się na dłoni.

— Rzuć dziesiątaka — krzyknęła do Martina jakaś dziewczyna. — Zaryzykuj!

Jarmarczne strzelby pukały w całym rzędzie budek. Martin szedł za Sarą, kryjąc się w tłumie. Mógłby ją tu zastrzelić. Pomyślał, że to po prostu część pukaniny.

Sara przystanąła, by spojrzeć na wystawione na stojakach całe rzędy masek, którymi dzieci przystrajają się w Zaduszki. Były tam ohydne, rozpadające się twarze z kłami zamiast zębów oraz tradycyjne duchy, wiedźmy i szkielety. Pustymi oczyma przyglądały się Sarze, która obeszła stojak i na chwilę znalazła się sama z pukaniną strzelb oraz wzrokiem mężczyzny w słonecznych okularach. Zbliżył się, podszedł do stoiska koło półki z rozpadającymi się twarzami, jego ręka z wolna wyłaniała się z kieszeni płaszcza...

— Hej! — usłyszała Sara tuż przy swym uchu. Gdy się odwróciła, ujrzała blondyna w wieku koło dziewiętnastu, dwudziestu lat, ubranego w koszulkę z wizerunkiem nagiej kobiety, wyciągającej się pod napisem Heavy Metal. — Ale pani jest piękna — powiedział, odrzucając głowę do tyłu i rzucając jej twarde spojrzenie wjeżdżającego do

miasta rewolwerowca. Gapił się na nią, lecz coś jej mówiło, że był straszliwie zażenowany i nie miał odwagi, by powiedzieć choć słowo więcej.

— Dziękuję — rzekła Sara, małomówna jak każdy kowboj.

— Podoba mi się ta sukienka — oznajmił, oglądając ją, jakby była koniem, którego kupno właśnie rozważał. — I ten naszyjnik.

Cóż mogła powiedzieć? Odwróciła się do szkieletów i trupów, uśmiechały się do niej, gdy przechodziła, a odbicie zielonej sukni falowało na ich cętkowanych powierzchniach i pustych oczach. Młody blondyn stał w gorącym słońcu, przypatrując się jej, mężczyzna w słonecznych okularach przypatrywał się im obojgu. Zanim Sara zniknęła za rogiem, Martin zobaczył, jak pożądliwie obmacały ją oczy szczeniaka, Znowu zmieszała się z tłumem — Martin musiał za nią iść, mijając psy, przywiązane do platformy. Kuliły się w słońcu z wyciągniętymi jęzorami. — Szlag by to trafił — powiedział do psów — popatrzcie no na Sarę, rozmawiającą z mężczyznami, przechadzającą się w zielonej sukience, jakby nigdy do nikogo nie należała. Żyje i podrywa mężczyzn!

Martin niemal roześmiał się z tego figła, który mu spletała — ale zabije ją. Teraz w każdej chwili może ją zabić.

Obserwował Sarę znad straganu, w którym sprzedawano kanapki z indykiem. Musiał się cofnąć, gdy z turkotem nadjechał sześciokonny zaprzęg — rozgrzane, brązowe końskie boki, migoczące szprychy.

Martin przeszedł za Sarą bramę. Stała na przystanku autobusowym w wąskim cieniu słupa telefonicznego, liżąc loda jak dziecko, gdy Martin mijał ją w tłumie ludzi..., rozkoszowała się lodem z przymkniętymi oczyma.

W połowie Rainbow Drive Martin czekał i patrzył. Była odcięta od niego, od ich wspólnych lat, nie używając nawet znanego mu nazwiska... nie wiedział nawet, jak się nazywa!

Ruch uliczny płynął po obu stronach Rainbow Drive.

Obserwował Sarę. Była pulchniejsza. Słońce rzuciło blask na wydymaną wiatrem sukienkę. Leniwie machała stopą, z przymkniętymi oczyma liżąc loda, trzymając w jednej ręce niewielką torebkę i fotografie „Z dawnych lat”. Gdy przyjechał autobus, wepchnęła koniec lodą do ust i zniknęła w drzwiach.

Nietrudno było jechać za autobusem do Cedar Falls. Sara wysiadła na Clay Street i ani razu nie spojrzała na biały samochód po przeciwnej stronie ulicy. Wspięła się do zielonego domu wysoko na nasypie i weszła do środka bocznymi drzwiami, jakby była tu zadomowiona.

— Dzień dobry — powiedziała pani Eaker, gdy Sara zamykała drzwi do kuchni. — Tak myślałam, że o tej porze pani wróci. Dzwoniła panna Parrish i powiedziała, że przyjdzie dziś wieczór koło dziesiątej i już zostanie, tak że może pani mieć wolną noc, jeśli ma pani ochotę. I może pani wrócić jutro po południu.

— Świetnie — rzekła Sara, myjąc ręce nad zlewem. Ślicznie wygląda w tej zielonej sukience, pomyślała pani Eaker. Wyjście dobrze jej zrobiło.

— Byłam na wystawie bydła — oznajmiła Sara.

— Niezły pokaz. Chodzę tam, odkąd skończyłam pięć lat, i specjalnie się nie zmienia. Widziała pani ciągniki?

— Nie — odparła Sara. — Widziałam zaprzęg sześciokonny, piękne konie pod wierzch i Salę Ras...

— Prawdziwy pokaz z Środkowego Zachodu — powiedziała pani Eaker, przeglądając się w kuchennym lustrze. — Doktor Channing niewątpliwie lepiej wygląda. Odkąd zaczęła jeść, ma lepszą cerę. — Pożegnała się i zamknęła za sobą drzwi.

Słońce przez całe popołudnie. Sara nuciała cicho, przygotowując obiad dla pani Channing. Jej sukienka pachniała świeżym powietrzem, gdy pochylała się nad Hazel, umocowując jej serwetkę pod brodą.

Sara uśmiechała się, ciepła, zmęczona i spokojna, myśląc o swoim planie. Może teraz. Może to się zdarzy. Opowiadała doktor Channing o wystawie bydła, mówiąc tak, jak zawsze: cisza, odgródzone firanką światło, tu niezmienny

błysk uchwytu na toalecie, tam odbita w lustrze duża fotografia. Lecz gdy już prawie skończyła podawanie łyżeczką musu jabłkowego, zmierzyła panią Channing długim, taksującym spojrzeniem i poszła po Złotą Czarę. Hazel Channing patrzyła, jak Laura otwiera książkę, i czuła się niewyraźnie. Już od dawna coś się psuło. Lękała się pierwszych słów. Po czym Hazel westchnęła i niespokojnie pokręciła głową na poduszce. Kogo obchodzi Henry James? Kogo obchodziło, czy nazwał swą książkę „pierwszorzędną” i oświadczył, że postaci dobiły z nim targu: „Uwierz nam ze wszystkich sił, a zobaczysz”? James uwierzył w księcia, księżniczkę, pana Ververa i Charlotte — ujrzał ich tak prawdziwych jak Laura Pray, która czytała siedząc obok jej łóżka.

Ale kogo to obchodziło?

A jednak Hazel otwierała usta, by, łyżeczka po łyżeczce, jeść mus jabłkowy. Słuchała. Henry James zaczął ją wplatać w precyzyjnie rozplanowane, zwodniczo jedwabiste pasma niezmiernie długich, kragłych, wyczerpujących, misternie skonstruowanych zdań. Świeciły wokół niej w mlecznym świetle pokoju, tworząc przestrzenie, które ukazywały cały świat, a zarazem go obramowywały.

Ale coś było nie tak, coś narastało od wielu dni, zakłócając tok zdań. Hazel wpatrywała się w Laurę Pray.

„Cóż to za szalone damy!” powiedziała Laura. Jak mogła? Hazel ufała Laurze. Ellen Garner nie była w stanie tego pojąć, ale Laura знаła różnice. Rozpoznawała je.

Hazel obserwowała Laurę, prawie nie musząc słuchać znajomych słów. Laura powiedziała, że panna Tita i panna Bordereau to szalone damy. Czyż nie mogła zrozumieć dwóch kobiet i takiego mężczyzny? Piękne, misterne zdania tkwały w pokoju srebrną sieć. Hazel ledwo je słyszała. Laura zaśmiała się, gdy Catherine zamknęła drzwi na Washington Square przed kochankiem, który ją rzucił — Laura powiedziała, że Catherine była zimna, nieczuła. A teraz miękki, subtelny, giętki, wymowny głos Laury dźwięczał monotannie, obojętnie, jakby nie

rozumiała... jakby nienawidziła tych słów. Największe dzieło Henry'ego Jamesa, które było też złotą czarą Hazel, gdyż poświęciła jej tyle ze swego życia — złoto, złoto!

Hazel piorunowała Laurę wzrokiem, aż nagle przepełniła ją nienawiść — nienawiść do świata, który rozbijał rzeczy, nienawiść do Laury, która niszczyła Henry'ego Jamesa swym głosem dobrej lektorki. Każde słowo było zabarwione lekkim szyderstwem, Laurze nie podobała się ta książka. Nie podobał się jej Henry James!

Laura czytała dalej, nie nabierając już na łyżeczkę musu jabłkowego. Jej chuda twarz pozbawiona była wyrazu. Ostatnie blaski letniego dnia migotały blado przez firanki, padały na wykrzywione usta Hazel Channing i nieprzeniknioną twarz Laury, której głos potępiiał i wyszydzał. Piękny, pohańbiony, znieważony rozdział dobiegi końca. Laura zamilkła, nie patrząc na Hazel Channing.

Cisza była tak przejrzysta, jak światło w pokoju. Płonący wzrok Laury spotkał się w końcu z rozwścieczonym spojrzeniem Hazel.

— Dlaczego nie napisze, o co mu właściwie chodzi? Słowa, słowa, słowa! — wykrzyknęła Laura. — Wydaje mi się, że książkę i Charlotta kochają się. Wydaje mi się, że Maggie jest zimna jak ryba, a jej ojciec też nie lepszy, tak mi się wydaje. Ale to po prostu ciągnie się i ciągnie!

Największa powieść Henry'ego Jamesa!

Ledwie minęła sekunda, odkąd skończyła zdanie. Bezsprzecznie to zbyt krótko, by usłyszeć śpiew ptaka za oknem, ale Sara myślała później, że dobiegł jej uszu.

Z całą pewnością usłyszała natomiast głos Hazel George Channing, ryczący:

— Nie! Nie! Pisz dokładnie to, co ma na myśli! I jest jedynym pisarzem pod tym względem!

Cisza powróciła do pokoju, odmienna cisza, która sprawiła, że Hazel i Laura spojrzały na siebie jak obce.

— Nie może powiedzieć, o co mu chodzi! — krzyknęła Hazel. — To musi być między wierszami. W ten sposób dowiadujemy się o sobie różnych rzeczy!

Po czym Laura roześmiała się, szczęśliwym, ciepłym

śmiechem. Upuściła Złotą czarę i pobiegła odciągnąć siatkowe firanki jednym sznurem, zasłony drugim. Ciągnęła okno, aż wreszcie otworzyło się z trzaskiem.

— Musi ukazać te delikatne rzeczy, które niszczą życie. I udaje mu się to! Cały czas mu się to udaje! — wykrzyknęła Hazel, przymrużając oczy przed oślepiającym blaskiem.

Ostatnie promienie słońca padły teraz na Laurę, do ' pokoju wionął gorący wiatr. Laura podbiegła do łóżka, otoczyła Hazel chudymi ramionami i przyłożyła policzek do starej twarzy na poduszce.

Wiatr poruszał zielonym rękawem Sary. Hazel poczuła zapach świeżo skoszonej trawy, ostrą, niemal cuchnącą woń wilgotnej ziemi i wiatr, wiejący znad olbrzymich połąci pól.

Martin zatrzymał się za rogiem i zaparkował w takim miejscu, by mógł widzieć oboje drzwi domu, do którego weszła Sara; udawał, że czyta gazetę. Po paru minutach z domu wyszła koścista staruszka, która za rogiem wsiadła do autobusu.

Nadal miał wrażenie, że to wszystko mu się śni. Mógłby zabić Sarę kilkanaście razy — w wymyślnej sukience, ukazującej gołą nogę i podwiązkę, uśmiechającą się do Rudego, rozmawiającą z jasnowłosym dzieciakiem, jak gdyby nigdy nie słyszała o Martinie Burneyu, nie kochała go ani nie wiedziała, że ma zamiar ją odnaleźć i rozwalić jej głowę. Szlag by to trafił.

Na tylnym siedzeniu miał trzy butelki sherry i porto.

Po stronic domu bliżej Martina otworzyło się okno. Wydawało mu się, że przez sekundę widział zieloną sukienkę Sary.

Mijały go samochody. Od czasu do czasu ktoś przeszedł obok, patrząc na niego. Zaczynało się ściemniać. Skończył butelkę sherry i zabrał się do porto.

Później przed domem zatrzymał się szykowny samochód. Wysiadła zeń elegancka, starszawa dziwka w szykownym ubraniu, z szykownie ufarbowanymi siwymi włosami i podeszła pod dom. Zapaliły się światła. Widział, jak szykowna stara dziwka rozmawia z Sarą w drzwiach. Po czym rzuciła się Sarze na szyję. Drzwi się zamknęły.

Ale zmęczony. Kurz na butach od tej cholernej wystawy bydła, kurz w nosie i w gardle. Wrócić do motelu. Martina bolała głowa, tak samo jak żołądek. Chciał iść spać. Chciał zabić ich oboje i mieć to z głowy. Chciał wziąć prysznic i położyć się do łóżka. Chciał się obudzić, poczuć Sarę blisko siebie i wiedzieć, że to wszystko było snem.

Dwoje dzieciaków przejechało kolo niego na rowerach, wykrzykując „ja też” i „nie, ty nie”.

Sara wyszła z domu. zeszła po podjeździe i skręciła za róg. Jechał za Sarą, trzymając się o jeden blok z tyłu, widział, jak w białej koszuli, szortach i sportowych butach przebiega przez przejście. Pomyślał, że zmierza do Rudego. Mogła chodzić po tym jarmarku cały dzień, a wieczorem jeszcze biega! Przez otwarte okno samochodu wypluł słodkomdłący smak porto i czekał, aż skręci w Tremont Street. Dziwka. Mógłby ją zastrzelić z samochodu. Doskonale. Nie można zabić utopionej dziwki.

Jechał za nią, odciągnąwszy bezpiecznik pistoletu. Było dość ciemno, by nikt specjalnie wiele nie zobaczył, a on może mierzyć do jej białej koszuli. Nie rozejrzała się nawet, gdy podjechał bliżej.

Następnie zaklął i zahamował. Gromada — chyba studentów uniwersytetu — wyszła zza rogu i zbliżała się w kierunku Sary.

Kombinowali jakąś zgrywę — połowa mężczyzn niosła drugą połowę na plecach i szła, zataczając się. Krzyczeli, śmiali się, a potem wykrzykiwali do Sary, gdy ich mijała, Martin zaś musiał objechać blok.

Gdy znowu się pojawiła, ujrzał, że nie wchodzi do domu Rudego, weszła po schodach sąsiedniego, starego domu. Może pracuje w jednym, a mieszka w drugim.

Otworzył drzwi i weszła do środka. A więc karteczka na klamce przeznaczona była dla niej: „Co godzina przez całą noc.”

Martin zaparkował na Seerley, naprzeciwko alejki, w której mieszkała Sara, po czym dal nura pomiędzy wieczorne cienie. Karteczka i kwiaty od Rudego przyczepione były do klamki drzwi od werandy za domem.

Słowa płonęły teraz w głowie Martina, za oczami;



„Dziewczyno, zapierająca dech w piersiach... będziesz to uwielbiać, będziesz o to błagać.”

Ale nie znajdzie kwiatów od Rudego. Nie znajdzie jego karteczki. Była jak suka, za którą chodzą węszące psy — rude i ciemne samce oraz blond szczeniaczki. Mieszkała obok Rudego, nie mając pojęcia, że Martin Burney jest bliżej niż w Montrose, Massachusetts, gdzie płacze nad nią, ponieważ utonęła. „Będziesz to uwielbiać, będziesz o to błagać.” Sara w łóżku z Rudym, błagająca o to — nienawiść przyprowadziła Martina o zawrót głowy, oślepiła go. Gdzie się znajdował? Na podwórzu za jakimś starym domem w jakimś miasteczku w Iowa, śledząc Sarę, by ją zastrzelić.

W innych domach zapaliły się światła. Ktoś po przeciwnej stronie ulicy wrzasnął:

— Mike-ii! Mike-ii! Czas do łóżka! Chodź już!

Letnia noc, choć był koniec września. Sara pomyślała, że może padać; powietrze wydawało się ciężkie. Opadały liście z drzew. W siatce przeciw owadom w sypialni Sary utkwiał listek ogonkiem do przodu, skupiając na sobie światło.

Sara wyciągnęła liść od wewnątrz, zaciągnęła story do połowy, pogasiła światła i rozebrała po ciemku swe nowo odnalezione ciało, które jeszcze raz samoistnie wyniosło ją na powierzchnię. Ciepłe powietrze prześlizgiwało się po niej, gdy wolna, tajemnicza i naga wbiegła do łazienki, by wziąć prysznic, weszła do wody niemal ze zgrozą, trąc, namydlając i opłukując ciało, które miało swe sekrety i posiadało moc. Zamknęła oczy, namydlając włosy, i ujrzała piegi Bena, tłoczące się na nosie i policzkach, jakby sypnięto je na skórę, potem zapieczono i zlały się razem. Brwi złoto-brązowe, nie rude, sterczały mu nad oczami jak strzecha. Miał małe uszy, przylegające do głowy, piegowatą szyję, był barczysty, godny zaufania i stopili się w jedno na szczycie świata. Znajomi z Bostonu i Montrose zapominali o niej. Od czasu do czasu mogli ją wspomnieć i powiedzieć, że to takie smutne — Sara Burney była taka młoda.

Miała brud między palcami: kurz z wystawy zwierząt. Jej

skóra promieniowała własną radością, pragnąc ponownie dotknąć Bena, Sara rozchyliła usta, jakby lejąca się woda to były pocałunki. Zaśmiała się. Gorąca woda złagodziła ból umęczonych stóp. Gorące pocałunki w gorącym słońcu... Ben przyciągający ją do siebie, jego ręka na jej piersi. Przypomniała sobie rozwścieczony głos doktor Channing. Georgia Parrish nie wierzyła słowom Sary, iż Hazel Channing wreszcie zdecydowała się przemówić. Georgia przeczesła czerwono zakończonymi palcami srebrny hełm włosów i oznajmiła, że to cud. Hazel Channing, cichym starczym głosem, w którym brzmiało zaambarasowanie, powiedziała, że to była sztuczka i uśmiechnęła się. Nawet ciężar włosów czy ręcznika przesuwającego się po jej ciele przypominał ręce Bena, pocałunki Bena. Nie wiedział, że wróciła na noc do domu. Gdyby podniosła słuchawkę i powiedziała: „Dobry-wieczór. Będę w domu aż do jutra w południe...”

Naga, czysta i sucha po wyjściu spod prysznic, Sara przypatrywała się swemu ciału w długim łazienkowym lustrze. Nie ma siniaków. Jest pulchniejsza i śliczna. Ben znajduje się obok. Pobiegła do ciemnej sypialni i pod codziennymi ubraniami po omacku szukała koronek. Tu, w zaciemionym pokoju, włożyła na siebie czarną, jedwabną kombinację. Była to jej najładniejsza rzecz, zamknęła oczy i myślała o Benie oglądającym ją, zsuwającym...

Sara poszła, by otworzyć lodówkę i popatrzeć na własne, dobre jedzenie. Zimne mleko — sięgnęła po pudełko.

Gdy Martin zajrzał pod na wpół zaciągniętą storę sypialni, trzymał w ręce pistolet z odciągniętym bezpiecznikiem. W świetle lodówki widział przez sekundę, jak wspomnienie, uśmiechniętą Sarę w czarnej jedwabnej kombinacji, w której utonęła. Była na wpół zakryta zaginionymi, długimi, lśniącymi włosami.

Szlag by to trafił, wyszeptał Martin. Bezpiecznik był odciągnięty. Podniósł pistolet i wycelował w czarną jedwabną kombinację, lśniące włosy.

Szlag by to trafił, wyszeptał Martin. Oczy wypełniły mu

się łzami, tak że nic nie widział i oparł się o dom. przyciskając twarz do ciągle jeszcze ciepłych desek.

Sara wypła zimne mleko i uśmiechnęła się do siebie. Jej matka wiedziała, że żyje. Martin wiedział, że umarła. Mogła odczekać chwilkę, a potem prześlizgnąć się przez wąską przestrzeń między krzewami bzu i płotem...

Włożyła szlafrok, zapaliła światło w kuchni.

— Kici, kici, tutaj — słyszał Martin, jak wołała z ciemnej werandy za domem. Jedyne głoś na świecie, głoś Sary, unosił się nad ogrodami w wieczornej porze jak duch. — Chodź, chodź! Kici, kici!

Martin zachwiał się pod oknem jej sypialni, oczy zamgliły mu się łzami. Gdyby wszystko potoczyło się inaczej... Wbił obcas w ziemię, by odzyskać równowagę. Mały pistolecik w jego dłoni był mokry od potu. Ktoś niedługo nadejdzie — ten jak mu tam z rudymi włosami. Ben Woodward? „Co pół godziny przez całą noc...”

Martin podszedł pod kuchenne okno Sary. Znowu ten przytulny pokój — pomarańczowe ściany, kwiaty w wazonie. Światło kuchenne rozpraszało się na czystych włosach i różowym szlafroku Sary. Pod stołem mały kotek lizał łapę.

Sara nalęła sobie jeszcze mleka i poszukała krakersów w kredensie.

Konserwy stawiała po trzy, jedną na drugiej, niektóre zwrócone były nalepkami w przód. Spacerowała po wystawie bydła jak wszyscy i poszła do damskiej toalety, gdzie kobiety uśmiechały się do siebie. Pozwalały dzieciom korzystać pierwszym i przytrzymywały sobie wzajemnie niemowlęta.

Schowała zdjęcia rewolwerowca i dziewczyny z knajpy.

Głoś Hazel Channing i zawstydzony uśmiech... jakby jej ktoś powiedział: „Wiem, że masz kochankę.”

Sara westchnęła, przeciągnęła się i wypła zimne mleko. Młody blondyn zawołał: „Ale pani jest piękna” ani razu nie patrząc jej w oczy.

Sara się uśmiechnęła. Jej szczęście opromieniało młodego blondyna — ciągle jeszcze czuła usta Bena na swoich, wysoko nad całym jarmarkiem w gorącym słońcu...

Przez otwarte okno w kuchni dochodziły nocne hałasy: świerszcze, przejeżdżający samochód, wiatr w dzwoneczkach na domu przy sąsiedniej ulicy.

Zdaje się, że Ben zgasił już światło. Może poszedł wcześniej spać do tego śmiesznego staroświeckiego łóżka pod kiścią winogron. Gdyby wślizgnęła się po jego schodach...

— Ben — powiedziała Sara, sama w kuchni. Martin słyszał ją przez otwarte okno: — Ben.

Furia wyrzuciła Martinowi z kieszeni rękę z bronią. Sara, uśmiechając się, piła mleko przy kuchennym stole, o parę metrów od niego.

— Ben — powiedziała miękko i roześmiała się.

Imię to zmroziło rękę Martina w połowie drogi do okiennego parapetu. „Moja śliczna”, chodziło mu po głowie. „Co pół godziny przez całą noc i będziesz to uwielbiać, będziesz o to błagać.” Nienawiść zarazem wstrząsała Martinem i go rozpaliała. Najpierw na jej oczach zabije kochanka. Niech błaga. Niech zobaczy, co narobiła.

Grupa nastolatków trzaskała drzwiami samochodów, zatrzymując się wzdłuż Seerley, wrzeszczeli do siebie, ścigając się do karuzeli w parku. Ich krzyki dobiegły Martina, idącego tunelem z bżów za domem Sary. Pomacał orły na rękojeści. Nie zabije jej, póki nie dopadnie faceta. Niech go najpierw zobaczy zastrzelonego — z jej powodu. Cały czas miał zamiar tak postąpić.

Było mu niedobrze. Zalał się. Wino na pusty żołądek. Przyjdzie Rudy, załatwi się z nim i pójdzie spać. Przez bzy — przejdzie między bżami i płotem.

Martin ścisnął w dłoniach butelkę porto. Stopy miał zmęczone od tych odległości, które przemierzył na wystawie bydła, bolały go nogi. W domu jest tylko Sara. Patrzył na każde okno jej oświetlonych pokojów.

Martin wyszedł z tunelu. Pociągnął łyk porto. Przechodząc przez tunel Rudy musi narobić hałasu. Albo Ben Woodward. Najpierw Sara zobaczy zabitego faceta. Może będzie błagać o jego życie. Niech sobie błaga.

— Prędej! — krzyknął ktoś w parku.

Ktoś inny wspinał się na górę zjeżdżalni, dźwięczał metal. Dwie huśtawki rozpoczęły zgrzytliwy kontrapunkt.

Sara drżała na myśl o ciepłe Bena w dużym łóżku. Otoczona ramionami, pocałunki, szepty, nie bałaby się...

— Nie — oznajmiła kuchni. — Musi być bezpieczny.

Zakryła usta dłońmi i zamknęła oczy. Trzeba zostawić Bena w spokoju.

Minęło dopiero półtora miesiąca od zimnych czarnych fal, księżyc w pełni, zgrzytu żużlu pod stopami na drodze do Grenville. Miała być samotna przez miesiące, lata. Rudowłosy mężczyzna pchający starą kosiarkę wokół drzew pośród słodkiej woni ściętej trawy...

Światło w kuchni Sary błyszczało przed Martinem jak złote ostrze.

Szybko dokończył porto i osunął się na trawę, by obserwować złote lśnienie pośród ciemnego podwórza. Na niebie nie świeciła ani jedna gwiazda — było ciemne. Może poczekać. Gdy światło w kuchni Sary zgasło i jej dom pogrążył się w mroku, Martin skulił się jak dziecko pod krzewami bzu.

O pół do dziesiątej nastolatki opuściły park, lecz kilkoro młodszych dzieci bawiło się jeszcze na jękliwych, zgrzytających huśtawkach.

Chłopiec podjechał rowerem do trapezu, schwycił się go, a rower pomknął sam, aż przewrócił się na bok przy krawężniku, z obracającymi się kołami.

Połnoc. Martin spał w pobliżu drzwi od werandy za domem Sary, gdy zaczął padać deszcz.

Martin rzucał się w swych snach i w deszczu. Biegał za Sarą ulicami, otwierając to jedne, to drugie drzwi, aż w końcu za którymiś ją znalazł, nagą i śmiejącą się z kimś w łóżku.

Martin wrzasnął i obrócił się we śnie, by pochwycić w kieszeni swoją dwudziestkępiątkę. Ramiona pięknej Sary otaczały szyję innego mężczyzny i nie obchodziło jej, czy Martin to widzi. Martin znalazł pistolet, znalazł bezpiecznik.

Sara mocno przyciskała mężczyznę i śmiała się, a światła fotografa lśniły jak błyskawice.

Grzmoty huczały w uszach Martina, lecz słyszał tylko śmiech Sary. Sen otaczał go, gdy otworzył oczy i ujrzał mężczyznę, wychodzącego z drzwi werandy.

Mężczyzna biegł przez podwórko Sary aż do narożnego domu. Martin podniósł się na nogi i gonił za nim, strzelając z pistoletu.

Czuł, że zamiast głowy ma olbrzymią, pulsującą dynię. Dom Sary pogrążony był w ciemności. Pośród grzmotów i ulewnego deszczu zabrzmiał krzyk mężczyzny i Martinowi wydało się, że Sara nadal się śmieje, gdy mężczyzna upadł na duży, okrągły klomb kwiatów, które w świetle błyskawic wyglądały na żółte.

Martin podbiegi do mężczyzny, odwróci! go. Deszcz padał na otwarte niebieskie oczy, młodą twarz, krew i włosy tak jasne, jak niegdyś Martina. Mokre chryzantemy, mocne i zielone, cuchnęły, zmiażdżone ciałem młodzieńca.

Jakiś głos zawołał:

— Jest tam kto?

Martin podniósł się chwiejnie, po czym przebiegł od narożnego domu z powrotem na podwórze Sary. Poślizgnął się na mokrej trawie i biocie. Sara, wyrwana z łóżka odgłosami strzelaniny, stała w drzwiach werandy, koszula nocna już przylgnęła do jej ciała, przemoczona ulewą. Ujrzała Martina, wychodzącego z podwórza narożnego domu, patrzył przez ramię do tyłu i poślizgnął się na mokrej trawie, ale poznała go. Martin! Sara ukryła się między krzewami bzu akurat, gdy Martin upadł na stopnie jej werandy.

W półokrągłych drzwiach werandy z tyłu narożnego domu rozbłysło światło.

— Kto tam? — zawołano.

Martin podniósł się już na czworaki, posuwając się wśród bzów tak blisko Sary, że nie ośmieliła się odetchnąć ani mrugnąć powieką. Przy świetle błyskawicy dostrzegła, że miał ciemnobrązowe włosy i krótką brązową brodę, lecz był to Martin.

Teraz w sąsiednim domu koło grządki chryzantem odezwało się więcej głosów. Martin podniósł się na nogi i potykając się przeszedł przez bramę podwórka Sary do alejki.

Nikt inny tak nie biegał, z uniesionymi ramionami, zawijając palce do środka. Martin, pomyślała Sara. Tu, gdzie i ona. Martin.

A więc pobiegła za nim w ciemnościach, między zygzakami błyskawic.

W alejce za domem, w świetle błyskawicy ujrzała wyraźny zarys samochodu, zaparkowanego na Seerley Boulevard — markę, kolor.

Dostrzegła, że Martin rzucił się do środka i odjechał z piskiem opon.

— Kto tam? — krzyknął ktoś z czerwonego, narożnego domu.

Sara w mroku pobiegła do alejki między zygzakami błyskawic, przemoczona nocna koszula uderzała ją po nogach. Grzmot rozdarł powietrze w górze. Przycupnęła w alejce w wysokich krzewach, czekając na błyskawicę, po czym pobiegła w zapadłej po niej ciemności, raniąc gołą stopę o coś twardego i zimnego w trawie.

Domacała się tego — małego pistoleciku. Gdy wślizgnęła się na stopnie werandy, znalazła przy kłamce coś miękkiego.

Sara oderwała tę miękką rzecz od klamki, bezgłośnie zamknęła za sobą drzwi od werandy i kuchni i stanęła w ciemności, drżąc i ociekając wodą. Przez kuchenne okno jak stroboskop mrugnęła błyskawica, krzewy, drzewa i płoty pojawiły się i znikły. Podwórko Sary było puste, lecz jakiś tłuścioch i młoda kobieta pochylali się nad kimś, leżącym na klombie chryzantem przy narożnym domu. Sara widziała, jak tłuścioch kosił tam trawnik. Młoda kobieta czasami opalała się przy grządce kwiatów, a z okna na górze na cały regulator dobiegała muzyka.

Teraz podnieśli mężczyznę na nogi — młodego człowieka o blond włosach, z otwartymi ustami.

W przeblysku światła Sara ujrzała karteczki przy swych drzwiach, krew plamiącą białą koszulę, mokre blond włosy oświetlone błyskawicą. „Ale pani jest piękna...”

A ona stała, ociekając wodą na kuchenną podłogę, z baretą w ręce. Znajome orły na rękojeści pistoletu wbijały w jej dłoń ostre szpony. Martin strzelił do człowieka, upadając zgubił pistolet w krzewach bzu i odjechał białym samochodem.

Piorun trzasnął i zagrzmiał. Nic nie było snem. Sara trzymała pistolet Martina, Miękkość w jej dłoni to bukiet kwiatów i karteczka. Martin strzelił do człowieka, który to przyniósł. „Zabiję ciebie, i tego mężczyznę też.” „Ale pani jest piękna. Podoba mi się ta zielona sukienka. I naszyjnik też.”

Zapaliła zapałkę i odczytała znajome pismo:



**PIĘKNA W ZIELENI —  
ME SERCE WISI WOKÓŁ TWEJ SZYI  
NA ŁAŃCUSZKU.  
TYLKO MNIE POTRZEBUJESZ MIĘDZY ŚLICZNYMI  
NOGAMI.**

Zawodząca karetka przejechała po Seerley. Zatrzymała się na rogu ze zgrzytem przypominającym zduszony krzyk.

Mały pistolet pasował do dłoni Sary. Orły na rękojeści, z otwartymi dziobami, rozczapierały ostre szpony. Sprawdziła magazynek w kolbie. Martin zastrzelił człowieka. Wróci po pistolet i po nią.

Końcem nadgarstka potarła przestrzeń między oczyma, rozglądając się po ciemnej kuchni, jakby jej nie poznawała. Był tu.

Sara ponownie wytarła mokre ślady stóp, zęby miała zaciśnięte, błyszczące oczy spoglądały twardo. Osuszyła się i namoczyła mokrą koszulę nocną w umywalce. Policja wkrótce tu będzie, krocząc po tonących w deszczu podwórkach.

Ujrzała złamaną poinsecję na śniegu i okrwawioną rękę przedzierającą się przez rozwalone drewno.

Jej odciski palców należą do topielicy. Weźmie ze sobą zwykłe ubrania — jeszcze jedna maskarada. Wepchnęła do torby szorty, koszulę i sportowe buty.

Jego samochód będzie w jednym z moteli, w pobliżu jest ich tylko parę. Znajdował się w mieście dość długo, by wytropić jej dom, wytropić ją. Wytropić ją! Uderzyła pięścią w ścianę; myślała, idiotka, że jest bezpieczna. Ubierając się szybko, miała wzrok utkwiony w pistolecie na toaletce i czuła, jak wali jej serce.

Było już po północy. Pod ulewnym deszczem opuszczały się i podnosiły liście, transparent wystawy bydła przemókł doszczętnie, strumienie wody waliły w dachy obór. Samochód policyjny jechał University Avenue, gdzie światła zmieniały się z czerwonych na żółte i zielone — świetliste miecze na mokrym asfalcie. Biały samochód pełznął wzdłuż kolorowych ostrzy.

Policja. Martin przejechał pół mili od domu Sary do motelu, jadąc za samochodem policyjnym. Deszcz padał na szybę tak obficie, że wycieraczki nie nadążały, światła motelu rozpląwały się w wodzie. Na parkingu przed Holiday Inn było kilka wolnych miejsc do parkowania. Martin nań wjechał i pozostał w samochodzie, czując smak wymiotów w dyniowatej głowie. Żaden mały pistolet nie obciążał jego kieszeni. Miał tylko tłumik z puszki po soku i nie przyszło mu nawet do głowy, by go użyć.

Osunął się na siedzenie i trwał tak przez długi czas, a deszcz bębnił mu nad głową. Ręce wsuwały się do kieszeni i ponownie wysuwały. Po pewnym czasie stwierdził, że bawiły się kierownicą, odmierzając jej kształt palcami. Liczył, ile palców mieści się w obrębie kierownicy. Kiedy liczył, mniej bolała go głowa.

Długo obliczał te wielkości, a tymczasem brodaty młody człowiek wymknął się z drzwi werandy za domem Sary do stodoły Bena Woodwarda i w potokach deszczu odjechał jego samochodem.

W końcu palce Martina ponownie przeszukały kieszenie. Wiedział, czego szukały — pistoletu z wygrawerowanymi orłami.

Szlag by to trafił. Zależało im na pistolecie. Musi go wydostać i ją zabić. — Kocham ją — wyszeptał do swych dłoni i poczuł Sarę w ramionach, odetchnął wonią jej włosów.

Palce nie słuchały go — znalazły kluczyki, zawiozły go z powrotem i zaparkowały na Franklin Street. Stopy zniosły go przez ciemne bloki, dziwne podwórza, obok stojaków na ubrania, kubłów na śmieci, żywopłotów. Przeczłołgiwał się, gdy nie mógł obejść ani przejść górą, w ciężkim i mokrym ubraniu, i wbijał obcasy w błoto, by utrzymać równowagę, i nosił głowę na szyi jak wielką dynię, która może się roztrzaskać.

Poprzez deszcz przebił się dźwięk uniwersyteckiej kampani.

Wreszcie Martin znalazł się na podwórzu za domem Sary, gdzie był jego pistolet.

Stopy zaprowadziły go do stopni werandy. Ręce zaczęły szukać po omacku na asfalcie, mądre jak zwierzęta. Wiedziały, co muszą mieć. Pistoletu nie było. Jego ręce wspięły się po stopniach, przeszukały krzewy bzu i mokrą trawę. Starał się trzymać głowę uniesioną, pilnując, by nie opadła na któryś bok. Sprytnie palce otworzyły drzwi na werandę i obmacały podłogę. Szukały pistoletu i Sary. Weszły do środka, a on za nimi.

Palce Martina obmacały meble. Otwierały drzwi. Znalazły latarkę w kieszeni i mały promień światła błądził po łóżku z pustą pościelą i szafce z zapachami Sary. W ciemności przycisnął twarz do jej ubrań, lecz rąk to nie obchodziło. Światło latarki ukazało łazienkę, a gdy sprytnie ręce natrafiły na tubkę pasty, dokręciły zakrętkę. Każdy ręcznik na wieszaku złożyły na trzy, podczas gdy głowa z dyni zdawała się rosnąć. Światło latarki z saloniku przesunęło się chwiejnie do kuchni i konserw w kredensie. Mądre ręce Martina ułożyły wszystkie puszkę w jednym rzędzie i ustawiły nalepkami do przodu.

— Nie tu — powiedział ręką. — Nikogo tu nie ma.

Ale i tak musiał zabrać ręce do piwnicy, by mogły pomacać wśród wilgotnych kamieni, wanny przytwierdzonej do podłogi, półek pełnych pajęczyn i zadziórów. Dyniowata głowa kiwała mu się na ramionach. Palce chciały iść na górę, Martin wspiął się więc do zamkniętych na klucz drzwi, aż usłyszawszy głosy zszedł niepewnie na dół, gdzie ujrzał światła na podwórzu przed domem Sary, uciekł zatem ze sprytnymi palcami przez drzwi od tyłu, przez parkingi do samochodu i odjechał do motelu. Martin nie zauważył niebieskiego samochodu, zaparkowanego na motelowym parkingu ani ciemnobrodego młodzieńca, obserwującego z foteja kierowcy, jak Martin buszuje po balkonach, usiłując odnaleźć swój pokój. Nie mógł odczytać numeru na kluczu. Przemoczony, dobierał się do różnych drzwi, aż wreszcie klucz zaskoczył, po czym wtoczył się do środka i usiadł na łóżku.

Mądre ręce Martina wiedziały, czego mu potrzeba. Znalazły butelkę porto.

Drzwi zostawił otwarte. Za balkonem spływała zasłona deszczu, huknął piorun. Ręk to nie obchodziło. Chciały pistoletu i chciały Sary. Głowa kiwała mu się na ogonku.

Ręce macały tkaną narzutę, gdy nie dawały mu pić.

— Nie za sprytne — powiedział im. — Wszystko popieprzone. Kogoś zabiły i nie wiedzą kogo.

Ręce przewróciły nocną lampkę. Przyleciały ćmy i uderzały o klosz.

— Głupie ręce — powiedział, więc łapały ćmy i wcierały je w narzutę, — Bałaganiary — rzekł do nich.

Gdy Martin uniósł wzrok, w pokoju motelowym stał mężczyzna.

Mężczyzna oznajmił:

— Zabiję cię.

Martin usiłował skupić na nim wzrok. Myślał, że może to Ben Woodward — niski facet z ciemną brodą, za którym jechał z Nebraski, lecz nie mógł go odnaleźć.

— Nie istnieję — oświadczył brodaty mężczyzna.

To by się zgadzało, pomyślał Martin, nie był w stanie odnaleźć Bena Woodwarda. Więc nie mogę nikogo zabić, prawda?

Mężczyzna naciągnął rękawiczki i cicho zamknął drzwi.

— Szlag by to trafi! — rzekł Martin przy akompaniamencie huku pioruna. — Ben Woodward?

Ben Woodward był niski i chudy.

— Będziesz mnie ścigał do końca życia — powiedział. — Zabijesz ludzi, których nawet nie znam. Ciekaw jestem, dlaczego uważałeś, że masz mnie na własność.

Martinowi nie wydawało się, by spał, a jednak głos Bena Woodwarda dźwięczał jak we śnie.

— Nie posiadam na własność żadnego faceta — rzekł Martin. —

Przyjmuję polecenia od McManusa.

Zdawało mu się, że Benowi Woodwardowi ciekną teraz łzy po brodzie, ale widział go niewyraźnie — jakiś gość z czarną krzaczastą brodą i wąsami. — Kochałem cię — powiedział brodac.

Nigdy żaden mężczyzna nie powiedział tego Martinowi.

Staneła mu przed oczyma zgorzkniała twarz ojca, oblicza McManusa, Chucka Jennera i Ala Surino. Omal się nie roześmiał, tak zabawnie zabrzmiało to „Kochałem cię”.

— Daj spokój — odrzekł Martin.

— Śledziłeś mnie i zabiłeś — powiedział Ben. — A przecież jesteśmy tacy sami. Nie chcesz prosić nikogo o pieniądze?

— Nie.

Ben Woodward zbliżył się nieco.

— Domagasz się szacunku, zgadza się?

— Tak. — Martin odpowiadał na pytania. Ujrzał dwóch Benów Woodwardów — obaj mówili. Usiłował skoncentrować się na jednym, by przekonać się, czy drugi odejdzie. — Mam posadę — zaczął Martin i urwał, ponieważ nie miał. Nic miał już posady. Rozejrzał się za butelką wina. — Nie mam posady — powiedział. — Nie mam żony. — Pomyślał, że chyba śni, gdyż nagle nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest ani po co tu przyjechał.

— Masz własne pieniądze, własną posadę, własny dom — nie chcesz mieszkać w cudzym domu?

Martin potrząsnął głową. Mężczyzna zadawał tyle pytań. Może był policjantem.

— Ani po kimś sprzątać?

Martin potrząsnął głową i teraz sobie przypomniął — boi się policji.

— A co byś powiedział na jakąś ciekawą pracę na pół etatu, do której mógłbyś chodzić tak długo, na ile żona ci pozwoli?

Martin dalej wpatrywał się w dwóch Benów Woodwardów.

— A czy chciałbyś mieszkać z mężczyzną większym od siebie, który biłby cię za każdym razem, gdy nie napiszesz na czas cotygodniowego listu do jego rodziców albo jeśli przez ciebie mole wygryzłyby dziury w jego kaszmirowym swetrze?

Martin przypomniął sobie, że miał kiedyś niebieski kaszmirowy sweter. Sara zapomniała odłożyć go razem z innymi ubraniami. Odnalazł go i stał przed lustrem

w sypialni, patrząc, jak biała koszula prześwituje przez wygrzyzione przez mole dziury, a potem sprzął Sarę jak diabli i wyrzucił sweter.

Ręce Martina drżały, wiedział, czego chciały — pistoletu.

— Kochałem cię — wyszeptał Ben Woodward. Martin znowu poczuł, że ma głowę jak dynię, podskakującą na ogonku. — Chciałeś mnie zabić — powiedział mężczyzna.

Ben Woodward był niski i chudy.

Martin patrzył, jak trzęsą się okryte rękawiczkami dłonie Bena Woodwarda.

Głos Bena Woodwarda nie był głośny, stawał się coraz bardziej miękki, wyższy i słodszy.

— Pamiętasz komunię w kościele, kiedy klęczałeś ze mną przy ołtarzu, i jak chodziliśmy po śniegu koło Harvard Square, żeby zobaczyć girlandy, którymi udekorowano domy na Tory Row na Boże Narodzenie, a potem jak w dzień Bożego Narodzenia czytaliśmy przy muzyce Opowieść wigilijną!

Miękki, wysoki i słodki głos Bena Woodwarda sprawił, że głowa Martina zachwiała się.

— Pamiętasz przedstawienia w teatrze Brattle? Pożyczanie płyt z biblioteki w Montrose? A jak pięknie wyglądały łódki w letnie popołudnie na Charles River? — Ben Woodward wsunął rękę do kieszeni, a gdy ją wyjął, trzymał w niej pistolet.

— Niestety — rzekł Martin, podnosząc się. — Chcą tego. Jego ręce biegały w górę i w dół po bokach spodni. Ben Woodward miał czarną brodę i wąsy, krzaczaste

brwi, czarne włosy, lecz jego oczy — Martin był teraz tego pewny — były oczami Sary. Woodward stał teraz blisko. Był tylko jeden i Martin zezował, chcąc ujrzeć jego oczy. Pomyślał, że to oczy Sary.

— Chcą tego — powtórzył Martin. Mówił o swych rękach.

— Czy mógłbyś kochać się z kimś, kto cię bije? — spytała Sara.

Mówiła z głębi męskiego ciała, była więc mężczyzną, lecz była też kobietą, wspominającą to, co wiedziała Sara, co

wiedział on. Według niego, kim ona naprawdę jest, spytała — ludzką istotą jak on czy żoną?

— Nic nie poradzę, skoro one tego chcą — rzekł Martin, robiąc krok w kierunku Bena Woodwarda.

Była mężczyzną, który miał broń, a o nią chodziło jego rękami. Martin usłyszał, jak Ben Woodward odciąga bezpiecznik pistoletu — nikły dźwięk między trzaskami piorunów.

Martin wpatrywał się w Sarę, wsłuchiwał w słowa Sary — mężczyzny, któremu po brodzie ciekły łzy i trzęsły się ręce, trzymające pistolet dwudziestkępiątkę. Zrobił jeszcze dwa kroki.

— Przepraszam — powiedział Martin, ponieważ jego sprytnie ręce chciały pochwycić pistolet.

— Jeśli cię nie zabiję, nigdy nie będę wolny — łkał Ben Woodward.

Sprytnie ręce Martina wcierały śmy w nakrycie na łóżko, gdyż nie mogły znaleźć butelki z winem. Zabiły już człowieka na klombie chryzantem, człowieka, który był u Sary. Chciały broni.

— Zabijesz mężczyzn, których nawet nie znam — rzekł Ben Woodward, pocierając miejsce między oczyma nadgarstkiem w rękawiczce.

Martin skoczył na Bena Woodwarda. Sprytnie ręce chwyciły dłoń Woodwarda, trzymającą pistolet.

— Chcą tego — usiłował wyjaśniać Martin. Woodward nadal trzymał pistolet, by go nie stracić,

a Martin wpatrywał się w szerokie, zrozpaczone, pełne nienawiści, błękitne oczy pod czarnymi brwiami — znajdowały się o centymetr od niego, tak znajome, tak obce, a usta pod czarnym wąsem dyszały na jego policzek.

— Kochałem cię — wyszeptał mężczyzna w ramionach Martina.

Martin łkał, pragnąc długich, pachnących włosów, okrągłych piersi Sary. Sprytnie ręce Martina wykręcały przegub Bena, chudy, mały przegub — wykręcały, aż okolona ciemną brodą twarz jęknęła.

Teraz pistolet trzymały sprytnie ręce Martina. To był jego

pistolet — czui orły na rękojeści. Ręce dostały to. czego chciały.  
Potem poczuł Sarę. W jego ramionach dyszał i szamotał się mężczyzna, lecz Martin czuł zapach Sary, utopionej Sary w zielonej sukience, którą wiatr owiewał wokół ślicznych nóg, Sary mającej zamię między piersiami i długie, miękkie włosy — Sary, która nigdy nie wróci.  
Na chwilę Martin zamknął oczy, dyniowata głowa roz-dymała się na ogonku. Ujrzał policję. Poturbował kobietę, zabił mężczyznę i te świnię będą go gonić. Wrzeszczała pchnięta na ścianę kobieta. Na klombie chryzantem leżał rozciągnięty mężczyzna. Maszyny lśniły w świetle równo poliniowanych promieni słonecznych, dochodzących przez tafle szlifowanego szkła. Sara padała i padała, ze stopnia na stopień, a grzmot walił po niebie.  
Głowa Martina była roztrzaskaną dynią. Bujała się wkoło na ogonku.  
— Chcą tego! — zaszlochał w ramionach Sary. Sprytne ręce miały broń. Rozłupały dynię.



Skrzydła i ciała ciem były wtarte w narzutę, na pół ściągniętą na podłogę, na której leżał Martin, z głową w ramionach, jakby spał. Dziura w skroni wypuszczała strumyczek krwi krętą ścieżką w kierunku ucha, w dłoni lśniła dwudziestkapiątka. Martin wpatrywał się w sufit motelu zamyślonym spojrzeniem, jakby zaabsorbowany był czymś innym i czekał na odpowiedź. Po autostradzie 218 przejechał autobus, do pokoju dobiegł odległy odgłos biegów, zmienianych na wysokie obroty.

Nad Martinem pochylał się niski mężczyzna z ciemną brodą, łkając i szepcząc — Martin, najdroższy, o Boże,

o Boże, dlaczego się zabiłeś, Martin? Martin? — i z drzeniem słuchając bezdźwięku w piersi Martina, macając brak pulsu w ciepłym jeszcze przegubie.

Sara puściła jego rękę. Poznała koszulę — zebrała mu ją pod pachami.

Przypomniała sobie maszynę do szycia, turkoczącą w ich sypialni w letni dzień, pełen liści i mgiełki.

Oczy Sary rozszerzyły się nad czarną brodą. Martin obserwował ją z uwagą, jakby miała zrobić następny ruch.

— Nigdy bym cię nie zabiła. Dlaczego do siebie strzeliłeś? — wyszeptała.

Oczy Martina spoczywały na niej.

— Mój Boże — dodała, wyciągając ku niemu rękę.

Cofnęła ją, przyłożyła dłoń do czoła nad krzaczastymi, sztucznymi brwiami, po czym się rozejrzała.

Przez otwarte drzwi niewyraźnie widziała łazienkę... siatkę na bagaże, otwartą szafkę. Na mosiężnym stojaku przycupnął telewizor, na biurku stał telefon. Wywieszka „Proszę nie przeszkadzać” dyndała nad Martinem z uchwytu szuflady biurka.

W górze dudniła burza. Sara krążyła po pokoju na palcach — załamujący ręce czarnobrody mężczyzna. Czy ktoś usłyszał strzał przez odgłosy burzy? Martin patrzył na Sarę w zamyśleniu, jakby też się nad tym zastanawiał.

Niski mężczyzna podbiegł do drzwi motelu i cicho je otworzył dłonią w rękawiczce. Równie cicho zamknął je za sobą i pobiegł przez burzę i deszcz do niebieskiego samochodu, zaparkowanego na bocznej uliczce. Zniknął na autostradzie, nim ostatnia ćma przyfrunęła do lampy koło motelowego łóżka, zanurkowała w misę światła i zatrzeszczała przed otwartymi, zadziwionymi oczyma Martina.

Seerley Boulevard jechał drżący, ciemnobrody młodzieniec. Żył — krew pulsowała mu w głowie, gardle i piersi. Bolał go posiniaczony nadgarstek.

— Chcą tego! — W niewielkiej przestrzeni samochodu rozbrzmiewał głos Martina, jak gdyby oddech z niego nie uszedł, wypchnięty z płuc po raz ostatni.

Na Seerley nie było już samochodów policyjnych ani karetki, jednak młody człowiek wjechał do stodoły od ulicy Dwudziestej Drugiej. Zawiesił kluczyki w kryjówce, a potem nasłuchiwał, drżąc lekko, w drzwiach stodoły. Ani w domu Bena Woodwarda, ani Sary nie było żadnych świateł.

Podwórka z tyłu domów, gdzie Martin musiał zaglądać w okna, ociekały deszczem. Upuścił pistolet koło drzwi werandy za domem. Liście ocierały się o policzek Sary jak ręka. Zawołała na kota przez ciemne podwórza. Człowiek, który nic teraz nie mógł usłyszeć, musiał tu stać, nasłuchując, z ufarbowanymi na brązowo włosami i brodą, i dwudziestkąpiątką w ręce.

Deszcz kapał z każdego liścia nad głową Sary, nie

przejmując się, że na podłodze w moteliu leżał rozciągnięty mężczyzna, w zamyśleniu wpatrując się w nicość.

Koszulę, szorty i sportowe buty Sara miała w trzymanej w ręce papierowej torbie, zrobiła kilka kroków po mokrej trawie w kierunku domu. Nagle otworzyły się drzwi w narożnym budynku; usłyszała głosy. Brodaty młodzieniec przebiegi bezszelestnie pod jabłonką do kuchennych drzwi Bena. Ryły otwarte i cicho zamknęły się za Sarą. Podpełzła do okna w kuchni.

Zza rogu domu Sary wyszli dwaj mężczyźni. Gdy kierując się światłem latarki weszli do jej ogrodu, ujrzała niewyraźne zarysy czapek od munduru — policja. Krzewy, kwiaty, płot w alejce wyskakiwały z mroku wielkimi świetlnymi łukami, teraz policjanci podeszli do drzwi werandy za domem. Słyszała, jak pukają.

Był moim mężem. Złamał mi palec i nadgarstek... Umysł Sary krążył między terażniejszością i przeszłością jak mysz po swej norce.

Wstrzymała oddech.

Policjanci ponownie zastukali do drzwi jej kuchni. Światła latarek rzucały żółte kręgi na bok domu, policjanci podeszli po schodach do werandy od frontu i zapukali. W mieście i nad Cedar River rozległ się gwizd pociągu, samotny jak głos ludzki nie oczekujący odpowiedzi.

Sara odlepiła z twarzy brodę, wąsy i sztuczne brwi i ściągnęła męskie spodnie i koszulę. Drżącymi rękami odwiązała bandaż z piersi, wyrzuciła zawartość papierowej torby na ciemną podłogę kuchni Bena i zapakowała to, co z siebie zdjęła, szybko, szybko, szybko. Wszystko schowała na najniższej półce kuchni Bena, daleko z tyłu.

Teraz była tytko nagą kobietą w peruce. Wytarła ślady stóp z podłogi i słuchała rozmowy mężczyzn na jej werandzie od frontu, ale zastanawiała się też, czy to Martin chodził w ciemności od samochodu do samochodu przed motelem w Fredsburgu.

Pukanie do jej frontowych drzwi urwało się. Wróć. Gdzie była pani w czasie strzelaniny? Musiała pani słyszeć...

Dlaczego podejrzewał, że nie utonęła?

Czekała, aż zadzwięczy dzwonek u drzwi Bena.

Skąd Martin wiedział, że ona żyje?

Wytarła moką twarz. Krew będzie kapać na rękaw niebieskiej koszuli. Martin w jej wspomnieniach śmiał się i krzyczał. Wbiegł między rozmigotane morze w Manhasset, na jego żółte włosy padały promienie słońca.

Sara podniosła szorty, koszulę i sportowe buty z linoleum w kuchni Bena i ułożyła koło drzwi na werandę. Słyszała teraz głosy w alejce — okno na dole w łazience Bena. uchylić odrobinę, niech się przesączą.

Czy Ben nadal śpi? Być może słyszał tylko grzmoty albo głucho bębnienie deszczu.

Martin nadal wpatruje się w sufit pokoju w motelu. Krew mogła już pocieknąć na ramię, przesączyć się do kieszonki koszuli, zebrać się tam, w cichym świetle lampki przesiąknąć na narzutę.

Sara wsłuchiwała się w głosy. Jasność z reflektora w alejce rozbłysła w kuchni Bena, Sara uniosła przegub do światła i ujrzała czerwone ślady palców. Wydało się jej, że znowu stoi w cieniu domku letniskowego, w którym spędzali miodowy miesiąc — patrzyła w lustro, które zaczynało tracić srebrzystą powłokę, a pieszczoty rąk Martina zaróżowiły jej piersi i ramiona.

Czekała na dźwięk dzwonka u drzwi Bena. Jej dom był ciemny i pusty. Dzwonek u drzwi Bena wcale nie zadźwięczał.

Schody szeptały pod bosymi stopami Sary, gdy przemykała do Bena na górę. Ostre krawędzie. Długo by się spadało...

Na dole nie biły fale. Na dole dźwięczały głosy, lecz przez uchylone okno sypialni dochodziły do niej tylko ciche szmery. Słuchając ich, Sara ściągnęła perukę, odpięła warkocze. Długie włosy ocierały się ciepłą falą o jej policzki i piersi, gdy delikatnie, powoli odginała kołdrę Bena.

Wiedziała, jak wpełznąć do łóżka tak nieznacznymi ruchami, by śpiący mężczyzna się nie obudził. W końcu gładko, wstrzymując oddech, wyciągnęła się na skraju szerokiego materaca. Jego oddech się nie zmienił.

Gdy zamknęła oczy — ujrzała, jak Martin ją znajduje — jak ją znalazł — podkradając się, uderzając niemal dokładnie tam, gdzie się znajdowała, lecz odchylając się, odchylając w absolutnie ostatniej chwili, by umrzeć w jej ramionach i upaść. „Zabiję ciebie i tego faceta też.”

Zacisnęła dłonie w pięści — odciągnęły bezpiecznik pistoletu. „Jeśli cię nie zabiję, nigdy nie będę wolna.”

Nienawidziłam go. Poszłam go zabić. Wargi Sary poruszały się bezgłośnie. Oddech Bena utrzymywał wolny, równy rytm.

Sara odrzuciła wspomnienie ciężkiego ciała Martina, które wyslizgnęło się z jej ramion i padając, kopnęło ją w nogę ciężkim butem.

Powstrzymywała drżenie, przysłuchując się chórowi owadów, przenikającemu przez otwarte okno. Mówiły, że burza minęła.

Ben. Słuchała jego wolnego, równomiernego oddechu z innego świata, do którego pozornie będzie należeć, gdy Ben się obudzi.

Nikłe ćwierkania i tykania odmierzały noc. Lato się skończyło. Łzy spłynęły z oczu Sary na poduszkę. Jeszcze trzy lata temu nie mogli oderwać od siebie rąk przy odosobnionym stoliku „Pod Błękitnym homarem”. Kiedyś pobiegli do swego domku letniskowego jeszcze przed skończeniem obiadu — kelnerowi przynoszącemu deser szczeka opadła nieco ze zdziwienia.

Jesień. Przejechał samochód, jego opony wydawały cmokające dźwięki na mokrym asfalcie i nagle Sara poczuła się sobą w samotności — odsłoniła zęby i zazgrzytała nimi jak zwierzę, które schwytało, co chciało, i trzyma zdobycz mocno w paszczęce.

Nie poruszywszy się, słuchając cichego oddechu Bena i odgłosów w alejce, Sara przypomniała sobie zatłoczony dom, przywodzący na myśl norę króliczą, mysią dziurę, wypełnioną stłoczonymi ciałami kobiet i dzieci, które się ukrywały.

Schronisko dla maltretowanych kobiet... przypomniała sobie, że spała tam na podłodze, z kobietami, które płakały przez sen lub cicho łkały, nie mogąc zasnąć. Te, które

przestały płakać, pełzły w ciemności, by otoczyć ramionami inne, które płakały, a czasami rozmawiały nad małymi pagórkami — śpiącymi dziećmi.

Sara słuchała Bena, oddychającego tak cicho, tak regularnie, i chciała przytulić się do niego. Przespał zwykłą noc, nie słysząc wystrzału, nie widząc twarzy, nieruchomiejącej w szklistym, oderwanym zamyśleniu, jak gdyby chciała powiedzieć: tu się zatrzymuję. Jak ty pójdziesz dalej? W kłamstwie, oznajmiła Sara małemu strumyczkowi krwi, płynącemu po szyi Martina. Będę brnęła w kłamstwie, tak jak się zabija, gdy jest się zapędzoną w ślepy zaułek, powiedziała do dziury od pocisku.

Martin obserwował ją brązowymi, szeroko otwartymi, zdziwionymi oczyma małego chłopczyka.

Deszcz z wolna wysychał na liściach i trawie.

Zanim światła latarń przygasły i pociemniały, na Seerley Boulevard i szosie były już suche plamy, pierwsze samochody zostawiały za sobą mokre ślady.

Fasada szpitala Schoitza stawała się coraz wyraźniejsza, nabierając kolorów na kolejny dzień. Pielęgniarka z oddziału położniczego przyniosła Ellen Dehlstrom wodę z lodem.

Podciągnęła store.

— Dziś jedzie pani z ciotką do domu — powiedziała. Ellen odwróciła pulchną, pozbawioną wyrazu twarz do okna.

W Montrose, Massachusetts słońce przesączało się przez chmury. Portier w bibliotece w Montrose wpuścił Pam Fitzer bocznymi drzwiami.

Zawsze tak robił w dni powszednie o ósmej.

— Dzień dobry — rzekła.

Odpowiedział na powitanie. Znowu miała na sobie czarną, bawełnianą sukienkę. Patrzył, jak postukuje wysokimi obcasami, przechodząc koło portierni. Była chuda, bez ikry i od tygodni ubierała się na czarno. Pewien jej znajomy utonął, powiedziała, gdy zebrał się na odwagę, by zapytać. Zapalił światła w holu.

Pierwsze promienie słońca pojawiły się na czubkach drzew nad starym domem Hazel Channing.

— Obiad w tej weneckiej restauracji, pod mostem, gdzie woda pluskała nam u stóp — rzekła Georgia Parrish smarując kolejny rogalik dla Haze. Hazel zaśmiała się.

— Gondolierzy pod oknami naszej łazienki.

— W prysznicu nie było gorącej wody. Ale zamarzając, słyszało się arie księcia z Rigoletta.

Sprzątaczką otworzyła drzwi motelu, zrobiła kilka kroków do środka, krzyknęła, odwróciła się, pobiegła.

W Nebrasce padało. W domu starców Craigie Court woda kapiała z dachu na trawę — rynny były zatkane liśćmi spadłymi poprzedniej jesieni.

— Posłuchaj deszczu — zwróciła się Chloe Gray do Liii Raincy. — Dobrze zrobi ogrodom przed zimą.

Jej niewidzące oczy zwróciły się ku szumowi wody.

— Te asystentki pielęgniarek wychodzą w połowie zdania — rzekła Lila.

— Nieważne. Przeczytam ci jeszcze raz listy siostrzeńca... Może rano dostaniesz następny.

Krzesło w biurze Holiday Inn trzeszczało pod kapitanem policji.

— Samobójstwo — powiedział do telefonu. — Jakiś Martin Burney z Massachusetts. Ufarbował włosy.

Kierownik motelu patrzył z ponurą miną.

— Niedobrze ze względu na interesy — odezwał się do żony. — Tu się zaraz rozniesie.

— A co z tą strzelaniną na Seerley? — zapytał kapitan policji. — Kiedy dostanę raport o kuli? Dzieciak mówi, że ten włóczęga strzelił do niego na chybił trafił — kiedy wracał ze spaceru do domu, zobaczył, że jakiś włóczęga usiłuje dostać się do środka drzwiami od tyłu, zgadza się? To mógł być ten Martin Burney. — Mówiąc, kapitan obracał pióro w palcach i wpatrywał się w żonę kierownika motelu. — Sprawdziliśmy Burneya, podobno utopił się przed trzema tygodniami gdzieś w Massachusetts.

Dzieciak mówi, że widział go z dość bliska, więc trzeba go tu sprowadzić, żeby obejrzał ciało, kiedy się go zakłajstruje i trochę się uspokoi.

Kierownik motelu popatrzył na żonę i potrząsnął głową.



Niebawem poranne słońce rozjaśniło ulice Cedar Falls i rozbłysło w dzikich jabłoniach na Seerley Boulevard, lecz u Abbottów słychać było tylko płaczące, kłócące się ze sobą dzieci. Pani Abbott zaplatała Sandrze warkocze.

— Idź się bawić, jeśli nie chcesz jeść owsianki — poleciła Markiemu. — No, jazda.

Wagonik Markiego piszczał i jęczał w słońcu poranka na Tremont Street. Słyszała go Sara. Przez całą noc leżała, niemal się nie ruszając, z oczyma otwartymi i pełnymi pytań — jak oczy Martina. Miała wrażenie, że nie jest sobą. Hej? powiedziała do swej wewnętrznej ciszy. Hej?

W sypialni Bena Woodwarda panował, mrok, jedyną jasną plamę stanowiło uchylone okno. Zaciągnięte były story i ciężka firanka. Piski i jęki nie całkiem rozbudziły Bena, zaspanym wzrokiem popatrzył na pogrążoną w ciemności sypialnię. Prawie nie otwierając oczu dotarł do toalety i z powrotem wsunął się do łóżka. Wieczorem był kompletnie wyczerpany — w niedzielę późno wrócił z konferencji, w poniedziałek miał zajęcia, potem wystawa bydła i to cholerne zebranie komitetu. Był tak skonany, że nie zjadł nawet obiadu — a do tego wziął dwie tabletki nasenne...

Potem sobie przypomniał. Ujrzał Laurę w pięknej zielonej sukience.

„Prawdziwe pytony, kobry, jadowite żmije...” Cierpliwe oko gołębia na tle męskiego płaszcza. Wata cukrowa, obracająca się na szpikulcu.

Pikujący wagonik Podniebnego Nurka. Wargi Laury w gorącym słońcu, wysoko na diabelskim kole. Dziewczyna z knajpy i podwiązka z asem pikowym... radość wybuchnęła w Benie, roześmiał się cicho, sam z takim szczęściem,

Piski i skrzywienie sunęły w przód i w tył. Ben leżał, nasłuchując... ale czy nie było tam jeszcze czegoś? Otworzył oczy, usiadł i jego ręka przemierzyła odległość między nim i ciepłą skórą, ciepłymi, długimi, jedwabistymi włosami, które przywierały do jego błędzących po omacku palców.

— Debora — mruknął pod nosem.

Ktoś, odwrócony do niego tyłem, leżał w łóżku. Ben wyciągnął rękę, by podnieść storę, a ten ktoś usiadł.

To była Laura — w mroku dojrzał jej usta jak kwiat i wąski nos. Padające z okien światło lśniło na jej włosach — blade jak promień księżycyca wędrowało po jej ramionach, rozłamując się na nagiej piersi. Pragnął przetoczyć się przez dzielącą ich przestrzeń i przycisnąć Laurę tak mocno, by nie mogła złapać tchu.

— Ben — powiedziała.

Zaszeleściła między nimi pościel, gdy Laura uniosła kolana do brody i patrzyła na Bena spod falującego kaptura włosów. Ben nie odzywał się. Leżał nagi i nieruchomy.

— Koło północy miałam straszliwy sen i poczułam się samotna — rzekła.

— Pomyślałam, że może zostawiłeś otwarte drzwi.

— Tak — potwierdził. — Nic nie słyszałem. Odwróciła się teraz na bok i przysunęła bliżej.

— Oboje spaliśmy.

Ben wstrzymał oddech, obawiając się odezwać. Czuł, jak jej włosy ocierają mu się o ramię, potem poczuł ich zapach i ciężar, gdy jej usta zamknęły się na jego wargach, a jej szczupłe ciało dopasowało się do jego ciała.

Słyszał dzieciaki Abbottów na rogu, ciągnące po chodniku piszcący wózek i, czując miękkie piersi Sary w swych dłoniach, odbierał ten dźwięk jako tak słodki, że miał chęć zapłakać. Był tu, nie śnił — wózek piszczał i jęczał po Tremont w kierunku Seerley, a przez otwarte okno dochodziła woń mokrych wrześniowych ogrodów.

— Laura — wyszeptał Ben. — Laura.

Ciężkie blond fale spadały mu na twarz z cudownym, śliskim, bladym migotaniem. Zwrócił twarz ku ich zapachowi. Teraz kobieta o imieniu Laura leżała pod nim, przytuliwszy mokrą twarz do jego twarzy, posiniaczony nadgarstek położyła mu na plecach. Na jej ciele nie było innych sińców, ale płakała, jakby miała je wszędzie, łkała rozedrgana w jego ramionach.

— Laura — wyszeptał, ocierając jej Izy z twarzy, całując tak słodko, że płakała, gdyż czuła się tak dobrze, a jego dotyk był tak ciepły, delikatny i miękki.

Wtorkowy poranek w Cedar Falls w Iowa zamknął się nad Benem jak złożone ciepłe ręce. Gdy wreszcie przestał ciężko dyszeć i leżał spokojnie, piszczący wózek jechał w stronę, z Seerley ku Tremont.

— Najdroższa — powiedział, pławiąc się w szczęściu tak rozległym, że nie mógł dostrzec jego granic. Gładził długie, lśniące włosy, włosy ukryte, pachnące teraz na jego policzku. Serce miał przepelnione — zdawało mu się, że czuje, jak wzbiera szczęściem. — Byłaś tu całą noc, a ja nic nie wiedziałem?

Oczy Laury były tuż przy nim, błękitne, rozmarzone, poprzecinane cieniutkimi lawendowymi kreszczkami. Odsunęła na bok srebrzyste włosy, by go pocałować. Świat jeszcze raz oddalił się, jak piszczący wózeczek.

— Piękna... — wyszeptał po chwili na piersi Laury. Usiadł obok i gładził jej włosy. — Kocham cię! Nie powiedziałaś, że mnie kochasz, ale i tak wiem!

— Kocham cię... — zaczęła Laura, nie patrząc nań. Znów po jej twarzy zaczęły płynąć łzy i nawet ich nie wycierała. Otoczyła go ramionami, przytulając mokrą twarz do jego policzka.

— Nie płacz — poprosił Ben. Gładził jej włosy. — Jesteś taka piękna... piękna blondynka.

— Wcale nie — rzekła Laura. Usiadła na łóżku i czubkiem nadgarstka tarła miejsce między oczami, jej piersi poruszały się w zielonkawym, płynącym z okna świetle. Zaczęła zaplatać warkocze. — Jeszcze nie — powiedziała. Gdy je zaplotła, pochwyciła szpilki do włosów z toaletki, złapała leżącą między nimi perukę. — Któregoś dnia. — Naciągnęła perukę i jej długie, piękne włosy znikły.

— Dobrze — zgodził się Ben. Przygarbił się i rozejrzał za dzinsami. — Wiesz co, zrobię śniadanie.

Sara patrzyła, jak Ben zapina pasek na klamerkę. Złapał koszulę. Świeciły złotawe włoski na jego piersi. Uśmiechnął się do niej, podszedł, by ją pocałować, po czym zbiegł na dół, dudniąc bosymi stopami.

Żaluzje w kuchni były odsłonięte. Ben, przepelniony

szczęściem, odetchnął głęboko i znalazł jajka w lodówce. Jego własna kobieta. Ciało płonęło mu jak namiot cyrkowy.

Przygotował jajecznicę, bekon, grzanki, kawę, sok, wszystko, co miał pod ręką. Państwo doktorostwo Woodwardowie, razem w tym domu.

Szykowna suknia z kwiatami, białą satyną i welonem, muzyka organowa, świergot zaaferowanych kobiet. Wyjdzie za niego. Skoro było tak dobrze, wyjdzie za niego. On zaczeka.

Ben nucił melodię z musicalu, rozbijając jajka, słysząc puszczonego na górze prysznic. Laura w jego łóżku. Laura pod jego prysznicem. Laura schodząca w dół w jednym z jego wielkich ręczników kąpielowych, unikająca jego spojrzenia. Potem napotkała jego wzrok i zaśmiała się z siebie, odrzucając głowę do tyłu. Teraz już wiedział, dlaczego to robiła, odrzucała długie, miękkie, ukryte włosy. Pod ręcznikiem była chłodna i pachniała mydłem, jej wargi również były chłodne, póki nie rozwarły się ku jego ustom jak płatki tulipana.

Gdy odzyskali oddechy, Sara włożyła koszulę i szorty, które zostawiła w rogu kuchni. Śniadanie jedli w słodkim półmilczeniu, ich oczy spotykały się nad posmarowaną masłem grzanką, słoikiem dżemu, filiżankami kawy. W połowie posiłku przywarli do siebie obok piecyka i długo się całowali, kołysząc lekko splecionymi ciałami w świeżym, płynącym z ogrodu wietrzyku, zapachach bekonu, wczesnym słońcu.

Skończyli właśnie kawę i pocałunek, gdy Ben rzekł:

— Jakiś policjant węszy po twoim ogrodzie.

Laura zostawiła naczynia ze śniadania, które zbierała ze stołu, i stanęła obok Bena przy kuchennym oknie. Zielona trawa i liście błyszczały po deszczu w promieniach słońca.

— Wiesz co — powiedział Ben — pójdę z nim porozmawiać. Może zgubił odznakę. Może zgubił buty. Może się zgubił.

Jego głos miał w sobie lekki zaśpiew, uśmiechnął się, usiłując rozweselić Laurę i zatrzaskał za sobą kuchenne drzwi.

Laura patrzyła, jak Ben wychodzi z tunelu bżowego,

stając obok policjanta na chodniku za jej domem. Ciało Bena było rozluźnione, gdy zadawał pierwsze pytanie, potem ujrzała, że sztywnieje. Rozejrzał się wokół, zwrócony tyłem do policjanta. Policjant wskazywał tu i tam.

Laura ustawiała filiżanki w kredensie, gdy wrócił Ben w towarzystwie policjanta.

— Strzelanina w narożnym domu — oznajmił Hen,

— Przepraszam, że zawracam państwu głowę. — Policjant był młody i zakłopotany, cały czas obracał w rękę czapkę. — Musimy wypytać wszystkich sąsiadów.

Laura wyglądała, jakby śniła, pomyślał Ben. Na koniec zapytała policjanta:

— Napiłby się pan kawy? .

— Nie. Ale w każdym razie dziękuję.

Laura usiadła przy stole i obaj mężczyźni również usiedli,

— Syn Coreyów wracał wczoraj wieczorem późno do domu i złapał włóczęgę w ogrodzie — wyjaśniał Ben. — Włóczęga postrzelił go w ramię i uciekł: Właściwie ledwo go drasnął.

Policjant wyjął notatnik.

— Wynajmuje pani sąsiedni dom od pani Nepper, zgadza się? — zwrócił się do Sary. — Czy w nocy słyszała pani albo widziała coś podejrzanego?

— Nie — odparła Laura.

— Spała pani z tej strony swego domu?

— Tak — potwierdziła Laura, nie patrząc na Bena.

— Przeszukamy okoliczne podwórka, chociaż mamy broń — oznajmił policjant, podnosząc się. — Proszę nas zawiadomić, gdyby państwo znaleźli albo zobaczyli coś, co mogłoby mieć znaczenie.

Laura odprowadziła go do kuchennych drzwi, po czym się odwróciła.

— Powinam wracać — powiedziała do Bena. — Ale przygotuję ci lunch. Dzisiejszą noc prawdopodobnie spędzę u doktor Channing.

— Zadzwoń do mnie — poprosił Ben.

Policjant zamknął za sobą drzwi, a Laura wtuliła się w ramiona Bena z ciągle tym samym, rozmarzonym, niemal

oszołomionym wyrazem twarzy. Dwukrotnie powracała do niego, zanim w końcu zamknęła drzwi od kuchni i weszła do tunelu z bżów. Banan miauczał przy drzwiach werandy z tyłu jej domu.

Grupka ludzi na sąsiednim podwórzu nie zauważyła, że Laura wychodzi spomiędzy bżów. Przy klamce na drzwiach werandy nie wisiał bukiet kwiatów. Wytarła mokre ślady...

Sara gwałtownie odetchnęła, po czym cicho i szybko zamknęła za sobą drzwi werandy. Siady zabłoconych butów, teraz wyschnięte i szare, biegły przez werandę i umytą podłogę w kuchni.

Włóczęga. Zawołać policjanta — był wśród grupy ludzi na sąsiednim podwórku. Nie. Sara przechodziła z pokoju do pokoju. Nie było tu nikogo.

Złapała ścierkę spod zlewu, zamoczyła ją i szorowała na kolanach podłogę, a pod jej oknem rozmawiały zaaferowane głosy. Umyła podłogę na werandzie, w kuchni, w holu, schody na piętro...

Zadźwiewał dzwonek.

Zanim Sara otworzyła drzwi, wytarła ostatni ślad stopy w łazience.

— Przyszłam od razu — powiedziała pani Nepper, potwierdzając to kiwnięciem białych włosów nad brązową twarzą. — Słyszałam od Mary Harris. Sprząta w Holiday Inn. Przyszłam od razu..

— Proszę wejść — zaprosiła ją Sara, otwierając drzwi werandy.

— Usłyszałam od Mary Harris. — Pani Nepper weszła do saloniku i rozejrzała się. — No, no, ależ ta boazeria ślicznie wygląda. Sprząta w motelu, ale nie ona, na szczęście, znalazła ciało.

— Jakie ciało? — zapytała Laura.

— Przyszłam od razu. Chciałam sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, ponieważ dzwoniłam do Hazel Channing, a pani tam nie było. Słyszała pani strzelaninę? Nie znalazła ciała, ale policja rozmawiała z nią i ze wszystkimi.

— Gdzie? — spytała Sara.

— W Holiday Inn. To był włóczęga. Czyba słyszała pani o włóczędze?

— Była policja — powiedziała Sara.

— No więc, przyszedłam od razu, bo Mary Harris dowiedziała się o tym. Pracuje w motelu. On nie żyje.

— Kto?

— Włóczęga! Przyszedłam od razu, bo myślałam, że będzie się pani bała, sama jedna w domu, skoro tuż obok strzelano do chłopaka Coreyów. Czy coś pani słyszała? Powiedziałam Mary Harris: „Jadę od razu powiedzieć Laurze Pray, żeby się nie martwiła. On nie żyje.”

— Nie, nic nie słyszałam oprócz burzy — rzekła Sara. — Napije się pani kawy?

— Zastrzelił się. Bardzo chętnie — oznajmiła pani Nepper, siadając na tapczanie. — Myślę, że tylko wariat mógłby to zrobić. Będzie o tym w dzisiejszych gazetach, ale pomyślałam sobie, że lepiej, jak pani powiem. Wszyscy się boimy, że ktoś może nas powystrzelać. — Podniosła się i stanęła w drzwiach kuchni. — Nie przypuszczałam, że te paprocie wyrosną.

Podłoga w kuchni już prawie wyschła, grzała się woda na kawę.

Ponownie usiadły w saloniku.

— To musiał być wariat — oświadczyła pani Nepper. — Mary mówi, że zrobił to małym pistolecikiem, jeszcze miał go w dłoni. Nikt niczego nie słyszał, takie były błyskawice i pioruny. Słyszała pani takie grzmoty? Dach nad moją werandą przeciekł, a nad moją werandą dach nigdy nie przeciekał. Ale powiedziałam Mary Harris, że od razu pojedę i powiem pani, żeby się pani nie martwiła, bo on nie żyje.

Woda się zagotowała. Sara poszła do kredensu po rozpuszczalną kawę.

Pani Nepper podeszła do drzwi kuchennych i powiedziała, że kawa jest teraz taka droga... pamięta czasy, kiedy kosztowała pięćdziesiąt centów.

Sięgając do kredensu po kawę, Sara spojrzała na puszki ustawione jedna na drugiej. Lecz teraz... wpatrywała się w równe rzędy konserw, jeden w głębi, ustawione etykietkami do przodu.

— Chyba nie pamięta pani tych cudownych niskich cen? — zapytała pani Nepper.

Sara nie słyszała jej. Nie odpowiedziała.

— To był ktoś ze wschodu. Zdaje się, że z Bostonu. Miał biały, wynajęty samochód — ciągnęła pani Nepper. — Edna Grant i Helen Tyler widziały, jak siedział w Seerley przed domem starego Atchera, ale nie wiedziały, że to on i pewnie miał ze sobą ten pistolet. Człowiek się denerwuje taką strzelaniną, powiedziałam Mary Harris.

Sara dotknęła puszek, która razem z innymi stała zwrócona etykietą do przodu. W szufladzie ze srebrnymi sztućcami znalazła łyżeczkę.

— Tak.

— Tak jej powiedziałam — pewnie się denerwuje, więc po prostu wpadnę i powiem jej, że on nie żyje. Tylko troszkę... płaską łyżeczkę wystarczy. Jak się miewa Hazel Channing?

— Świetnie — odparła Sara, podając kawę pani Nepper. — Przyjaciółka została u niej na noc. Muszę tam pójść w południe.

Pani Nepper pośpiesznie dokończyła kawę.

— Tak mi właśnie ta przyjaciółka powiedziała, kiedy zadzwoniłam. I ja muszę już iść. Kiedy wraca Ellen Garner?

— Jeszcze nie dała znać.

— I nic pani nie słyszała zeszłej nocy?

— Nie.

— No tak, muszę pędzić, ale powiedziałam Mary Harris, . . . że wpadnę tylko powiedzieć pani, że znaleźli ciało. Pracuje w Holiday Inn, ale to nie ona je odnalazła. Wszystko będzie w dzisiejszych wieczornych gazetach, a ludzie będą o tym mówić tygodniami. Tu nieczęsto trafia się strzelanina

i samobójstwa. Dziękuję za kawę.

Sara patrzyła, jak pani Nepper schodzi po schodach frontowej werandy, mówiąc:

— W Holiday Inn. Mary Harris.

Sara zamknęła drzwi. Poszła do kuchni i jeszcze raz otworzyła szafkę. Każda puszka była ustawiona przodem, prezentując



etykietkę, ani jedna konserwa nie stała na innej. Ciągnęły się rzędami, wystawiając swe nazwy jakby do kontroli, jak gdyby wezwano je na świadków: groszek, brzoskwinie, fasolka.

Sara wyjrzała przez kuchenne okno... siedział na Scerley. Pewnie miał ze sobą broń. Grupka ludzi stała koło zdeptanych chryzantem. Z czerwonego domu nad nimi nie dudniła muzyka. Dziesięć metrów słonecznego światła i zielonej trawy dzieliło ją od innych. Była tylko wyglądającą przez okno sąsiadką.

Przeszukała pokoje i wytarła każdą klamkę, każde miejsce na drzwiach, zlewie czy szafkach, którego mogła dotknąć ręka ludzka, bacząc, by nikt nie dostrzegł, jak zamyka i otwiera drzwi od werandy za domem.

Sprzątała po nim po raz ostatni.

Gdy poszła do łazienki umyć zęby, przekonała się, że zakrętka na tubce pasty zaciśnięta jest zbyt mocno, by zdołała ją odkręcić.

Potem spostrzegła, że każdy ręcznik na wieszaku złożony był na trzy. Wyciągnęła rękę, nieomal ich dotknęła. Zostawiła je tak, jak były.

Zadzwoił telefon Sary.

— Halo? — Wysokim, beztroskim głosem powiedziała Georgia Parrish.— Czy u pani wszystko w porządku? Słyszałyśmy w radiu o włóczędze i Hazel chciała, żebym od razu do pani zadzwoniła.

— U mnie wszystko dobrze — odparła Sara.

— Na jakim świecie żyjemy — szaleńcy strzelają do studentów przed ich własnymi domami. Ale człowiek, który strzelał, zabił się w Holiday Inn. Pewnie pani już o tym wie.

— Tak. Przyjdę o dwunastej.

— O to właśnie chodzi — chcę spędzić kilka dni z Haze, skoro już mówi. Ależ ona mówi. Człowiek nie ma okazji powiedzieć słowa. Haze powiada, że może pani zostać w domu i porządnie odpocząć.

Przeglądamy zdjęcia z naszych wspólnych podróży i przypominamy sobie...

— Może przyjdę tylko ugotować i przeprać...

— Nie. Jestem dobra w tych rzeczach i wiem, co Haze lubi. Dokonała pani cudu. Proszę miło spędzić czas, oczywiście będzie pani miała zapłacone. Zadzwonię przed wyjazdem. Może Haze wypowie do tej pory wszystko, co ma do powiedzenia, ale proszę na to nie liczyć.

Sara podziękowała jej, odłożyła słuchawkę i ujrzała to spojrzenie zagubionego dziecka w oczach Martina, strumyczek krwi... ten obraz nachodził ją raz po raz bez ostrzeże-

nia. Weszła i popatrzyła na złożone na trzy ręczniki na wieszakach w łazience i zobaczyła to spojrzenie w oczach Martina, lecz na skórze i w stosie pacierzowym czuła Bena — Ben w południe, przychodzący do domu na lunch, na dwie godziny... zakryła oczy rękami i wyszeptała: „Martin!”

Odpowiedział jej tylko Banan, skrobiąc w drzwi kuchni. Sara wpuściła kotka, dała mu trochę jedzenia i zastanowiła się, co ma zrobić — może przespacerować się do sklepów na College Hill. Może porozmawiać z ludźmi. Może pójść do biblioteki uniwersyteckiej...

Ręczniki wisiały rzędem. Ciało Bena było barczyste i muskularne. Włosy miał miękkie i sprężyste i, od czasu do czasu, w smakowitych miejscach jęczał „Mmm” do siebie, do niej...

— Banan! — krzyknęła Sara. Kotek, przycupnięty nad spodeczkiem, spojrzał na nią, żując. — Martin nie żyje — wyszeptała. — Jestem wolna. Banan przestał jeść i kichnął, po czym wrócił do jedzenia.

— Myślę o tym, żeby spać z Benem — wyszeptała Sara. — Martin leży w jakiejś kostnicy, a ja myślę o tym, żeby kochać się z Benem w czasie lunchu. Ma dwie godziny na lunch! — Usiadła obok Banana z twarzą w dłoniach. Po chwili wyszeptała do kotka: — Jeszcze długo muszę być Laurą Pray. Muszę okłamywać Bena i wszystkich, ale jestem bezpieczna. — Banan wylizał spodeczek, po czym delikatnie obwąchał przestrzeń wokół niego. — Gdzieś tak za tydzień zadzwonię do matki i powiem, że jestem kimś innym. Może włożę czarną perukę, okulary i pojedę ją odwiedzić. — Wyrzuciła ramiona w powietrze, wolna, wolna — jest wolna!

Banan wspiął się Sarze na kolana i popatrzył na nią, do wąsów przywarły mu okruszki jedzenia.

— Przecież niektóre kobiety nie mają numeru ubezpieczenia i gubią metryki. Mogę powiedzieć, że nie wiem, gdzie się urodziłam. Mogę kłamać — wyszeptała do Banana. — Umiem kłamać — powtórzyła i ukryła twarz w ramionach.

Kot lizał wąsy i patrzył na Sarę, która mówiła:

— Jestem wdową. — Banan polizał łapę, po czym zwinął się w kłębuszek na kolanach Sary. — Ben ma dwie godziny — dodała Sara po chwili i z zawstydzonym wyrazem twarzy potarła wierzchem nadgarstka miejsce między oczami. — To cudownie.

Teraz mogła przechodzić przez podwórko do drzwi z tyłu domu Bena w porannym słońcu. Ben pojechał na zajęcia skończywszy ostatnią filiżankę kawy — stała obok zlewu. Sara dotknęła wargami ostatnich kropli na brzeżku, zamknęła oczy.

Potem w najniższej szufladzie szafki kuchennej znalazła papierową torbę i wróciła do domu, by schować wasy, brodę i męskie ubranie. Torba była jeszcze wilgotna od deszczu, podarła ją. Gdy wieszała płaszcz, coś zaszeleściło w kieszeni.

Sięgnęła do środka i znalazła kawałek starej koperty, jeszcze z farmy, zwiniętej i oklejonej taśmą. Koperta zawierała garstkę nasion. „Nagietki” wypisane było na boku charakterem pisma matki.

Sara spojrzała na litery, których jej matka nigdy już nie napisze: „Nagietki”. Czuła na plecach gorące słońce, gdy klęczała w ogrodzie matki za domem. Doleciał do niej zapach sosen, chroniących dom od wiatru i słyszała, jak matka i Joc rozmawiają w kuchni, ich głosy dobiegały do niej przebrzmiałą już melodią.

Znalazła doniczkę, trochę ziemi ogrodowej i wyjęła z koperty jedno nasionko nagietka. Leżało na jej dłoni — czarne ciało, puszysta kitka. Niewielkie są szanse, by zakwitło. Nadchodzi zima. Ale znajdzie się słoneczne miejsce w kuchni. Przykryła nasionko i postawiła na parapecie. Liście fiołków z Montrose przysłuchiwały się z parapetu, nastawiały zielone uszy. Wypuściły korzenie. Sara unosiła doniczki, by przekonać się, że prawie każdy listek pod puszystym daszkiem wypuścił nowe listeczki. Będzie musiała zrobić specjalny stolik. Może w przyszłym roku zakwitną jej wszystkie utracone fiołki z Montrose.

Sara pobiegła do domu Bena, weszła po schodach, położyła się na nic posłanym łóżku zanurzwszy twarz w pościeli. Powiedziała głośno:

— żyję-

Posławszy łóżko, posprzątała łazienkę Bena — bezwzględnie tego wymagała. Co zrobić na lunch, jeśli w ogóle będą go jedli? Oparła się o piecyk, jego miłe światelko igrało jej po krzyżu, aż roześmiała się i usłyszała, jak się śmieje.

Paszteciki z kurczaka — jej specjalność. Miał całego kurczaka w zamrażalniku. W kuchence mikrofalowej kurczak szybko się rozmroził, postawiła go, by się dusił, na swojej kuchence. Dla odmiany mogą zjeść lunch u niej. Gdy wałkowała ciasto na placek, czasami obserwowały ją wąskie, brązowe oczy Martina albo znowu stała w szafie Bena, z twarzą przyciśniętą w ciemności do jego ubrań. Jej kuchnia wypełniona była słońcem. Jeśli zadzwięczy dzwonek u drzwi, otworzy je, udzieli wszelkich informacji.

Jej łóżko. Pobiegła zmienić pościel, starannie ją ułożyć. Na dnie szuflady jej toaletki leży zdjęcie rewolwerowca i dziewczyny z knajpy, może je teraz postawić na toalecie, by każdy mógł je oglądać. Dziewczyna z knajpy spokojnie patrzyła jej w oczy. Martin wówczas żył. Wargi dziewczyny z knajpy były miękkie od pocałunków na diabelskim kole, a jej ramiona, mocno obejmujące mężczyznę z rewolwerami, wyglądały, jakby robiły to już przedtem. Sarze zabrakło tchu. Lekko skropiła perfumami powłoczkę i poduszki, po czym stanęła wśród tego aromatu na pół śpiąca, z niedowierzaniem widząc ranę i krew.

Teraz drzwi jej domu były otwarte. Nuciała cicho pod nosem, potem urwała, z lekko rozchyłonymi ustami i rękami uniesionymi nad ciastem, którego skrawki odcinała ostrym nożem. Martin siedział na łóżku w motelu z utkwionymi w niej oczyma.

Dzwonnica wybiła dwunastą akurat, gdy wyjmowała paszteciki z pieca, ich smakowity zapach wypełnił cały dom. Poczula się rozbita — całą zeszłą noc nie zmrużyła oka. Pobiegła do sypialni i wysunęła szufladę toaletki, by spojrzeć na czarną, jedwabną kombinację. Włożyła ją pod szorty i koszulę, całe ciało świerbiało ją na myśl o Benie.

Drzwi jej domu były otwarte, rozchodziły się kuchenne

aromaty. Wysprzątała łazienkę Bena i kuchnię także... Zatrzymała się nagle przy łóżku z oczyma bez wyrazu. Rozejrzała się po sypialni, pachnącej perfumami i niemal gotowym lunchem. Dziewczyna z knajpy wpatrywała się w nią bez uśmiechu, za podwiązką miała asa pikowego. — Hej — usłyszała okrzyk Bena i stwierdziła, że biegnie do frontowych drzwi i na werandę, — Tu jesteś! — powiedział, podchodząc pod dom. — P-przez parę dni nie muszę chodzić do doktor Channing — rzekła Sara, patrząc na Bena. — Mieszka z nią Georgia Parrish...

Ben był za drzwiami, całując ją, zanim skończyła. Nie odstawił nawet teczki, Sarze zabrakło tchu, gdy przycisnął ją mocno do siebie pośród pasztecików z kurczęciami, obranych pomarańcz i aromatu kawy. Ben wsunął jej ręce pod perukę i pocałował w kark, a gdy zadrżała, zachichotał i całował ją z tyłu gorącymi ustami najdalej jak mógł, a ona zadrżała ponownie i powiedziała, że przygotowała paszteciki z kurczęciami i...

— Wiesz co — mogą poczekać — wymamrotał Ben i podciągnął jej podkoszulek. Nie nosiła stanika, lecz miała pod ubraniem tę oszałamiającą, czarną, jedwabną kombinację. — Hej — powiedział i ujrzał jej sutki pod czarną koronką. — Specjalnie dla mnie? Zachichotała i wydobyla ręce z podkoszulka, a wówczas mógł ściągnąć wszystkie te koronki. Wyciągnęła stopy z kombinacji i obcisłych szortów, lecz Ben ściągnął jej podkoszulek przez głowę, gdy była jeszcze pochylona. Wówczas stanęła naga w mrocznym, zielonym świetle saloniku, z peruką przechyloną na bok.

— Ściągnij to! — krzyknął Ben i pociągnął.

— Poczekaj... — rzekła Sara. — Włosy mam splecione i upięte,.. — Ale zdjął jej perukę i pukle częściowo opadły na dół, wysunęły się szpilki. 1

— Chodź — powiedział Ben.

Usłyszała, jak szpilka uderza w nogę krzesła w saloniku, następna upadła na podłogę w sypialni. Wsunęła się pod kołdrę i za minutę był tam, gdzie marzyła, sprawiając, że

krzyknęła i w końcu leżała z włosami w oczach i w ustach, omotana ich siecią, z zamkniętymi oczyma, rozchylonymi ustami. Leżeli tak jakiś czas bez słowa, jego pocałunki wplątywały się w pajęczynę włosów na jej ustach, aż odsunęła włosy, a on spytał:

— Jeszcze? — A ona odpowiedziała:

— Proszę. O. Tak. Proszę...

Potem wrócił do niej południowy dom i zapachy letniego powietrza. W parku wrzeszczały dzieci. Rewolwerowiec i dziewczyna z knajpy wpatrywali się w nią z toaletki.

— Muszę iść na to cholerne zebranie — wymruczał Ben z ustami na jej wargach.

Paszteciki z kurczęcia były ledwie ciepłe, a jej specjalna sałatka się nie wychłodziła. — Nieważne — zlekceważył Ben, zjedli więc lunch taki, jaki był, i całowali się między kęsami.

Musiał znaleźć notatnik w gabinecie, poszli więc do jego domu i całowali się w gabinecie i we frontowych drzwiach.

— Znowu zebranie programowe — powiedział Ben. Jak piękna jest Laura, uśmiechająca się ze starego

fotela z wyłazającymi sprężynami, znad jej ramienia wyglądało popiersie Szekspira. Mógłby jej opowiedzieć o sporach na wydziale, przećwiczyć swą strategię. Wracając do domu, od drzwi poczuje zapach obiadu, na stole będzie czekać butelka wina.

Sara patrzyła, jak Ben odchodzi drogą od frontu, potem przypomniała sobie o brudnych naczyniach. Zmyła je i odstawiła na miejsce, spoglądając na drzwi stodoły Bena poprzez liście bzu. Niewyraźna błękitna plama w środku to zderzak samochodu Bena.

— Obiad u mnie — oznajmiła Benowi, który garściami unosił jej włosy, splatał je, rozplatał, znowu pozwalał opaść im na jej piersi.

— Kiedy powiesz mi, skąd pochodzisz — wszystko? — spytał Ben, całując jej ręce, całując ją za uszami i pod brodą.

Odpowiedziała mu, przyciągając jego twarz do swych piersi i długich włosów. Sara spodczkiem rozbijała stek i patrzyła, jak mąka

pobiela czerwone mięso. W głowie jej się kręciło od unoszącego się wagonika diabelskiego koła, zygzaków błyskawicy, nakrycia na łóżko, wysmarowanego skrzydłami ciem.

Czy zdoła zasnąć? zastanawiała się, pocierając zmęczone czoło wierzchem obsypanej mąką ręki.

— Gdzieś tutaj. — Przez otwarte okno dobiegł ją głos mężczyzny.

Wietrzyk wwionął śmiech i głosy. Na pół śpiąc, Sara oparła się o parapet i, przez sekundę, jej oczy napotkały spojrzenie z sąsiedniego podwórza.

Potem młody człowiek w koszulce z napisem Heavy Metal udawał, że jej nie widzi. — Połamał te cholerne chryzantemy — powiedział do dwóch dziewcząt z college"u. Drzwi za nim uniosły pomalowaną na biało brew.

— Jejku — westchnęła ciemna dziewczyna, machając torbą na książki, owiniętą wokół dłoni.

— Wystraszyłem drania i tyle — kontynuował Mark Corey. — Chyba chciał się do nas włamać, kiedy mnie zobaczył.

Miał bardzo obcisłe džinsy, kciuki wsunął w kieszenie i uśmiechnął się do drugiej dziewczyny o długich, jasno-brązowych włosach i koszulce z nadrukiem uniwersytetu w Iowa zwisającej nad króciutkimi szortami.

— Muszę lecieć na zajęcia — powiedziała ciemnowłosa dziewczyna.

Poszli w kierunku ulicy. — To musiało być straszne, kiedy jakiś bandzior do ciebie strzelał.

— Bez przesady — odparł Mark odrobinę za głośno. — Bez dwóch zdań nie miał ikry, żeby porządnie wykończyć robotę.

— Jejku — powtórzyła ciemna dziewczyna.

Sara rozejrzała się po kuchni. Wszystko było gotowe do obiadu. Może się chwilę prześpi. Zaciągnęła story w sypialni, nastawiła budzik i umyła twarz pod zlewem. Sięgając po ręcznik, zorientowała się, że Ben był tu przed nią — złapał ręczniki z wieszaka i tylko jeden był jeszcze złożony na trzy.

Lecz był złożony na trzy — patrzył jak. wychodzi z łazienki, zdejmując koszulę, szorty, kombinację i naga kładzie



się na skotłowanym łóżku. Och, westchnęła do siebie pod kołdrą, wyciągając ramiona, wydawało się jej, że ciągle jeszcze czuje ciepło ich ciała, i zadrżała na myśl o nocy i Benie.

Minęło czterdzieści sześć dni, odkąd szła ulicą Manhasset z Martinem, tworząc „ładną parę”. Czuła straszliwe zmęczenie. Łóżko było jeszcze ciepłe.

Sara zamknęła oczy. Po paru sekundach zasnęła. We śnie zastanawiała się, dlaczego nikt na całej ulicy w Mont-rose w Massachusetts nie wyglądał akurat przez okno, gdy przed domem Burncyów zatrzymała się taksówka — potem uświadomiła sobie, że było jeszcze bardzo wczesne rano. Nikt nie widział jak Sara Burney płaci taksówkarzowi, niesie torbę po chodniku i wkłada klucz do zamka. Stała w drzwiach małego domku na przylądku Cod myśląc, że trawa nie wyrośnie, jeśli nie zgrabi się zwiędłych liści.

We śnie przekręciła klucz i ogarnął ją zapach własnego domu — jedyne, wyjątkowe aromaty, nakładające się rok po roku. Zamknęła za sobą drzwi i położyła torbę w tym nieruchomym, sekretnym zapachu przeszłości.

Sosnowe meble. Sara postąpiła krok w salonie i ujrzała lśniące za szybą strzelby w szafce na broń, między nimi było puste miejsce.

W jej snach tykał zegar. Zapomniała, że świece ze ślubu postawiła na krawędzi kominka. Stały tam teraz. Były tam też pokrowce na meble i firanki, które sama uszyła.

Lustro w holu lśniło, lecz nie było już pięknie okantowane. Bez światła z tego lustra mały hol będzie ciemny. Ich sypialnia była ciemna, gdy otworzyła drzwi.

Śniąc, znalazła ubrania w szafie, szuflady toaletki pełne były jej bielizny, przyborów do szycia, wykrojów, Sara otwierała je, jedną po drugiej.

Świetlówki na stolikach z fiołkami nadal działały, zapaliła je. Gdy otworzyła bieliźniarkę, znalazła dwie pary nowych niebieskich poszewek, które kupiła okazji oraz zharmonizowanych z nimi kwiecistych prześcieradeł i powłoczek na poduszki.

Podłoga w holu skrzypiała pod jej stopami, znała dokładnie ten dźwięk.

Sara stanęła w drzwiach kuchni, po

czym położyła rękę na nowej lodówce, nowej kuchence. Czerwoną kuchnię należy pomalować na zielono.

W szafkach stały czyste naczynia. Był tam też dziadek do orzechów i plastikowa maselniczka.

Śniąc, znalazła kluczyki od samochodu na talerzyku na biurku, które niegdyś należało do Martina. Otworzyła drzwi garażu.

Samochód zaśnił, gdy Sara zapaliła światło. Usiadła za kierownicą, po czym zapaliła silnik i słuchała ryku motoru. Po chwili, przekreśliła kluczyk, wyjęła go, dołączyła do innych kluczy na kółku i wrzuciła do torebki na książeczkę oszczędnościową z banku.

Było tak cicho: suche liście szeleściły na podjeździe i wpychały suche palce pod drzwi garażu.

Śniąc, Sara wysiadła z samochodu, zsuwając stopy z pedału gazu i hamulca.

Pod stopami wyczuwała gruby piach z domku letniskowego.

Popołudniowy wietrzyk trzepotał koszulą, spódnicami i chorągwiemi w miasteczku uniwersyteckim. Ben Woodward wyszedł z zebrania komitetu programowego, ziewając dyskretnie bez otwierania ust. Minał studentów, opalających się na bujnej trawie — młody, stąpający ciężko profesor z loczkami nad uszami.

Zachodzące słońce pokrywało uniwersytecką ścieżkę cętkami i smugami cienia. Sara otworzyła oczy, usiadła w skotłowanym łóżku i rozejrzała się po swej sypialni w Iowa, na fotografii ustawionej na toalecie dziewczyna z knajpy ścisnęła rewolwerowca.

Dźwięki głośnej muzyki, dochodzące z klubu studenckiego, ogłuszyły przechodzącego Bena, który zgarbił się, kręcąc głową na wszystkie strony. Pogwizdywał przechodząc koło domu rektora, pogwizdywał krocząc College Street, pogwizdywał idąc przez Seerley Park, myśląc wyłącznie o Laurze, jej długich blond włosach, unoszonych letnim wietrzykiem. Otwierając drzwi, śmiał się głośno, śmiał się z radości — Laura w jego łóżku przez całą noc.